

JEFF LINDSAY



DEXTER

DELICJE Z DEXTERA

 SAGA
EGMONT

Jeff Lindsay

Delicje Dextera

Tłumaczenie Tomasz Wilusz

Saga

Delicje z Dextera

Tłumaczenie Tomasz Wilusz

Tytuł oryginału *Dexter is Delicious*

Język oryginału angielski

DEXTER SERIES #5: DEXTER IS DELICIOUS: Copyright ©
2010 by Jeff Lindsay

Copyright © 2010, 2022 Jeff Lindsay i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728516089

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Delicje Dextera](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Epilog

Podziękowania

o książce Delicje z Dextera

Dla Hilary, jak zawsze

Ta część szpitala jest jak obcy kraj. Nie czuje się tu atmosfery pola bitwy, nie ma chirurgów w zakrwawionych kitlach, którzy przerzucają się dowcipami o brakujących częściach ciała, stalowookich dyrektorów dzierżących podkładki do pisania, stad starych pijaków na wózkach inwalidzkich, a przede wszystkim nie ma trzód owiec wybałuszających ślepie i tulących się do siebie w strachu przed tym, co może się wyłonić przez podwójne stalowe drzwi. Nie czuć odoru krwi, środków odkażających i przerażenia; tu zapachy są miłsze, bardziej domowe. Nawet kolory są inne: łagodniejsze, bardziej pastelowe, jakże odmienne od ponurej, funkcjonalnej szarości reszty budynku. Prawdę mówiąc, nie ma żadnego, ale to żadnego z obrazów, dźwięków i okropnych zapachów, które nauczyłem się kojarzyć ze szpitalami. Jest tylko tłum facetów wpatrujących się okrągłymi oczami w wielkie okno, a ja, ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu, jestem jednym z nich.

Stoimy razem, radośnie przyciśnięci do szyby, i ochoczo robimy miejsce każdemu nowo przybyłemu. Biały, czarny, śniady, Latynos, Afroamerykanin, Azjata, Kreol – bez różnicy. Wszyscy jesteśmy braćmi. Nikt się nie krzywi ani nie sroży; nikomu nie przeszkadza, że raz na jakiś czas ktoś go niechcący trąci w żebra, i nikt, dziw nad dziwy, nie pała chęcią zrobienia krzywdy któremukolwiek z pozostałych. Nawet ja. Zamiast tego tłoczmy się przy szybie, wpatrzeni w banalny cud w sąsiednim pomieszczeniu.

Czy to są ludzie? Czy to naprawdę Miami, w którym mieszkam od zawsze? Czy może jakiś dziwny eksperyment w wielkim podziemnym zderzaczku przeniósł nas na drugą stronę lustra, gdzie wszyscy zawsze są mili, tolerancyjni i szczęśliwi?

Gdzież ten dyszący żądzą mordu motłoch z dawnych lat? Gdzie uzbrojeni po zęby, nabuzowani, na wpół oszaleli, rwący się do zabijania przyjaciele mojej młodości? Czyżby to wszystko się zmieniło, zniknęło na zawsze, zmyte blaskiem bijącym z tego okna?

Jaka fantastyczna wizja za szybą zmieniła całą gromadę perfidnych, walących po gębach i skręcających karki istot ludzkich w stadko otepiałych, zaślinionych niuniusiów?

Raz jeszcze patrzę z niedowierzaniem i widzę to znowu. Cztery równe rzędy drobnych, wiercących się istotek, małych, pomarszczonych i bezużytecznych - a przecież właśnie one przeistoczyły tych zdrowych, pałających żądzą krwi mężczyzn w bezradnych, rozklejających się słabeuszy. Doprawdy imponujący, wręcz magiczny wyczyn, a co jeszcze bardziej absurdalne, wstrząsające i niewiarygodne, jeden z tych małych różowych tłumoczków zawładnął naszym Miłośnikiem Mroku, Dexterem Definitywnie Demonicznym, i jego też zmienił w cichą, zadumaną istotę o ociekającym śliną podbródkiem. Rzeczony tłumoczek leży sobie i kiwa palcami u nóg w świetle jarzeniówek, kompletnie nieświadomy, jakiego dokonał cudu - nieświadomy nawet tego, że ma palce u nóg, jest bowiem ucieleśnieniem Nieświadomości Absolutnej - a mimo to, proszę, czego dokonał za sprawą owego bezmyślnego, bezwiednego palcokiwactwa. Tylko spójrzcie na tę małą, mokrą, kwaśno pachnącą istotkę, która odmieniła wszystko.

Lily Anne.

Trzy krótkie, całkiem zwyczajne sylaby. Dźwięki same w sobie bez konkretnego znaczenia - a jednak połączone i przypisane do małego ciała, które wierci się na swoim piedestale za szybą, dokonały najpotężniejszego z cudów. Zmieniły Dextera od Dziesięcioleci Odrętwiałego w istotę mającą serce, które bije i pompuje prawdziwe życie, istotę, która niemal ma uczucia, która wręcz do złudzenia przypomina człowieka...

O, proszę: tłumoczek macha małą, potężną rączką i Nowa Istota wewnątrz Dextera odpowiada machaniem. Coś się w niej kotłuje, wdziera do piersi, odbija od żeber i atakuje mięśnie twarzy, które rozciągają się w spontanicznym, nieprzećwiczonym uśmiechu. Wielkie nieba! Czy to naprawdę było uczucie? Czy upadłem tak nisko, tak szybko?

Na to wygląda. O, znowu się zaczyna.

Lily Anne.

- Pańskie pierwsze? - pyta głos obok mnie i spoglądam w lewo, szybko, żeby nie uronić choćby sekundy spektaklu rozgrywającego się po drugiej stronie szyby. Moim sąsiadem okazuje się tęgi Latynos w dżinsach i czystej koszuli roboczej z naszywką „Manny” na piersi.

- Tak - potwierdzam, a on kiwa głową.

- Ja mam trójkę - informuje z uśmiechem - i jeszcze mi się nie znudziło.

- Nic dziwnego - mówię, patrząc na Lily Anne. - Jakżeby mogło? - W tej chwili porusza drugą rączką... a teraz obiema naraz! Nadzwyczajne dziecko.

- Dwóch chłopców - Latynos kręci głową, po czym dodaje: - i wreszcie dziewczynka. - Po tonie poznaję, że uśmiecha się na tę myśl, więc zerkam na niego ukradkiem; rzeczywiście, jego twarz, rozpromieniona w wyrazie radosnej dumy, wygląda niemal równie durnowato, jak moja własna. - Chłopaki potrafią być okropnie głupi - mówi. - Tym razem naprawdę chciałem dziewczynkę i... - Gość uśmiecha się jeszcze szerzej i przez kilka minut stoimy obok siebie w przyjaznym milczeniu, kontemplując nasze śliczne i mądre córeczki za szybą.

Lily Anne.

Lily Anne Morgan. DNA Dextera, przekazane następnemu pokoleniu i rozpoczynające wędrówkę przez czas ku odległej przyszłości, ku dniom nieobjętym wyobraźnią; niosące esencję mojego „ja” naprzód, poza zasięg śmierci dotykającej palcami zegarów, pędzące ku jutrze, zapakowane w chromosomy Dextera - a do tego jakie ładne. Przynajmniej takie wrażenie ma otumaniony ojciec.

Wszystko się zmieniło. Świat, na którym jest Lily Anne Morgan, jest zupełnie inny: ładniejszy, czystszy, barwniejszy, o bardziej wysmakowanych kształtach. Zresztą wszystko teraz lepiej smakuje, nawet snickers i kawa z automatu, mój jedyny posiłek w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Baton był najbardziej wykwintną potrawą, jakiej kiedykolwiek skosztowałem, a kawa smakowała nadzieją. Poezja wkrada się w mój lodowato zimny mózg i przepływa przez ciało do czubków palców, bo dziś wszystko jest nowe i cudowne. A przez smak kawy przebija smak samego życia. Teraz jest ono czymś, co trzeba pielęgnować, chronić i wielbić. Z najgłębiej ukrytych pokładów świadomości wypływa zdumiewająca myśl, że życie już nie jest czymś, na czym trzeba żerować w tym straszliwym, mrocznym szale radości, który określał mnie aż do tego nowego, apokaliptycznego momentu. Że świat Dextera powinien ulec zagładzie, żeby z jego

popiołów zrodziła się nowa, różowa, rozkoszna rzeczywistość. A co ze starą dobrą żądzą szlachtowania owiec i rozrzucania kości, młócenia na prawo i lewo pośród okrutnej nocy niby kombajn, rozsiewania w blasku księżyca schludnych resztek Mrocznych Zapędów Dextera? Może pora ją porzucić, wysączyć z siebie do ostatniej kropli, aż całkiem zniknie.

Lily Anne jest tutaj i chcę się zmienić.

Chcę być lepszy.

Chcę ją przytulić. Chcę czytać jej *Kubusia Puchatka*. Chcę czesać jej włosy i uczyć ją, do czego służy pasta do zębów i jak nalepić plaster na kolano. Chcę tulić ją o zachodzie słońca w pokoju pełnym rozkosznych szczeniactków, gdy orkiestra będzie grała *Happy Birthday*, i patrzeć, jak wyrasta na wspaniałą, piękną, leczącą raka i komponującą symfonię kobietę. A żeby to osiągnąć, nie mogę być taki jak do tej pory – co mi odpowiada, bo w tej chwili uświadamiam sobie coś ważnego.

Nie chcę już być Dexterem Demonem.

Ta świadomość nie tyle mnie szokuje, ile daje mi poczucie spełnienia. Przez całe życie zmierzałem w określonym kierunku i wreszcie jestem u celu. Nie muszę już robić tych rzeczy. Po prostu przestały mi być potrzebne. Teraz jest Lily Anne, znacznie ważniejsza niż cały ten taniec w mroku. Czas zająć się czymś innym, czas dojrzeć! Najwyższy czas zostawić Starego Diabła Dextera za sobą w pyle i kurzu. Ta część mnie rozwinęła się w pełni, a teraz...

Pośród chóru szczęśliwości Dextera rozbrzmiewa jedna cicha i bardzo fałszywa nuta. Coś jest nie w porządku. Jakiś błysk starego, grzesznego życia przebija się przez różany blask nowego i w melodię wkrada się suchy grzechot łusek.

Ktoś mnie obserwuje.

Tę myśl wypowiada jedwabisty głos, bliski chichotu. Mroczny Pasażer jest jak zawsze rozbawiony – i samą sytuacją, i tym, że zdarzyła się w takim, nie innym momencie – ale jego przestroga brzmi szczerze, więc niby od niechcienia, ze sztucznym uśmiechem po staremu przyklepionym do twarzy, rozglądam się po korytarzu. Najpierw zerkam w lewo. Jakiś starszy mężczyzna w koszuli wpuszczonej w podciągnięte

za wysoko spodnie opiera się o automat z napojami. Ma zamknięte oczy. Przechodząca pielęgniarka nie zwraca na niego uwagi.

Odwracam się i spoglądam w prawo, gdzie ten korytarz łączy się z poprzecznym, prowadzącym w jedną stronę do sal, a w drugą do wind. No i proszę, jest tam, wyraźny jak ślad na ekranie radaru. Czy raczej to, co ze śladu zostało, bo właśnie skręca za róg w kierunku wind i dostrzegam tylko kawałek jego pleców. Jasnobrązowe spodnie, zielona koszula w kratę, podeszwa sportowego buta - i tyle go widziano. Czmycha bez wytłumaczenia, dlaczego mnie obserwował, lecz przecież wiem, że to robił, i potwierdzeniem jest złośliwy uśmiech, który posyła mi Pasażer, jakby chciał spytać: „To co właściwie mieliśmy zostawić za sobą?”

O ile wiem, ani na tym, ani na żadnym innym świecie nie ma nic, co wyjaśniałoby czyjekolwiek zainteresowanie moją skromną osobą. Mam sumienie tak czyste, i puste, jak to tylko możliwe - bo, po pierwsze, zawsze dokładnie po sobie sprzątam, a po drugie, moje sumienie jest tworem równie rzeczywistym jak jednorożec.

Niewątpliwie jednak ktoś mnie obserwował i to jest bardziej niż odrobinę irytujące, nie przychodzi mi bowiem do głowy żaden sensowny i budujący powód, dla którego ktokolwiek chciałby mieć na oku Nudnego Jak Flaki z Olejem Dextera, a teraz wszystko, co zagraża Dexterowi, może zagrażać także Lily Anne - na to zaś nie mogę pozwolić.

Pasażera taka sytuacja ogromnie bawi: oto zaledwie przed chwilą wahałem pierwsze wiosenne kwiatki i wyrzekałem się rozkoszy obracania w proch tego, co z prochu powstało, a teraz znów stoję czujnie wyprężony i gotowy zabijać. Lecz tym razem jest inaczej. Nie chodzi o zabijanie dla rozrywki. Pragnę chronić Lily Anne i nawet w pierwszych chwilach jej życia z dziką radością powypruwam żyły każdemu, kto się do niej zbliży. Z tą budującą myślą idę do końca korytarza, wyglądam za róg i zerkam w stronę windy.

Nie widzę tam nic. Korytarz jest pusty.

Mam tylko kilka sekund na to, żeby się pogapić - za mało, by nacieszyć się milczeniem - bo na moim biodrze zaczyna wibrować komórka. Wyciągam ją z futerału i zerkam na numer; to sierżant Debora, moja adoptowana siostra policjantka. Ani chybi dzwoni,

żeby porozczulić się nad narodzinami Lily Anne i złożyć mi najlepsze siostrzane życzenia. Dlatego odbieram.

- Cześć - mówię.

- Cześć, Dexter - rzuca Deb. - Mamy tu kurewski bajzel i jesteś mi potrzebny. Przyjeżdżaj natychmiast.

- Nie jestem na służbie - zauważam. - Mam urlop ojcowski. - Już mam oznajmić, że Lily Anne jest zdrowa i piękna, a Rita smacznie śpi w głębi korytarza, ale Debora podaje mi adres i od razu się rozłącza.

Wróciłem do okna i pożegnałem się z Lily Anne. Pokiwała paluszkami u nóg, chyba z sympatią, ale nic nie powiedziała.

2

Dom, którego adres podała mi Debora, znajdował się w starej części Coconut Grove, gdzie nie ma wieżowców ani budek wartowniczych. Zabudowa jest tam niska, a ulice niemal toną w powodzi bujnych krzewów i drzew. Ledwo przecisnąłem się między kilkunastoma służbowymi samochodami, które już dotarły na miejsce. Dopiero przecnicę dalej, obok rozłożystego bambusa, znalazłem wąską szczelinę. Jakoś zdołałem zmieścić w niej wóz i ruszyłem pieszo z powrotem, taszcząc torbę z podręcznym zestawem do badania śladów krwi. Wydawał mi się cięższy niż zwykle, ale może to rozłąka z Lily Anne nadwątlila moje siły.

Dom był skromny i prawie niewidoczny pośród roślinności. Miał płaski, nachylony dach - z tych, co to były nowoczesne czterdzieści lat temu - a od frontu, pośrodku oczka wodnego, stał dziwnie powyginany kawał metalu, niewątpliwie udający dzieło sztuki. Obok tej wątpliwej ozdoby tryskała fontanna. Ogólnie, widok charakterystyczny dla Old Coconut Grove.

Kilka z samochodów zaparkowanych przed domem wyglądało na należące do służb federalnych. I rzeczywiście, kiedy wszedłem do środka, wśród niebieskich mundurów i pastelowych koszul *guayabera* drużyny gospodarzy zauważyłem szare garnitury. Ludzie tworzyli parę oddzielnych grupek krążących po domu niczym cząstki elementarne w ruchach Browna - jedni zadawali pytania i udzielali odpowiedzi, inni zabezpieczali ślady, a pozostali tylko rozglądali się za jakimś zajęciem na tyle ważnym, by uzasadniło ich obecność na miejscu zbrodni.

Debora była w grupie, którą najlepiej określa słowo „konfliktowa”, co nie mogło zaskoczyć nikogo, kto znał i kochał moją siostrę. Stała z dwojgiem ubranych na szaro federalnych. Kobietę, agentkę FBI Brendę Recht, znałem, bo napuścił ją na mnie mój zaprzysięgły wróg sierżant Doakes, kiedy porwano moje przybrane dzieci, Cody'ego i Astor. Nawet karmiona paranoją zacnego sierżanta nie zdołała

mi niczego udowodnić, ale była bardzo podejrzliwa, więc nie miałem zbytnej ochoty na odnowienie naszej znajomości.

Towarzyszącego jej agenta mogę opisać tylko jako wzorcowego federalnego: szary garnitur, biała koszula i lśniące czarne buty. Oboje stali przodem do mojej siostry, sierżant Debory, i jakiegoś nieznanego mi faceta. Był to blondyn, jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, muskularny i cholernie atrakcyjny w męski, surowy sposób – tak wyglądałby Brad Pitt, gdyby Bóg zechciał go uczynić naprawdę przystojnym. Patrzył w bok, na stojącą lampę, a Debora warczała na Recht. Kiedy podszedłem, Deb odwróciła wzrok, a napotkawszy moje spojrzenie, ponownie zwróciła się do agentki FBI i burknęła:

- Nie łaźcie w tych swoich lakierkach po miejscu zbrodni! Ja tu pracuję.

Złapała mnie pod ramię i zaciągnęła w głąb domu, mamrocząc pod nosem: „Jebane federalny”, a że po wizycie na porodówce byłem przepełniony miłością i wyrozumiałością, spytałem łagodnie:

- Co oni tu robią?

- Jak zwykle wszystko pieprzą – warknęła Deb. – Łażą, palanty, w tych swoich florsheimach i wszystko zdeptują, bo uważają, że to porwanie, czyli przestępstwo federalne. Przez to ja nie mogę robić tego, co do mnie należy, i ustalić, czy to rzeczywiście porwanie. Tutaj – gładko zmieniła temat i wepchnęła mnie do pokoju na końcu korytarza.

W środku była już Camilla Figg, która pełzła na czworakach wzdłuż prawej ściany, od lewej trzymając się z dala. I słusznie, bo cała lewa strona pokoju była tak zbryzgana krwią, jakby wybuchło tam jakieś duże zwierzę. Krew lśniła purpurowo, wciąż wilgotna.

- I co, wygląda ci to na porwanie? – spytała Debora.

- Jeśli tak, to niezbyt udane – odparłem, wpatrzony w wielką czerwoną plamę. – Zostawili prawie pół ofiary.

- Co tu się stało? – chciała wiedzieć Deb.

Zmarszczyłem brwi, lekko poirytowany jej przeświadczeniem, że wystarczy mi jeden rzut oka i już będę wiedział, co wydarzyło się w tym pokoju.

- Daj mi chociaż postawić tarota – powiedziałem. – Duchy muszą przebyć długą drogę, żeby ze mną porozmawiać.

- Niech się pospieszą - burknęła. - Cała pieprzona komenda siedzi mi na karku, że o jebanych federalach nie wspomnę. No, Dex, coś na pewno możesz mi powiedzieć. Nieoficjalnie.

Spojrzałem na największą plamę krwi, tę, która zaczynała się nad łóżkiem i rozchodziła na wszystkie strony.

- No cóż - orzekłem - nieoficjalnie wygląda to raczej jak ślady po paintballu niż po porwaniu.

- Wiedziałaś - rzuciła z satysfakcją, po czym zmarszczyła brwi i spytała: - Co masz na myśli?

Wskazałem na purpurową plamę.

- Trudno zadać ranę, po której zostałyby taki ślad - wyjaśniłem. - Chyba żeby porywacz podniósł delikwenta i cisnął nim o ścianę z prędkością jakichś sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Nią - uściśliła Debora. - Ofiara to dziewczyna.

- Wszystko jedno - powiedziałem. - Chodzi o to, że jeśli jest tak mała, że można ją rzucić, to straciła tyle krwi, że musi być martwa.

- Ma osiemnaście lat - odparła Deb. - Prawie dziewiętnaście.

- No to jeśli jest przeciętnie zbudowana, lepiej nie ścigać gościa, który dał radę tak ją rzucić. Jak go postrzelisz, może się bardzo pogniewać i urwać ci rękę.

Debora wciąż marszczyła brwi.

- Czyli uważasz, że to lipa - mruknęła.

- Krew wydaje się prawdziwa - odparłem.

- I co z tego wynika?

Wzruszyłem ramionami.

- Oficjalnie jest za wcześnie, żeby wyrokować.

Walnęła mnie w bark. Zabolało.

- Nie bądź dupkiem - warknęła.

- Auu - jęknąłem.

- Mam szukać zwłok czy nastolatki, która siedzi w galerii handlowej i chichra się z durnych gliniarzy? To znaczy, skąd wzięłaby tyle krwi?

- Cóż - odrzekłem z nadzieją, choć tak naprawdę nie chciałem o tym myśleć - to wcale nie musi być krew ludzka.

Debora wbiła wzrok w plamę na ścianie.

- Jasne - mruknęła. - Dziewczyna bierze słoik krwi krowy czy jakiegoś bydłęcia, rzuca nim w ścianę i daje dyla. Taki numer, żeby wydebić kasę od starych.

- Nieoficjalnie, to jest możliwe - oznajmiłem. - Ale daj mi zrobić badania.

- Muszę coś powiedzieć tym palantom - odparła.

Odchrząknąłem, a potem naśladowując kapitana Matthews'a, oświadczyłem:

- Do czasu przeprowadzenia analiz i badań laboratoryjnych nie można wykluczyć, że... eee... miejsce zbrodni może nie być... hm... dowodem jakiegokolwiek przestępstwa.

Znów rąbnęła mnie w ramię, dokładnie w to samo miejsce, ale tym razem jeszcze mocniej.

- Zbadaj tę cholerną krew - warknęła. - I to już.

- Tu nie dam rady - zaprotestowałem. - Muszę trochę zabrać do laboratorium.

- To zabierz... - Podniosła pięść do następnego druzgocącego ciosu i byłem dumny z tego, jak zwinnie uskoczyłem poza zasięg jej ręki, choć przy okazji niemal staranowałem gościa, który stał obok niej, kiedy rozmawiała z federalnymi.

- Przepraszam - bąknął.

- Aha - mruknęła Debora - to Deke, mój nowy partner. - Słowo „partner” zabrzmiało w jej ustach jak „hemoroidy”.

- Miło mi - powiedziałem.

- Uhm, jasne. - Deke wzruszył ramionami i przesunął się w bok, żeby dobrze widzieć tyłek Camilli pełzającej po podłodze.

Debora posłała mi znaczące spojrzenie, mówiące wiele niecenzuralnych rzeczy o jej nowym partnerze.

- Deke przyjechał z Syracuse - oznajmiła głosem tak uprzejmym, że można by nim zeszkrobywać farbę. - Piętnaście lat ścigał tam złodziei skuterów śnieżnych. - Deke znów wzruszył ramionami, nie patrząc na nią. - A że poprzedniego partnera straciłam przez nieostrożność, podesłali mi go za karę.

Deke tylko uniósł kciuk i schylił się, żeby zobaczyć, co robi Camilla.

- Cóż - rzekłem - mam nadzieję, że sprawdzi się lepiej niż detektyw Coulter. - Coulter, poprzedni partner Debory, został zamordowany

w ramach happeningu artystycznego, gdy ona leżała w szpitalu. Pogrzeb miał bardzo ładny, ale byłem pewien, że od tego czasu szefostwo bacznie przygląda się mojej siostrze, bo krzywo się patrzy na gliniarzy, którzy notorycznie nie uważają na swoich partnerów.

Deb pokręciła głową i mruknęła coś, czego wprawdzie nie dosłyszałem, ale nie brzmiało zbyt przyjemnie. A że zawsze i wszędzie chcę nieść ludziom radość, zmieniłem temat.

- Kto to właściwie jest? - spytałem, wskazując ruchem głowy gigantyczną plamę krwi.

- Zaginiona nazywa się Samantha Aldovar - odparła. - Osiemnastolatka, chodzi do Ransom Everglades, tej szkoły dla nadzianych dzieciaków.

Rozejrzałem się po pokoju. Pomijając plamę krwi, nic ciekawego: biurko z krzesłem, laptop, na oko kilkuletni, stacja dokująca do iPod'a. Na jednej ze ścian, szczęśliwie nieumazanej krwią, wisiał ciemny plakat przedstawiający melancholijnego młodzieńca. U dołu widniało nazwisko: „Team Edward”, a jeszcze niżej „Zmierch”. W szafie wisiało trochę ciuchów, ładnych, ale nie nadzwyczajnych. Ani pokój, ani dom, w którym się znajdował, nie wyglądały, jakby należały do kogoś dość na tyle zamożnego, by mógł posłać dziecko do ekskluzywnej szkoły; ale przecież nie takie dziwy zdarzają się na tym świecie, a na ścianach nie wisiały wyciągi z konta, przynajmniej ja żadnych nie zauważyłem.

Czy Samantha upozorowała swoje porwanie, żeby wyciągnąć pieniądze od rodziców? Takie numery są zaskakująco częste, więc jeśli dziewczyna dzień w dzień przebywała w otoczeniu bogatych małych, mogła zapragnąć sobie też załatwić markowe dzinsy. Nasi milusińscy potrafią być zachwycająco okrutni, zwłaszcza wobec kogoś, kogo nie stać na ciuch za pięćset dolarów.

Na podstawie tego pokoju trudno było cokolwiek rozstrzygnąć. Pan Aldovar mógł być stroniącym od ludzi miliarderem, którego stać na wykupienie całej dzielnicy podczas lotu do Tokio na sushi. A może Aldovarom rzeczywiście się nie przelewało i szkoła udzielała Samancie takiej czy innej pomocy finansowej. To jednak nie miało większego znaczenia; ważne było, aby wywnioskować coś na podstawie tego imponującego rozbryzgu krwi i wreszcie go zmyć.

Deb patrzyła na mnie wyczekująco, więc zamiast narażać się na kolejny bolesny cios w triceps, kiwnąłem głową i rzuciłem się w wir pracy. Postawiłem zestaw do badania śladów na biurku i otworzyłem go. Na samym wierzchu był aparat fotograficzny, którym pstryknąłem tuzin fotek plamy na ścianie i jej otoczenia. Potem włożyłem lateksowe rękawice, wyjąłem z plastikowej torby duży wacik i słoiczek, żeby mieć go do czego schować, i ostrożnie zbliżyłem się do połyskującej plamy.

Odszukawszy miejsce, w którym była wciąż mokra, powoli nasączyłem krwią wacik, żeby mieć użyteczną próbkę. Następnie wsunąłem wacik do słoiczka, który szczelnie zamknąłem, i odsunąłem się od ściany. Debora przyglądała mi się, jakby szukała czułego punktu, w który przywalić, ale pod moim spojrzeniem jej twarz nieco złagodniała.

- Jak się miewa moja bratanica? - spytała i okropna czerwona plama zmieniła się w piękne, łagodnie różowe tło.

- Jest nadzwyczajna - odparłem. - Ze wszystkimi palcami na miejscu i w ogóle śliczna.

Coś przemknęło po twarzy mojej siostry, coś nieco bardziej ponurego od myśli o nadzwyczajnej bratanicy. Zanim jednak zdążyłem określić, co to było, zwykła służbowa rybia mina Debory wróciła na swoje miejsce.

- To świetnie - powiedziała i wskazała głową próbkę w mojej dłoni. - Zbadaj to i nie zatrzymuj się po drodze na lunch - ostrzegła.

Zamknąłem zestaw do badania śladów i przeszedłem za nią z sypialni do salonu. W głębi stał kapitan Matthews, który jak zwykle ulokował się w takim miejscu, by wszyscy widzieli, że jest obecny i niezłomnie walczy o sprawiedliwość.

- Cholera - mruknęła Debora, ale zacisnęła zęby i podeszła do niego. Może po to, by dopilnować, żeby nie zdeptał jakiegoś podejrzanego. Chętnie bym popatrzył, ale cóż, grały surmy bojowe, więc ruszyłem do drzwi i na mojej drodze wyrosła agentka specjalna Recht.

- Panie Morgan. - Przekrzywiła głowę na bok i uniosła brwi, jakby niepewna, czy zwracać się do mnie po nazwisku, czy bardziej poufale, na przykład per „winny”.

- Agentka specjalna Recht - odparłem, dość uprzejmie, ze względu na okoliczności. - Co panią tu sprowadza?

- Sierżant Morgan to pańska siostra? - rzuciła, ignorując moje pytanie.

- W rzeczy samej - potwierdziłem.

Agentka specjalna Recht spojrzała na mnie, a potem w drugi koniec pokoju, gdzie Debora rozmawiała z kapitanem.

- Niezła rodzinka - powiedziała i wyminęła mnie, żeby dołączyć do swojego wzorcowego partnera.

Przyszło mi do głowy kilka celnych ripost, ale że stała w łańcuchu pokarmowym parę pozycji wyżej ode mnie, zawołałem tylko: „Życzę miłego dnia!” do jej pleców i poszedłem do samochodu.

3

Badanie, które musiałem przeprowadzić, aby stwierdzić, czy to ludzka krew, było łatwe i szybkie, więc wbrew zakazowi Debory zatrzymałem się na lunch. Wziąłem tylko kanapkę na wynos, a że w szpitalu omal nie zagłodziłem się na śmierć i uciekłem od Lily Anne do pracy w wolny dzień, uznałem, iż jedna mała kubańska kanapka to nic wielkiego. Do tego stopnia, że zjadłem ją w samochodzie jeszcze przed zjazdem z autostrady numer 95, ale przynajmniej dotarłem do mojego małego laboratorium w znacznie lepszym nastroju.

Vince Masuoka właśnie oglądał coś pod mikroskopem. Kiedy wszedłem, podniósł na mnie wzrok i kilka razy zamrugał.

- Dexter - powiedział. - Z dzieckiem wszystko w porządku?

- Lepiej być nie może - odparłem połączeniem prawdy i poezji, które zadowoliło mnie bardziej, niż powinno.

Vince wyraźnie się ze mną nie zgadzał; świadczyła o tym jego marsowa mina.

- Miało cię nie być - zauważył.

- Owszem, ale poproszono mnie, abym zaszczyił was moim towarzystwem - wyjaśniłem.

Znowu zamrugał.

- Siostra, co? - Pokręcił głową i pochyliwszy się nad mikroskopem, dodał: - Jest świeża kawa.

Kawa może i była świeżo zaparzona, ale chyba z fusów, które kilka lat moczyły się w kadzi pełnej trujących chemikaliów, bo zupełnie nie nadawała się do picia. No cóż, życie nieustannie poddaje nas próbom, z których tylko silni wychodzą zwycięsko, więc badając próbkę krwi, sączyłem to ohydztwo. Mieliśmy w laboratorium kilka fiolek surowicy odpornościowej, wystarczyło zatem przelać moją próbkę do jednej z nich i zabełtać. Właśnie kończyłem, kiedy zadzwoniła moja komórka. Przez krótką piękną chwilę myślałem, że to Lily Anne, ale szybko powróciła szpetna rzeczywistość w postaci mojej siostry

Debory. Nie, żeby Deb była szpetna, potrafi za to być nad wyraz wymagająca.

- Co masz? - spytała bez wstępów.

- Niewykluczone, że dyzenterię po kawie - odparłem.

- Nie bądź dupkiem - odburknęła. - Wystarczy, że muszę się użerać z palantami z FBI.

- Chyba będziesz musiała jeszcze się z nimi poużerać - powiedziałem, patrząc na próbkę. Między surowicą a próbką z miejsca zbrodni wytrąciła się cienka warstwa osadu. - Wygląda na to, że to krew ludzka.

Debora milczała chwilę.

- Szlag by to trafił - mruknęła wreszcie. - Jesteś pewien?

- Karty nie kłamią - odparłem z moim najlepszym cygańskim akcentem.

- Muszę wiedzieć, czyja to krew - stwierdziła.

- Człowiek, którego szukasz, to chudy, kulawy mężczyzna z wąsami. Leworęczny, nosi czarne buty ze spiczastymi noskami - powiedziałem.

Znów na chwilę zamilkła, po czym rzuciła:

- Wal się. Ja potrzebuję pomocy, nie pieprzenia w bambus.

- Z jedną próbką krwi wiele nie zdziałam.

- Możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy to krew Samantha Aldovar?

- Mogę ustalić grupę krwi - odparłem. - Ty spytaj rodziców Samantha, jaką miała ona.

- Dobra - warknęła i się rozłączyła.

Zauważyliście kiedyś, jak trudno dojść do ładu z tym światem?

Jeśli człowiek nie zna się na swojej robocie, inni źle go traktują i w końcu ląduje na bezrobociu. Jeżeli z kolei jest choć odrobinę bardziej kompetentny, niż przewiduje norma, wszyscy oczekują od niego cudów, za każdym razem. Krótko mówiąc - i tak źle, i tak niedobrze. A gdy człowiek ośmieli się o tym wspomnieć, bez względu na to, jak twórczo sformułuje swoją pretensję, zostaje okrzyknięty marudą i odtrącony.

Prawdę mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby Debora mnie odtrąciła. Wróciłbym do szpitala podziwiać Lily Anne i jej postępy w sprawności ruchowej. Nie mogłem jednak ryzykować, że zostanę

odtrącony na stałe, nie w tej sytuacji gospodarczej, zwłaszcza że miałem na utrzymaniu powiększającą się rodzinę. Dlatego też, z cierpiętniczym westchnieniem, zgarbiłem obolałe plecy i wziąłem się do pracy.

Późnym popołudniem zadzwoniłem do Debory, żeby podać jej wynik.

- Grupa zero - powiedziałem.

Nie oczekiwałem wylewnych podziękowań i się nie zawiodłem.

Burknęła tylko coś pod nosem, po czym rzuciła:

- Bierz dupę w troki i przyjeżdżaj.

Wsadziłem dupę do samochodu i zawiozłem do domu Aldovarów w Coconut Grave. Kiedy dotarła do celu, impreza wciąż trwała, a miejsce parkingowe obok bambusa na sterydach przepadło. Krążąc po okolicy, zastanawiałem się, czy Lily Anne za mną tęskni. Chciałem być przy niej, nie tutaj, w ponurym, śmiertelnie groźnym świecie rozbryzgów krwi i humorów Debory. Najchętniej wpadłbym tam na chwilę, powiedział Deb, że muszę lecieć, i wrócił do szpitala - gdybym wreszcie mógł gdzieś zaparkować.

Zrobiłem następne kółko i znalazłem wolne miejsce dwa razy dalej niż poprzednio, obok dużego kontenera na śmieci przed jakimś pustym domem. Takie kontenery stały się ostatnio modną ozdobą trawników południowej Florydy. Wyrastają w całym mieście jak grzyby po deszczu. Kiedy bank zajmuje nieruchomość - co zdarza się w naszych trudnych czasach dość często - przyjeżdża ekipa z kontenerem i ładuje do niego wszystko, co znajduje się w domu; wygląda to prawie tak, jakby przechylili dom na bok i wysypali zawartość. Dotychczasowi lokatorzy znajdują sobie jakiś przytulny most, pod którym mogą zamieszkać, bank sprzedaje nieruchomość za dziesięć procent jej wartości i wszyscy są zadowoleni - zwłaszcza firma wynajmująca kontenery.

Opuściłem urokliwe miejsce parkingowe z widokiem na kontener i rozpocząłem długą wędrówkę do domu Aldovarów. Było nawet lepiej, niż mogłem się spodziewać. Temperatura znośna jak na Miami, zaledwie dwadzieścia kilka stopni, a wilgotność nie wyższa niż w saunie, kiedy więc przedarłem się przez tłum reporterów przed domem, na mojej koszuli zostało jeszcze kilka suchych miejsc.

Debora znowu stała w grupce ludzi, którzy wyglądali, jakby szykowali się do rozpoczęcia pojedynków zapaśniczych. Nie ulegało

wątpliwości, że główną atrakcją wieczoru będzie starcie Deb z agentką specjalną Recht; stały już nos w nos i prowadziły nader ożywioną wymianę zdań. Ich partnerzy - odpowiednio: Deke i Wzorcowy Federalny - trzymali się z boku jak na dobrych sekundantów przystało, a miejsce po drugiej stronie Debory zajmowała tęga zapłakana kobiecina pod pięćdziesiątkę, która wyraźnie nie mogła się zdecydować, co zrobić z rękami. Podniosła obie, opuściła lewą, objęła się nią w pół i znów uniosła, dzięki czemu zobaczyłem, że trzyma kartkę papieru. Zamachała nią, po czym ponownie opuściła obie ręce, a wszystko to w ciągu zaledwie trzech sekund, bo tyle zajęło mi podejście do wesołej grupki w głębi salonu.

- Nie chcę marnować czasu, Recht - warczała moja siostra - dlatego wytłumaczę ci to jak chłop krowie na miedzy: skoro jest tyle krwi, mamy tu co najmniej napad i próbę zabójstwa. - Zerknęła na mnie i znowu spojrzała na agentkę. - Tak twierdzi mój ekspert i tak mówi mi doświadczenie.

- Ekspert - powtórzyła Recht z przeuroczą, opłacaną przez państwo ironią w głosie. - To znaczy twój brat? On jest tym twoim ekspertem? - Słowo „brat” zabrzmiało w jej ustach jak określenie czegoś, co żywi się odpadkami i mieszka pod kamieniem.

- Masz lepszego? - rzuciła Deb z autentyczną pasją i bardzo mi pochlebiło, że tak się za mną wstawia.

- Nie jest mi potrzebny, bo mam zaginioną nastolatkę - odparowała Recht równie bojowym tonem - więc na tę chwilę to tylko porwanie.

- Przepraszam - wtrąciła się kobieta machająca kartką.

- Gównno prawda. - Debora nie zwróciła na nią uwagi. - Nie masz nic oprócz pokoju pełnego krwi, a to nie żadne porwanie.

- Właśnie że tak, jeśli to jej krew - upierała się Recht.

- Przepraszam... jeśli można... proszę pani? - Kobieta nie przestawała wymachiwać kartką papieru.

Debora jeszcze chwilę wpijała się oczami w Recht, po czym odwróciła się do kobiety.

- Tak, pani Aldovar - powiedziała. Spojrzałem na kobietę i pomyślałem, że jeśli jest matką zaginionej dziewczyny, to tłumaczy dziwaczne ruchy jej rąk.

- To może... bo ja... bo właśnie to znalazłam. - Obie ręce pani Aldovar powędrowały do góry, a po chwili prawa opadła i w powietrzu została tylko lewa, trzymająca kartkę.

- Co pani znalazła? - spytała Debora, znów wpatrzona w Recht, jakby agentka miała lada moment rzucić się po kartkę.

- To jest... kazała pani poszukać... no... wyników jakichś badań - wyjąkała pani Aldovar. - Znalazłam je. Z grupą krwi Samantha.

W zachwycającym manewrze godnym rasowego koszykarza Debora wsunęła się między kobietę a federalnych i osłoniwszy ciałem kartkę przed Recht, delikatnie wyjęła ją z dłoni pani Aldovar.

- Dziękuję - powiedziała i przesunęła palcem w dół strony. Po zaledwie kilku sekundach podniosła głowę i przeszła mnie wzrokiem. - Mówiłeś, że to krew grupy zero.

- Zgadza się - odparłem.

Trąciła kartkę czubkiem palca.

- Tu jest napisane AB plus.

- Pokaż! - Recht rzuciła się po kartkę, ale nie dała rady Deborze, która wciąż osłaniała się jak koszykarz NBA.

- Co jest, Dexter? - spytała Deb z wyrzutem, jakby to przeze mnie grupa krwi się nie zgadzała.

- Przepraszam - bąknąłem, bo chociaż nie wiedziałem za co, z jej tonu jasno wynikało, że muszę to zrobić.

- Ta dziewczyna, Samantha, ma krew AB plus - ciągnęła moja siostra. - Kto ma grupę krwi zero?

- Wielu ludzi - zapewniłem. - Jest bardzo pospolita.

- Czy to znaczy, że... - zaczęła pani Aldovar, ale Debora nie pozwoliła jej dokończyć.

- Nic mi to nie daje - oznajmiła. - Skoro ta krew na ścianie nie jest jej, to czyja? Kto chłapie cudzą krwią po ścianie? I po co?

- Porywacz - stwierdziła agentka specjalna Recht. - Żeby zatrzeć po sobie ślady.

Debora odwróciła się do niej z miną, na którą naprawdę przyjemnie było popatrzeć. Kilka nieznaczących ruchów mięśni twarzy i uniesiona brew wystarczyły, by wyrazić wątpliwość: jak to możliwe, że ktoś tak durny umie zawiązać sznurówki i chodzić pośród nas?

- Powiedz mi - wycedziła, obrzucając Recht pogardliwym spojrzeniem - czy „agentka specjalna” to znaczy „agentka specjalnej troski”?

Nowy partner Debory, Deke, zarechotał, a Recht aż zaczerwieniła się ze złości.

- Pokaż mi ten papier - warknęła.

- Chyba byłeś na studiach, co? - ciągnęła Debora swobodnym tonem. - I w tej elitarnej szkole FBI w Quantico?

- Funkcjonariuszko Morgan! - Recht próbowała przywołać ją do porządku, ale Deb tylko machnęła kartką.

- Sierżant Morgan - uściśliła. - I zabieraj swoich ludzi z mojego miejsca zbrodni.

- Porwanie podlega mojej kompetencji... - zaczęła Recht, lecz Debora, która dopiero się rozkręcała, przerwała jej bez najmniejszego wysiłku.

- Sugerujesz, że porywacz, który wylał na ścianę tyle własnej krwi, miał jeszcze dość siły, aby wywlec z pokoju opierającą się nastolatkę? - prychnęła. - A może przyniósł krew w słoiku po majonezie i powiedział: „Chlust, idziesz ze mną”? - Pokręciła głową, dodając do tego złośliwy uśmieszek. - Mnie, agentko specjalna, żadna z tych wersji jakoś nie pasuje - zawiesiła głos, ale Recht, wyraźnie zbita z tropu, nie śmiała się odezwać. - Moim zdaniem - podjęła Debora - daliśmy się nabrać dziewczynie, która upozorowała własne porwanie. A jeśli masz dowody, że było inaczej, to je pokaż.

- Pokaż je - powtórzył Deke i zarżał głupkowato, choć tylko ja jeden to zauważyłem.

- Dobrze wiesz... - zaczęła Recht, lecz znów jej przerwano. Tym razem zrobił to Deke.

- Hej! - zawołał, a gdy wszyscy spojrzeliśmy na niego, wskazał ruchem głowy podłogę i oznajmił: - Ta pani zemdlała.

Teraz wszyscy spojrzeli we wskazane przez niego miejsce.

Miał rację. Pani Aldovar leżała nieprzytomna na podłodze.

4

Przez długą chwilę staliśmy nieruchomo, niczym żywy obraz niezdecydowania. Deb i Recht patrzyły na siebie wrogo, Deke ciężko oddychał przez usta, a ja zastanawiałem się, czy udzielanie pomocy zemdlonej kobiecie wchodzi w zakres moich obowiązków jako specjalisty od badania śladów krwi. Potem zaskrzypiały otwierane drzwi i usłyszałem odgłosy lekkiego zamieszania.

- Cholera! - zawołał męski głos, głośno i wyraźnie. - Cholera! Cholera! Cholera!

Trudno było nie zgodzić się z tak wyrażoną ogólną oceną sytuacji, lecz mimo to obejrzałem się, by poznać szczegóły. Zmierzał ku nam mężczyzna w średnim wieku. Wysoki, o miłej twarzy okolonej krótko ostrzyżonymi siwymi włosami i równie siwą brodą. Przyklęknął przy pani Aldovar i wziął ją za rękę.

- Emily? Kochanie? - mówił, klepiąc jej dłoń. - No, Em, obudź się.

W ciągu minionych lat pracowałem z wieloma pierwszorzędnymi śledczymi i jak widać czegoś się od nich nauczyłem, bo od razu wydedukowałem, że to ani chybi pan Aldovar. Moja siostra, również nie w ciemną bitą, doszła do tego samego zdumiewającego wniosku. Jakoś zdołała oderwać wzrok od Recht i spojrzeć na mężczyznę klęczącego na podłodze.

- Pan Aldovar? - spytała.

- No, kochanie - powiedział brodacz, mam nadzieję, że nie do Debory. - Tak, jestem Michael Aldovar.

Pani Aldovar otworzyła oczy i potoczyła nimi z boku na bok.

- Michael? - wymamrotała.

Debora uklęknęła obok nich, najwyraźniej uznając, że przytomni rodzice są ciekawszy od nieprzytomnych.

- Sierżant Morgan - przedstawiła się. - Prowadzę śledztwo w sprawie zniknięcia państwa córki.

- Nie mam pieniędzy - oznajmił pan Aldovar, ku wyraźnemu zaskoczeniu Debory. - To znaczy, jeśli przyszło żądanie okupu albo... Samantha wie, że nie może liczyć na... Był jakiś telefon?

Deb pokręciła głową, jakby otrząsała się z wody, i spytała:

- Mogę wiedzieć, gdzie pan był?

- Na konferencji w Raleigh - odparł. - Dotyczącej statystyki medycznej. Ale musiałem... gdy zadzwoniła Emily i powiedziała, że porwali Samanthę...

Debora zerknęła przelotnie na Recht i zwróciła się do Aldovara.

- To nie było porwanie - oświadczyła.

Przez chwilę trwał w całkowitym bezruchu, wciąż trzymając żonę za rękę.

Wreszcie podniósł wzrok na Deborahę i wykrztusił:

- Jak to?

- Chciałabym prosić pana na słowo - odparła wymijająco. Aldovar spojrzał na żonę.

- Może posadzimy ją na krzesło czy coś - powiedział. - Jeśli nic jej nie jest...

- Czuję się dobrze - zapewniła Emily. - Ja tylko...

- Dexter - Deb skinęła na mnie - przynieś sole trzeźwiące czy coś w tym rodzaju. I pomóżcie z Dekiem jej wstać.

To miło, gdy człowiek poznaje odpowiedź na nurtujące go pytanie. Najwyraźniej cucenie kobiet mdlejących na miejscu zbrodni jednak wchodzi w zakres moich obowiązków.

Kucnąłem przy pani Aldovar, a Debora wzięła pana Aldovara na stronę. Deke spojrzał na mnie z niepokojem. Wyglądał jak pies, który czeka, aż ktoś rzuci kij i każe mu aportować.

- Masz to coś do otrzeźwiania? - spytał.

Jak widać, on też uznał, że Dexter to Wieczny Strażnik Soli Trzeźwiących. Ciekawe, skąd się wzięło to zdumiewające przekonanie, bo prawda była taka, że owych soli nie miałem.

Na szczęście pani Aldovar nie zamierzała czegokolwiek wachać. Chwyliła za rękę najpierw mnie, potem Deke'a, mruknęła: „Pomóżcie, proszę”, i we dwóch dźwignęliśmy ją na nogi. Rozejrzałem się za jakąś niezabałaganioną przez policję powierzchnią, na której moglibyśmy ją umieścić, i wypatrzyłem stół z krzesłami w sąsiednim pokoju.

Pani Aldovar poradziła sobie bez naszej pomocy. Usiadła na krześle, jakby robiła to już setki razy.

Odwróciłem się i zerknąłem do salonu, z którego wyszliśmy. Agentka specjalna Recht i jej wzorcowy towarzysz przesuwali się ukradkiem w stronę drzwi, a Debora całkiem ich ignorowała, zajęta rozmową z panem Aldovarem. Angel Batista-Bez-Skojarzeń stał na tarasie za rozsuwanymi szklanymi drzwiami i szukał odcisków palców na szybie. Wiedziałem, że w sypialni w głębi korytarza wciąż jest wielka plama krwi, wzywająca Dextera. To był mój świat, świat przemocy, makabry i chaosu. Tu spędziłem całe moje życie, osobiste i zawodowe.

Ale dziś ten świat stracił cały urok, którym czarował mnie od tylu lat. Nie chciałem oglądać resztek po cudzych igraszkach i - co ważniejsze - nie miałem ochoty na beztroskie harce. Wolałem oglądać co innego. Zajrzałem na stare śmieci wbrew własnej woli, z poczucia obowiązku wobec siostry, a teraz chciałem już wrócić do mojego nowego świata, gdzie wszystko było jasne i piękne: do Krainy Lily Anne.

Debora zerknęła na mnie niewidzącym wzrokiem i spojrzała na pana Aldovara. Byłem dla niej tylko elementem scenerii, częścią typowego obrazu miejsca zbrodni, tłem. Dość tego. Pora wyjść, wrócić do Lily Anne i Krainy Cudowności.

I tak oto, bez krępujących pożegnań, wyśliznąłem się za drzwi i ruszyłem do mojego samochodu, wciąż przytulonego do kontenera na śmieci. Jechałem do szpitala w porze preludium do wieczornego szczytu, owym magicznym czasie, kiedy każdy użytkownik drogi uważa, że wszystkie pasy należą do niego, bo przecież wyszedł wcześniej z pracy. W poprzednim wcieleniu widok tak szeroko rozpowszechnionej pogardy dla ludzkiego życia zachwycał mnie, dziś jednak nie robił na mnie wrażenia, a jeśli już, to negatywne. Ci ludzie zagrażali innym, a na to nie może być zgody w świecie, w którym wkrótce będę woził Lily Anne na lekcje baletu. Jechałem ostrożnie, przekraczając dozwoloną prędkość tylko o piętnaście kilometrów na godzinę, ku irytacji większości pozostałych kierowców. Śmigali obok mnie z obu stron, trąbili i pokazywali środkowy palec, ale ja twardo trzymałem się bezpiecznego, zdrowego kursu i wkrótce dotarłem do szpitala nawet bez konieczności wdawania się w wymianę ognia.

Kiedy wysiadłem z windy na piętrze, na którym była porodówka, przystanąłem na chwilę, bo doleciało mnie słabe echo szeptu z głębi Mrocznego Lochu Dextera. W tym właśnie miejscu ostatnio prawie zauważyłem kogoś, kto prawdopodobnie z jakiegoś powodu mnie obserwował. Ta myśl była jednak sformułowana tak niedorzecznie, że mogłem tylko pokręcić głową i pocmokać na Pasażera z dezaprobatą. „Prawie kogoś zauważyłem”, też coś. Ruszyłem dalej i skręciłem za róg.

Moi nowi znajomi sprzed okna zniknęli, zastąpieni przez następną grupę, za szybą nie widać było też Lily Anne. Miałem chwilę obezwładniającego zaćmienia umysłowego: gdzie ona jest?! – zaraz jednak rozum wrócił. No tak, przecież minęło kilka godzin. Nie zostawiliby jej tutaj tak długo. Lily Anne na pewno jest u mamy, karmiona mlekiem i miłością. Poczuję lekki przyptyw zazdrości. Ritę połączy z dzieckiem ta jakże ważna intymna więź dla mnie niedostępna – dająca jej przewagę już na starcie rywalizacji o względy Lily Anne.

Jednak szczęśliwie dla wszystkich usłyszałem głęboko w sobie cichy, drwiący chichot i musiałem się z nim zgodzić. Daj spokój, Dexter: skoro nagle postanowiłeś żywić uczucia, czy rzeczywiście powinieneś zaczynać od zazdrości o piersi? Ty masz do odegrania równie ważną rolę: być pewnym, kochającym przewodnikiem Lily Anne po ciernistej drodze życia. Któż nadawał się do tego lepiej ode mnie, który kroczyłem tą samą krętą drogą, ciesząc się każdym napotkanym cierniem, a teraz nade wszystko pragnąłem pomóc Lily Anne przedrzeć się przez chaszczę bez szwanku? Innymi słowy, czy można sobie wyobrazić lepszego kandydata na przewodnika niż Już-Nieporąbany Papcio Dexter?

To wszystko było takie zgrabne, takie logiczne. Żyłem w grzechu, by wiedzieć, jak poprowadzić Lily Anne ku światłu. Wszystko wreszcie stało się jasne, a chociaż gorzkie doświadczenie nauczyło mnie, że jeśli wszystko wydaje się jasne, oznacza to, że człowiek coś przeoczył, poczułem się wielce podbudowany tą myślą. Istniał Plan, Wyższy Cel i Dexter wreszcie go poznał i znalazł swoje miejsce na planszy. Wiedziałem, dlaczego jestem tutaj: żeby być nie postrachem nikczemnych, lecz pasterzem niewinnych.

Oświecony i podniesiony na duchu, pomaszerowałem dziarskim krokiem na drugi koniec korytarza. Sala Rity była na swoim miejscu.

Co jeszcze wspanialsze, w środku zastałem Lily Anne, smacznie śpiącą u matczynej piersi. Na stoliku przy łóżku stał wielki bukiet róż i wszystko na tym świecie było takie, jakie być powinno.

Rita otworzyła oczy i spojrzała na mnie ze zmęczonym uśmiechem.

- Dexter - powiedziała - gdzie byłeś?

- Wynikła pilna sprawa w pracy - wyjaśniłem.

- W pracy. - Rita pokręciła głową. - Dexter, ja... to twoje nowo narodzone dziecko. - Jak na zawołanie, Lily Anne poruszyła się lekko i spała dalej. Nawiasem mówiąc, świetnie jej to wyszło.

- Tak, wiem - odparłem uspokajająco.

- To nie... Jak mogłeś ot tak po prostu iść do pracy? - powiedziała, wyraźnie oburzona; takiej jeszcze jej nie widziałem. - Kiedy twoje nowo narodzone dziecko jest... Do pracy? W takiej chwili?

- Przepraszam - kajałem się. - Byłem potrzebny Deborze.

- Mnie też - odparowała.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam - powiedziałem, o dziwo, szczerze. - To dla mnie całkiem nowa sytuacja. - Spojrzała na mnie i znów pokręciła głową. - Poprawię się - dodałem z nadzieją.

Rita westchnęła i zamknęła oczy.

- Przynajmniej przysłałeś ładne kwiaty - rzekła cicho i na mrocznym tylnym siedzeniu piekielnego pojazdu Dextera zadźwięczał cichy dzwonek.

Oczywiście żadnych kwiatów nie wysyłałem. Mam za małe doświadczenie w codziennej obłudzie życia małżeńskiego, by wymyślić tak sprytny fortel - nie zdawałem sobie nawet sprawy, że źle zrobiłem, stawiając się na pilne wezwanie w pracy, a co dopiero, że wypada za to przeprosić kwiatami. Rzecz jasna, Rita ma wielu znajomych, którzy mogli je przysłać, ja też znam parę osób, które teoretycznie są moimi przyjaciółmi - nawet Deborę mógł dopaść chwilowy atak wrażliwości, jakkolwiek nieprawdopodobne się to wydawało. Tak czy owak, nie było absolutnie żadnego powodu, dla którego kilka róż miałoby uruchomić jakikolwiek alarm.

A jednak uruchomiły. Uruchomiły miarowe, irytujące dzyń-dzyń-dzyń, które ponad wszelką wątpliwość oznaczało, że nie wszystko jest tak, jak być powinno. Dlatego przechyliłem się w bok i udając, że wacham róże, próbowałem przeczytać dołączony do nich liścik.

Nie było to nic nadzwyczajnego, zwykły kartonik z nadrukiem „Gratulacje!” i odręcznym podpisem „Wielbiciel” skreślonym niebieskim długopisem.

Z tego samego miejsca, w którym rozbrzmiał cichy alarm, dobiegł przytłumiony złośliwy chichot. Mroczny Pasażer miał ubaw, i nic dziwnego. Do Dextera pasuje wiele określeń, ale „godzien uwielbienia” nie łapie się nawet do drugiej dziesiątki. Z tego, co wiem, nie mam żadnych wielbicieli. Każdy, kto poznał mnie na tyle dobrze, by nabrać dla mnie podziwu, był już martwy, pokrojony i uprzątnięty. Któż więc miałby się tak podpisać? Przyjaciel czy krewny podpisałby się imieniem, aby mieć pewność, że zasługa nie zostanie przypisana komuś innemu. Ba, każdy zwyczajny człowiek już zadzwoniłby, żeby spytać: „Dostałaś kwiaty, które ci wysłałem? Wiesz, po prostu chciałem się upewnić, że dotarły”.

Takiego telefonu, rzecz jasna, być nie mogło, skoro Rita uznała, że róże są ode mnie. Ale, co równie oczywiste, tak błaha zagadka nie mogła oznaczać niczego szczególnie groźnego.

Dlaczego więc czułem, że po karku wędrują mi małe, lodowato zimne stopy? Dlaczego byłem pewien, że jakieś ukryte niebezpieczeństwo grozi mnie i tym samym Lily Anne? Próbowałem myśleć logicznie, co kiedyś wychodziło mi doskonale. No tak, uznałem, nie chodzi tylko o te anonimowe kwiaty – był jeszcze ten alarm, kiedy kogoś prawie zauważyłem. Gdy już pozbierałem wszystko do kupy, uświadomiłem sobie, co tak naprawdę mam: bardzo możliwe coś może być rzeczywistym zagrożeniem albo i nie. Lub coś w tym stylu.

Kiedy ująłem to w tak klarowny, logiczny sposób, zrozumiałem, dlaczego czuje się nieswojo. Przy Lily Anne kręcił się idiota.

Ja.

5

Przez następną godzinę siedziałem z Ritą i patrzyłem, jak Lily Anne śpi, kwęka i je. Obiektywnie rzecz biorąc, wiele się nie działo, ale było to znacznie przyjemniejsze i ciekawsze, niż mogłem przypuszczać. To zapewne czysty egocentryzm tak się fascynować własnym dzieckiem – cudze jakoś nigdy mnie nie zachwyciły – ale jakkolwiek to o mnie świadczy, tak było i to mi się podobało. Rita obudziła się na chwilę, kiedy Lily Anne poruszyła się i zaczęła wierzgać, i znów zapadła w drzemkę. Po kilku minutach otworzyła oczy, spojrzała na zegar nad drzwiami i zmarszczyła brwi.

- Dzieci – powiedziała.

- Tak – odparłem i patrzyłem, jak Lily Anne w reakcji na głos Rity otwiera i zaciska małą piąstkę.

- Dexter, musisz pojechać odebrać Cody'ego i Astor z zajęć pozaszkolnych.

Zamrugalem. Rzeczywiście: zajęcia kończyły się o szóstej, a kwadrans po prowadzące je dziewczyny zaczynały się robić strasznie marudne. Dochodziła szósta dziesiąta. Powinienem zdążyć.

- Dobrze. – Wstałem, z żalem przerywając obserwację mojego nadzwyczajnego dziecka.

- Przywieź ich tutaj – poprosiła Rita i się uśmiechnęła. – Muszą poznać swoją nową siostrzyczkę.

Idąc do windy, miałem przed oczami piękną scenę: Cody i Astor cicho przekraczają próg sali i z twarzyczkami jaśniejącymi miłością i z podziwem po raz pierwszy patrzą na mały cud, jakim jest Lily Anne. Ten obraz, krystalicznie czysty w mojej wyobraźni, łączył geniusz Leonarda da Vinci i Normana Rockwella, więc uśmiechnąłem się mimo woli. A był to uśmiech autentyczny – nieudawany, spontaniczny wyraz ludzkiego uczucia. Cody i Astor wkrótce mieć będą uśmiechać się tak samo, patrząc na swoją nową siostrzyczkę, i tak jak ja rozumieją, że nie muszą już kroczyć Drogą Mroku.

Bo Cody i Astor też byli skazani na życie w cieniu, wrzuceni w ciemność przez brutalnie znęcającego się nad nimi biologicznego ojca. Ja zaś, powodowany grzeszną pychą, obiecałem wprowadzić ich małe nóżki na Drogę Harry'ego i od tego czasu wpajam im, jak być bezpiecznym i przestrzegającym kodeksu drapieżką. Ale teraz, kiedy pojawiła się Lily Anne, to się na pewno zmieni. Oni też zauważą, że wszystko stało się inne, lepsze. Już nie trzeba skradać się i zarzynać. Zresztą jak mógłbym w tym nowym wspaniałym świecie choćby pomyśleć o tym, żeby rzucić ich w przerażającą otchłań śmierci i rozkoszy?

Teraz, gdy wszystko jest nowe, skieruję ich ku światłu, wprowadzę na drogę Porządnego Życia i wyrosną na prawe istoty ludzkie, a przynajmniej ich najlepsze możliwe imitacje. Ludzie się zmieniają - czy ja sam nie zmieniam się w oczach? Zdarzyły mi się już jedno uczucie i autentyczny uśmiech; wszystko jest możliwe. I tak oto, z przyływem autentycznej ludzkiej wiary, że wkrótce życie będzie usłane różami, pojechałem do parku nieopodal naszego domu, gdzie odbywały się zajęcia pozaszkolne. Mordercze godziny szczytu trwały w najlepsze i ulicami przelewała się nieprzerwana rzeka samochodów, mnie zaś przy tej okazji nasunęła się całkiem nowa refleksja na temat zachowania kierowców z Miami. Nie są wściekli, tylko po prostu niecierpliwi. Na każdego z nich czeka w domu ktoś, kogo nie widzieli przez cały męczący dzień pracy. Nic dziwnego, że się denerwują, kiedy inni stają im na drodze. Każdy ma własną Lily Anne, do której chce wrócić, więc pośpiech w tych okolicznościach był zrozumiały.

Aż w głowie mi się zakręciło na tę myśl. Po raz pierwszy poczułem, że ci ludzie są mi autentycznie bliscy, że tworzymy jeden wielki ocean ludzkości połączonej wspólnym celem. Złapałem się na tym, że nucę wesołą melodyjkę i wielkodusznie kiwam głową w stronę każdego pokazywanego mi środkowego palca.

Przyjechałem do parku z zaledwie kilkuminutowym spóźnieniem i stojąca przy drzwiach młoda kobieta obdarzyła mnie pełnym ulgi uśmiechem.

- Panie... ee... Morgan - powiedziała, szukając kluczy w torebce. - Jak się miewa... ee...?

- Lily Anne miewa się doskonale - odparłem. - Lada dzień przyjdzie do pani na rysunki.

- A pani... ee... Morgan? - spytała.

- Odpoczywa. - Chyba wybrałem odpowiedni banał, bo skinęła głową, znów się uśmiechnęła i włożyła klucz do zamka.

- No dobrze, dzieci - rzuciła do Cody'ego i Astora. - Do zobaczenia jutro. Pa! - I czmychnęła do swojego samochodu stojącego w głębi parkingu.

- Głodna jestem - oświadczyła Astor, kiedy podeszliśmy do naszego auta. - Kiedy kolacja?

- Pizza - powiedział Cody.

- Najpierw jedziemy do szpitala - oznajmiłem. - Poznacie swoją nową siostrzyczkę.

Astor spojrziała na Cody'ego, on na nią, po czym oboje popatrzyli na mnie.

- Dziecko - mruknął Cody, kręcąc głową. Nigdy nie mówił więcej niż dwóch, trzech słów za jednym podejściem, ale zadziwiał elokwencją.

- Najpierw chcemy zjeść - oświadczyła Astor.

- Lily Anne na was czeka - stwierdziłem. - Wasza matka też. Wsiadajcie.

- Kiedy jesteśmy głodni - zaprotestowała Astor.

- Nie uważacie, że ważniejsze jest, byście poznali nową siostrzyczkę? - spytałem.

- Nie - odparł Cody.

- Dziecko nie ucieknie, a poza tym przecież nic nie robi, tylko leży. No, może jeszcze wali w pieluchy - zauważyła Astor. - A myśmy kilka godzin siedzieli w tym durnym budynku i jesteśmy głodni.

- Możemy kupić batony w szpitalu - zaproponowałem.

- Batony?! - wykrzyknęła Astor takim tonem, jakbym proponował jej zjedzenie padliny.

- Chcemy pizzę - powiedział Cody.

Westchnąłem. Najwyraźniej błogostan nie jest zaraźliwy.

- Wsiadajcie i już - rzekłem stanowczo.

Spojrzeli po sobie i łypnęli na mnie spode łba, ale wykonali polecenie.

Powrót do szpitala teoretycznie powinien trwać mniej więcej tyle samo, ile jazda ze szpitala do parku. Wydawał się jednak dwa razy dłuższy, bo Cody i Astor przez całą drogę posepnie milczeli - tylko gdy

mijaliśmy jakąś pizzerię, albo Astor wołała: „O, Papa John’s!”, albo Cody mówił cicho: „Domino’s”. Jeżdżę tymi ulicami całe życie, ale dotąd nie zdawałem sobie sprawy, w jak wielkim stopniu cywilizacja Miami pizzą stoi. Miasto jest dosłownie usiane pizzeriami.

Słaby człowiek niechybnie zmiękłby i zatrzymał się w jednej z nich, zwłaszcza że zapach gorącej pizzy jakimś cudem docierał do samochodu mimo włączonej klimatyzacji, a ja też nie jadłem od dobrych kilku godzin. Ślina zaczęła napływać mi do ust i ilekroć któreś z dzieci mówiło: „Pizza Hut”, ogarniała mnie pokusa, żeby zaparkować i rzucić się na dużą ze wszystkimi dodatkami. Jednak Lily Anne czekała, a ja mam silną wolę, więc zacisnąłem zęby i twardo prulem naprzód. Wkrótce byłem z powrotem na szpitalnym parkingu i usiłowałem zapędzić dwójkę opierających się dzieciaków do budynku.

W pewnym momencie Cody stanął jak wryty, rozejrzał się, jakby ktoś go zawołał, i ani myślał iść dalej, mimo że nie wszedł jeszcze na chodnik.

- Cody - ponagliłem go - rusz się, bo cię rozjadą.

Zignorował mnie; jego oczy wędrowały po rzędach zaparkowanych samochodów, by wreszcie spocząć na jednym z nich, stojącym kilkanaście metrów dalej.

- Cody - powtórzyłem i pchnąłem go delikatnie.

Lekko pokręcił głową.

- Pan z Cienia - powiedział.

Małe ostre pazurki przemknęły mi po grzbiecie i w oddali usłyszałem szum rozpościerających się błoniastych skrzydeł. Pan z Cienia to imię, jakie Cody nadał swojemu Mrocznemu Pasażerowi, którego, choć nieprzeszkolony, nie można było lekceważyć. Zatrzymałem się i spojrzałem na mały czerwony samochód, który przyciągnął jego uwagę, wypatrując czegoś, co przemówiłoby do mojego wewnętrznego stróża. Za przednią szybą rysowała się niewyraźna postać czytająca „New Timesa”, lokalny tygodnik. Ktokolwiek to był, nie wykazywał zainteresowania ani nami, ani niczym innym poza anonsowanym na okładce artykułem ujawniającym prawdę o salonach masażu w mieście.

- Ten facet nas obserwuje - zauważyła Astor.

Pomyślałem o moim wcześniejszym niepokoju i o tajemniczym bukicie. To kwiaty ostatecznie mnie przekonały; jeśli w różach nie było wolno działającej neurotoksyny, nie wisi nade mną żadne zagrożenie. Wprawdzie istniała możliwość, że człowiek w samochodzie jest takim czy innym drapieżką – wszak byliśmy w Miami – ale nie poczułem żadnego ukłucia ostrzegającego, że koncentruje się właśnie na nas.

- Ten facet czyta gazetę – odparłem. – A my stoimy na parkingu i tracimy czas. Chodźcie.

Cody popatrzył na mnie z miną wyrażającą po trosze zaskoczenie, a po trosze irytację. Pokręciłem głową i wskazałem szpital. Dzieci wymieniły jedno z tych swoich niepowtarzalnych spojrzeń, po czym podniosły wzrok na mnie. Żadne się nie odezwało, ale ich twarze mówiły, że chociaż sprawiłem im zawód, mój spadek formy wcale ich nie dziwi. Oboje obrócili się posłusznie i ruszyli w stronę wejścia do szpitala. Cody trzy razy obejrzał się na samochód, ja w końcu też, ale że nie zobaczyłem nic oprócz mężczyzny czytającego gazetę, po chwili wreszcie znaleźliśmy się w budynku.

Dexter, cokolwiek o nim mówić, dotrzymuje słowa, więc od razu zaprowadziłem Cody'ego i Astor do automatu po obiecane batony. Oni jednak patrzyli na automat jak na narzędzie tortur. Zacząłem się niecierpliwić – kolejne autentyczne uczucie, dzisiaj już drugie, i muszę przyznać, że przemiana w człowieka coraz mniej mi się podobała.

- No, szybciej – mruknąłem. – Wybierzcie coś.

- Kiedy nie chcemy – odparła Astor.

- Wolicie być głodni? – spytałem.

- Wolę pizzę – powiedział Cody.

Poczułem, że szczęka mi się zaciska, ale zachowałem spokój.

- Widzicie w tym automacie pizzę?

- Mama mówiła, że jak się je za dużo słodczy, to można zachorować na cukrzycę – stwierdziła Astor.

- A jak się je za dużo pizzy, ma się wysoki poziom cholesterolu – odparowałem przez zęby. – Za to post jest zdrowy, więc zapomnijmy o batonach i chodźmy na górę. – Wyciągnąłem do nich rękę i odwróciłem się w stronę windy.

Astor wahała się z półotwartymi ustami i staliśmy tak przez kilka długich sekund. Wreszcie Cody powiedział: „Kit kat”, i czar przysł.

Kupiłem Cody'emu kit kata, Astor wybrała three musketeers i w końcu – po przeżyciu, które wydawało się długie i bolesne jak skomplikowana operacja – wsiedliśmy do windy i pojechaliśmy na górę do Lily Anne.

Dotarliśmy do sali Rity bez jednego słowa o pizzy czy cukrzycy, co uznałem za istny cud. Przepelniony nowym ludzkim optymizmem myślałem, że uda nam się przekroczyć próg i stanąć przed obliczem Lily Anne, lecz Astor znieruchomiała tuż przed zamkniętymi drzwiami, a Cody powoli wyhamował za nią.

- A jeśli jej nie polubimy? – spytała.

Zamrugąłem; skąd im przychodzą do głowy takie rzeczy?

- Jak moglibyście jej nie polubić? – odparłem. – Jest ślicznym małym dzidziusiem. Waszą siostrzyczką.

- Przyrodnią – uściślił Cody.

- Jenny Baumgartner ma młodszą siostrę i ciągle się kłóca – powiedziała Astor.

- Ty nie będziesz się kłócić z Lily Anne – zapewniłem, przejęty zgrozą na samą myśl o takim nieszczęściu. – Przecież jest tylko małym dzieckiem.

- Nie lubię małych dzieci – oznajmiła Astor, a na jej twarzy pojawił się wyraz upor.

- Ją polubisz – uciąłem i sam byłem zaskoczony stanowczym, rozkazującym tonem mojego głosu.

Astor spojrzała na mnie, potem na brata, a ja, bezlitośnie wykorzystując ten moment zawahania, przejąłem panowanie nad sytuacją.

- Wchodźcie – powiedziałem i wepchnąłem ich do sali.

Żywy obraz praktycznie się nie zmienił, wciąż przedstawiał Madonnę z Dzieciątkiem: Lily Anne leżała na swojej matce, która obejmowała ją ramieniem. Kiedy weszliśmy, Rita otworzyła oczy i uśmiechnęła się, natomiast Lily Anne spała dalej.

- Poznajcie swoją siostrzyczkę – odezwała się Rita.

- Oboje ciągle to powtarzacie – stwierdziła Astor.

Stała w progu naburmuszona, aż wreszcie Cody precyzyjnie się obok niej i podszedł do łóżka. Z głową mniej więcej na wysokości głowy Lily Anne przyglądał się małej z wyraźnym zaciekawieniem. Astor w końcu dołączyła do niego, zainteresowana bardziej reakcją brata niż

dzieckiem. Wszyscy patrzyliśmy, jak Cody powoli wysuwa palec w stronę Lily Anne i bardzo ostrożnie dotyka jej zaciśniętej piąstki.

- Miękką - rzekł i delikatnie pogłaskał ją po dłoni. Lily Anne otworzyła piąstkę i złapała go za palec. Zaciśnęła rączkę, a Cody, dziwnie nad dziwy, uśmiechnął się. - Trzyma mnie - powiedział.

- Ja też chcę - rzuciła Astor i próbowała się dopchać do dziecka.

- Czekaj na swoją kolej - upomniał ją Cody.

Cofnęła się o pół kroku i niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, czekając, aż Cody wysunie palec z piąstki Lily Anne i ustąpi jej miejsca. Potem zrobiła to samo co on i też się uśmiechnęła, kiedy Lily Anne ścisnęła jej palec. Bawili się tak na zmianę przez następny kwadrans.

Żadne choćby słowem nie wspomniało o pizzy.

6

Z ogromną przyjemnością patrzyłem, jak między trójką dzieci – moich dzieci! – tworzy się więź. Tyle że, co może potwierdzić każde dziecko, przy dorosłych żadna fajna zabawa nie trwa długo. Rita, jako jedyna prawdziwa dorosła w sali, nie sprawiła nam zawodu. Po mniej więcej półgodzinie spojrzała na zegar.

- No dobrze – rzekła i dodała mrożące krew w żyłach słowa: - Ale jutro macie szkołę.

Cody i Astor wymienili te swoje spojrzenia, bez żadnego dźwięku, za to z dużym ładunkiem treści.

- Mamo – jęknęła Astor – bawimy się z naszą nową siostrzyczką. Jęknęła naprawdę koncertowo, ale nie z Ritą takie numery. Pokręciła głową i oznajmiła stanowczo:

- Pobawicie się z Lily Anne jutro. Teraz Dex... tatuś... musi zabrać was do domu i położyć spać.

Spojrzeli na mnie jak na zdrajcę.

- Przynajmniej zjecie pizzę – powiedziałem, wzruszając bezradnie ramionami.

Cody i Astor wyszli ze szpitala równie niechętnie, jak niechętnie do niego wchodzili, ale jakoś udało mi się zagnać ich do samochodu. Nie chcąc przeżywać takiego samego koszmaru jak poprzednio, pozwoliłem Astor złożyć zamówienie przez moją komórkę i zaledwie dziesięć minut po naszym powrocie przyjechała kolacja. Dzieciaki rzuciły się na pizzę, jakby nie jadły od miesiąca. Miałem prawdziwe szczęście, że przechwytyjąc dwa małe kawałki, nie straciłem przy tym ręki.

Po kolacji oglądaliśmy telewizję, a potem pochłonął nas znajomy rytuał mycia zębów, wkładania piżam i kładzenia się do łóżek. Trochę dziwnie się czułem, odprawiając ten obrzęd. Wprawdzie oglądałem go mnóstwo razy, ale to Rita zawsze była arcykapłanką pory spania i – wiem, to głupie – trochę się bałem, że mogę w czymś uchybić. Raz po raz wracałem myślą do tego, co Rita powiedziała w szpitalu.

Nazwała mnie „Dex... tatuś”. W rzeczy samej, teraz byłem Dex-Tatusiem, a ten obrzęd to od tej pory moja działka. Wkrótce będę go odprawiał z Lily Anne, przeprowadzając ją przez zdradliwe mielizny nocy do bezpiecznej przystani łóżka. Ta myśl dziwnie mnie podbudowała i podtrzymywała na duchu do momentu, kiedy wreszcie zdołałem zagonić Cody’ego i Astor do łóżek i sięgnąłem do wyłącznika światła.

- Jeszcze nie - zaprotestowała Astor. - Zapomniałeś o paciorku.

Poczułem się nieswojo.

- Nie znam żadnych modlitw.

- Nie musisz nic mówić - wyjaśniła. - Po prostu słuchaj.

Chyba każdy, kto ma choć odrobinę samoświadomości, wcześniej czy później musi poczuć się w towarzystwie dzieci jak ostatni hipokryta, i właśnie teraz przyszła kolej na mnie. Usiadłem jednak i ze śmiertelnie poważną miną słuchałem tych bzdur, które klepali każdego wieczoru. Byłem pewien, że wierzą w to, co mówią, nie bardziej niż ja, ale paciorek był żelaznym punktem programu, czymś, czego nie dało się uniknąć i po czego odbębnieniu wszystkim nam zrobiło się lżej. Gdy skończyli, wstałem i zgasilem światło.

- Dobranoc - powiedziałem.

- Dobranoc, Dexter - powiedziała Astor.

- ...noc - powiedział cicho Cody.

W normalnych okolicznościach usiadłbym na kanapie z Ritą i przez najbliższą godzinę oglądał telewizję, tylko w celu konserwacji kamuflażu; dziś jednak nie musiałem skazywać się na udawanie, że taki czy inny program jest śmieszny albo ciekawy, nie wróciłem więc do salonu. Zamiast tego poszedłem do małego pokoju, który Rita nazywała moim gabinetem. Były tam komputer służący do namierzania owych wyjątkowych jednostek, które zasługiwały na moje zainteresowanie, i niewielka szafa, w której mogłem przechowywać kilka nieszkodliwych przedmiotów, jak rolka taśmy samoprzylepnej i bardzo mocna żyłka.

Była też mała, zamykana na klucz szafka na dokumenty, zawierająca teczki z notatkami na temat potencjalnych towarzyszy zabawy, i usiadłszy za moim biurkiem, właśnie ją otworzyłem. W tym momencie miałem dwóch kandydatów, ale z uwagi na nawał wydarzeń żadnym

nie zainteresowałem się bliżej, a teraz nie wiedziałem, czy jeszcze kiedykolwiek znajdę dla nich czas. Otworzyłem pierwszą teczkę i zajrzałem do środka. Pedofil morderca, który dwa razy wyszedł na wolność dzięki dogodnemu alibi. Byłem przekonany, że mogę to alibi obalić i udowodnić mu winę – nie w rozumieniu prawa, rzecz jasna, ale wystarczająco, by spełnić surowe kryteria, które wpoił mi mój przybrany ojciec glina, Harry. Materiały w drugiej teście dotyczyły klubu w South Beach, w którym po raz ostatni widziano kilka zaginionych osób. Nazywał się Fang. Fang, czyli Kieł. Kretyńska nazwa dla klubu. Co ciekawe, pojawiała się nie tylko w meldunkach o zaginionych osobach, ale i w kilku dokumentach skarbówki. Klub niepokojąco często wymieniał personel kuchni i ktoś z urzędu skarbowego nabrał podejrzeń, że pomywacze raczej nie uciekają do ojczystego Meksyku, bo woda w Miami im nie smakuje.

Nielegalni imigranci to wymarzony cel dla drapieźców. Nawet jeśli znikają, nikt nie składa doniesienia; rodzina, znajomi ani pracodawcy nie ośmieliliby się pójść na policję. Znikają więc i nikt nie wie, ilu dokładnie, ale najwyraźniej wystarczająco wielu, by wywołało to pewne poruszenie nawet w Miami. Ktoś z klubu niewątpliwie wykorzystywał tę sytuację – zapewne kierownik, jako że musiał wiedzieć o wszystkich zmianach w personelu. Przewertowałem papiery i znalazłem jego nazwisko: George Kukarov. Mieszkał na wyspie Dilido, w malowniczej okolicy nieopodal klubu. Dobry dojazd do pracy i zabawy: zbilansować rachunki, zatrudnić didżeja, zabić pomywacza i wrócić do domu na kolację. Idealny układ, tak schludny i dogodny, że prawie poczułem zazdrość.

Odłożyłem na chwilę teczkę i rozważyłem to. George Kukarov: kierownik klubu, morderca. Doskonale logiczne, przynajmniej wedle tej logiki, która sprawia, że wewnętrzny ogar Dextera staje na tylnych łapach, zaczyna się ślinić, skowyczeć niecierpliwie i drżeć z pragnienia, żeby wybiec na dwór w pościg za lisem. Pasażer poruszył się na znak zgody i rozpostarł skrzydła ze zmysłowym szelestem, który powiedział: „Tak, to on. Dziś, razem, teraz...”

Czułem, jak światło księżycy wpada przez okno i wsącza się pod moją skórę, wdzierając się głęboko, bełta mroczny wywar kotłujący się w moim wnętrzu, tak że na wierzch wypływają cudowne myśli. A kiedy zapach owej gotującej się mikstury rozniósł się w nocnym

powietrzu, wyobraziłem sobie tego człowieka przytwierdzonego taśmą do stołu, wijącego się i tężejącego w tym samym wyciskającym pot przerażeniu, na którym przysmażył Bóg raczy wiedzieć ile ofiar, i już widziałem, jak nóż wesoło unosi się w górę...

Ale napłynęła myśl o Lily Anne i księżyc już nie był tak jasny, szept ostrza ucichł. Kruk nowego „ja” Dextera zakrakał: „Nigdy więcej”, i księżyc schował się za puszystą, srebrzystą chmurą Lily Anne, nóż wrócił do pochwy, Dexter do swojego skromnego życia na przedmieściach, a Kukarov czmychnął na wolność, by dalej czynić zło.

Mroczny Pasażer oczywiście nie poddał się bez walki, a mój umysł śpiewał z nim w harmonii. „Dexter, bądź poważny”, piał z jakże słodkim zdrowym rozsądkiem. Czy naprawdę możemy pozwolić, by te drapieżne igraszki pozostały bezkarne? Czy możemy pozwolić potworom chodzić po ulicach, skoro potrafimy je bez trudu powstrzymać w ostateczny i jakże zajmujący sposób? Czy naprawdę wolno nam zignorować to wyzwanie?

Znów pomyślałem o obietnicy, którą złożyłem w szpitalu: będę lepszym człowiekiem. Koniec z Dexterem Demonem – teraz byłem Dextatusiem, całkowicie oddanym Lily Anne i mojej powiększonej rodzinie. Ludzkie życie po raz pierwszy wydawało się rzadkim, cennym darem, choć na świecie jest go tak dużo i na ogół jakoś nie potrafi udowodnić swojej wartości. Musiałem się zmienić – byłem to winien Lily Anne.

Wbiłem wzrok w teczkę na moich kolanach. Śpiewała uwodzicielsko, błagała, żebym jej zawtórował i razem z nią tworzył piękną muzykę w blasku księżyca. Ale nie. Opera heroiczna mojego nowo narodzonego dziecka zagłuszyła ten zew narastającą uwerturą, więc pewnym ruchem wsunąłem teczkę do niszczarki, po czym położyłem się spać.

Następnego ranka zjawiłem się w pracy nieco później niż zwykle, bo najpierw musiałem odwiedzić Cody’ego i Astor do szkoły. Dotychczas zawsze robiła to Rita, teraz jednak wszystko się zmieniło; nastał Rok Pierwszy Złotej Ery Lily Anne. W dającej się przewidzieć przyszłości to ja będę woził dwójkę starszych dzieci do szkoły, przynajmniej dopóki Lily Anne nie podrośnie na tyle, by mogła bezpiecznie podróżować

w foteliku. A jeśli znaczyło to, że nie będę zaczynał pracy z pierwszą pieśnią skowronka, cóż, niewielkie wyrzeczenie.

Wyrzeczenie wydało mi się nieco większe, kiedy wreszcie dotarłem na komendę i odkryłem, że ktoś niebędący Sumiennym Dexterem przyniósł pączki - i że wszystkie zniknęły, pozostało tylko poplamione tekturowe pudełko. Ale nie martwiłem się długo. Na co komu pączki, gdy samo życie jest tak słodkie? - pomyślałem i wziąłem się do pracy z radością w sercu i pieśnią na ustach.

O dziwo, nie dostałem rozpaczliwego wezwania na miejsce zbrodni, więc przez pierwsze półtorej godziny odwałem sporo rutynowej papierkowej roboty. Zadzwoiłem też do Rity - głównie po to, by się upewnić, że Lily Anne ma się dobrze i nie uprowadzili jej kosmici - a kiedy uspokoiła mnie sennym głosem, że wszystko jest w porządku, zapowiedziałem, że po południu zajrzę do szpitala.

Zamówiłem trochę materiałów, wypełniłem kilka raportów i uporządkowałem parę innych spraw. Chociaż nie w pełni wynagrodziło mi to brak pączków, i tak bardzo byłem z siebie zadowolony. Dexter gardzi bałaganem.

Parę minut przed dziesiątą wciąż bujałem w obłokach samozadowolenia, kiedy zadzwonił telefon na moim biurku. Odebrałem z wesołym: „Halo, tu Morgan!”, i w nagrodę usłyszałem opryskliwy głos mojej siostry Debory.

- Gdzie jesteś? - spytała, nie bardzo wiem po co. Skoro mówiłem do niej przez aparat połączony długim kablem z moim biurkiem, to gdzie niby mogłem być? Może komórki rzeczywiście niszczą korę mózgową.

- Tutaj, na drugim końcu telefonu - powiedziałem.

- Czekam na parkingu - rzuciła i rozłączyła się, zanim mogłem zaprotestować.

Zastałem Deborahę przy jej służbowym samochodzie. Wyraźnie zniecierpliwiona, opierała się o maskę i patrzyła na mnie wilkiem, więc w przeblysku strategicznego geniuszu postanowiłem zaatakować pierwszy.

- Czemu musimy spotykać się tutaj? - zapytałem. - Masz przecież porządny gabinet, z krzesłami i klimatyzacją.

Sięgnęła po kluczyki.

- W moim gabinecie rozplenilo się robactwo - odparła.

- Jakie?

- Deke - mruknęła. - Ten mydłek ciągle się koło mnie pęta.

- Musi - zauważyłem. - Jest twoim partnerem.

- Ja przy nim zwariuję - biadoliła. - Opiera się tyłkiem o moje biurko i tylko czeka, kiedy rzucę mu się na szyję.

To była doprawdy porażająca wizja - Debora zrywająca się z krzesła i rzucająca się na szyję swojemu nowemu partnerowi - ale nie dostrzegalem w niej krzty sensu.

- Czemu miałabyś rzucać mu się na szyję?

Pokręciła głową.

- Może zauważyłeś, że jest, no wiesz, przystojny? Jeśli nie, to jesteś jedyny w całym budynku.

Zauważyłem to, oczywiście, ale nie rozumiałem, co nieprzyzwoita uroda Deke'a ma wspólnego z tematem naszej rozmowy.

- No dobra - rzekłem. - Zauważyłem. I co?

- To, że myśli, że rzucę się na niego jak te wszystkie cizie, które poznał - wyjaśniła. - Rzygać się chce. Jest głębszy niż but z lewej nogi. Siedzi na rogu mojego biurka, czyści nicią te swoje zaszrane idealne zęby i czeka, aż mu powiem, co ma robić. Jeśli będę musiała patrzeć na niego jeszcze sekundę dłużej, to łeb bałwanowi odstrzelę. Wsiadaj.

Debora nigdy nie miała w zwyczaju skrywać uczuć, ale nawet jak na nią była to niezła eksplozja emocji, więc przez chwilę stałem tylko i patrzyłem, jak wsiada do samochodu i włącza silnik. Wcisnęła pedał gazu, a potem puściła syreną krótki wyjący sygnał, który wyrwał mnie z zadumy. Wskoczyłem na fotel pasażera. Zanim zamknąłem drzwi, wrzuciła bieg i wyjechaliśmy z parkingu na ulicę.

- Chyba nas nie śledzi - zauważyłem, kiedy dała gaz do dechy i wpadła w strumień samochodów.

Nie odpowiedziała. Wyminęła tylko ciężarówkę wyładowaną arbusami i pomknęła naprzód, oddalając się od komendy i swojego partnera.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem, kurczowo ściskając poręcz fotela.

- Do szkoły - odparła.

- Jakiej szkoły? - spytałem, ciekaw, czy aby ryk silnika nie zagłuszył istotnej części naszej rozmowy.

- Szkoły dla nadzianych małolatów, do której chodziła Samantha Aldovar. Tej, jak jej tam, Ransom Everglades.

Zamrugalem. Wydawałoby się, że akurat tam nie ma co się spieszyć - no, chyba że Debora nie chciała się spóźnić na lekcje - a mimo to gnaliśmy zatłoczonymi ulicami na złamanie karku. Pocieszałem się myślą, że jeśli dotrę na miejsce w jednym kawałku, tam nie będzie czyhać na mnie nic groźniejszego od ewentualnego trafienia oślinioną kulką papieru. Zważywszy zaś ekonomiczny i społeczny status szkoły, niemal na pewno będzie to papier wysokiej jakości, a to zawsze jakiś plus.

Dlatego tylko zaciskałem zęby i trzymałem się mocno, gdy Debora mknęła przez miasto, skręcała na LeJeune i wjeżdżała do Coconut Grove. Potem już tylko w lewo na drogę US-1, w prawo na Douglas, w lewo na Poincciana, prosto aż do Main Highway i byliśmy przed szkołą w czasie, który na pewno uznano by za rekordowy, gdyby ktokolwiek prowadził tego rodzaju statystyki.

Gdy wjechaliśmy w bramę ze skały koralowej, na drodze stanął nam strażnik. Debora machnęła odznaką i schylił się, żeby ją obejrzeć, zanim nas przepuścił. Zaparkowaliśmy na tyłach szeregu budynków, pod wielkim starym banianem, w miejscu oznakowanym napisem „Zarezerwowane M. Stokes”. Debora ustawiła dźwignię zmiany biegów w pozycji „park” i wysiadła, a ja za nią. Ruszyliśmy ocienionym chodnikiem, a kiedy wyszliśmy na słońce, odwróciłem się, żeby obejrzeć tę szkołę „dla nadzianych dzieciaków”, jak mawialiśmy o niej w dzieciństwie. Budynki wyglądały na nowe, a teren był doskonale utrzymany. Słońce świeciło tu nieco jaśniej, liście palm kołysały się odrobinę łagodniej i ogólnie wydawało się, że w taki dzień jak dziś fajnie mieć bogatych rodziców.

Budynek administracji, z zadaszonym przejściem pośrodku, stał w poprzek centralnej części kampusu. W recepcji kazano nam zaczekać na wicedyrektor Jakąś-tam. Pomyślałem o wicedyrektorze mojego gimnazjum, potężnym olbrzymie z czołem człowieka z Cro-Magnon, byłem więc cokolwiek zaskoczony, kiedy wyszła do nas drobna, elegancka kobieta.

- Państwo z policji? - zagadnęła uprzejmie. - Nazywam się Stein. Czym mogę służyć?

Debora uściśnięła jej dłoń.

- Muszę zadać pani kilka pytań o jedną z waszych uczennic - odparła.

Pani Stein uniosła brwi, dając nam do zrozumienia, jak niecodzienna to sytuacja; nie zdarzało się, by policja pytała o jej uczniów.

- Proszę do mojego gabinetu - rzekła i zaprowadziła nas krótkim korytarzem do pomieszczenia z biurkiem, krzesłem i kilkudziesięcioma pamiątkowymi fotografiami na ścianach. - Siadajcie państwo - powiedziała i Debora, nawet nie zerknąwszy na mnie, zajęła jedyne plastikowe krzesło na wprost biurka.

Nie pozostało mi nic innego, niż poszukać kawałka ściany wolnego od oprawionych wspomnień, żeby móc się przynajmniej wygodnie oprzeć.

- No dobrze. - Pani Stein usiadła za biurkiem i spojrzała na nas z uprzejmym, ale chłodnym wyrazem twarzy. - O co chodzi?

- Samantha Aldovar zaginęła - zaczęła Debora.

- Tak - powiedziała pani Stein. - Słyszeliśmy o tym.

- Jaką jest uczennicą? - spytała Deb.

Dyrektorka się zasępiła.

- Nie mogę państwu podać jej ocen - odparła - ale dość dobrą. Powyżej średniej.

- Czy otrzymuje pomoc finansową, żeby móc tu chodzić? - chciała wiedzieć Deb.

- Przykro mi, ale to poufna informacja, oczywiście - powiedziała pani Stein. Debora przeszyła ją twardym spojrzeniem, ale wicedyrektor szkoły, o dziwo, nie pękła. Może była przyzwyczajona do groźnych spojrzeń majątnych rodziców.

Wyraźnie nastąpił impas, więc postanowiłem pomóc.

- Czy koledzy bardzo jej dokuczają? - zapytałem. - Wie pani, z powodu pieniędzy czy czegokolwiek innego?

Pani Stein zerknęła na mnie z półuśmiechem mówiącym, że to nic śmiesznego.

- Zgaduję, iż podejrzewacie, że jej zniknięcie ma podłoże finansowe - rzekła.

- Może wie pani, czy Samantha ma chłopaka? - spytała Debora.

- Nie wiem - odparła pani Stein. - Ale nawet gdybym wiedziała, raczej bym tego państwu nie powiedziała.

- Pani Stern... - zaczęła Debora.

- Stein - poprawiła ją dyrektorka.

Debora zbyła to machnięciem ręki.

- Nie prowadzimy śledztwa w sprawie Samantha Aldovar. Prowadzimy śledztwo w sprawie jej zniknięcia. I nie znajdziemy jej, jeżeli nie odpowie pani na nasze pytania.

- Nie bardzo rozumiem...

- Chcielibyśmy znaleźć ją żywą - oznajmiła Debora tak zimnym, twardym głosem, że byłam z niej dumny; pani Stein aż pobladła.

- Ja nie... - wybąkała. - Co do spraw osobistych, naprawdę nic nie wiem. Może poproszę którąś z jej koleżanek, żeby z wami porozmawiała...

- To by bardzo pomogło - stwierdziła Debora.

- O ile wiem, jej najlepszą przyjaciółką jest Tyler Spanos - powiedziała pani Stein. - Ale musiałabym być obecna przy rozmowie.

- Proszę przyprowadzić Tyler Spanos - poleciła Deb.

Dyrektorka przygryzła wargę, wstała i wyszła, już bez tego chłodnego spokoju, z jakim wchodziła. Debora odchyliła się na oparcie krzesła i zaczęła się wiercić, jakby szukała wygodnej pozycji. Nie znalazła. Po minucie dała za wygraną, usiadła prosto i założyła nogę na nogę, by chwilę później zdjąć ją z powrotem.

Bolało mnie ramię, więc oparłem się o ścianę drugim. Minęło kilka minut; Debora parę razy spojrzała na mnie, ale żadne z nas nie miało nic do powiedzenia.

Wreszcie zza drzwi dobiegły głosy, coraz wyższe i coraz głośniejsze. Trwało to jakieś trzydzieści sekund, po czym znów zapadła cisza. Dopiero po kilku kolejnych minutach, w ciągu których Debora ponownie założyła nogę na nogę, a ja wróciłem do pierwotnej pozycji, do gabinetu wpadła pani Stein. Wciąż była blada i nie miała zadowolonej miny.

- Tyler Spanos nie przyszła dziś do szkoły - oznajmiła. - Ani wczoraj. Zadzwoiłam więc do jej rodziców. - Zamilkła, jakby zawstydzona, i Debora musiała pociągnąć ją za język.

- Zachorowała? - spytała.

- Nie... - Pani Stein znów urwała i ponownie przygryzła wargę. -
One... przygotowywała z koleżanką prezentację - rzekła wreszcie. -
I żeby... hm... lepiej im się pracowało... nocowała u niej.

Debora wyprężyła się jak struna.

- U Samantha Aldovar - powiedziała i nie było to pytanie.

Pani Stein mimo to odpowiedziała.

- Tak.

7

Zarówno przepisy, na które może się powołać każda szkoła pragnąca ochronić uczniów przed prześladowaniami ze strony władz, jak i wpływy rodziców i absolwentów takiej placówki jak Ransom Everglades, mogły niesłuchanie utrudnić zbieranie informacji o dwóch zaginionych dziewczynach. Szkoła postanowiła jednak pokazać klasę i zmobilizować całą społeczność do współpracy. Posadzili nas w obwieszonym zdjęciami gabinecie pani wicedyrektor, która biegła po budynku, roznosząc wici nauczycielom i pracownikom administracji.

Rozejrzałem się i zauważyłem, że krzesel nie przybyło. Fragment ściany, o który się opierałem, nie wyglądał kusząco. Uznałem bowiem, że zniknięcie dwóch uczennic trochę wzmocniło naszą pozycję, i tym samym stałem się zbyt ważną personą, by opierać się o ścianę. A przecież w gabinecie było jeszcze jedno całkiem porządne krzesło.

Ledwo zająłem miejsce pani Stein, zadzwieczyła moja komórka. Zerknąłem na ekranik i zobaczyłem, że dzwoni Rita. Odebrałem.

- Halo?

- Dexter, cześć, to ja.

- Tak też przypuszczałem - odparłem.

- Co? Aha. Słuchaj - powiedziała, w sumie niepotrzebnie, bo przecież słuchałem - lekarz mówi, że mogę już wrócić do domu. Mógłbyś po nas przyjechać?

- Co?! - wykrztusiłem, kompletnie zbaraniały. Przecież Lily Anne urodziła się dopiero wczoraj.

- Możemy wrócić do domu - powtórzyła cierpliwie.

- Jeszcze o wiele za wcześnie - skwitowałem.

- Lekarz twierdzi co innego - odparła. - Dexter, to dla mnie nie pierwszozna.

- Ale Lily Anne... może coś złapać... a poza tym fotelik... - Zdałem sobie sprawę, że jestem tak przerażony wizją Lily Anne opuszczającej bezpieczny szpital, że zacznym mówić jak Rita.

- Jest zdrowa, Dexter, ja też - zapewniła mnie. - I chcemy wrócić do domu, więc przyjeźdź po nas, dobrze?

- Ale... - wybąkałem.

- Czekamy na ciebie. Cześć - powiedziała i rozłączyła się, zanim zdążyłem znaleźć racjonalny powód, dla którego jeszcze nie powinna opuszczać szpitala. Przez chwilę wpatrywałem się w telefon, lecz myśl, że Lily Anne wkrótce znajdzie się na zewnątrz, w świecie pełnym zarazków i terrorystów, pobudziła mnie do czynu. Schowałem komórkę do futerału i poderwałem się na nogi.

- Muszę lecieć - oznajmiłem siostrze.

- Domyśliłam się - odparła, rzucając mi kluczyki. - Wróć najszybciej, jak będziesz mógł.

Jechałem na południe w stylu prawdziwego kierowcy z Miami, czyli szybko, lawirując między samochodami tak, jakby na jezdni nie było pasów. Zwykle aż tak nie szarżuję - zawsze uważałem, że wbrew duchowi panującemu na naszych drogach, to, by dotrzeć na miejsce, jest równie istotne jak to, aby jadąc tam, utrzymywać wizerunek twardziela - przychodziło mi to jednak z naturalną swobodą - wszak tutaj się wychowałem, a obecna sytuacja wymagała pośpiechu i całej prawdziwie męskiej stanowczości, jaką mogłem z siebie wykrzesać. Co Ricie wpadło do głowy? I, na Boga, jak przekonała do tego lekarzy? Przecież Lily Anne jest malutka, krucha, kompletnie bezbronna i skazywanie jej na to, by tak wcześnie poznała smak brutalnego życia, wydawało się aktem bezdusznego szaleństwa.

Wpadłem do domu tylko po niedawno kupiony fotelik. Ćwiczyłem od kilku tygodni, żeby znać jego obsługę na wylot, kiedy nadejdzie właściwy moment - tyle że właściwy moment nadszedł za wcześnie i przy pierwszej próbie montażu stwierdziłem, że moje palce, zwykle tak zręczne, zmieniły się w niezgrabne kawały lodu. Nijak nie mogłem przełożyć końcówki pasa bezpieczeństwa przez otwór w oparciu. Pchałem, ciągnąłem, a gdy w końcu skaleczyłem się w palec odlewany plastikiem, rzuciłem to cholerstwo w diabły i zacząłem ssać ranę.

Ten fotelik miał być bezpieczny? Jak mógł chronić Lily Anne, skoro mnie zaatakował z taką agresją? A nawet gdyby działał, jak powinien, czy mogłem zapewnić Lily Anne bezpieczeństwo w naszym okrutnym

świecie? Zwłaszcza tuż po narodzinach. Przecież to szaleństwo wysłać ją do domu, kiedy ma zaledwie jeden dzień. Typowa arogancja i obojętność lekarzy; myślą, że zjedli wszystkie rozумы, bo zaliczyli chemię organiczną. Nie wiedzą jednak wszystkiego – nie widzą tego, co mnie podpowiadało serce ojca. Było o wiele za wcześnie wysłać Lily Anne w zimny, okrutny świat tylko dlatego, że dzięki temu firma ubezpieczeniowa zaoszczędzi kilka dolarów. To nie mogło się dobrze skończyć.

Wreszcie zdołałem zamontować fotelik i popędziłem do szpitala, gdzie – wbrew moim niewątpliwie słusznym obawom – nie zastałem Rity stojącej przed drzwiami i uchylającej się przed pociskami ani Lily Anne bawiącej się używanymi strzykawkami w śmietniku. Rita siedziała na wózku inwalidzkim w holu i trzymała w ramionach zawiniątko z dzieckiem w środku. Kiedy wpadłem do budynku, spojrzała na mnie ze swobodnym uśmiechem.

- Dexter, cześć, szybko przyjechałeś – stwierdziła.

- No tak – mruknąłem, wciąż lekko oszołomiony faktem, że jakimś cudem wszystko jest w porządku. – Bo ten... tak się składa... że byłem tak jakby... w pobliżu.

- Do domu chyba nie będziesz jechał tak szybko, co? – powiedziała.

Zanim zdążyłem oświadczyć, że nigdy nie jechałbym szybko z Lily Anne, a tak w ogóle, to moim zdaniem powinna zostać w szpitalu trochę dłużej, dołączył do nas uśmiechnięty długowłosy młodzieniec i chwycił rączki wózka.

- O, jest tatuś – ucieszył się. – To jak, gotowi?

- Tak, dziękuję – odparła Rita.

Młodzieniec skinął głową.

- No to jedziemy – rzekł, po czym zwolnił nogą blokadę koła i pchnął wózek w stronę drzwi. A że koniec końców nawet ja muszę godzić się z tym, co nieuniknione, westchnąłem z rezygnacją i ruszyłem za nimi.

W samochodzie wzięłem Lily Anne od Rity i ostrożnie umieściłem w agresywnym bezpiecznym foteliku. Próbowałem ją przypiąć, ale z bliżej nieznanego powodu, bo przecież dokładnie przećwiczyłem wszystkie czynności na starej lalce Astor, z prawdziwym dzieckiem nie radziłem sobie zupełnie i w końcu Rita musiała mi pomóc. W rezultacie Dexter, który wreszcie usiadł za kierownicą i zapalił silnik,

był Dexterem Bezradnym Fajtłapą. Raz po raz zerkając w lusterko wsteczne, by sprawdzić, czy fotelik nie stanął w płomieniach, wyjechałem z parkingu na ulicę.

- Nie jedź za szybko - przypomniała mi Rita.

- Dobrze, kochanie - odparłem.

Zgodnie z obietnicą jechałem powoli - nie aż tak, żeby narażać się na ostrzał oburzonych, uzbrojonych po zęby współobywateli, ale z prędkością tylko odrobinę większą od dozwolonej. Każdy ryk klaksonu, każde łupnięcie nadmiernie podgłośnionego odtwarzacza stereo wydawały mi się czymś nowym i groźnym, więc ilekroć stawałem na czerwonym świetle, łąpałem się na tym, że rozglądałem się nerwowo po innych samochodach, wypatrując wymierzonych w nas łuf broni automatycznej.

Jakimś cudem dotarliśmy do domu bez szwanku. Rozpinanie pasków fotelika Lily Anne okazało się dużo łatwiejsze od ich zapinania, więc ani się obejrzałem, a już obie z Ritą były w domu i mościły się wygodnie na kanapie.

Spojrzałem na nie i nagle uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy są tutaj; widok mojego nowo narodzonego dziecka w starym, dobrze znanym otoczeniu zdawał się podkreślać fakt, że życie to coś cudownego i kruchego.

Guzdrałem się bezwstydnie, sycąc się i rozkoszując ową cudownością. Dotknąłem stópek Lily Anne i przesunąłem palcem po jej policzkach. Czegoś tak miękkiego nie dotykałem nigdy w życiu i dziwne, ale miałem wrażenie, że czuję opuszkami palców jej świeży, różowy zapach. Rita, uśmiechnięta i szczęśliwa, zapadła w drzemkę, a ja dotykałem, wahałem i patrzyłem, aż w końcu zerknąłem na zegar. Kiedy zauważyłem, ile czasu minęło, przypomniało mi się, że jestem tu w pożyczonym samochodzie, którego właścicielka słynie z tego, że werbalnie gilotynuje ludzi za znacznie mniejsze przewiny.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytałem Ritę.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się prastarym uśmiechem, który z takim kunsztem oddawał Leonardo: uśmiechem matki z cudownym dzieciątkiem.

- To dla mnie nie pierwszozna, Dexter - odparła. - Damy sobie radę.

- Skoro jesteś pewna - powiedziałem z nieznaną mi dotąd czułością, o dziwo, autentyczną.

- Jestem pewna - usłyszałem w odpowiedzi i bardzo niechętnie zostawiłem je same.

Kiedy wróciłem do Ransom Everglades, Debory nie było już w gabinecie wicedyrektorki. Przydzielono jej pomieszczenie w starym budynku z widokiem na zatokę, coś w rodzaju prowizorycznego pokoju przesłuchań. Pagoda - bo tak nazywał się ten budynek - stała na skarpie nad boiskiem. Była to drewniana rudera, która wyglądała, jakby pierwsza letnia burza miała ją zdmuchnąć z powierzchni ziemi, lecz mimo to przetrwała na tyle długo, by stać się zabytkiem.

Debora właśnie rozmawiała z jakimś nadzwyczaj schludnym młodzianem. Zerknęła tylko na mnie i kiwnęła głową, nie przerywając mu. Usiadłem na krześle obok niej.

Przez resztę dnia do rudery przychodzili kolejni uczniowie i nauczyciele, żeby powiedzieć nam, co wiedzą o Samancie Aldovar i Tyler Spanos. Uczniowie byli inteligentni i grzeczni, a nauczyciele sprawiali wrażenie kompetentnych i oddanych swojej pracy. Zacząłem doceniać zalety prywatnej edukacji. Gdybym tylko miał okazję uczyć się w takiej szkole jak ta, kto wie, co by ze mnie wyrosło? Może zamiast być zwykłym specem od badania śladów krwi, który wykrada się nocą, żeby zabijać bez skrpułów, zostałbym lekarzem, fizykiem lub nawet senatorem, który wykrada się nocą, żeby zabijać bez skrpułów. Aż żał pomyśleć, że zmarnowałem taki potencjał.

Ale prywatna edukacja sporo kosztuje i zdecydowanie przekraczała możliwości finansowe Harry'ego. A nawet gdyby było go na nią stać, wątpię, by z tego skorzystał. Zawsze był przeciwnikiem wszelkiego elitaryzmu i wierzył we wszystkie nasze instytucje publiczne, w tym szkołę - czy może zwłaszcza szkołę, bo nabywało się w niej umiejętności, które, jak wiedział, są niezbędne do przetrwania.

Te umiejętności zdecydowanie przydałyby się zaginionym dziewczynom. Do wpół do szóstej, kiedy zakończyliśmy z Deb przesłuchania, dowiedzieliśmy się o obu kilku ciekawych rzeczy, ale niczego, co wskazywałoby, że poradziłyby sobie w dżungli Miami bez karty kredytowej i iPhone'a.

Samantha Aldovar była po trosze zagadką nawet dla tych, którzy myśleli, że ją dobrze znają. Uczniowie wiedzieli, że dostawała pomoc finansową, ale nikt na to nie zważał. Wszyscy mówili, że jest miła, cicha, dobra z matmy i nie ma chłopaka. Nikt się nie domyślał, dlaczego miałyby upozorować własne porwanie. Nikt nie widział jej w towarzystwie jakichkolwiek podejrzanych typów - nie licząc Tyler Spanos.

Z Tyler było niezłe ziółko i wydawało się, że te dwie dziewczyny nie miały prawa się zaprzyjaźnić. Samanthę do szkoły przywoziła matka czteroletnim hyundaiem, a Tyler jeździła własnym porsche. Samantha była cicha i nieśmiała, dla Tyler dzień bez imprezy był dniem straconym. Nie miała chłopaka tylko dlatego, że jeden by jej nie wystarczył.

Mimo to w ciągu ostatniego roku bardzo się do siebie zbliżyły. Ciągle trzymały się razem: na przerwach, po lekcjach, w weekendy. Ta przyjaźń zaintrygowała Deb. Spokojnie zadawała pytania i słuchała odpowiedzi, spokojnie wydała nakaz poszukiwania porsche'a Tyler i spokojnie (choć z dreszczem obrzydzenia) wysłała swojego partnera Deke'a do rodziny Spanos - nic z tego nie zmąciło gładkiej powierzchni Morza Debory. Za to na dziwną przyjaźń obu dziewczyn rzuciła się jak wygłodniały pies na kość.

- To bez sensu, do cholery - stwierdziła.

- Są nastolatkami - przypomniałem jej. - Nie wiedzą, co to sens.

- Nieprawda - zaprotestowała Debora. - Jakiś sens zawsze jest, zwłaszcza gdy chodzi o nastolatki. Kujony trzymają z kujonami; sportowcy i czirliderki ze sportowcami i czirliderkami. To się nie zmienia.

- Może mają jakąś wspólną pasję - zasugerowałem i zerknąłem ukradkiem na zegarek, który wskazywał, że pora wracać do domu.

- Założę się, że tak - powiedziała Deb. - I założę się, że jeśli dowiemy się, jaką, to je znajdziemy.

- Wygląda na to, że tutaj nikt tego nie wie - zauważyłem, choć tak naprawdę szukałem wymówki, która pozwoliłaby mi się ulotnić.

- Co z tobą, do cholery?! - rzuciła raptownie.

- Słucham?

- Wiercisz się, jakby ci się chciało łąć.

- No cóż, tak właściwie to na mnie już czas. Muszę odebrać Cody'ego i Astor przed szóstą.

Debora patrzyła na mnie w milczeniu, bardzo długo, a przyjemniej tak mi się zdawało.

- Nigdy bym nie uwierzyła - powiedziała wreszcie.

- W co?

- Że będziesz miał żonę, dzieci... Że robiąc to, co robisz, będziesz mężem i ojcem.

Wiedziałem, że miała na myśli moją mroczną stronę, moje przeszłe wcielenie Dextera Mściciela, samotny sztylet w blasku księżyca. Dowiedziała się o moim alter ego i chyba pogodziła się z jego istnieniem - akurat wtedy, kiedy porzuciłem tę rolę.

- Cóż - odparłem - sam też bym w to nie uwierzył. Ale... - wzruszyłem ramionami - ...mam rodzinę.

- I to przede mną - sapnęła i odwróciła wzrok.

Zanim jej twarz skryła się za dyżurną maską Jej Wiecznie Naburmuszonej Wysokości, Debora wydawała się szokująco krucha.

- Kochasz ją? - spytała nieoczekiwanie. Tak bezpośrednio i osobiste pytanie było zupełnie nie w stylu mojej siostry i między innymi dlatego tak dobrze ze sobą żyliśmy. - Czy kochasz Ritę? - powtórzyła, nie zostawiając mi pola manewru.

- Hm... nie wiem - odparłem ostrożnie. - Ja... przyzwyczailem się do niej.

Debora pokręciła głową z wyraźną dezaprobatą.

- Przyzwyczaileś się - powiedziała. - Jak do wygodnego fotela czy czegoś takiego.

- Aż tak wygodna nie jest - próbowałem przemycić trochę humoru do tej coraz bardziej krępującej rozmowy.

- Czy ty w ogóle czujesz miłość? - rzuciła. - To znaczy, czy potrafisz kochać?

Pomyślałem o Lily Anne.

- Tak. Tak sądzę.

Debora przez kilka długich sekund patrzyła mi w twarz, ale że nie było tam czego oglądać, w końcu odwróciła wzrok i wyjrzała przez okno na zatokę.

- Wracaj do domu - powiedziała. - Jedź po dzieciaki i siedź z tą swoją wygodną żoną.

Od niedawna byłem człowiekiem, lecz mimo to wiedziałem, że źle się dzieje w Państwie Debory, i nie mogłem jej tak zostawić.

- Deb - spytałem - co się stało?

Zauważyłem, że mięśnie jej szyi się napięły, ale wciąż stała odwrócona, wpatrzona w wodę.

- Całe to pieprzenie o rodzinie - powiedziała. - Te dwie dziewczyny i ich pojebane rodzinki. I ta twoja rodzina z pojebanym tobą. Zawsze coś jest nie tak, nigdy nie układa się tak, jak powinno, ale mają je wszyscy oprócz mnie. - Westchnęła głęboko. - A ja też bym chciała. - Odwróciła się do mnie gwałtownie. - Tylko bez żadnych tekstów o zegarze biologicznym.

Szczerze mówiąc - a jestem szczerzy, kiedy to konieczne - byłem zbyt zszokowany zachowaniem Debory, żeby pozwolić sobie na jakikolwiek żart, czy to o zegarze biologicznym, czy o czymkolwiek innym. Wiedziałem jednak, że coś powiedzieć muszę, więc rozpaczliwie szukałem właściwych słów. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to pytanie o Kyle'a Chutsky'ego, faceta, z którym mieszkała od paru lat. Widziałem takie podejście w jakiejś operze mydlanej. Oglądałem tego typu seriale, bo można się z nich sporo nauczyć o zachowaniu normalnych ludzi w typowych sytuacjach. No i proszę, opłacało się.

- Z Kyle'em wszystko w porządku? - zapytałem.

Prychnęła, ale jej twarz złagodniała.

- Cholerny Chutsky. Uważa, że jest za stary i całkiem bezużyteczny dla takiej ładnej młodej dziewczyny jak ja. Ciągłe powtarza, że powinnam sobie znaleźć kogoś lepszego. A kiedy mówię, że nie chcę, tylko kręci głową i robi smutną minę.

Bardzo to było ciekawe, naprawdę fascynujący obrazek z życia kogoś, kto był człowiekiem dużo dłużej niż ja, ale wyczerpały mi się pomysły na konstruktywne komentarze, a zegar nieubłaganie tykał - ten na przegubie mojej dłoni, nie biologiczny. Dlatego po rozpaczliwych poszukiwaniach czegoś, co z jednej strony podniosłoby Deb na duchu, a z drugiej dałoby jej do zrozumienia, że muszę już lecieć, wymyśliłem tylko:

- Jestem pewien, że Kyle ma dobre chęci.

Debora patrzyła na mnie tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy powiedziałem to, co trzeba. Wreszcie westchnęła i znów odwróciła się do okna.

- Też jestem pewna, że ma dobre chęci - przytaknęła i wpatrując się w zatokę, westchnęła ponownie.

Nie znałem mojej siostry od tej strony i raczej nie chciałem znać. Przywykłem do Debory pełnej wrzasku i wściekłości, wróżących kuksańce w ramię. Oklapnięta, bezbronna i użalająca się nad sobą napawała mnie głębokim niepokojem. Wiedziałem, że powinienem jakoś ją pocieszyć, ale nie miałem pojęcia, od czego zacząć, stałem więc zakłopotany, aż w końcu pragnienie wyjścia przeważyło nad poczuciem obowiązku.

- Przykro mi, Deb - powiedziałem, o dziwo, znowu szczerze. - Muszę jechać po dzieci.

- Wiem - mruknęła, nie odwracając się. - Jedź.

- Hm - chrząknąłem znacząco. - Ktoś musi mnie podwieźć do samochodu.

Powoli odwróciła się od okna, spojrzała na stojącą w drzwiach panią Stein i skinęła głową.

- W porządku - rzekła, wstając. - Tu już skończyliśmy. Minęła mnie, podziękowała z chłodną uprzejmością i w milczeniu ruszyła do swojego samochodu.

Próbowałem coś powiedzieć, żeby nieco rozładować atmosferę, ale moje pierwsze dwie próby były tak chybione, że dałem za wygraną. Deb wjechała na parking przy komendzie i zatrzymała się obok mojego wozu, wciąż pogrążona w niewesołej zadumie. Chwilę na nią patrzyłem, ale nie odwzajemniła spojrzenia.

- Do zobaczenia jutro - odezwałem się wreszcie.

- Jak to jest? - spytała i znieruchomiałem przy półotwartych drzwiach.

- Co jak jest? - odparłem niezbyt logicznie.

- Kiedy pierwszy raz trzymasz swoje dziecko - wyjaśniła.

Nie musiałem zastanawiać się nad odpowiedzią.

- To niesamowite uczucie - przyznałem. - Po prostu cudowne. Nie da się go z niczym porównać.

Spojrzała na mnie i przez chwilę nie byłem pewien, czy chce mnie uściskać, czy walnąć. Nie zrobiła ani tego, ani tego, tylko wolno pokręciła głową.

- Jedź po dzieci - rzuciła.

Zaczekałem chwilę, w razie gdyby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Deb milczała.

Wysiadłem, a gdy odjeżdżała, patrzyłem za nią i próbowałem pojąć, co się dzieje z moją siostrą. Było to jednak zbyt skomplikowane dla świeżo upieczonego człowieka, wzruszyłem więc ramionami, wsiadłem do samochodu i pojechałem po Cody'ego i Astor.

8

Na Old Cutler Road ruch był spory, ale tego popołudnia kierowcy wydawali się wyjątkowo grzeczni. Mężczyzna w wielkim czerwonym hummerze zatrzymał się, żeby mnie przepuścić w miejscu, gdzie zbiegały się pasy - rzecz doprawdy niesłychana. Aż zacząłem się zastanawiać, czy aby terroryści nie dosypali do wody w Miami czegoś, co sprawiło, że wszyscy staliśmy się łagodni i kochający. Najpierw ja postanowiłem porzucić Mrok, potem Deb mało się nie rozsłochała, a teraz kierowca hummera w godzinach szczytu jest grzeczny i uczynny. Czy to już apokalipsa? - zaniepokoiłem się.

Szczęśliwie przez resztę drogi do parku, w którym byli internowani Cody i Astor, nie zauważyłem żadnych ognistych aniołów. Dotarłem na miejsce tuż przed szóstą. Przy drzwiach czekała ta sama młoda kobieta co poprzednio, machając kluczami i podrygując ze zniecierpliwienia. Prawie rzuciła we mnie dziećmi, po czym ze sztucznym uśmiechem, który w moim wykonaniu wyglądałby znacznie bardziej przekonująco, popędziła do samochodu na drugim końcu parkingu.

Zapakowałem Cody'ego i Astor na tylne siedzenie i usiadłem za kierownicą. Byli dziwnie milczący, dlatego też - wczuwając się w rolę świeżo upieczonego człowieka i ojca - uznałem, że trzeba ich trochę rozruszać.

- Jak minął dzień? Dobrze? - spytałem z wielkim, syntetycznym optymizmem.

- Anthony to dupek - wypaliła Astor.

- Nie powinnaś używać takich słów - powiedziałem, lekko zszokowany.

- Nawet mama tak mówi, gdy prowadzi - zauważyła Astor. - I słyszałam to słowo w radiu w jej samochodzie.

- Mimo to nie powinnaś go używać - tłumaczyłem. - Jest brzydkie.

- Nie musisz mówić do mnie jak do dziecka - stwierdziła. - Mam dziesięć lat.

- To za mało, żeby używać tego słowa - odparłem. - Bez względu na to, jak do ciebie mówię.

- Czyli nie obchodzi cię, co zrobił Anthony? - obruszyła się. - Zależy ci tylko na tym, żebym nie używała tego słowa?

Odetchnąłem głęboko i tylko dzięki nadzwyczajnemu wysiłkowi woli nie staranowałem samochodu przede mną.

- Co zrobił Anthony? - spytałem.

- Powiedział, że nie jestem laską - odpowiedziała Astor. - Bo nie mam cycków.

Poczułem, że moje usta kilka razy otwierają się i zamykają, i dopiero w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że muszę oddychać. Było oczywiste, że wpadłem jak śliwka w kompot, ale równie oczywiste było to, że muszę coś powiedzieć.

- No cóż, ja... ee... yy... - wyartykułowałem głośno i wyraźnie. - To znaczy, mało kto ma cycki w wieku dziesięciu lat.

- Anthony to osioł i tyle - mruknęła posepnie, po czym głosem ociekającym słodyczą dodała: - Dexter, mogę mówić: osioł?

Już otworzyłem usta, żeby coś wyjąkać, ale zanim zdążyłem wydusić choć jedną sylabę, do rozmowy włączył się Cody.

- Ktoś nas śledzi - oznajmił.

Odruchowo zerknąłem w lusterko wsteczne, ale w takim ruchu nie sposób było stwierdzić, czy rzeczywiście mieliśmy ogon.

- Czemu tak sądzisz, Cody? - spytałem. - Po czym poznałeś?

Dostrzegłem w lusterku, że wzruszył ramionami.

- Pan z Cienia - wyjaśnił zwięźle.

Znów westchnąłem. Najpierw Astor z wiązką zakazanych słów, a teraz Cody ze swoim Panem z Cienia. Zanosilo się na jeden z tych niezapomnianych wieczorów, jakie od czasu do czasu zdarzają się wszystkim rodzicom.

- Cody, Pan z Cienia czasem może się mylić - powiedziałem.

Pokręcił głową.

- Ten sam samochód - poinformował mnie.

- Ten sam co kiedy?

- Co na parkingu szpitala - przetłumaczyła Astor - kiedy mówiłeś, że kierowca na nas nie patrzy, chociaż patrzył. I teraz nas śledzi, chociaż ty myślisz, że nie.

Słusznie czy nie, uważam się za człowieka zachowującego rozsądek nawet w sytuacjach urągających zdrowemu rozsądkowi, jak większość tych z udziałem dzieci. W tym momencie jednak uznałem, że pogrążamy się w oparach absurdu i wskazana jest mała lekcja pogładowa. Jeśli od tej pory, zgodnie z moim postanowieniem, miałem iść, ciągle iść w stronę słońca, musiałem wcześniej czy później oduczyć ich korzystania z mrocznej wyobraźni, i równie dobrze mogłem zacząć już teraz.

- No dobrze - powiedziałem. - Zobaczmy, czy naprawdę nas śledzi. Zjechałem na lewy pas i włączyłem migacz. Nikt za nami nie ruszył.

- Widzicie kogoś? - spytałem.

- Nie - odparła Astor, strasznie nadąsana.

Skręciłem w lewo, w ulicę biegnącą obok pasażu handlowego.

- A teraz?

- Nie - rzuciła Astor.

Dodałem gazu i skręciłem w prawo.

- A teraz? - zawołałem wesoło. - Jest ktoś za nami?

- Dexter - burknęła Astor.

Odbiłem w bok, wjechałem dwoma kołami na trawnik przed zwyczajnym domem, takim jak nasz, wcisnąłem hamulec i zatrzymałem wóz.

- A teraz? Śledzi nas ktoś? - powiedziałem, starając się nie okazywać dumy z tego, jak efektownie udowodniłem swoją rację.

- Nie - syknęła Astor.

- Tak - mruknął Cody.

Odwróciłem się, żeby go ofuknąć, i zamarłem w bezruchu. Przez tylną szybę zobaczyłem bowiem oddalony o jakieś dwieście metrów samochód, który powoli się do nas zbliżał. Zachodzące słońce dawało dość światła, by dostrzec błysk czerwonej karoserii wozu pełzającego ku nam poprzecinaną cieniami drzew ulicą. A Mroczny Pasażer, jakby rozbudzony widokiem tych cieni, ostrożnie się wyprostował, rozłożył skrzydła i syknął ostrzegawczo.

Zanim odwróciłem się twarzą do przodu, dałem gaz do dechy, zostawiając za sobą kawałek wyrwanej darni i niemal taranując skrzynkę na listy. Wozem lekko zarzuciło, lecz posłusznie wrócił na jezdnię.

- Trzymajcie się mocno - pouczyłem dzieci i zdjęty uczuciem niepokojąco bliskim panicznego strachu, pomknąłem ulicą i skręciłem w prawo, w kierunku drogi US-1.

Widziałem jadący za mną samochód, ale gdy dotarłem do jedyнки, miałem nad nim sporą przewagę i znów skręciłem w prawo, włączając się do ruchu. Pozwoliłem sobie odetchnąć głęboko, przeciąłem trzy pasy pełne pędzących aut i zająłem lewy. Przemknąłem przez skrzyżowanie na żółtym świetle, kilkaset metrów dalej dostrzegłem przerwę w strumieniu samochodów nadjeżdżających z przeciwnika i z piskiem opon odbiłem w lewo, na kolejną cichą uliczkę osiedlową. Pokonałem dwa skrzyżowania i znów skręciłem w lewo, tak że teraz jechałem równolegle do drogi US-1. Ulica była ciemna i pusta, za nami nie było nawet roweru.

- W porządku - oznajmiłem. - Chyba go zgubiliśmy.

W lusterku zobaczyłem, że Cody wygląda przez tylną szybę. Odwrócił się i kiedy napotkał moje spojrzenie, skinął głową.

- Ale kto to był, Dexter? - spytała Astor.

- Jakiś przypadkowy wariat - powiedziałem z przekonaniem, którego tak naprawdę wcale nie żywiłem. - Niektórych kręci straszenie nieznanym.

Cody zmarszczył brwi.

- Ten sam facet - powiedział. - Ze szpitala.

- Nie możesz tego wiedzieć - stwierdziłem.

- Mogę - upierał się.

- To zwykły zbieg okoliczności - przekonywałem go.

- Ten sam - powtórzył.

- Cody - zacząłem, ale że naprawdę nie chciałem kłótni, na tym poprzestałem. Kiedy będzie starszy, przekona się, że Miami wypełnia imponująca kolekcja rozmaitych świrów, drapieźców i podobnych dziwaków. Nie było jak sprawdzić, dlaczego ktoś nas śledził, i w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Ktokolwiek to był, zniknął.

Na wszelki wypadek jechałem bocznymi ulicami do samego domu, bo a nuż nasz towarzysz podróży miał oko na US-1. Poza tym o zachodzie słońca łatwiej zobaczyć, czy ktoś jest z tyłu, na ciemniejszych, zabudowanych ulicach, z dala od pomarańczowego blasku świateł wzdłuż jedyнки. Nie zauważyliśmy jednak nikogo; raz

czy dwa razy w lusterku wstecznym rozbłysły reflektory samochodu i przy obu okazjach był to jakiś powracający z pracy mieszkaniec, który skręcał na swoją posesję i zatrzymywał się przed domem.

Wreszcie dotarliśmy do przecznicy, która prowadziła do naszego małego bungalowu. Skręciłem w nią i ostrożnie podjechałem do jedyńki, rozglądając się na boki. Nie zobaczyłem nic prócz strumieni aut, z których żadne nie wyglądało złowieszczo, kiedy więc zapaliło się zielone światło, przeciąłem skrzyżowanie, pokonałem dwa zakręty i już byliśmy na naszej ulicy.

- No dobrze - powiedziałem, kiedy na horyzoncie ukazał się nasz skrawek nieba. - Nie mówmy o tym mamie. Tylko by się martwiła. Zgoda?

- Dexter. - Astor przechyliła się przez przednie siedzenie i wskazała na dom. Powiodłem wzrokiem za jej wyciągniętą ręką i dałem po hamulcu tak ostro, że zęby mi zagrzechotały.

Przed bungalowem stał mały czerwony samochód, zwrócony przodem do nas. Światła miał zapalone, silnik włączony i nie musiałem widzieć, kto jest w środku, by poczuć przyspieszony trzepot błoniastych skrzydeł i gniewny syk rozbudzonego Pasażera.

- Zostańcie tu i pozamykajcie zamki - poleciłem, dając Astor moją komórkę. - Jeśli coś się wydarzy, dzwoń na policję.

- Mogę odjechać, jak cię zabiją? - spytała.

- Zostańcie tutaj - powtórzyłem i wziąłem głęboki wdech.

- Umiem prowadzić. - Astor odpięła pas i zaczęła gramolić się na przednie siedzenie.

- Nie ruszaj się - rzuciłem ostro, a w moim głosie rozbrzmiało echo tego innego głosu, głosu zimnego dowódcy. Astor potulnie wróciła na swoje miejsce.

Powoli wysiadłem i stanąłem przed tamtym samochodem. Nie było widać, co jest w środku, ale nie wyczułem żadnego zagrożenia; ot, zwykły mały czerwony samochód z zapalonymi światłami i włączonym silnikiem. Poczułem wprawdzie, że Pasażer bije w taraban - gotów do czynu, lecz bez żadnej wskazówki, przeciwko czemu. Równie dobrze mogły to być warczące piły łańcuchowe, jak i tort rzucony w twarz.

Podszedłem do samochodu, usiłując przygotować jakiś plan działania, co było jednak niemożliwe, bo nie wiedziałem, czego ten ktoś

chce ani kim jest. Nie mogłem dłużej sobie wmawiać, że to przypadkowy wariat - nie, skoro wiedział, gdzie mieszkam. Ale kto to mógł być? Kto miał powód tak się zachowywać? To znaczy kto spośród żywych, bo wiele spośród moich ofiar bez wątpienia chętnie dobrałoby mi się do skóry, ale cóż, one od dawna nie były w stanie robić nic poza rozkładaniem się.

Szedłem naprzód i starałem się być przygotowany na wszystko, co też było niemożliwe wobec braku jakiegokolwiek znaku życia w samochodzie i całkowitego milczenia Pasażera, nie licząc ostrożnego trzepotu skrzydeł.

Miałem do przejścia jeszcze jakieś trzy metry, kiedy szyba od strony kierowcy opuściła się i zastygłem w bezruchu. Przez długą chwilę nie działo się nic, po czym w oknie ukazała się twarz, znajoma i ozdobiona promiennym sztucznym uśmiechem.

- Fajnie było, nie? - spytała. - Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, że zostałem wujkiem?

To był mój brat Brian.

9

Nie widziałem mojego brata od tego pamiętnego wieczoru przed kilkoma laty, gdy spotkaliśmy się – po raz pierwszy jako dorośli – w kontenerze w porcie w Miami i podał mi nóż, żebym pomógł mu w wiwisekcji jego towarzyszką zabawy. Tak jakoś wyszło, że nie mogłem się na to zdobyć. Dziwne, wiem, ale to pewnie dlatego, że ową towarzyszką zabawy była Debora i martwa od lat dłoń Harry’ego zamknęła moją hipotetyczną duszę w tak mocnym uścisku, że nie mogłem skrzywdzić siostry – chociaż z nią nie łączyły mnie więzy krwi, a z Brianem owszem.

Brian był moim jedynym krewnym, przynajmniej o ile wiedziałem, bo sądząc z tego, co udało mi się ustalić na temat naszej rozrywkowej mamuski, wszystko było możliwe. Kto wie, może miałem stadko przyrodnych braci i sióstr na kempingu w Immokalee. Tak czy inaczej, znacznie ważniejsze od łączących nas biologicznych więzów krwi były... hm... więzy krwi zupełnie innego rodzaju. Brian bowiem hartował się w tym samym ogniu, który zmienił mnie w Demona Dextera, i tak jak ja żywił nieprzeparte pragnienie, by ciąć i kroić. Niestety, dorastał bez ograniczeń narzuconych przez wskazujący właściwą drogę kodeks Harry’ego i ochoczo uprawiał swoją twórczość na każdym, kto się napatoczył, jeśli tylko była to względnie młoda kobieta. Kiedy nasze drogi skrzyżowały się po raz pierwszy, skutecznie trzebił szeregi prostytutek w Miami.

Gdy widziałem go ostatnio, odchodził chwiejnym krokiem w noc z kulą w boku – tylko taką przewagę mogłem mu dać na starcie, ze względu na to, że była tam Debora, która miała ochotę porozmawiać z nim w ramach swoich obowiązków służbowych. Najwyraźniej załatwił sobie opiekę medyczną, bo teraz wyglądał jak okaz zdrowia; trochę starszy, oczywiście, ale nadal bardzo podobny do mnie. Był mniej więcej tego samego wzrostu i tej samej budowy co ja, a rysy jego twarzy wydawały się prymitywną, podniszczoną imitacją moich. Patrzyć

na mnie ze swojego małego czerwonego samochodu z wesołą drwiną w pustych oczach, dokładnie tak, jak pamiętałem.

- Dostałeś kwiaty? - spytał, a ja skinąłem głową i ruszyłem naprzód.

- Dobrze wyglądasz - powiedziałem, opierając się o samochód.

- Ty też, drogi braciszku - odparł, wciąż uśmiechnięty. Wyciągnął rękę i poklepał mnie po brzuchu. - Chyba trochę przytyłeś... Twoja żona musi być dobrą kucharką.

- To prawda - przyznałem. - Dbą o mnie. O moje ciało i, hm, duszę.

Parsknęliśmy śmiechem na to słowo rodem z baśni i znów pomyślałem, że dobrze jest znać kogoś, kto naprawdę mnie rozumie. Tej jednej nocy, kiedy byliśmy razem, przez krótką chwilę dane mi było poczuć, czym jest ta więź, przekonać się, co to znaczy być w pełni akceptowanym, a teraz dotarło do mnie, jak wielkie wówczas uczyniłem wyrzeczenie - i może on też, skoro tu był.

Tyle że, rzecz jasna, nic nigdy nie jest aż takie proste, zwłaszcza gdy chodzi o nas, lokatorów Mrocznej Wieży, więc tknęło mnie niejasne podejrzenie.

- Co tu robisz, Brian?

Pokręcił głową z udawanym żalem.

- Już jesteś podejrzliwy? Wobec rodzonego brata?

- No cóż, chyba sam rozumiesz. Zważywszy na okoliczności...

- Też fakt - przyznał. - Może zaprosisz mnie do środka, to pogadamy?

Ta sugestia była jak zimny prysznic. Zaprosić go do domu, w którym moje drugie, starannie odseparowane życie mościło się wygodnie na posłaniu z czystej białej bawełny? Pozwolić, by strużka krwi rozlała się po moim nieskazitelnym adamaszkowym przebraniu? To była okropna myśl i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Poza tym nigdy nikomu nie wyznałem, że mam brata, nie wspominałem o tym nawet Ricie, którą na pewno zaciekawiliby takie niedopatrzenie. Jak mogłem zaprosić go do środka - do świata naleśników Rity, DVD z filmami Disneya i czystej pościeli? Zaprosić go - na wszystko, co przeklęte - do sanktuarium Lily Anne? To się nie godzi. To byłoby świętokradztwo, bluźniercze pogwałcenie...

Pogwałcenie czego? Czyż Brian nie był moim rodzonym bratem? Czy to nie powinno wszystkiego uświęcać? Na pewno mogłem

mu zaufać... ale czy we wszystkim? I czy na tyle, by przedstawić mu moją sekretną tożsamość, moją Fortecę Samotności - a nawet Lily Anne, mój kryptonit?

- Nie śliń się, braciszku - powiedział, przerywając moje rozterki. - Zupełnie ci z tym nie do twarzy.

Bezwiednie otarłem rękawem kąciki ust, wciąż rozpaczliwie szukając składnej odpowiedzi. Zanim jednak wydobyłem z siebie choć jedną sylabę, zatrąbił klakson. Odwróciłem się i zobaczyłem zagniewaną Astor patrzącą przez przednią szybę mojego samochodu. Obok był Cody, milczący i czujny. Widziałem, że Astor wierci się i mówi bezgłośnie: „Szybciej, Dexter!” Znowu zatrąbiła.

- Twoje przybrane dzieci - rzekł Brian. - Na pewno urocze z nich smyki. Przedstawisz mnie?

- Hm - odparłem imponująco stanowczym tonem.

- Dexter, nie bądź taki. Przecież ich nie zjem. - Parsknął śmiechem, który wcale mnie nie uspokoił, ale jednocześnie przypominałem sobie, że przecież Brian to mój brat, a Cody i Astor bynajmniej nie są bezbronni, co już nieraz udowodnili. Chyba nic złego się nie stanie, jeśli pozwolę, żeby poznali swojego... hm... przybranego wujka?

- No dobra - zdecydowałem i przywołałem dzieciaki machnięciem ręki.

W tempie godnym najwyższego uznania wypadli z samochodu i podbiegli do nas. Brian w tym samym czasie ledwo zdążył wysiąść i stanąć obok mnie.

- No, no - mruknął. - Jakie ładne dzieci!

- Ładny to jest on - stwierdziła Astor. - Ja jestem śliczna, dopóki nie urosną mi cycki, a wtedy będę laską.

- Nie wątpię - powiedział Brian i zwrócił się do Cody'ego. - A ty, mały mężczyzno, to zapewne... - urwał w pół zdania.

Cody stał wpatrzony w Briana, z szeroko rozstawionymi nogami i rękami zwisającymi sztywno u boków. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, usłyszałem szelest rozpościerających się błoniastych skrzydeł, mroczne powitanie bliźniaczych wewnętrznych widm. Długo wpatrywali się w siebie, aż w końcu Cody spojrział na mnie.

- Taki jak ja - powiedział. - Pan z Cienia.

- Nadzwyczajne - stwierdził Brian i Cody znów wbił w niego wzrok. - Bracie, coś ty zrobił?

- Bracie? - wtrąciła Astor, wyraźnie spragniona swoich pięciu minut w blasku reflektorów. - To twój brat?!

- Tak - potwierdziłem i odpowiedziałem Brianowi: - Nic nie zrobiłem. To przez ich biologicznego ojca.

- Bardzo nas bił - wyjaśniła rzeczowo Astor.

- Rozumiem. - Brian skinął głową. - I tym samym spowodował Traumatyczne Przeżycie, które kształtuje nas wszystkich.

- Na to wychodzi - przyznałem.

- I co zrobiłeś z tak wspaniałym potencjałem? - spytał Brian, nie odrywając oczu od Cody'ego.

To było bardzo niewygodne pytanie, bo przecież pierwotnie planowałem poprowadzić ich Drogą Harry'ego, a teraz ów zamysł równie ochoczo porzuciłem. Nie miałem ochoty mówić o tym otwarciu, przynajmniej nie w tej chwili.

- Wejdźmy do środka - zaproponowałem. - Napijesz się czegoś?

Brian odwrócił swoje puste oczy od Cody'ego, po czym utkwił je w moich.

- Bardzo chętnie, braciszku - powiedział i zerknąwszy okiem na dzieci, ruszył w stronę drzwi.

- Nie mówiłeś, że masz brata - zauważyła Astor.

- Takiego jak my - dodał Cody.

- Nie pytaliście - wyjaśniłem, dziwnie podenerwowany całą sytuacją.

- Było powiedzieć - stwierdziła Astor, a Cody spojrzał na mnie z wyrażającym tę samą myśl niewypowiedzianym wyrzutem, jakbym zawiódł jego zaufanie.

Brian jednak stał już przy drzwiach, więc odwróciłem się i podszedłem do niego. Ruszyli za mną, wyraźnie nadąsani, i pomyślałem, że na pretensjach się nie skończy. Co powiem Ricie, kiedy spyta o Briana - a spyta na pewno? Teoretycznie to przecież zrozumiałe, że nie wspominałem im o moim bracie. Zważywszy na to, że Brian był taki jak ja, tylko bez ograniczeń narzuconych przez Harry'ego, że był swoistym Dexterem Wyzwolonym, co właściwie mógłbym im powiedzieć? Tak naprawdę najwłaściwiej byłoby

przedstawić go słowami: „To mój brat, więc uciekajcie, jeśli wam życie miłe!”

Z drugiej strony, po naszym jedynym – krótkim, ale przyprawiającym o zawrót głowy – spotkaniu nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy. Nie wiedziałem nawet, czy Brian przeżyje. Jak widać, udało mu się – ale po co wrócił? Wydawało się, że rozsądniej byłoby trzymać się z dala. Debora na pewno go pamiętała. Takich spotkań się nie zapomina, a moja siostra należy do osób, które czerpią dużą zawodową satysfakcję z aresztowania ludzi jego pokroju.

Doskonale wiedziałem, że nie wrócił przez sentyment do mnie. On nie ulegał sentymentom. Dlaczego więc tu był i co miałem z tym fantem zrobić?

Brian spojrział na mnie spod uniesionych brwi i uznałem, że pierwsze, co należy zrobić, to otworzyć mu drzwi i wpuścić go do środka. Tak też uczyniłem. Skłonił się lekko i wszedł, a Cody i Astor wtarabanili się za nim.

- Jaki uroczy dom – odezwał się, rozglądając po salonie. – Taki... rodzinny.

Na postrzępionej kanapie walały się płyty DVD, na podłodze piętrzył się stos skarpet, na stoliku leżały dwa puste pudełka po pizzy. Rita spędziła w szpitalu prawie trzy dni, a po powrocie dziś rano nie miała siły sprzątać. Ja zaś, choć lubię przebywać w schludnym otoczeniu, byłem zbyt zabiegany, by się tym zająć, i w rezultacie dom nie prezentował się rewelacyjnie. Mało powiedziane. Panował straszny bałagan.

- Przepraszam cię – powiedziałem do Briana. – Ostatnio byliśmy trochę...

- Tak, wiem, jakie spotkało was szczęście – wszedł mi w słowo. – Czymże byłoby życie bez odrobiny rodzinnej sielanki?

- Co to znaczy? – spytała Astor.

- Dexter? – zawołała Rita z sypialni. – Czy to... jest ktoś z tobą?

- To ja – powiedziałem.

- Jest tu jego brat – oznajmiła Astor bojowym tonem.

Nastąpiła cisza, którą po chwili przerwał nerwowy szelest i z sypialni wyłoniła się Rita, przeczesująca dłonią zmierzwiłone włosy.

- Brat? - zdziwiła się. - Przecież to... Och. - Znieruchomiła w pół kroku, wpatrzona w Briana.

- Witam panią - odezwał się Brian z ostrą jak nóż ironiczną radością.
- Jaka pani piękna. Dexter zawsze miał znakomity gust.

Rita zamachała rękami koło głowy.

- O mój Boże, a ja taka nieogarnięta - wykrztusiła. - I dom... Ale...
Dexter, nigdy nie mówiłeś, że masz brata, a to przecież...

- Tak, szanowna pani - wtrącił Brian. - I bardzo przepraszam, że sprawiam kłopot.

- To przecież twój brat - dokończyła Rita. - A nic nie mówiłeś.

Czułem, że szczeka mi się porusza, ale choć wyteżczałem słuch, nie słyszałem, bym cokolwiek mówił. Brian patrzył na mnie przez chwilę z nieskrywanym rozbawieniem, zanim w końcu raczył się odezwać.

- Obawiam się, że to moja wina - rzekł. - Dexter myślał, że od dawna nie żyję.

- Otóż to - rzuciłem jak aktor, który zapomniał kwestii i rozpaczliwie improwizuje.

- Mimo wszystko... - Rita wciąż bezwiednie poprawiała włosy. - To znaczy nigdy nie... zawsze mówiłeś, że jesteś... Jak mogłeś nie...

- To bardzo bolesne - wybąkałem niepewnie. - Nie lubię o tym mówić.

- Mimo wszystko - powtórzyła Rita i choć nie było żadnego przewodnika po grząskim terenie, na który wkroczyliśmy, wiedziałem, że to jeszcze nie koniec. Dlatego w nadziei, że wprowadzę nas wszystkich na pewniejszy grunt, powiedziałem pierwsze składne słowa, jakie przysły mi do głowy.

- Mogłabyś nam zrobić kawy?

- Och - sapnęła Rita i jej irytacja natychmiast przeszła w skruchę. - Przepraszam... Czy macie ochotę... tak, oczywiście, usiądźcie. - Podeszła do kanapy i uprzątnęła ją serią precyzyjnych ruchów, z których cała rodzina mogła być dumna. - Proszę. - Położyła naręcze kłopotów obok kanapy i pomachała na Briana. - Usiądź i... aha! Jestem Rita.

Mój brat Brian wystąpił naprzód i serdecznie uściśnił jej dłoń.

- A ja Brian - powiedział. - I to ty usiądź, moja droga; powinnaś jeszcze odpoczywać.

- Och... - Nie do wiary, ale Rita się zarumieniła. - Ale przecież kawa...

- Chyba Dexter nie jest aż tak beznadziejny, że nie umie zrobić kawy? - zażartował Brian, a Rita zachichotała.

- Niech spróbuje, przekonamy się - zaszcebiotała zalotnie, opadając na kanapę. - Dexter, mógłbyś z łaski swojej... trzy łyżeczki na sześć kubków, a wodę wlewa się do...

- Poradzę sobie - burknąłem i jeśli byłem naburmuszony, to kto miał do tego większe prawo niż ja? Brian siedział obok mojej żony na mojej kanapie, a ja maszerowałem do kuchni zrobić kawę. Gdy napełniałem dzbanek pod kranem i wlewałem wodę do ekspresu, usłyszałem cichy szelest składanych nietoperzych skrzydeł, wskazujący, że Pasażer przyjął pozycję „spocznij”. Z lodowatych zwojów rzekomo potężnego mózgu Dextera dobiegały tylko zakłopotane, niepewne bąknięcia. Ziemia uciekała mi spod nóg; czułem się nagi, zagrożony i napastowany przez wszystkie nikczemne zastępy nocy.

Dlaczego mój brat wrócił? I dlaczego czułem się z tego powodu nieswojo?

Kilka minut później wlałem kawę do kubków i postawiłem je na tacy razem z cukiernicą i dwiema łyżeczkami. Ostrożnie zaniósłem tacę do salonu i w drzwiach stanąłem jak wryty. Zobaczyłem obraz rodzinnego szczęścia, uroczy pod każdym względem – poza faktem, że nie było na nim mnie. Brian rozsiadł się na kanapie z Ritą, jakby mieszkał tu od zawsze. Cody i Astor stali obok i patrzyli na niego z fascynacją, a ja oglądałem tę scenkę rodzajową z narastającym zakłopotaniem. Brian na mojej kanapie, Rita nachylona ku niemu i coś mu opowiadająca, i obserwujący ich Cody i Astor – to był po prostu surrealizm. Poszczególne elementy obrazu nie pasowały do siebie, ale całość bulwersowała; zupełnie jakby pójść na mszę do katedry i zastać parę kopulującą na ołtarzu.

Brian zachowywał stoicki spokój – co jest jedną z zalet nieposiadania uczuć. Tak dobrze mu się siedziało na mojej kanapie, jakby na niej dorastał. I jakby chcąc podkreślić fakt, że to miejsce należało się bardziej jemu niż mnie, gdy zauważył, że czaję się z kawą, wskazał ręką fotel obok kanapy.

- Siadaj, braciszku – powiedział. – Czuj się jak u siebie w domu.

Rita wyprężyła się jak struna, a Cody i Astor odwrócili głowy i patrzyli, jak podchodzę z kawą.

- Och, Dexter! – wykrzyknęła Rita, z lekką skruchą, jak mi się zdawało. – Zapomniałeś o śmietance. – I zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, pognęła do kuchni.

- Ciągle nazywasz go braciszkiem – zwróciła się Astor do Briana. – Czemu nie mówisz mu po imieniu?

Brian zamrugał nerwowo i poczułem przyływ braterskich uczuć. Więc nie tylko ja tak mam; jego też Astor potrafiła doprowadzić do stanu, w którym człowiek może porozumiewać się z otoczeniem jedynie ruchami gałek ocznych.

- Nie wiem – wykrztusił w końcu. – Pewnie dlatego, że nasze pokrewieństwo było zaskoczeniem dla nas obu.

Cody i Astor jak na komendę spojrzeli na mnie.

- Tak - potwierdziłem i to była święta prawda. - Kompletnym zaskoczeniem.

- Dlaczego? - zdziwiła się Astor. - Dużo ludzi ma braci.

Nie miałem pojęcia, jak to wyjaśnić, więc żeby zyskać na czasie, postawiłem tacę na stole i opadłem na fotel. I znów to Brian przerwał milczenie.

- Wielu ludzi ma też rodziny - powiedział. - Choćby wy dwoje. Ale mój braciszek... Dexter i ja nie. My zostaliśmy, no cóż, porzuceni. W bardzo nieprzyjemnych okolicznościach. - Obdarzył ją promiennym uśmiechem i tym razem dostrzegłem, choć może tylko mi się wydawało, autentyczny błysk w jego oczach. - Zwłaszcza ja.

- Co to znaczy? - spytała Astor.

- Byłem sierotą - odparł Brian. - Wychowywałem się w rodzinach zastępczych, które mnie nie lubiły i tak naprawdę wcale mnie nie chciały, ale płacono im za opiekę nade mną.

- Dexter miał dom - zauważyła Astor.

Brian skinął głową.

- Tak, to prawda. A teraz ma następny.

Poczułem na plecach dotyk zimnych szponów. W słowach Briana nie było żadnej groźby, ale...

- Musicie docenić, jak wielkie macie szczęście - powiedział. - Mielicie dom i kogoś, kto was rozumie. - Spojrzał na mnie i znów się uśmiechnął. - A teraz macie trzech takich ktosiów - dodał i z obrzydliwie sztuczną miną puścił do nich oko.

- To znaczy, że będziesz do nas przychodził? - chciała wiedzieć Astor. Brian uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Czemu nie - rzucił. - W końcu od czego jest rodzina?

Te słowa pobudziły mnie do czynu. Nachyliłem się ku Brianowi, jakby ktoś szturchnął mnie w plecy.

- Jesteś pewien? - spytałem. Czułem, że słowa zmieniają się w moich ustach w bezkształtne grudy, lecz mimo to jąkałem się dalej. - To znaczy... wiesz... świetnie, że cię widzę i w ogóle, ale... to pociąga za sobą pewne ryzyko.

- Jakie? - zaciekawiała się Astor.

- Potrafię być ostrożny - powiedział Brian do mnie - o czym obaj dobrze wiemy.

- No tak, ale... rozumiesz, może tu przyjść Debora - wyjaśniłem.

- Nie odwiedziła was od dwóch tygodni - odparł i spojrzał na mnie spod drwiąco uniesionych brwi. - Mam rację?

- Skąd to wiesz? - spytała Astor. - I dlaczego to takie ważne, czy ciocia Debora przyjdzie, czy nie?

Bardzo mnie zaciekawiły te „dwa tygodnie”, wskazujące, jak długo Brian nas obserwował. A to, czy ciocia Debora przyjdzie, było ważne, i to bardzo. Gdyby zastała Briana, obaj mielibyśmy przechlapane. Ale mój brat miał rację: Debora ostatnio rzadko nas odwiedzała. Właściwie nie zastanawiałem się, dlaczego, lecz sądząc po jej załamaniu wywołanym faktem, że dorobiłem się rodziny wcześniej niż ona, mogłem się domyślać, że z jakiegoś powodu jest to dla niej bolesne.

Szczęśliwie los oszczędził mi kolejnej lekcji dynamiki relacji wewnątrzrodzinnych, bo w tym momencie Rita przyniosła dzbanuszek ze śmietanką i nawet talerz ciastek.

- Proszę. - Złożyła przed nami swoje brzemie i zaczęła wszystko przedstawiać tak, by wyglądało idealnie. Wszak była Ritą Przepotęzną, niepodzielną Władczynią Ogniska Domowego i Spraw Kuchennych. - Mieliśmy jeszcze trochę tej jamajskiej kawy, o której mówiłeś, że jest taka dobra. To ją zaparzyłeś? - Skinąłem głową bez słowa, a ona dalej przesuwiała rzeczy po stoliku. - Bo skoro tobie tak bardzo smakowała, pewnie twojemu bratu też będzie smakować. - Położyła tak wielki nacisk na słowo „bratu”, iż byłem pewien, że ten temat nie został jeszcze zamknięty.

- Pachnie cudownie - westchnął Brian. - Od razu się ożywiłem.

Zabrzmiało to tak sztucznie, iż byłem przekonany, że Rita odwróci się do niego z uniesionymi brwiami i pogardliwym grymasem. Ona jednak, o dziwo, lekko się zarumieniła, klapnęła z powrotem na kanapę i podsunęła mu kubek.

- Pijesz ze śmietanką i cukrem? - spytała.

- Och, nie - odparł Brian i uśmiechnął się do mnie. - Lubię czarną. Jak noc.

Rita odwróciła uszko kubka w jego stronę i rozłożyła obok małą serwetkę.

- Dexter lubi słodką - powiedziała.

- Kiedy na ciebie patrzę, moja droga - rozpląwał się Brian - doskonale go rozumiem.

Nie wiem, jakie straszliwe cierpienie zmieniło go w tę Fontannę Fałszu, ale mogę tylko mieć nadzieję, że przynajmniej nie był zdolny odczuwać wstydu. Zawsze szczyliłem się tym, że jestem wygadany i przy tym raczej wiarygodny; Brian najwyraźniej nie nauczył się ani jednego, ani drugiego. Jego komplementy były prymitywne, mało subtelne i ewidentnie sztuczne. W dalszej części wieczoru - przy kawie, a potem pizzy, bo, oczywiście, musiał zostać na kolacji - sypał nimi jak z rękawa. Czekałem, kiedy rozstąpią się niebiosa i potężny głos z góry powie mu, żeby zajął usta czymś innym, jak ująłby to Harry. Tymczasem im bardziej żenujące były pochlebstwa Briana, tym większą radość sprawiały Ricie. Nawet Cody i Astor patrzyli na niego w niemym podziwieniu.

A jakby tego było mało, kiedy Lily Anne zaczęła grymasić w sąsiednim pokoju, Rita przyniosła ją do salonu. Brian dał wówczas jeszcze bardziej efektowny pokaz, wychwalając pod niebiosa jej stópki, nos, małe prześliczne paluszki i nawet to, jak płakała. Rita, przeszczęśliwa, uśmiechała się, kiwała głową, a wreszcie rozpięła bluzkę, żeby nakarmić Lily Anne na oczach nas wszystkich.

Ogólnie rzecz biorąc, był to jeden z najbardziej krępujących wieczorów od... cóż, szczerze mówiąc, od ostatniego spotkania z Brianem. Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że nie mogłem nic powiedzieć ani zrobić - po części dlatego, że nie wiedziałem, co właściwie tak mnie w tym wszystkim razi. Przecież, co Rita powtórzyła z lubością chyba ze trzy razy, byliśmy rodziną. Dlaczego nie mielibyśmy siedzieć przy jednym stole i przerzucać się wesołymi kłamstwami? Czyż nie to właśnie robią rodziny?

Kiedy koło dziewiątej Brian wreszcie zaczął się zbierać, Rita i dzieci były zauroczone swoim nowym krewnym. Ich stary krewny - Papcio Dexter - najwyraźniej jako jedyny z całego towarzystwa czuł się podenerwowany, stropiony i ogólnie niepewny swego. Odprowadziłem Briana do drzwi, gdzie Rita mocno go wyściskała i poprosiła,

żeby przychodził, kiedy tylko zechce, a Cody i Astor podali mu rękę gestem, który najlepiej oddaje słowo „przymilny”.

Wcześniej nie miałem szans pogadać z Brianem na osobności, bo przez cały wieczór był otoczony tłumem wielbicieli. Dlatego skorzystałem z okazji i odprowadziłem brata do samochodu, uprzednio zamknąwszy drzwi przed nosami jego wiernych fanów. Zanim wsiadł do swojego czerwonego autka, spojrział na mnie i rzekł:

- Uroczą masz rodzinę, braciszku. Lepszej nie można sobie wymarzyć.

- Nadal nie wiem, co tu robisz - odparłem.

- Naprawdę? - zdziwił się Brian. - Czy to nie oczywiste?

- Do bólu - stwierdziłem. - Ale niezrozumiałe.

- Tak trudno uwierzyć, że chcę być częścią rodziny?

- Tak.

Przechylił głowę na bok i popatrzył na mnie z doskonałą pustką w oczach.

- Czy nie to właśnie zbliżyło nas do siebie za pierwszym razem? - spytał. - Czy to nie całkowicie normalne?

- Może i tak - przyznałem. - Ale my nie jesteśmy normalni.

- Święta prawda, niestety - powiedział z nieszczerym westchnieniem. - Mimo to jakoś tak zacząłem o tobie myśleć. O moim jedynym krewnym.

- O ile wiemy - odparłem i ku swemu zaskoczeniu usłyszałem, że wypowiedział te same słowa w tym samym momencie.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy też to zauważył.

- No widzisz? - rzekł. - Z DNA nie wygrasz. Jesteśmy na siebie skazani, braciszku. Jesteśmy rodziną.

I choć ta sama myśl raz po raz świtała mi w głowie przez cały wieczór, a teraz znów powróciła, jakoś mnie nie uspokoiła. Kładąc się do łóżka, wciąż czułem, jak niespokojne pazurki skradają się po moim grzbiecie.

To była niespokojna noc, z wysepkami snu rozdzielonymi głębokimi trzęsawiskami lękliwego czuwania. Czułem się napastowany przez coś, co mogłem nazwać tylko bezimiennym strachem, przez jakies przyczajone monstrum ośmielane bezgłośnym niepokojem Pasażera, który po raz pierwszy wydawał się całkowicie zbity z tropu, skołowany tak samo jak ja. Pewnie mógłbym zapędzić bestię do klatki i wywalczyć kilka godzin błogiej nieświadomości - no ale była jeszcze Lily Anne.

Okazało się, że słodka, kochana, niezastąpiona Lily Anne, serce i dusza nowego ludzkiego „ja” Dextera, ma jeszcze jeden cudowny talent, bijący na głowę wszystkie inne jej zalety. Były to nadzwyczaj potężne płuca, których siłę demonstrowała nam wszystkim, co dwadzieścia minut przez całą noc. I jakimś złośliwym zrzędzeniem losu, ilekroć zdołałem na chwilę zapaść w sen, idealnie zbiegało się to w czasie z kolejnym atakiem płaczu Lily Anne.

Ricie ten hałas zdawał się nie przeszkadzać, przez co bynajmniej nie zyskała w moich oczach. Gdy tylko dziecko zaczynało ryczeć, mówiła, nie otwierając oczu, „Przynies ję, Dexter”, po czym spały razem do czasu, kiedy Rita, znów nie otwierając oczu, mruzczała: „Odnieś ję, Dexter”. Wtedy szedłem chwiejnym krokiem do łódeczka, kładłem w nim Lily Anne i przykrywałem ją starannie, błagając w duchu, żeby - proszę, proszę - pospała choć jedną jedyną godzinkę.

Kiedy jednak wracałem do łóżka, sen nie nadchodził. Choć nie znoszę banałów, to autentycznie przewracałem się z boku na bok i ani na jednym, ani na drugim nie było mi wygodnie. A jeśli nawet zasypiałem, z jakiegoś powodu opadały mnie sny, i to bynajmniej nie kolorowe. Z reguły nie śnię w ogóle, bo, jak sędzę, aby śnić, trzeba mieć duszę, a że ja takiej nie posiadam, zasypiając, zapadam w błogi niebyt, niezakłócany przez podświadomość.

Lecz w dusznym mroku tej nocy Dexter śnił. Obrazy były tak skotłowane jak pościel: Lily Anne ściskająca nóż w małej piątce, Brian padający w kałużę krwi, podczas gdy Rita karmi piersią Dextera,

Cody i Astor pływający w tej samej obrzydliwie czerwonej brei. Co typowe dla wszelkich tego typu bzdetów, chociaż nie miało to ani krzty sensu, budziło głęboki niepokój gdzieś na dolnej półce mojej wewnętrznej szafki, i następnego ranka ledwo zwlokłem się z łóżka.

Dotarłem do kuchni o własnych siłach i Rita z hukiem postawiła przede mną kawę, bez cienia ostrożności, z jaką obchodziła się z kubkiem Briana. Załedwie ta niegodna myśl przemknęła mi przez głowę, Rita ją podchwyciła, jakby za sprawą telepatii.

- Brian wydaje się fantastycznym facetem - powiedziała.

- To prawda - odparłem, tłumacząc sobie, że „wydaje się” to zupełnie co innego niż „jest”.

- Dzieci go polubiły - dodała, tylko pogłębiając uczucie dyskomfortu, na które moja przedkawowa półświadomość nie mogła nic poradzić.

- No cóż... - Siorbnąłem kawę, błagając ją w duchu, żeby zadziałała jak najszybciej i pobudziła mój mózg do działania. - Właściwie nigdy nie miał do czynienia z dziećmi i...

- Czyli wszyscy na tym skorzystamy - podchwyciła wesoło Rita. - Był kiedykolwiek żonaty?

- Nie sędzę.

- Nie wiesz? - zdumiała się. - No nie, Dexter... przecież to twój brat.

Może stało się to za sprawą wybuchu moich nowych, ludzkich uczuć, ale irytacja w końcu przebiła się przez poranne otępienie.

- Wiem, że to mój brat - burknąłem. - Nie musisz mi o tym przypominać.

- Powinieneś był mi powiedzieć - stwierdziła.

- Ale nie powiedziałem - odparowałem logicznie, lecz wciąż zrzędlwym tonem. - Możemy zmienić temat?

Widać było, że ma jeszcze wiele do powiedzenia na ten temat, ale bardzo rozsądnie ugryzła się w język. Za to podała mi niedosmażone jajka, więc poczułem autentyczną ulgę, kiedy wreszcie porwałem Cody'ego i Astor i uciekłem z domu. Niestety, jak wszyscy wiemy, los bywa złośliwy.

- Dexter, dlaczego nic nam nie powiedziałeś o wujku Brianie? - spytała Astor, kiedy wrzuciłem bieg.

- Myślałem, że umarł - odparłem z nadzieją, że to utnie dyskusję.

- Ale nie mamy żadnych innych wujków - zauważyła. - Wszyscy mają, a my nie. Melissa ma aż pięciu.

- Melissa musi być fascynująca - powiedziałem i wyminąłem duży wóz sportowo-terenowy, który bez widocznego powodu zatrzymał się na środku drogi.

- To fajnie, że mamy wujka - stwierdziła Astor. - I lubimy wujka Briana.

- Jest spoko - cicho dodał Cody.

Miło było słyszeć, że polubili mojego brata, i powinno mnie to niezmiernie uradować, ale tak się nie stało. Ich deklaracje tylko wzmogły podszyte wrogością napięcie, które narastało we mnie od chwili, kiedy Brian się pojawił. Niewątpliwie coś knuł - byłem tego pewien jak własnego imienia - i dopóki nie dowiem się co, będę musiał znosić ten niejasny lęk. Czuję go, kiedy zostawiłem dzieci przed szkołą i ruszyłem do pracy.

Choć raz po ulicach Miami nie walały się żadne bezgłowe trupy straszące turystów i jakby dla uczczenia tego wielce tajemniczego zjawiska Vince Masuoka przyniósł pączki. Wymęczony bojami na froncie rodzinnym uznałem, że trzeba należycie docenić ten fakt.

- Ave, pączku, niebiosa mi cię zesłały - odezwałem się do Vince'a, kiedy wszedł, taszcząc pudełko z ciastkami.

- Ave, Dexterusie Maximusie - odparł. - Niosę dary od Galów.

- Francuskie pączki? Chyba nie dodają do nich pietruszki?

Podniósł wieczko, odsłaniając rzędy lśniących pączków.

- Bez pietruszki i bez nadzienia ze ślimaków - zapewnił. - Za to z kremem bawarskim.

- Poproszę senat, żeby zorganizował triumf na twoją cześć - powiedziałem, łapiąc pierwszego z brzegu. W świecie zbudowanym na fundamentach miłości, mądrości i dobroci z tą chwilą mój dotąd wybitnie nieudany poranek zmieniłby się na lepsze. Tyle że nasz świat aż tak rozkoszny nie jest, toteż ledwie pączek zdążył umościć się w moim żołądku, gdzie było jego miejsce, telefon przypomniał o sobie natrętnym terkotem i nie wiedzieć czemu, po samym dźwięku poznałem, że to Debora.

- Co robisz? - spytała, nie mówiąc nawet „cześć”.

- Trawię pączka - odparłem.

- To chodź tu i przetraw go w moim gabinecie - rzuciła i się rozłączyła.

Nie sposób kłócić się z kimś, kto już odłożył słuchawkę - z czego Debora na pewno świetnie zdawała sobie sprawę - więc zamiast zadać sobie trud wybrania jej numeru, poszedłem do wydziału zabójstw. Gabinet Deb tak naprawdę nie jest gabinetem, tylko wydzieloną częścią boksu, ale że wyraźnie nie była w nastroju do roztrząsania podobnych szczegółów, dałem temu spokój.

Siedziała za biurkiem i ścisnęła w rękę coś, co wyglądało jak oficjalny raport. Jej nowy partner, Deke, stał przy oknie z wyrazem bezmyślnego rozbawienia na nieprzyzwoicie urodziwej twarzy.

- Zobacz. - Debora trzepnęła plik kartek grzbietem dłoni. - Co za syf. Dasz wiarę?

- Nie - odparłem. - Bo z tak daleka nie widzę tego syfu.

- Pan Dołek w Brodzie - powiedziała, wskazując Deke'a - poszedł przesłuchać rodzinę Spanos.

- I co? - wtrącił Deke.

- I znalazł mi podejrzanego - ciągnęła Deb.

- Osobę, która może mieć związek ze sprawą - sprostował Deke ze śmiertelną powagą. - Tak naprawdę nie jest podejrzanym.

- To nasz jedyny trop, do cholery, a ty czekasz całą noc - warknęła Deb. - Muszę to wyczytać w cholernym raporcie o wpół do dziesiątej rano.

- Musiałem go wystukać na komputerze - zaznaczył z lekką urazą.

- Zaginęły dwie dziewczyny, kapitan siedzi mi na karku, w prasie wrze jak w reaktorze przed wybuchem, a ty piszesz raport, zamiast mi powiedzieć, co się dzieje - wściekała się Debora.

- No i co z tego? - Deke wzruszył ramionami.

Debora zazgrzytała zębami. Naprawdę? Dotąd tylko o tym czytałem, głównie w opowiadaniach fantastycznych, i nigdy nie sądziłem, że zdarza się w rzeczywistości, a tu proszę. Patrzyłem zafascynowany, jak moja siostra zgrzytała zębami i już otwiera usta, żeby powiedzieć coś bardzo zjadliwego. Zamiast tego cisnęła raport na biurko i mruknęła:

- Przynieś kawę, Deke.

Wyprostował się, cmoknął i wymierzył palec w Deborę.

- Śmietanka i dwie kostki cukru - powiedział, po czym niespiesznie ruszył w stronę ekspresu w głębi korytarza.

- Myślałem, że pijesz czarną - odezwałem się, kiedy zniknął.

Debora wstała.

- Jeśli to jego ostatnia wtopa, będę najszczęśliwszą dziewczyną na świecie - mruknęła. - Chodź.

Mówiąc to, już szła korytarzem w przeciwnym kierunku niż Deke. Uznawszy, że wszelkie moje protesty byłyby bezcelowe, westchnąłem tylko i ruszyłem za nią, ciekawy, czy nauczyła się takiego zachowania z poradnika *Zarządzanie metodą buldożera*.

Dogoniłem ją przy windzie.

- Czy będę żądał zbyt wiele, jeśli spytam, dokąd jedziemy?

- Tiffany Spanos - burknęła i dwa razy walnęła przycisk ze strzałką w dół. - Starsza siostra Tyler.

Zajął mi to chwilę, ale kiedy drzwi windy się rozsunęły, przypomniałem sobie.

- Tyler Spanos - powiedziałem, wchodząc za Deb do kabiny. - Dziewczyna, która zaginęła razem z Samanthą Aldovar.

- Uhm. - Drzwi zasunęły się, windą szarpnęło i zaczęliśmy zjeżdżać w dół. - Przyglup rozmawiał z Tiffany Spanos o jej siostrze. - Domyśliłem się, że „Przyglup” to Deke, więc tylko skinąłem głową. - Tiffany twierdzi, że Tyler od jakiegoś czasu kręciły te gotyckie pierdoły i na jednej imprezie poznała gościa, który był, jakby to powiedzieć, gotem do kwadratu.

Wiodę wprawdzie bardzo niewinny żywot, ale zawsze myślałem, że styl gotycki to moda dla nastolatków o niezdrowej cerze, dotkniętych wyjątkowo paskudną formą lęku egzystencjalnego. O ile się orientuję, wszystko sprowadza się do pielęgnowania wizerunku opartego na czarnych ubraniach, chorobliwie bladej skórze i słuchaniu europejskiego technopopu z tęsknym spojrzeniem utkwionym w DVD z filmem *Zmierzch*. Wydawało mi się, że trudno wymyślić coś takiego do kwadratu, ale wyobraźnia Debory najwyraźniej nie znała tego rodzaju granic.

- Co to znaczy „got do kwadratu”? - spytałem potulnie.

Deb przeszła mnie wzrokiem.

- Gość jest wampirem - odparła.

- Wampirem? - przyznam, że byłem zaskoczony. - W tych czasach? W Miami?

- Uhm - mruknęła. - Nawet zęby sobie spiłował.

Drzwi windy rozsunęły się i Debora wyszła.

- Czyli jedziemy zobaczyć się z tym gościem - powiedziałem, usiłując za nią nadążyć. - Jak się nazywa?

- Vlad - odparła. - Chwytiliwe, co?

- Vlad i jak dalej?

- Nie wiem.

- Ale wiesz, gdzie mieszka? - spytałem.

- Znajdziemy go - rzuciła, nie zwalniając kroku.

Uznałem, że miarka się przebrała. Złapałem ją za ramię. Odwróciła się i przeszła mnie wzrokiem.

- Debora, co my, do cholery, robimy?

- Muszę wyjść. Jeszcze minuta z tym bezmózgim worem mięśni i zwariuję. - Próbowwała się wyrwać, ale nie puszczałem.

- Jestem tak samo skłonny uciec od twojego partnera, jak każdy - zapewniłem. - Ale podobno mamy kogoś znaleźć, a nie znamy ani jego nazwiska, ani adresu. Więc dokąd idziemy?

Znów spróbowała wyrwać się z mojego uścisku, tym razem udanie.

- Do kawiarenki internetowej - odparła. - Nie jestem głupia.

Najwyraźniej w przeciwieństwie do mnie, bo znów mogłem tylko pognać za nią, kiedy wypadła przez drzwi na parking.

- Ty płacisz za kawę! - zawołałem słabo, usiłując ją dogonić. Kawiarenka internetowa była zaledwie dziesięć przecznic dalej, więc ani się obejrzałem, a już siedziałem przy klawiaturze z kubkiem całkiem porządnej kawy i Deborą wierzącą się niecierpliwie na sąsiednim krześle. Moja siostra jest znakomitym strzelcem i bez wątplenia ma wiele innych zalet, ale dopuścić ją do komputera to jak poprosić osła, żeby zatańczył polkę, dlatego bardzo mądrze googlowanie zostawiła mnie.

- No dobrze - westchnąłem - mogę wpisać „Vlad”, ale co...

- Stomatologia kosmetyczna - weszła mi w słowo. - Nie bądź dupkiem.

Skinąłem głową. Sprytnie, pomyślałem, ale przecież to ona była wykwalifikowaną śledczą. Po kilku minutach miałem listę dentystów

z Miami, którzy oferowali usługi kosmetyczne.

- Wydrukować? - spytałem.

Deb spojrzała na długą listę i przygryzła wargę tak mocno, że pomyślałem, że jeszcze trochę i sama będzie potrzebowała dentysty.

- Nie - odparła i sięgnęła po komórkę. - Mam pomysł.

Pomysł musiał być ściśle tajny, bo mi go nie ujawniła, ale niewątpliwie zadzwoniła pod numer z szybkim wybieraniem, gdyż po zaledwie kilku sekundach powiedziała:

- Tu Morgan. Daj mi numer tego biegłego dentysty. - Zaczęła pisać w powietrzu na znak, że potrzebny jej długopis.

Znalazłem jakiś obok klawiatury i podałem jej wraz ze świstkiem papieru z pobliskiego kosza na śmieci.

- Uhm - mruknęła - doktor Gutmann, o niego chodzi.

Rozłączyła się i natychmiast wybrała zanotowany numer. Po minucie rozmowy z recepcjonistką i - sądząc po tym, jak zaczęła przytupywać - słuchania muzyczki odezwała się:

- Dzień dobry, doktorze Gutmann. Tu sierżant Morgan. Potrzebne mi nazwisko miejscowego dentysty, który mógł wyostrzyć człowiekowi zęby tak, żeby upodobnić go do wampira. - Gutmann coś odpowiedział i Debora zrobiła zaskoczoną minę. Nerwowo chwyciła długopis i zaczęła notować. - Tak, zapisałam. Dziękuję. - Złożyła komórkę i zwróciła się do mnie: - Podobno w mieście jest tylko jeden dentysta na tyle głupi, by robić takie rzeczy. Doktor Lonoff w South Beach.

Znalazłem go na stronie internetowej z wykazem dentystów.

- To przy Lincoln Road - stwierdziłem.

Debora zerwała się z krzesła.

- Idziemy - rozkazała, a Sumienny Dexter dźwignął się na nogi i ruszył za nią do drzwi.

Gabinet doktora Lonoffa mieścił się na parterze dość starego piętrowego budynku przy bocznej ulicy, dwie przecznice od centrum handlowego Lincoln Road Mall. Dom w stylu imitującym art deco, niegdyś bardzo popularnym w South Beach, był porządnie odnowiony i pomalowany na jasny odcień żółtozielonego. Przy wejściu stała rzeźba, która wyglądała jak bryła geometryczna uprawiająca seks ze skrzynką na narzędzia. W głębi korytarza powitały nas drzwi z napisem „Dr J. Lonoff: stomatologia kosmetyczna”.

- To chyba tutaj - odezwałem się tonem Davida Caruso.

Debora łypnęła na mnie złowrogo i otworzyła drzwi.

W recepcji urzędował przeraźliwie chudy Afroamerykanin z ogoloną głową i kilkunastoma kolczykami w uszach, brwiach i nosie. Miał na sobie malinowy fartuch i złoty naszyjnik. Przed nim na kontuarze stała tabliczka z imieniem „Lloyd”. Kiedy weszliśmy, podniósł głowę i uśmiechnął się promiennie.

- Dzień dobry! Czym mogę państwu służyć? - powitał nas takim tonem, jakby mówił: „No to zaczynamy imprezę!”

Debora pokazała mu odznakę.

- Sierżant Morgan, policja okręgu Miami-Dade. Muszę porozmawiać z doktorem Lonoffem.

Uśmiech Lloyda stał się jeszcze szerszy.

- Właśnie przyjmuje pacjenta. Mogą państwo chwilę zaczekać?

- Nie - odparowała Debora. - Muszę z nim porozmawiać natychmiast.

To trochę zbiło Lloyda z pantałyku, ale nie przestał odśmiać w uśmiechu śnieżnobiałych i idealnie równych zębów. Jeśli były dziełem doktora Lonoffa, stanowiły dobrą reklamę jego umiejętności.

- Mogę wiedzieć, o co chodzi? - spytał recepcjonista.

- O to, że jeśli doktor nie wyjdzie w ciągu pół minuty, chętnie rzucę okiem na jego rejestr leków - wyjaśniła Debora.

Lloyd oblizał wargi i po chwili wahania poderwał się na nogi.

- Powiem mu, że państwo jesteście - rzucił i zniknął za zaokrągloną ścianą w głębi poczekalni.

Doktor Lonoff pojawił się całe dwie sekundy przed upływem terminu. Wycierał ręce w papierowy ręcznik i wyglądał na wkurzonego.

- Co, do jasnej cholery? Co to za historia z moim rejestrem leków?

Był zadziwiająco młody jak na dentystę - miał nie więcej niż trzydzieści lat - i, szczerze mówiąc, wydawał się trochę zbyt napakowany, jakby machał sztangą zamiast zakładać plomby.

Debora też musiała to zauważyć, bo obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów.

- Doktor Lonoff? - spytała.

- Tak, to ja - odparł. - A wy to kto, do cholery?

Debora machnęła blachą.

- Sierżant Morgan, policja okręgu Miami-Dade. Chcę z panem porozmawiać o jednym z pańskich pacjentów.

- Najpierw - rzucił z irytacją - musi pani przestać udawać esesmana i wyjaśnić mi, o co chodzi. Mam pacjenta na fotelu.

Debora zacisnęła szczęki, a że znałem ją jak mało kto, przygotowałem się na kilka rund twardej szermierki słownej. Ona nic mu nie powie, bo to sprawa policji, on nie udostępni jej dokumentów, bo obowiązuje go tajemnica lekarska, i tak będą się ścierać aż do zgrania wszystkich atutów, ja zaś przez ten czas będę się zastanawiać się, czy nie lepiej od razu przejść do rzeczy, a potem zrobić sobie przerwę na lunch.

Już miałem rozejrzeć się za krzesłem i usiąść wygodnie z egzemplarzem „Golf Digest”, ale Debora mnie zaskoczyła. Wzięła głęboki wdech i powiedziała:

- Panie doktorze, zaginęły dwie dziewczyny i jedyny trop, jaki mamy, prowadzi do człowieka, który spiłował sobie zęby, żeby wyglądać jak wampir. - Wzięła kolejny oddech i dodała: - Potrzebuję pańskiej pomocy.

Nie byłbym bardziej zdumiony, gdyby sufit rozplynał się, odsłaniając chóry anielskie śpiewające country. To po prostu niesłychane, że Debora tak się otworzyła i okazała taką bezradność. Może trzeba ją wysłać do psychologa? Doktor Lonoff chyba odniósł podobne

wrażenie, bo przez kilka sekund patrzył na nią i tylko mrugał. Wreszcie zerknął na Lloyd'a.

- Nie powinienem - rzekł cicho i w tej chwili nie wyglądał nawet na te swoje trzydzieści lat. - Dokumentacja jest poufna.

- Wiem - odparła Debora.

- Wampir? - Lonoff podwinął sobie wargę i wskazał palcem. - Chodzi o te zęby? O kły?

- Tak - potwierdziła Debora.

- To specjalna korona - stwierdził z dumą dentysta. - Zamawiam je u jednego gościa z Meksyku. Zakłada się ją jak zwykłą koronę, ale efekt robi duże wrażenie, muszę przyznać.

- Ile takich zabiegów pan wykonał? - spytała Debora.

Lonoff zastanawiał się chwilę.

- Ponad dwadzieścia.

- Chodzi o bardzo młodego mężczyznę - dodała Debora. - Ma nie więcej niż dwadzieścia lat.

Doktor Lonoff znowu się zamyślił.

- Było takich trzech, może czterech - rzekł wreszcie.

- Używa imienia Vlad - drążyła Debora.

Lonoff uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nikogo takiego nie pamiętam - oświadczył. - Ale nie zdziwiłbym się, gdyby wszyscy używali tego imienia. Jest bardzo popularne w tym środowisku.

- Czy środowisko to właściwe słowo? - wtrąciłem. Myśl o zastępach wampirów w Miami, prawdziwych czy fałszywych, była cokolwiek niepokojąca choćby ze względów estetycznych. Bądźmy poważni: te wszystkie czarne ubrania są takie nowojorskie i niemodne.

- Właściwe - powiedział Lonoff - jest ich całkiem sporo. Wprawdzie nie wszyscy chcą zrobić sobie kły - dodał z żalem - ale mają swoje kluby, imprezy i tak dalej.

- Ja szukam tylko jednego z nich - oznajmiła Debora z odrobiną starej dobrej niecierpliwości.

Lonoff spojrzał na nią i bezwiednie naprężył mięśnie szyi. Kołnierzyk jego koszuli nie pękł, ale mało brakowało. Doktor zmarszczył brwi, po czym nagle podjął decyzję.

- Pomóż im to znaleźć w dokumentacji - polecił Lloydowi.

- Robi się, panie doktorze - odpowiedział Lloyd.

Lonoff wyciągnął rękę do Debory.

- Powodzenia, pani... sierżant?

- Zgadza się - potwierdziła i uściśniła jego dłoń.

Doktor Lonoff długo nie puszczał jej ręki. Kiedy już myślałem, że Deb wyrwie ją z uścisku, uśmiechnął się i rzekł:

- Mógłbym coś zrobić z tą pani wadą zgryzu.

- Dzięki - odparła - ale nie skorzystam.

- Cóż, w takim razie... - Lonoff położył dłoń na ramieniu Lloyda. - Pomóż im. Pacjent czeka - oznajmił i z tęsknym spojrzeniem na krzywy zgryz Debory odwrócił się i zniknął w gabinecie.

- Mamy wszystko tutaj, w komputerze. - Lloyd wskazał biurko, za którym urzędował. - Ale potrzebuję jakichś parametrów.

Debora zamrugła i spojrzała na mnie, jakby użył słowa w obcym języku; zresztą z jej punktu widzenia pewnie tak było, bo nie mówiła po komputerowemu. Dlatego kolejny raz pospieszyłem jej z pomocą.

- Wiek poniżej dwudziestu czterech lat - podsumowałem. - Mężczyzna. Wyostrzone kły.

- Super - rzucił Lloyd i przez długą chwilę bębnił w klawiaturę.

Debora przyglądała mu się ze zniecierpliwieniem. Ja spojrzałem w drugi koniec poczekalni. Na stojaku w kącie, obok stolika z czasopismami, stało duże akwarium ze słoną wodą. Wydawało się nieco zatłoczone, ale może ryby tak lubią.

- Mam cię - usłyszałem i odwróciłem się w porę, by zobaczyć, jak z drukarki wysuwa się kartka. Lloyd chwycił ją i podał Deb, która wpiła się w nią wzrokiem. - Tylko cztery nazwiska - w głosie Lloyda pobrzmiwał ten sam żal, który okazał doktor Lonoff, i pomyślałem, że może dostaje prowizję od kłów.

- Niech to szlag - mruknęła Debora, wciąż wpatrzona w listę.

- Czemu? - spytałem. - Za mało nazwisk?

Wskazała palcem pierwsze nazwisko na liście.

- Acosta. Mówi ci to coś?

Skinąłem głową.

- Może oznaczać kłopoty - odparłem. Joe Acosta był ważną figurą we władzach miasta, radnym ze starej gwardii, o wpływach godnych partyjnego bonzy z Chicago sprzed pół wieku. Jeśli nasz Vlad jest jego

synem, mógł na nas spaść prawdziwy deszcz fekaliów. – To na pewno ten Acosta? – zapytałem.

Debora znów skinęła głową.

– Adres się zgadza – powiedziała. – Cholera.

– Może to nie on – wtrącił usłużnie Lloyd.

Łypnęła na niego, przelotnie, ale jego promienny uśmiech zniknął, jakby kopnęła go w krocze.

– Chodź – powiedziała do mnie i odwróciła się w stronę drzwi.

– Dzięki za pomoc – rzuciłem do Lloyda, lecz on tylko skinął głową, jakby Deb odebrała mu całą radość życia.

Kiedy ją dogoniłem, już czekała w samochodzie z włączonym silnikiem.

– Pospiesz się! – zawołała przez okno

Wsunąłem się na miejsce obok niej. Wrzuciła bieg, zanim zdążyłem zamknąć drzwi.

– Wiesz – zaproponowałem, zapinając pas – moglibyśmy zostawić Acostę na koniec. Równie dobrze może to być któryś z pozostałych.

– Tyler Spanos chodzi do Ransom Everglades – stwierdziła – czyli zadaje się z elitą. A pieprzeni Acostowie to elita. To na pewno on.

Trudno było cokolwiek zarzucić jej tokowi rozumowania, więc nic nie powiedziałem; po prostu usiadłem wygodnie i nie protestowałem, kiedy pędziła za szybko w porannym tłoku.

Pojechaliśmy MacArthur Causeway i dalej drogą 836 aż do Le-Jeune, gdzie skręciliśmy w lewo do Coral Gables. Acosta mieszkał w części Gables, która gdyby oddano ją do użytku dziś, byłaby ogrodzonym osiedlem. Większość domów, także ten Acosty, zbudowano w hiszpańskim stylu z wielkich bloków skały koralowej. Trawnik wyglądał jak green na polu golfowym, a piętrowy garaż był połączony z domem wiatą.

Debora zaparkowała przed frontowymi drzwiami, zgasiła silnik i przez chwilę siedziała nieruchomo. Patrzyłem, jak bierze kilka głębokich wdechów, i zastanawiałem się, czy wciąż przechodzi ten sięgający poziomu molekularnego kryzys, który sprawił, że ostatnio wydawała się taka miękka i nadwrażliwa.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – spytałem. Zerknęła na mnie niepewnie. W niczym nie przypominała groźnej, zdeterminowanej

Debory, którą dobrze znałem. - Bo wiesz - dodałem - Acosta może ci uprzykrzyć życie. Jest radnym.

Jej oczy zbystrzały, a jej mięśnie zuchwy się napięły.

- Niechby nawet był Jezusem, wszystko mi jedno - warknęła, wysiadła z wozu i ruszyła pewnym krokiem do drzwi.

Dogoniłem ją w chwili, kiedy naciskała dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Debora zaczęła niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Już podnosiła rękę, żeby zadzwonić znowu, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich niska, krępa kobieta w stroju pokojówki.

- Tak? - odezwała się z silnym hiszpańskim akcentem.

- Zastaliśmy Roberta Acostę? - spytała Debora.

Kobieta oblizwała wargi i przez chwilę strzelała oczami na boki.

- Czego chcą od Bobby'ego? - spytała wreszcie.

Debora machnęła blachą.

- Muszę zadać mu kilka pytań - wyjaśniła. - Jest w domu? Pokojówka przełknęła ślinę, ale nie odpowiedziała.

- Chcę z nim tylko porozmawiać - naciskała Deb. - To bardzo ważne.

Pokojówka zerknęła na coś za naszymi plecami. Debora odwróciła się i spojrzała w to samo miejsce.

- W garażu? - zapytała. - Jest w garażu?

Pokojówka wreszcie skinęła głową.

- *El garaje* - odparła bardzo cicho, jakby bała się, że ktoś ją usłyszy.
- Bobby *vive en el piso segundo*.

Debora spojrzała na mnie.

- W garażu. Mieszka na piętrze - przetłumaczyłem. Deb, choć urodziła się i wychowała w Miami, w szkole z jakiegoś powodu postanowiła uczyć się francuskiego.

- Jest tam teraz? - spytała pokojówkę.

Kobiecina nerwowo pokiwała głową.

- *Creo que si* - powiedziała, znów oblizwała wargi i gwałtownym ruchem zamknęła drzwi, może nie z hukiem, ale niewiele brakowało.

Debora patrzyła chwilę na zamknięte drzwi.

- Czego tak się bała? - spytała wreszcie.

- Deportacji? - zasugerowałem.

Prychnęła.

- Joe Acosta nie zatrudniłby nielegalnej imigrantki, skoro może załatwić zieloną kartę, komu tylko zechce.

- To może tego, że straci pracę - podsunąłem.

Debora spojrzała na garaż.

- Może - mruknęła. - A może boi się Bobby'ego Acosty.

- No cóż - zacząłem, ale zanim rozwinąłem myśl, Deb już skręcała za róg domu. Dogoniłem ją, kiedy wchodziła na podjazd. - Pokojówka uprzedzi Bobby'ego, że tu jesteśmy - zauważyłem.

Debora wzruszyła ramionami.

- Od tego jest - powiedziała, zatrzymując się przed drzwiami garażu.
- Musi być inne wejście, może jakieś schody - stwierdziła.

- Gdzieś z boku - podchwyciłem, ale ledwo zrobiłem dwa kroki w lewo, drzwi zaczęły się podnosić. Z wnętrza dochodził stłumiony pomruk, który narastał w miarę, jak drzwi podjeżdżały do góry. Kiedy były na tyle wysoko, że mogłem zajrzeć do garażu, zobaczyłem, że źródłem dźwięku jest motocykl z włączonym silnikiem. Siedział na nim chudy dwudziestoparolatek i patrzył na nas.

- Robert Acosta? - Debora zrobiła krok do przodu i sięgnęła po odznakę.

- Jebane gliny - warknął chłopak i wcisnąwszy gaz, ruszył prosto na nią.

Zdażyła odskoczyć, ale straciła równowagę i upadła. Po chwili Acosta był już na ulicy i zniknął nam z pola widzenia, zanim moja siostra zdołała wstać.

Podczas wieloletniej pracy w policji okręgu Miami-Dade nieraz spotkałem się z określeniem „rozpierducha”. Ale szczerze mówiąc, nie widziałem tego zjawiska na własne oczy do chwili, kiedy Deb wysłała list gończy za jedynym synem wpływowego radnego. Już po pięciu minutach przed domem Acostów obok jej samochodu stały trzy radiowozy i furgonetka stacji telewizyjnej, a w szóstej minucie do mojej siostry zadzwonił kapitan Matthews. Mówiła tylko: „Tak, panie kapitanie” i „Nie, panie kapitanie”, chociaż rozmowa trwała całe dwie minuty, a kiedy się rozłączyła, szczęki miała zaciśnięte tak mocno, że myślałem, że już nigdy nie będzie mogła przyjmować pokarmów stałych.

- Szlag by to trafił - wycedziła przez zęby. - Matthews odwołał list gończy.

- Wiadomo było, że to zrobi - zauważyłem.

- No i zrobił - skwitowała Deb, po czym, patrząc na ulicę za moimi plecami, dodała: - Ożeż kurde.

Odwróciłem się i zobaczyłem uroczą scenkę. Deke właśnie wysiadł z samochodu i uśmiechnął się szeroko do kobiety, która stała przed furgonetką stacji telewizyjnej, czesała włosy, jednocześnie kadrując ujęcie. Od razu przestała się czesać i wybałuszyła na niego oczy, a Deke, skinąwszy jej głową, niespiesznie ruszył w naszą stronę. Kobieta odprowadziła go wzrokiem, oblizwała usta i ze zdwojoną energią zajęła się włosami.

- Formalnie jest twoim partnerem - zauważyłem.

- Formalnie jest bezmózgim palantem - odparła Deb.

- Cześć - powiedział Deke, podchodząc do nas. - Kapitan kazał mi mieć cię na oku, żebyś znowu czegoś nie spieprzyła.

- A niby po czym poznasz, że coś spieprzyłam? - warknęła Debora.

- No wiesz. - Deke wzruszył ramionami i obejrzał się na reporterkę.

- Masz nie rozmawiać z prasą ani nic takiego. - Mrugnął do Debory. -

A ja od teraz mam być cały czas przy tobie i pilnować, żeby wszystko było jak trzeba.

Przez chwilę myślałem, że Deb puści serię zabójczych tekstów, które położą go trupem i osmałą starannie przystrzyżony trawnik Acostów, lecz najwyraźniej taką samą instrukcję dostała już od kapitana, a zawsze była dobrym żołnierzem. Dyscyplina wzięła górę i Debora tylko zmierzyła Deke'a wzrokiem, i powiedziała:

- W porządku. Sprawdźmy resztę nazwisk z listy. - I potulnie ruszyła do swojego samochodu.

Deke poprawił opadające spodnie, westchnął i podreptał za nią.

Reporterka, wyraźnie zafascynowana, przestała gapić się na niego, dopiero gdy producent szturchnął ją mikrofonem.

Na komendę pojechałem z policjantem nazwiskiem Willoughby, który miał obsesję na punkcie Miami Heat. Zanim wysiadłem z radiowozu, wiele się dowiedziałem o rozgrywających i o czymś, co nazywał „pick and roll”. Byłem pewien, że to nader użyteczne informacje i że pewnego dnia się przydadzą, lecz mimo to odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie wygramoliłem się na popołudniowy upał i powlokłem do mojego małego boksu.

Przez resztę dnia byłem pozostawiony samemu sobie. Poszedłem na lunch do nowo otwartej knajpki, specjalizującej się w falafelach. Niestety, specjalizowała się też we włosach pływających w ohydny sosie, więc wróciłem do pracy całkiem nieusatysfakcjonowany. Odbębniłem kilka rutynowych badań, wypełniłem parę formularzy i cieszyłem się samotnością prawie do czwartej, kiedy to w moim boksie pojawiła się Debora. Niosła pod pachą grubą teczkę i wyglądała na równie wzburzoną, jak mój żołądek. Wysunęła krzesło palcem u nogi i opadła na nie bez słowa. Odłożywszy akta, które właśnie czytałem, spojrzałem na nią i rzekłem:

- Wyglądasz na wykończoną, siostrzyczko.

Skinęła głową i spojrzała na swoje dłonie.

- Ciężki dzień - przyznała.

- Sprawdziłaś resztę nazwisk z listy? - spytałem, a gdy w odpowiedzi tylko kiwnęła głową, dodałem: - Z twoim partnerem Dekiem?

Przeszyła mnie wzrokiem.

- Cholerny dureń - burknęła, po czym wzruszyła ramionami i zwiesiła głowę.

- Co zrobił? - zapytałem.

Znów wzruszyła ramionami.

- Właściwie nic. W rutynowych czynnościach nie jest całkiem beznadziejny. Zadaje wszystkie standardowe pytania.

- To dlaczego jesteś taka markotna?

- Odebrali mi podejrzanego - oznajmiła, a w jej głosie znów pojawiła się niepokojąca nuta rezygnacji i bezradności. - Młody Acosta coś wie, jestem tego pewna. Może nie porwał tych dziewczyn, ale wie, gdzie są. A mnie nie pozwalają go ścigać. - Machnęła knykciem w stronę korytarza. - Kazali nawet temu dupkowi pilnować, żebym nie zrobiła niczego, co mogłoby zaszkodzić cholernemu panu radnemu.

- No cóż - odparłem. - Bobby Acosta może być niewinny.

Deb pokazała mi zęby. Gdyby nie była taka nieszczęśliwa, uznałbym, że w uśmiechu.

- Jest winny jak cholera - stwierdziła, podnosząc trzymaną w dłoni teczkę. - Ma taką kartotekę, że głowa mała, nawet jeśli pominąć wszystko, co zaczernili, kiedy był niepełnoletni.

- To, że broił za młodu, jeszcze nie znaczy, że teraz jest winny - zauważyłem.

Debora pochyliła się do przodu i przez chwilę myślałem, że rąbnie mnie aktami Bobby'ego Acosty.

- Akurat - prychnęła i, na szczęście, otworzyła teczkę, zamiast wyrzucić ją w moją głowę. - Napad. Napad z bronią w ręku. Napad. Kradzież samochodu. - Przy słowie „kradzież” spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami, po czym ciągnęła dalej: - Dwa razy aresztowany w miejscu, gdzie ktoś umarł w podejrzanym okolicznościach. Powinien był beknąć co najmniej za nieumyślne zabójstwo, ale w obu przypadkach stary kupił mu wolność. - Zamknęła teczkę i trzepnęła ją grzbietem dłoni. - Jest tego znacznie więcej i zawsze kończy się tak samo: Bobby ma krew na rękach, a ojciec załatwia mu zwolnienie. - Pokręciła głową. - To naprawdę wredny, nieźle porąbany gnój. Zabił co najmniej dwie osoby i nie mam cienia wątpliwości, że wie, gdzie są te dziewczyny. O ile ich też nie zabił.

Wiedziałem, że Deb ma rację. Wprawdzie przestępcza przeszłość nie zawsze świadczy o obecnej winie, ale kiedy moja siostra czytała fragmenty akt, poczułem budzące się stopniowo zainteresowanie Pasażera i pełne zadumy uniesienie wewnętrznych brwi. Dawny Dexter bez wahania wpisałby Bobby'ego Acostę na listę swoich potencjalnych towarzyszy zabawy. Ale że Dexter 2.0 takich rzeczy nie robił, tylko westchnąłem ze współczuciem.

- Może i masz rację.

Debora gwałtownie uniosła głowę.

- Może? - zachnęła się. - Jestem pewna, że Bobby Acosta wie, gdzie są te dziewczyny, a nie mogę tknąć skurwysyna przez wzgląd na jego ojca.

- Cóż - odparłem, boleśnie świadomy, że wygłoszę banał - z ratuszem nie wygrasz.

Debora przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem.

- O kurde - rzuciła wreszcie - sam na to wpadłeś?

- Daj spokój, Deb - burknąłem, lekko poirytowany. - Przecież wiedziałaś, że tak będzie, więc czemu się ciskasz?

Westchnęła ciężko, po czym złożyła dłonie na podolku i spojrzała na nie, co, o dziwo, było jeszcze gorsze od ciętej riposty, jakiej oczekiwałem.

- Sama nie wiem - odparła. - Może chodzi nie tylko o to. - Odwróciła dłonie i spojrzała na ich grzbiety. - Może chodzi o... nie wiem... o wszystko.

Gdyby Deborę trapiło wszystko, znacznie łatwiej byłoby zrozumieć jej chandrę; mieć na głowie wszystko to rzeczywiście ciężar nie do udźwignięcia. Ale skromne doświadczenie z ludźmi nauczyło mnie, że jeśli ktoś skarży się na wszystko, tak naprawdę kryje się za tym jedno małe i bardzo konkretne „coś”. Przyjąłem, że reguła ta sprawdza się również w przypadku mojej siostry. Choć zachowywała się, jakby miała wszystko na głowie, jakieś określone „coś” gryzło ją i wpędzało w taki nastrój. A kiedy przypomniałem sobie, co powiedziała o swoim facecie, uznałem, że tu leży klucz do całej sprawy.

- Chodzi o Chutsky'ego? - zapytałem ostrożnie.

Zmarszczyła gniewnie brwi.

- Co masz na myśli? - warknęła. - Sugerujesz, że mnie bije? Albo zdradza?

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniłem i uniosłem dłoń na wypadek, gdyby postanowiła mnie walnąć. Wiedziałem, że Kyle nie odważyłby się jej zdradzić, a myśl, że ktokolwiek miałby pobić moją siostrę, była śmiechu warta. - Chodzi o to, co mówiłaś parę dni temu. O... no wiesz... tik-tak biologicznego zegara?

Znów spuściła głowę i spojrzała na dłonie splecione na podolku.

- Tak powiedziałam, fakt - potwierdziła. - I to nadal jest prawdą. A pieprzony Chutsky... nawet nie chce o tym rozmawiać.

Przyznam, że moją pierwszą prawdziwie świadomą reakcją na wynurzenia Debory była myśl: O rany! Naprawdę wczuwam się w sytuację drugiego człowieka! Jej nieustające zapadanie się w budyniowatą breję żalu autentycznie mnie poruszyło - na głębokim ludzkim poziomie niedawno otwartym przez Lily Anne - i nie musiałem szukać odpowiedzi z jakiejś opery mydlanej. Naprawdę współczułem siostrze.

Dlatego bez namysłu wstałem z krzesła, podszedłem do niej, położyłem dłoń na jej ramieniu i powiedziałem:

- Przykro mi, siostrzyczko. Mogę ci jakoś pomóc?

Debora zeszytywniała, strąciła moją rękę i spojrzała na mnie z miną, którą niewiele dzieliło od jej zwykłego gniewnego grymasu.

- Na początek możesz przestać zgrywać kochającego braciszka - odparła. - Jezu, Dex, co cię opętało?

I zanim zdążyłem wydobyć z siebie pierwszą sylabę nienagannie logicznej riposty, wyszła z mojego gabinetu.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - powiedziałem do jej pleców.

Może byłem za mało obeznany z uczuciami, aby je zrozumieć i stosownie się zachować. A może to Deb potrzebowała trochę czasu, żeby przywyknąć do nowego, współczującego Dextera. Na razie jednak coraz bardziej skłaniałem się do hipotezy, że jakieś obrzydliwie nieczne indywiduum albo indywidua dodały czegoś do wody płynącej z kranów Miami.

Kiedy zbierałem się do wyjścia, poziom dziwności wzrósł jeszcze o parę kresek. Zadzwoiła moja komórka, zerknąłem na nią, zobaczyłem, że to Rita, i odebrałem.

- Słucham? - rzuciłem.

- Dexter, cześć, to ja - wybąkała.

- Oczywiście, że ty - powiedziałem dla zachęty.

- Jesteś jeszcze w pracy? - spytała.

- Właśnie miałem wychodzić.

- Och, to się dobrze składa, bo... to znaczy, zamiast jechać po Cody'ego i Astor... No bo dzisiaj nie musisz.

Szybko przetłumaczyłem to sobie w myślach i zrozumiałem, że z jakiegoś powodu nie muszę odbierać dzieci.

- Tak? A dlaczego? - zapytałem.

- Bo ten... bo już ich nie ma - odparła i przez jedną straszną chwilę myślałem, że stało im się coś złego.

- Nie ma ich?... Jak to? - wyjąkałem.

- No wiesz - wyjaśniła - twój brat po nich pojechał. Zabrał ich na chińszczyznę.

Jakże cudowny świat nowych doznań otworzył się przede mną, odkąd zostałem człowiekiem. Na przykład w tej chwili osłupiałem. Zalewały mnie fale myśli i uczuć, jedna za drugą: gniew, zdziwienie, podejrzliwość, zaciekawienie, co Brian naprawdę knuje, dlaczego Rita na to poszła i co zrobią Cody i Astor, kiedy sobie przypomną, że nie lubią chińszczyzny. Ale bez względu na to, jak bogate i konkretne były moje myśli, z ust nie wyszło nic prócz „ehm”, a kiedy usiłowałem uzupełnić to o jakiś artykułowany dźwięk, Rita powiedziała:

- Och, muszę kończyć. Lily Anne płacze. Na razie. - I odłożyła słuchawkę.

Zapewne tylko kilka sekund stałem wsłuchany w odgłos zupełnie niczego, ale zdawało się to trwać znacznie dłużej. Wreszcie zorientowałem się, że mam sucho w ustach, bo są rozdziawione, i że poci mi się ręka, w której ściskam komórkę. Zamknąłem usta, schowałem telefon i ruszyłem do domu.

Kiedy jechałem na południe, godziny szczytu trwały w najlepsze, lecz o dziwo, przez całą drogę do domu nie widziałem żadnych aktów nieuzasadnionej przemocy, żadnych gwałtownie skręcających samochodów ani wygrażających pięści, nie padł nawet żaden strzał.auta posuwały się naprzód w zwykłym żółtym tempie, ale jakoś nikomu to nie przeszkadzało. Pomyślałem, że powinienem przeczytać swój

horoskop - może z niego dowiedziałbym się, co jest grane. Bardzo możliwe, że gdzieś w Miami dobrze poinformowani ludzie - druidzi czy ktoś taki - kiwają głowami, mruczą: „Ahaa, Jowisz jest w retrogradacji do księżyca Saturna” i nalewają sobie następną filiżankę herbaty, wylegując się w sandałach Birkenstock. A może to przez tę grupę - stado? - wampirów, które ścigała Debora. Może gdyby wystarczająco wielu spiłowało sobie zęby, nastalaby era szczęścia i harmonii. Przynajmniej dla doktora Lonoffa, dentysty.

Spędziłem spokojny wieczór w domu, oglądając telewizję i, kiedy tylko się dało, biorąc Lily Anne na rękę. Dużo spała, ale wychodziło jej to równie dobrze, gdy trzymałem ją w ramionach, co zdawało się dowodzić wielkiego zaufania z jej strony. Po trosze miałem nadzieję, że z tego wyrośnie, bo niezbyt mądrze jest aż tak ufać ludziom. Jednocześnie jednak przepętniało mnie to zachwytem i determinacją, by ją chronić przed wszystkimi innymi nocnymi drapieżcami.

Złapałem się na tym, że co rusz obwąchuję główkę Lily Anne - zachowanie graniczące z obłędem, wiem, ale o ile się orientuję, pasujące do mojego nowego ludzkiego wcielenia. Zapach był nadzwyczajny, niepodobny do żadnego innego. Woń, której prawie nie było, niemieszcząca się w kategoriach typu „słodka” czy „stęchła”, choć zawierająca elementy ich obu - i wielu innych, i zarazem żadnej. Powąchałem raz, niezdolny określić, co czuję, a potem znowu, tylko dlatego, że chciałem, aż nagle z okolic pieluchy buchnął nowy odór, który bardzo łatwo było rozpoznać.

Wbrew pozorom zmiana pieluchy to naprawdę nic strasznego i nie miałem żadnych oporów, by to zrobić. Nie twierdzę, że chciałbym zajmować się tym zawodowo, ale w przypadku pieluchy Lily Anne było to coś, co nie tylko nie przysparzało mi cierpienia, lecz w pewnym sensie było nawet miłe, bo oddawałem jej bardzo konkretną i niezbędną przysługę. Jeszcze większą przyjemność sprawił mi widok Rity, która nadciągnęła jak nurkujący bombowiec - zapewne po to, by sprawdzić, czy niechcący nie ugotowałem dziecka - i widząc, jak dobrze sobie radzę, stanęła w pół kroku i tylko się przyglądała. Czułem satysfakcję, kiedy skończyłem, a ona zabrała Lily Anne ze stołu do przewijania.

- Dziękuję, Dexter - powiedziała.

Gdy Rita karmiła małą, wróciłem przed telewizor i przez kilka minut oglądałem mecz hokeja. Byłem jednak zawiedziony, bo po pierwsze,

Panthers przegrywali już trzema bramkami, a po drugie, nikt się z nikim nie bił. A przecież ten sport spodobał mi się z uwagi na szczerą i godną pochwałę żądzę krwi, jaką pałali zawodnicy. Teraz jednak pomyślałam, że w zasadzie powinno mnie to razić. Nowy Ja, Pieluszkowy Papić Dexter, był zdecydowanie przeciwny przemocy i za nic w świecie nie mógł pochwalać takiego brutalnego sportu jak hokej. Może przerzucę się na kręgle. Niby straszliwe nudziarstwo, ale przynajmniej bez rozlewu krwi i na pewno znacznie bardziej emocjonujące od hokeja.

Zanim zdążyłem podjąć jakąkolwiek decyzję, wróciła Rita z Lily Anne.

- Pomożesz jej beknąć, Dexter? - spytała z uśmiechem Madonny, tej z obrazów, nie tej w dziwnym staniku.

- O niczym innym nie marzę - odpaliłem, o dziwo, szczerze. Zarzuciłem na ramię mały ręcznik i położyłem na nim dziecko twarzą w dół. I znów z bliżej niewiadomego powodu wcale nie było to okropne, nawet kiedy Lily Anne zaczęła się delikatnie krztusić i małe bąbelki mleka wyciekły z jej ust. Po każdym cichym „błę” gratulowałem jej szeptem, aż w końcu zapadła w sen. Wtedy odwróciłem ją w drugą stronę, przycisnąłem do piersi i bujałem leciutko, jak w kołysce.

Nadal byłem w tej pozycji, kiedy tuż przed dziewiątą Brian przywiózł Cody'ego i Astor. Formalnie naruszało to ustalone zasady, bo oznaczało, że dzieci, które zwykle kładły się spać o dziewiątej, dziś położą się z co najmniej piętnastominutowym opóźnieniem. Rita jednak zupełnie jakoś się tym nie przejęła, ja zaś wyszedłbym na gbura, gdybym wyrażał obiekcje, kiedy wszyscy mieli tak doskonałe humory. Nawet Cody prawie się uśmiechał i zanotowałem sobie w pamięci, aby spytać, do jakiej chińskiej restauracji zabrał ich Brian.

Byłem w cokolwiek niekorzystnej sytuacji, bo miałem na rękach Lily Anne, ale gdy Rita pogoniła starsze dzieci, żeby przebrały się w piżamy i umyły zęby, wstałem, by zamienić przyjazne słówko z bratem, który stał przy drzwiach, emanując cichą satysfakcją.

- No cóż - powiedziałem - wygląda na to, że dobrze się bawili.

- O tak - odparł ze sztucznym uśmiechem. - Nadzwyczajne dzieci. Oboje.

- Zjedli sajgonki? - spytałem, a Brian przez chwilę patrzył na mnie bez wyrazu.

- Sajgo... a tak, dosłownie pożerali wszystko, co im podsuwałem - rzekł z tak złowieszczą radością, iż byłem pewien, że nie mówimy o jedzeniu.

- Brian - zacząłem, ale zanim zdążyłem cokolwiek dodać, wpadła Rita.

- Och, Brian - powiedziała i wyrwała Lily Anne z moich rąk. - Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale dzieci świetnie się bawiły. Jeszcze ich nie widziałam w tak znakomitych humorach.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł i małe sople wyrosły na moim grzbiecie.

- Może usiądziesz na kilka minut? - zaproponowała Rita. - Zrobię kawę... a może chcesz lampkę wina?...

- Ślicznie dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę muszę lecieć. Mam dziś wieczorem spotkanie.

- Ojej! - wykrzyknęła Rita i oblała się rumieńcem. - Mam nadzieję, że nie... to znaczy, zabrałeś dzieci, a przecież mogłeś... nie powinieneś był...

- Skądże znowu - odparł, jakby wychwycił w jej słowach jakiś sens. - Mam mnóstwo czasu. Ale teraz niestety muszę się już z wami pożegnać.

- Cóż - rzekła Rita - jeśli jesteś pewien, że... I naprawdę strasznie ci dziękuję, bo to...

- Mamo! - zawołała Astor z głębi korytarza.

- Ojej - stropiła się Rita. - Przepraszam, ale... Bardzo ci dziękuję, Brian. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powtórzył, a Rita uśmiechnęła się i czmychnęła do Astor i Cody'ego.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z Brianem. Choć miałem mu wiele do powiedzenia, nie bardzo wiedziałem, co konkretnie.

- Brian - zacząłem i na tym poprzestałem, a on znów obdarzył mnie tym sztucznym, znaczącym uśmiechem.

- Wiem - powiedział. - Ale naprawdę mam spotkanie. - Odwrócił się, otworzył drzwi, po czym obejrzał się na mnie. - Nadzwyczajne dzieci, mówię serio. Dobranoc, braciszku.

I zniknął pośród nocy, zostawiając mnie ze wspomnieniem jego okropnego uśmiechu i nieprzyjemnym poczuciem, że dzieje się coś bardzo złego.

Byłem bardzo ciekawy, co mój brat robił z dziećmi, ale Rita zagoniła je do łóżek, zanim zdążyłem o to spytać. Poszedłem spać niezadowolony, a rano nie miałem okazji porozmawiać z nimi na osobności, co było warunkiem koniecznym, bo jeśli wieczór nie skończył się na chińszczyźnie, zdecydowanie nie chciałem, żeby Rita się o tym dowiedziała. Z drugiej strony, o ile znałem Briana, mógł polecić dzieciom, aby nic nikomu nie mówiły – choć w gruncie rzeczy tak naprawdę wcale go nie znałem. To znaczy wydawało mi się, że wiem, co myślałby i jak by się zachował w określonej sytuacji, ale kim właściwie był? Czego oczekiwał od życia poza tym, żeby móc od czasu do czasu pobawić się nożem? Nie miałem pojęcia i niczego nie wymyśliłem, chociaż głowiłem się nad tym przez całe śniadanie i drogę do pracy.

Szczęśliwie dla mojego poczucia własnej wartości nie musiałem dłużej umartwiać się tym, że nie potrafię rozgryźć własnego brata, bo kiedy dotarłem na komendę, na piętrze zajmowanym przez kryminologów panował zamęt, jaki wywołuje tylko naprawdę interesująca zbrodnia. Camilla Figg, zahukana techniczka po trzydziestce, przemknęła obok mnie, dzierżąc swój zestaw do badania śladów, i prawie wcale się nie zarumieniła, kiedy otarła się o moje ramię. A Vince Masuoka płaśał po laboratorium i upychał sprzęt do torby.

- Masz hełm korkowy?! - zawołał do mnie.
- Głupie pytanie - burknąłem. - Jasne, że nie.
- A przydałby ci się - stwierdził. - Jedziemy na safari.
- Co, znowu do Kendall? - jęknąłem.
- Do Everglades - odparł. - W nocy wydarzyło się coś niesamowitego.
- Wezmę sprej przeciw owadom - zdecydowałem.

Godzinę później wysiadłem z samochodu na pobocze drogi numer 41 w Everglades, zaledwie parę kilometrów od Fortymile Bend. Kiedy

byłem nastolatkiem, przyjeżdżałem tu z Harrym pod namiot i nawet miałem parę miłych wspomnień związanych z małymi zwierzętami, które posłużyły mi za pomoce naukowe.

Oprócz samochodów służbowych zaparkowanych na poboczu na małym nieutwardzonym parkingu stały dwie duże furgonetki, jedna z przyczepą. Wokół nich kręciło się kilkunastu nastolatków i trzech dorosłych w mundurach skautów. Dwaj detektywi rozmawiali z każdym po kolei, a przy drodze stał mundurowy, który kierował ruchem. Vince postukał go w ramię i spytał:

- Cześć, Rosen. Co to za skauci?

- Oni to znaleźli. Przyjechali rano na obóz - odparł Rosen. - Nie zatrzymywać się - rzucił do kierowcy, który zwolnił, żeby popatrzeć.

- Co znaleźli? - zainteresował się Vince.

- Ja tylko macham na te pieprzone samochody - burknął Rosen kwaśno. - Z trupami zabawiacie się wy. Jechać dalej, nie zatrzymywać się - powiedział do następnego ciekawskiego.

- Dokąd mamy iść? - zapytał Vince.

Rosen wskazał drugi koniec parkingu i się odwrócił. Gdybym ja musiał kierować ruchem, kiedy inni mogli się bawić z trupami, też byłbym skwaszony.

Poszliśmy w stronę ścieżki zaczynającej się za plecami skautów. Musieli znaleźć coś okropnego, ale nie sprawiali wrażenia szczególnie zszokowanych czy przerażonych. Przeciwnie, chichotali radośnie, jakby byli na wyjątkowo fajnej wycieczce, i zacząłem nawet żałować, że nigdy nie zapisałem się do skautów. Może zdobyłbym sprawność mistrza recyklingu części ciała.

Ścieżka wiodła między drzewami na południe, a potem zakręcała na zachód. Kiedy po pokonaniu niespełna kilometra dotarliśmy na polanę, Vince był spocony i ciężko dyszał, mnie natomiast rozpieęła energia, bo cichy głos szeptał mi do ucha, że czeka tam coś, co warto zobaczyć.

Dostrzegłem zdeptaną ziemię wokół resztek ogniska, a obok małą kupkę czegoś, czego nie mogłem rozpoznać, bo widok zasłaniała Camilla Figg. Cokolwiek to było, furkot błoniastych skrzydeł powiedział mi, że Mroczny Pasażer jest zaintrygowany, ruszyłem więc naprzód

z ożywieniem, chwilowo zapominając, iż wyrzekłem się Mrocznych Rozkoszy.

- Cześć, Camilla - rzuciłem, podchodząc do niej. - Co my tu mamy?

Natychmiast zarumieniła się, co z jakiegoś powodu zdarzało się jej zawsze, kiedy z nią rozmawiałem.

- Kości - odparła cicho.

- Na pewno nie pochodzą ze świni albo kozy? - spytałem.

Pokręciła głową i dłońią w rękawicze podniosła coś, w czym rozpoznałem ludzką kość ramienną, po łacinie *humerus*, choć z humorem nie miała nic wspólnego.

- Na pewno - powiedziała.

- No cóż - mruknąłem i dostrzegłszy, że kości są osmalone, usłyszałem wewnętrzny chichot. Nie mogłem stwierdzić, czy wrzucono je do ognia, żeby pozbyć się dowodów, czy też...

Rozejrzałem się po polanie. Udeptaną ziemię znaczyły setki śladów, co wskazywało, że była tu duża grupa ludzi. Wątpiłem, by byli to skauci. Oni przyjechali dopiero rano, a polana wyglądała, jakby wiele się na niej działo przez kilka ładnych godzin. Ludzie, którzy się tu zebrali, nie stali w miejscu, tylko ruszali się, skakali, szaleli. A cała ich aktywność koncentrowała się wokół ogniska, gdzie były kości, zupełnie jakby...

Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w narastający jaszczurczy syk mojego zabójczego wewnętrznego głosu. Patrz, mówił i w małym okienku, które mi pokazał, zobaczyłem dużą, świętującą grupę oraz samotną ofiarę skrępowaną przy ognisku. To nie były tortury, lecz egzekucja, wykonana przez jedną osobę... Na oczach rozbawionej gawiedzi? Czy to możliwe?

Pasażer parsknął śmiechem i odpowiedział: „Tak, o tak”. Tańczyli, śpiewali, jedli i pili piwo. Porządny, tradycyjny grill. Otworzyłem oczy i zwróciłem się do Camilli:

- Czy na kościach jest coś, co wygląda jak ślady zębów?

Drgnęła i spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Skąd wiedziałeś? - wyjąkała.

- Zgadłem - odparłem, ale że nie wyglądała na przekonaną, dodałem: - Jakieś przypuszczenia co do płci?

Patrzyła na mnie jeszcze chwilę, zanim odpowiedziała.

- Obręcz biodrowa świadczy, że to kobieta. - Odwróciła się w stronę szczątków i wskazała palcem jedną z większych kości. - Prawdopodobnie młoda - dodała.

Coś szczęknęło w potężnym superkomputerze, jakim jest mózg Dextera, i z otworu wysunęła się zadrukowana karta. „Młoda kobieta”, było na niej napisane.

- Dzięki - powiedziałem i cofnąłem się, żeby rozważyć tę ciekawą koncepcję.

Camilla skinęła głową i znów pochyliła się nad kośćmi. Ja zaś znów rozejrzałem się po polanie.

W miejscu, gdzie ścieżka znikwała wśród mokradeł, zobaczyłem porucznika Keane'a gawędzącego z mężczyzną, w którym poznałem agenta FDLE, stanowego odpowiednika FBI. Towarzyszył im jeden z najpotężniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek w życiu widziałem. Czarnoskóry, miał jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył ze dwieście pięćdziesiąt kilo, a jednak wcale nie wydawał się opasły - może za sprawą skupionego, srogiego spojrzenia. Facet z FDLE mówił coś do niego i nie wzywał wsparcia, założyłem więc, że nieznajomy miał tu być, choć nie wiedziałem po co. Gdyby reprezentował biuro szeryfa albo okręg Broward, znałbym go z widzenia, a przynajmniej doszłyby mnie słuchy o takim gigancie.

To zawsze ciekawe zobaczyć prawdziwego giganta, nie wystarczyło jednak, żeby przykuć moją uwagę na dłużej. Spojrzałem w drugi koniec polany, gdzie na skrawku czystego terenu stało kilku detektywów. Poszedłem tam, postawiłem zestaw do badania śladów na ziemi i zamyśliłem się głęboko. Znałem pewną młodą kobietę, która zaginęła, znałem też kogoś, kto jej szukał i kogo niewątpliwie zainteresowałby dostrzeżony przeze mnie związek. Ale jak to rozegrać? Nie jestem zwierzęciem politycznym, choć wiem co nieco o polityce: to sposób na oddawanie się mojej dawnej pasji, tyle że przy użyciu noży metaforycznych, nie prawdziwych. Dla mnie żadna frajda. Wszystkie te manewry i wzajemne zdrady są tak mało subtelne i w gruncie rzeczy do niczego szczególnie ciekawego nie prowadzą. Polityka odgrywa jednak ważną rolę w środowisku zorganizowanym, jakim jest policja okręgu Miami-Dade. A Debora nie znała się na niej zupełnie, choć zwykle stawiała na swoim dzięki nieustępliwości i dobrym wynikom.

Tyle że ostatnio była zupełnie do siebie niepodobna, dąsała się i użalała nad sobą, nie wiedziałem więc, czy poradzi sobie w razie konfrontacji, która zapewne będzie miała charakter wybitnie polityczny – śledztwo prowadził inny detektyw i trudno byłoby mu je odebrać, nawet gdyby Deb była w formie. Z drugiej strony, może dobre wyzwanie to właśnie to, czego potrzebowała, by do formy wrócić. Koniec końców, postanowiłem po prostu do niej zadzwonić i powiedzieć, żeby spuściła ze smyczy ogary wojny, i niech się dzieje, co chce. Była to cudownie skomplikowana metafora, przez co wydała mi się jeszcze bardziej przekonująca. Odszedłem od grupki policjantów i sięgnąłem po komórkę.

Debora przeczekwała kilka dzwonek, co też było zupełnie do niej niepodobne. Już miałem dać za wygraną, kiedy wreszcie odebrała.

- Co? - rzuciła.

- Jestem w Everglades, na miejscu zbrodni - powiedziałem.

- Moje gratulacje - burknęła.

- Deb, myślę, że ofiara została zamordowana, upieczona i zjedzona na oczach dużej grupy ludzi.

- Okropność - skomentowała bez entuzjazmu, co trochę mnie zirytowało.

- Czy wspomniałem, że ofiara to prawdopodobnie młoda kobieta? - spytałem.

Milczała dłuższą chwilę.

- Deb? - ponagliłem ją.

- Już jadę - rzuciła z odrobiną starego dobrego animuszu.

Z satysfakcją złożyłem komórkę, zanim jednak zdążyłem ją schować i wziąć się do pracy, usłyszałem za plecami krzyk: „Ożeż kur...!”, a potem strzały. Dałem nura na ziemię i próbowałem się schować za moim zestawem do badania śladów – dość trudne zadanie, bo ma wielkość przeciętnego pojemnika na drugie śniadanie. Schowałem się jednak na tyle, na ile mogłem, a następnie wychyliłem ostrożnie, żeby zobaczyć, kto strzela. Nie spodziewałem się ujrzeć hordy maoryskich wojowników pędzących ku nam z uniesionymi dzidami, ale moim oczom ukazał się równie nieprawdopodobny widok.

Policjanci, którzy jeszcze przed chwilą stali beczynnymi, kucali w pozycji strzeleckiej i walili na oślep w pobliski krzak. Wbrew

zwyczajowym procedurom nie mieli twarzy zaciętych w zimne, posępne maski, tylko patrzyli przed siebie szeroko otwartymi, oszalałymi oczami. Jeden właśnie wyjął pusty magazynek i rozpaczliwie usiłował wcisnąć nowy, a pozostali strzelali w dzikim zapamiętaniu.

Krzak, który najwyraźniej postanowili zabić, szamotał się spazmatycznie, a między gałęziami mignęło coś srebrzystożółtego. Cokolwiek to było, tylko raz błysnęło w słońcu i znikło, ale policjanci strzelali jeszcze przez kilka sekund, aż nadbiegł porucznik Keane i wrzasnął, żeby wstrzymali ogień.

- Pogięło was, idioci?! - ryknął.

- Poruczniku, przysięgam na Boga - powiedział jeden.

- Wąż! - zawołał drugi. - Skurczybycko wielki!

- Wąż - powtórzył Keane. - Chcecie, żebym go rozdeptał?

- A ma pan duże stopy? - spytał trzeci policjant. - Bo to był pyton tygrysi, chyba z sześciometrowy.

- Ożeż kurde - mruknął Keane. - Czy one są chronione?

Zorientowałem się, że ciągle kucam, i wstałem akurat w chwili, kiedy podszedł agent FDLE.

- Nie, zastanawiają się nawet, czy nie wyznaczyć za nie nagrody - powiedział - gdyby któryś z was, Buffalo Bille, miał szczęście takiego trafić.

- Ja trafiłem - zapewnił trzeci policjant.

- Pierdolisz - stwierdził jeden z jego kolegów. - Nie trafiłbyś butem w gówno.

Ciemnoskóry olbrzym podszedł do krzaka, obejrzał go, po czym odwrócił się do strzelców niewyborowych, kręcąc głową. Zrozumiawszy, że to koniec zabawy, podniosłem zestaw do badania śladów i wróciłem do resztek ogniska.

Było tam zaskakująco dużo rozbryzgów, więc nie minęła chwila, a już pracowałem wesoło, usiłując coś wyczytać z całego tego paskudztwa. Krew jeszcze całkiem nie zaschła, pewnie dzięki wilgotności powietrza, ale znaczna część wsiąkła w ziemię, bo dawno nie padało, a grunt był względnie suchy. Pobrałem kilka próbek do analizy i zacząłem sobie wyobrażać, co tu się mogło wydarzyć.

Większość krwi była w jednym miejscu, przy resztkach ogniska. Chodziłem dokoła, zataczając coraz szersze kręgi, ale jedyne ślady,

które znalazłem, pochodziły z czyichś butów. Oznakowawszy je w nadziei, że uda się uzyskać wzór podeszwy, wróciłem do głównej plamy. Krew wylała się z ofiary, a nie trysnęła, jak byłoby w przypadku rany ciętej. Brak innych plam w pobliżu wskazywał, że zadano tylko jeden cios. To było rozmyślne zabójstwo, czy raczej ubój, dokonany spokojnie i fachowo. Złapałem się na tym, że mimo woli podziwiam profesjonalizm sprawcy. Doskonale wiedziałem, jak trudno zachować powściągliwość - zwłaszcza w obecności tłumu gapiów, zapewne wznoszących pijackie okrzyki i podsuwających nieprzystojne pomysły. Byłem pod wrażeniem, więc nie spieszyłem się; pracowałem z pieczołowitością, na jaką zasługiwała pieczołowitość oprawcy.

Właśnie kończyłem oględziny ostatniego śladu buta, kiedy usłyszałem podniesione głosy, niemiło brzmiące groźby amputacji narządów intymnych i różne wulgaryzmy urągające anatomii. To mogło oznaczać tylko jedno. Wstałem i spojrzałem na ścieżkę. Przeczucie mnie nie zawiodło.

Przybyła Debora.

Walka była całkiem niezła – przynajmniej w porównaniu z innymi, które widziałem – i trwałaby znacznie dłużej, gdyby nie agent FDLE. Chambers stanął między Burrisem – nazwiska obu usłyszałem podczas zbierania śladów – a Deborą, jedną dłoń położył na piersi czarnoskórego olbrzyma, drugą zaś grzecznie zatrzymał w powietrzu przed moją siostrą i rzekł:

- Dosyc.

Burris natychmiast zamilkł. Debora już miała coś powiedzieć, ale kiedy napotkała wzrok Chambersa, na chwilę wstrzymała oddech, po czym cicho wypuściła powietrze.

Byłem pod wrażeniem, więc podkradłem się bliżej, żeby rzucić okiem na agenta FDLE. Nie był wysoki, ale gdy zobaczyłem wyraz jego twarzy, nawet bez ostrzegawczego furkotu skrzydeł Pasażera zrozumiałem, dlaczego Deb się zamknęła. Facet miał oczy rewolwerowca, takie, jakie widzi się na fotografiach szeryfów z Dzikiego Zachodu. Te oczy nie znosiły sprzeciwu. Patrząc w nie to jakby patrzeć w zimne lufy pistoletów.

- Posłuchajcie mnie – oznajmił Chambers. – Chcemy rozwiązać tę sprawę, a nie się kłócić. – Burris skinął głową, Debora milczała. – Dlatego dajcie technikom skończyć i niech spróbują zidentyfikować ofiarę. Jeśli wyjdzie, że to ta dziewczyna – zerknął na Deb – sprawa jest twoja. Jeśli nie – popatrzył na Burrisa – pociągniesz śledztwo dalej i baw się dobrze. Do tego czasu – znów zwrócił się do Deb, która, co jej się chwali, wytrzymała jego spojrzenie – siedź cicho i daj Burrisowi pracować. Zgoda?

- Chcę mieć wgląd w śledztwo – oświadczyła moja siostra.

- Wgląd – odparł Chambers – ale nic więcej.

Deb spojrzała na Burrisa, który wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Zgoda – powiedziała.

I tak zakończyła się bitwa o Everglades, szczęśliwie dla wszystkich z wyjątkiem Dextera, bo Deb najwyraźniej uznała, że „mieć wgląd” to znaczy chodzić za mną i bombardować mnie pytaniami. Wprawdzie już kończyłem, ale wcale nie było mi łatwiej, kiedy ciągnął się za mną cień w postaci Debory, która – gdyby moje odpowiedzi jej nie zadowoliły – mogła w każdej chwili rąbnąć mnie w ramię. Powiedziałem jej, co wiem i czego się domyślam, jednocześnie spryskując bluestarem kilka ostatnich miejsc, w których szukałem śladów krwi. Środek ten uwidacznia nawet najmniejsze kropelki, a przy tym nie wpływa na DNA próbki.

- Co tam masz? – dopytywała się Debora. – Co znalazłeś?

- Nic – odparłem. – Ale stoisz na śladzie stopy.

Odskoczyła gwałtownie, a ja sięgnąłem do torby po aparat fotograficzny. Wstałem, odwróciłem się i wpadłem prosto na nią.

- Deb, proszę cię – jęknąłem. – Nie mogę pracować, kiedy siedzisz mi na karku.

- No dobrze – burknęła i przeszła na drugą stronę pozostałości ogniska.

Właśnie zrobiłem ostatnie zdjęcie największej plamy krwi, kiedy usłyszałem, że Debora mnie woła.

- Dex, chodź tu z tym twoim sprejem.

Spojrzałem w miejsce, gdzie stała. Vince Masuoka klęczał obok i pobierał jakąś próbkę. Wziąłem bluestar i podszedłem do nich.

- Pryśnij tutaj – poleciła Deb, a Vince pokręcił głową.

- To nie krew – orzekł. – Nie ten kolor.

Spojrzałem na to, co oglądał. Ziemia przy samych zaroślach była ubita, jakby stało tam coś ciężkiego. Liście wyschły z gorąca i zarówno na nich, jak i na skraju zagłębienia w gruncie widać było kilka małych brązowych plam.

- Pryśnij – powtórzyła Debora.

Spojrzałem na Vince'a, który wzruszył ramionami.

- Mam już próbkę – poinformował. – To nie krew.

- W porządku – odparłem i spryskałem plamkę na jednym z liści.

Po chwili rozjarzyła się bardzo słabą niebieską poświatą.

- Nie krew – prychnęła Deb. – W takim razie co, do kurwy nędzy?

- Cholera – wymamrotał Vince.

- Krwi jest niewiele - zauważyłem. - Za słabo świeci.

- Ale trochę jest? - spytała Debora.

- No tak - przyznałem.

- Czyli to jakiś syf zmieszany z krwią - podsumowała.

Spojrzałem na Vince'a.

- Cóż - rzucił. - Na to wygląda.

Debora skinęła głową i się rozejrzała.

- Więc była impreza. - Wskazała resztki ogniska. - Tam leżała ofiara.

A po drugiej stronie jest to. - Spojrzała na Vince'a. - Coś, w czym jest krew. - Zwróciła się do mnie: - Co to takiego?

Nie powinienem być zaskoczony, że o to pyta, ale byłem.

- Daj spokój, Deb - mruknąłem.

- To ty daj spokój - odparowała. - Przydałoby mi się jedno z tych twoich przecuć. Spróbuj coś wywęszyć.

- Ja mam coś, co nieźle węszy - wtrącił Vince. - Wabi się Iwan.

- Przymknij się, głąbie - warknęła Debora. - No, Dexter, dawaj.

Najwyraźniej nie było innego wyjścia, więc zamknąłem oczy, wziąłem głęboki wdech, wsłuchałem się i...

I od razu dostałem odpowiedź od wielce rozbawionego Pasażera.

- Poncz - oznajmiłem, otwierając oczy.

- Co? - zdziwiła się Debora.

- Waza z ponczem - wyjaśniłem. - Na imprezę.

- I w ponczu była krew? - spytała.

- W ponczu? - Vince pokręcił głową. - Ja piórkuje. Dex, chyba cię pogięło.

- Ja tego nie piłem - odparłem tonem niewiniątka.

- Ale jesteś pierdolnięty - stwierdziła Debora.

- Spójrzcie - powiedziałem niezrażony tak surową oceną stanu mojego umysłu. - To miejsce jest z dala od ogniska, no i mamy wgniecenie w ziemi. - Ukląknąłem obok Vince'a i pokazałem palcem zagłębienie. - Stało tu coś ciężkiego, a zawartość przelewała się przez krawędzie. Nie trzeba nazywać tego ponczem, ale w każdym razie był to jakiś napitek.

Debora spojrzała w miejsce, które wskazałem, zerknęła na ślad po ognisku w drugim końcu polany, i znów popatrzyła na ziemię

u swoich stóp. Wreszcie pokręciła głową, kucnęła obok mnie i powiedziała:

- Waza z ponczem. A niech to.

- Pogięło cię - powtórzył Vince.

- To fakt - przyznała Deb - ale chyba ma rację. Założę się o tuzin pączków, że znajdziecie w tym ślady narkotyków - dodała z wyraźną nutą satysfakcji.

- Sprawdź to - zaofiarował się Vince. - Jest taki fajny test na obecność ecstasy. - Obdarzył ją paskudnym, obleśnym uśmiechem. - Może zrobimy go razem?

- Nie, dzięki. Masz za krótki ołówek - odparowała i odeszła, zanim zdążył rzucić któryś ze swoich krzywych tekstów, ja zaś ruszyłem za nią.

Już po trzech krokach zorientowałem się, że coś jest z nią nie tak, a kiedy załapałem co, chwyciłem Deborahę za ramię i odwróciłem ją twarzą do mnie.

- Deb - powiedziałem ze zdumieniem. - Ty się uśmiechasz.

- Owszem - mruknęła. - Bo właśnie udowodniliśmy, że to moje śledztwo.

- Jak to?

Walnęła mnie, i to mocno. Może tylko dla okazania radości, ale i tak bolało.

- Nie bądź durniem - rzuciła. - Kto pije krew?

- Auu - jęknąłem. - Bela Lugosi?

- On i cała reszta wampirów - wyjaśniła. - Przeliterować ci słowo „wampir”?

- I co z tego... Aha - wreszcie zrozumiałem.

- No właśnie, aha. Najpierw znajdujemy wampira na dorobku, Bobby'ego Acostę. A teraz mamy całą pieprzoną imprezę wampirów. Myślisz, że to zbieg okoliczności?

Nie sądziłem, by tak było, ale za bardzo bolało mnie ramię, żebym to przyznał.

- Zobaczymy - powiedziałem.

- Niewątpliwie - odparła. - Zabieraj rzeczy; zawiozę cię na komendę.

Kiedy wracaliśmy do cywilizacji, była już pora lunchu, ale Debora jakoś nie łapała moich subtelných aluzji i pojechała na komendę,

bez żadnego postoju, chociaż z drogi numer 41 można skręcić na Calle Ocho, a nic nie stało na przeszkodzie, żebyśmy wpadli do którejś z licznych doskonałych kubańskich restauracji. Na samą myśl o nich zaburczało mi w brzuchu i miałem wrażenie, że czuję zapach *plátanos* skwierczących na patelni. Jednak z punktu widzenia Debory tryby sprawiedliwości już poszły w ruch i powoli, acz nieubłaganie zbliżały się ku wyrokowi skazującemu oraz bezpieczniejszemu światu, co oznaczało, że dla dobra społeczeństwa Dexter może obejść się bez lunchu.

Dlatego Dexter był bardzo głodny, kiedy włókł się z powrotem do laboratorium, poganiany żądaniem siostry, by jak najszybciej zidentyfikował ofiarę z miejsca zbrodni w Everglades. Rozpakowałem próbki i opadłszy na krzesło, szukałem odpowiedzi na palące pytanie: czy mam jechać kawał drogi na Calle Ocho, czy też pójść do pobliskiej Café Relampago, w której podają świetne kanapki?

Jak w przypadku większości ważnych życiowych pytań, także na to nie było łatwej odpowiedzi, zamyśliłem się więc głęboko. Lepiej zjeść szybko czy dobrze? Czy jeżeli wybiorę natychmiastowe zaspokojenie potrzeby, uczyni mnie to słabszym człowiekiem? I dlaczego akurat dziś nasza mnie ochota na kubańskie jedzenie? Czemu, na przykład, nie ma coś z grilla?

Ledwie ta ostatnia myśl wpadła mi do głowy, zacząłem tracić apetyt. Ofiara z Everglades została upieczona i z jakiegoś powodu bardzo mi to przeszkadzało. Nie mogłem odpędzić tego obrazu: biedna skrępowana dziewczyna powoli się wykrwawia, podczas gdy płomienie pną się coraz wyżej, tłum wyje, a kucharz polewa ją sosem barbecue. Niemal czułem swąd przypalanego ciała i to ostatecznie przegnało wszelkie myśli o *ropa vieja* i lunchu.

Czy od tej pory właśnie takie będzie moje życie? Jak będę mógł wykonywać moją pracę, jeśli będę prawdziwie, po ludzku współczuł oglądanym co dzień ofiarom? A zwłaszcza jeśli nie będę mógł przez to zjeść lunchu?

Była to ze wszech miar pożałowania godna sytuacja i pozwoliłem, by na kilka minut ogarnęła mnie chandra. Dexter w Dołku, śmieszna postać. Ja, który posłałem dziesiątki ludzi w zaświaty, teraz rozpacziałem nad śmiercią jednej nic nieznaczącej dziewczyny, i to tylko dlatego, że ten, kto ją zabił, nie zmarnował mięsa.

Niedorzeczne; a poza tym potężna machina, jaką był Dexter, potrzebowała paliwa. Dlatego odpędziłem przykre myśli i powlokłem się korytarzem do automatów. Widok skąpej kolekcji przekąsek za szybą nie podniósł mnie na duchu. W szpitalu snickers wydawał się manną z nieba. Teraz wyglądał jak kara. A nic innego również do mnie nie przemawiało, nie obiecywało spełnienia. Mimo kolorowych papierków i radosnych haseł reklamowych widziałem tylko gablotę pełną środków konserwujących i chemicznych barwników. Wszystko było sztucznie aromatyzowane syntetycznymi replikami smaków i mniej więcej równie apetyczne jak zestaw „mały chemik”.

Jednak obowiązki wzywały, a musiałem coś zjeść, żeby funkcjonować na odpowiednio wysokich obrotach. Dlatego wybrałem coś, co wydawało się najmniej odpychające - krakersy z substancją udającą masło orzechowe. Włożyłem monety do automatu, wcisnąłem guzik i po chwili krakersy wypadły. Kiedy się po nie schyliłem, mała mroczna postać uchyliła drzwi lochu Zamku Dexter i wystawiła głowę. Zgięty wpół, zamarłem na chwilę i wyteżyłem słuch. Nie słyszałem nic oprócz jedwabistego łopotu małej flagi ostrzegawczej, która wskazywała, że nie wszystko jest tak, jak być powinno. Wyprostowałem się pomału i odwróciłem.

Za mną nie było zupełnie nic - ani maniaka z nożem, ani rozpędzonej ciężarówki, ani olbrzyma w turbanie uzbrojonego we włócznię assegai - a mimo to cichy głos szeptał mi, żebym uważał.

Najwyraźniej Pasażer igrał ze mną. Może obraził się, że go nie karmię i nie trenuję.

- Zamknij się - powiedziałem do niego. - Odejdź i zostaw mnie w spokoju.

On dalej uśmiechał się złośliwie, więc zignorowałem go i wyszedłem na korytarz.

I omal nie wpadłem na sierżanta Doakesa - a właściwie na to, co z niego zostało.

Doakes nienawidził mnie jeszcze przed tym, jak szalony lekarz obciął mu dłonie, stopy i język, a ja go nie uratowałem. To znaczy starałem się - naprawdę - ale nie wyszło i wskutek tego Doakes stracił kilka przereklamowanych części ciała. Nienawidził mnie jednak już wcześniej, bo spośród wszystkich gliniarzy, jakich kiedykolwiek

spotkałem, on jeden domyślił się, kim jestem. Nie dałem mu żadnych przesłanek ani tym bardziej dowodów, lecz jakimś cudem po prostu to wiedział.

A teraz stał na swoich sztucznych nogach i wpatrywał się we mnie z całym jadem tysiąca kobr. Przez chwilę żałowałem, że szalony medyk nie wydlubał mu też oczu, szybko jednak uświadomiłem sobie, że taki brak życzliwości nie przystoi mojemu nowemu ludzkiemu wcieleniu, więc odpędziłem tę myśl i obdarzyłem sierżanta przyjaznym uśmiechem.

- Sierżant Doakes - zagadnąłem go. - Cieszę się, że cię widzę, i to w tak dobrej formie.

Doakes nie zrobił zupełnie nic, patrzył tylko na mnie, a ja spojrzałem w dół na srebrne metaliczne szpony, które zastępowały mu dłonie. Tym razem był bez małego jak notes syntezatora mowy, za pomocą którego się porozumiewał - może chciał mieć oba szpony wolne, by mnie udusić lub, co bardziej prawdopodobne, aby też kupić coś z automatu. A że stracił język, wszelkie jego próby mówienia bez syntezatora były żenujące, pełne dźwięków „nga” i tym podobnych, więc pewnie nie chciał się narażać na śmieszność. Dlatego tylko stał i patrzył, aż w końcu zgasła we mnie nadzieja na ożywioną wymianę poglądów.

- Cóż - powiedziałem - przyjemnie było pogadać. Miłego dnia.

Wracając do laboratorium, tylko raz obejrzałem się za siebie. Doakes nadal wpatrywał się we mnie jadowym wzrokiem.

„A nie mówiłem?”, triumfował cichy głos Pasażera, ale ja tylko pomachałem Doakesowi i wszedłem do laboratorium.

Kiedy Vince i reszta wrócili koło trzeciej, wciąż czułem w ustach nieprzyjemny smak krakersów.

- O rany - sapnął Vince, stawiając torbę na podłodze - chyba się spaliłem na słońcu.

- Co jadłeś na lunch? - spytałem go.

Zamrugnął, jakbym zadał głupie pytanie.

- Jeden glina skoczył do Burger Kinga - odparł. - A co?

- Nie straciłeś apetytu na myśl, że w tym samym miejscu upiekli i zjedli dziewczynę?

Vince zrobił zdumioną minę.

- Nie - odpowiedział, wolno kręcąc głową. - Zjadłem podwójnego whoppera z serem i frytki. Dobrze się czujesz?

- Głodny jestem, to wszystko - odparłem. Vince dalej na mnie patrzył, więc zamiast czekać, kto pierwszy mrugnie, wróciłem do pracy.

Telefon obudził mnie, kiedy było jeszcze ciemno, więc przewróciłem się na bok, żeby spojrzeć na radio z budzikiem. Obrzydliwie radosne cyfry pokazywały czwartą czterdzieści siedem. Przespałem marne dwadzieścia minut po ostatnim ataku płaczu Lily Anne i nie byłem zadowolony z pobudki. W płonnej nadziei, że dzwonek nie wyrwie małej ze snu, złapałem słuchawkę.

- Halo - mruknąłem.

- Chcę, żebyś dziś przyjechał wcześniej - oświadczyła moja siostra. Wydawała się zupełnie niezmeńczona, co zirytowało mnie nie mniej niż fakt, że obudziła mnie w środku nocy.

- Debora - wymamrotałem głosem wciąż ochrypłym od snu - wcześniej to będzie za dwie i pół godziny.

- Zidentyfikowaliśmy tę próbkę DNA - rzuciła, ignorując moją uwagę, całkiem błyskotliwą jak na tę porę dnia, czy raczej nocy. - To Tyler Spanos.

Zamrugalem kilka razy, usiłując doprowadzić mózg do stanu jakiej takiej używalności.

- Dziewczyna z Everglades to Tyler Spanos? Nie Samantha Aldovar?

- Tak - potwierdziła. - Dlatego dziś rano powołają grupę specjalną. Chambers będzie koordynował działania, ale to ja pokieruję śledztwem - oznajmiła z wyraźnym podnieceniem w głosie.

- To świetnie - powiedziałem - ale po co ja mam przyjeżdżać wcześniej?

Zniżyła głos, jakby w obawie, że ktoś ją usłyszy.

- Potrzebuję twojej pomocy, Dex. Robi się z tego duża sprawa i nie mogę nic spieprzyć. Poza tym zaczyna się, no wiesz... polityka. - Odchrząknęła i przybrała ton nieco podobny do tonu kapitana Matthews. - Dlatego załatwiłam, żebyś kierował ekipą kryminalistyczną.

- Muszę zawieźć dzieci do szkoły - odparłem i w tym momencie usłyszałem obok siebie cichy szelest.

Rita położyła dłoń na moim ramieniu.

- Ja ich zawiozę.

- Nie powinnaś jeszcze prowadzić - zaproponowałem. - Lily Anne jest za mała.

- Nic jej nie będzie - zapewniła Rita. - Mnie też nie. Dexter, wiem, co mówię, dwa razy to przechodziłam i poradziłam sobie bez niczyjej pomocy.

Nigdy nie rozmawialiśmy o byłym mężu Rity, biologicznym tatusiu Cody'ego i Astor, ale z tego, co o nim wiedziałem, raczej wiele nie pomagał. Rita rzeczywiście musiała wiedzieć, co mówi. I prawdę powiedziawszy, wyglądała dobrze i całkiem zdrowo - tyle że ja martwiłem się głównie o Lily Anne.

- Ale fotelik... - zacząłem.

- Wszystko będzie dobrze, Dexter - przerwała mi Rita. - Jedź i rób, co do ciebie należy.

W słuchawce usłyszałem coś jakby prychnięcie.

- Podziękuj Ricie ode mnie - rzuciła Debora. - Na razie. - I rozłączyła się.

- Ale... - bąknąłem do słuchawki, choć Deb już nie mogła mnie słyszeć.

- Ubieraj się - powiedziała Rita. - Naprawdę nic nam nie będzie.

Nasze społeczeństwo ma wiele praw, które chronią kobiety przed brutalną siłą mężczyzn, ale gdy dwie kobiety coś postanowią i zjednoczą się przeciwko mężczyźnie, nie pozostaje mu nic innego niż ulec. Może pewnego dnia wybierzemy współczującą kobietę na prezydenta i ona ustanowi nowe przepisy w tej kwestii; do tego czasu byłem bezbronną ofiarą. Wstałem, wziąłem prysznic, a kiedy się ubrałem, Rita podała mi kanapkę z jajkiem na drogę i kawę w błyszczącym metalowym kubku podróżnym.

- Mam nadzieję, że złapiecie tych ludzi - odezwała się ze zmęczonym uśmiechem. Spojrzałem na nią z zaskoczeniem. - Było o tym w wiadomościach - wyjaśniła. - Mówili, że to... że zjedli tę biedną dziewczynę. - Wzdrygnęła się i wypita łyk kawy. - W Miami, w dzisiejszych czasach... To po prostu się w głowie nie mieści...

Kanibale? Cała grupa? Jak można... - westchnęła, znów napiła się kawy i odstawiła kubek; ku mojemu zdumieniu, w kąciku jej oka dostrzegłem łzę.

- Rita...

- Wiem. - Otarła łzę knykciem. - To tylko hormony, na pewno, bo... I tak naprawdę wcale nie... - Pociągnęła nosem. - Ale wiesz, dziecko... I teraz, kiedy czyjaś córka... Jedź, Dexter. To ważne.

Pojechałem. Półprzytomny i sponiewierany psychicznie po tym, jak obeszły się ze mną Rita i Deb, ale pojechałem. O dziwo, byłem równie zaskoczony tym, co Rita powiedziała, jak jej łzami. Kanibale. Głupio to przyznać, ale sam dotąd tak o nich nie myślałem. To znaczy Dexter nie jest kompletnym osłem: wiedziałem, że tę biedną dziewczynę zjedli ludzie i że ludzi, którzy jedzą innych ludzi, nazywa się kanibalami. Jednak sformułowanie oczywistego wniosku, że kanibale zjedli Tyler Spanos, spowodowało tę sprawę na poziom namacalnej rzeczywistości, który wydawał się dziwny i przerażający. Niby wiem, że świat pełen jest złych ludzi - wszak jestem jednym z nich - ale żeby cała grupa imprezowiczów zjadła na grillu młodą dziewczynę? To czyniło ich kanibalami współczesnymi i miejscowymi i miałem wrażenie, że poziom ogólnego zła podniósł się o kilka kresiek.

Ale miało to zarazem pewien urok; zupełnie jakby straszne baśnie stały się rzeczywistością. Najpierw wampiry, teraz kanibale. Jakże ciekawie zrobiło się w Miami. Może wkrótce spotkam centaury albo smoka, albo nawet uczciwego człowieka.

Jechałem do pracy w ciemności prawie pustymi ulicami. Na niebie świecił sierp księżyca, besztający mnie za lenistwo. „Do roboty, Dexter”, szeptał. „Pociachaj coś”. Pokazałem mu środkowy palec i jechałem dalej.

W jednej z sal konferencyjnych na piętrze urządzono centrum dowodzenia grupy Debory i kiedy wszedłem, już wrzało tam jak w ulu. Chambers, agent FDLE z ogoloną głową, siedział przy dużym stole zawalonym teczkami, raportami z laboratorium, mapami i kubkami kawy. Na blacie leżało siedem komórek, a przez ósmą rozmawiał.

I - niestety dla wszystkich zainteresowanych, może z wyjątkiem ducha J. Edgara Hoovera, który musiał czuwać nad nami w widmowej podomce - obok Chambersa siedziała agentka specjalna Brenda Recht.

Na czubku nosa miała bardzo modne okulary do czytania, które zsunęła jeszcze niżej, żeby spojrzeć na mnie z dezaprobatą. Odwzajemniłem się jej uśmiechem i przeniosłem wzrok na drugi koniec sali, gdzie mężczyzna w mundurze policjanta stanowego stał obok ciemnoskórego wielkoluda, którego widziałem na miejscu zbrodni. Olbrzym zerknął na mnie, więc kiwnąłem mu głową i ruszyłem dalej.

Debora właśnie wydawała instrukcje dwóm detektywom z policji Miami-Dade, natomiast jej partner Deke siedział obok i czyścił zęby nicią dentystyczną. Deb dała mi znak, żebym do niej dołączył. Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem w chwili, kiedy jeden z detektywów, gość nazwiskiem Ray Alvarez, powiedział:

- Wiesz, to mi się wcale nie podoba. No bo facet jest z ratusza, a ty już raz dostałaś szlaban.

- Teraz sytuacja wygląda inaczej - zapewniła go Debora. - Mamy zabójstwo, jakiego jeszcze nie było, i prasa wariuje.

- Niby tak - odparł Alvarez - ale przecież dobrze wiesz, że Acosta tylko szuka pretekstu, żeby urwać komuś jaja.

- Tym się nie przejmuj - powiedziała Debora.

- Łatwo ci mówić - mruknął Alvarez. - Nie masz jaj, tobie nie urwą.

- Tak ci się tylko wydaje, Ray - stwierdził Hood, drugi detektyw, którego trochę znałem. - Ma jaja dwa razy większe od twoich.

- Wal się - warknął Alvarez.

Deke prychnął; może to był śmiech, a może drobinka jedzenia wpadła mu do nosa.

- Znajdź Bobby'ego Acostę - rzuciła Debora do Alvareza - bo inaczej tak czy owak stracisz jaja. - Przeszyła go wzrokiem, a on wzruszył ramionami i spojrział w sufit, jakby w niemym pytaniu, dlaczego Bóg się na niego wziął. - Zaczynaj od motocykla. - Deb zajrzała do teczki, którą rozłożyła na kolanach. - Czerwony suzuki hayabusa, roczny.

Deke gwizdnął, a Alvarez spytał:

- Co takiego?

- Hayabusa - powiedział Deke ze stosownym podziwem. - Supermaszyna.

- Dobra, już wiem. - Alvarez westchnął, a Deb zwróciła się do Hooda.

- Ty zajmij się samochodem Tyler Spanos - poleciła. - Niebieskie porsche rocznik 2009, kabriolet. Gdzieś się w końcu musi pojawić.

- Pewnie w Kolumbii - stwierdził Hood i widząc, że Debora już otwiera usta, by go ochrzanić, dodał szybko: - Znajdę go, jeśli jeszcze nie zniknął na amen. - Wzruszył ramionami. - Nie, żeby to coś dało.

- Wiesz, jak jest - wtrącił Deke. - Trzeba odbębnić rutynowe czynności.

Hood spojrzał na niego z rozbawieniem.

- Jasne - powiedział. - Wiem.

- No dobra - zagrział Chambers i wszyscy spojrzeli na niego jak za naciśnięciem guzika. - Proszę o chwilę uwagi.

Wstał i cofnął się o parę kroków, w miejsce, z którego mógł wszystkich widzieć.

- Na początek chcę podziękować majorowi Nelsonowi - skinął głową mężczyźnie w mundurze policjanta stanowego - i detektywowi Weemsowi z policji plemienia Miccosukee. - Olbrzym podniósł rękę, żeby pomachać, i o dziwo, uśmiechnął się do zgromadzonych.

Trąciłem Deborę łokciem i szepnąłem:

- Patrz i ucz się. To jest polityka.

Trąciła mnie mocniej i odszepnęła:

- Zamknij się.

Chambers mówił dalej.

- Są tu, bo wokół tej sprawy robi się wrzawa, jakiej jeszcze nie było, i niewykluczone, że będziemy potrzebowali ich pomocy. Musimy mieć oko na Everglades - skinął głową Weemsowi - i na drogi na terenie stanu, a sami sobie z tym nie poradzimy. - Majorowi Nelsonowi nawet nie drgnęła powieka.

- A federalni nam po co? - spytał Hood, wskazując agentkę specjalną Recht.

Chambers przez chwilę tylko na niego patrzył.

- FBI jest tutaj - odparł wreszcie, starannie ważąc słowa - bo szukamy grupy ludzi, a jeśli ta grupa jest w jakikolwiek sposób zorganizowana, może nawet w skali kraju, chcą o tym wiedzieć. Poza tym nadal mamy jedną zaginioną dziewczynę i może się okazać, że to porwanie. Szczerze mówiąc, cała ta sprawa tak cuchnie, że powinniście dziękować opatrności, że nie ma tu skarbówki, Biura

do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej i wywiadu marynarki wojennej. Więc mordy w kubel i do roboty.

- Tak jest - powiedział Hood z niedbałym salutem.

Chambers jeszcze chwilę na niego patrzył i dopiero kiedy detektyw zaczął się wiercić, wrócił do przerwanego wywodu.

- Sierżant Morgan - oznajmił - kieruje śledztwem na miejscu, w Miami. Gdyby trzeba było objąć dochodzeniem inne rejony, musi przyjść z tym najpierw do mnie. Jasne?

Debora skinęła głową.

- Jakies pytania? - Chambers rozejrzał się po sali. Nikt się nie odezwał. - W takim razie sierżant Morgan powie krótko, co już wiemy.

Debora wstała, podeszła do Chambersa, a gdy ten usiadł, rozpoczęła swoje sprawozdanie. Był to zaiste przykry widok, Deb nie jest bowiem dobrą oratorką, a na domiar złego łatwo się peszy. Chyba zawsze źle się czuła w ciele pięknej kobiety; ma osobowość pasującą bardziej do Brudnego Harry'ego i nie znosi, kiedy ludzie na nią patrzą. Dlatego każdy, kto dobrze jej życzył - grono w tej chwili ograniczone prawdopodobnie tylko do mnie - musiał czuć się niezręcznie, słysząc, jak co rusz się zacina, odchrząkuje i chwyta się oklepanych policyjnych frazesów jak ostatniej deski ratunku.

Na szczęście wszystko, nawet to, co nieprzyjemne, musi się kiedyś skończyć, więc po długiej i wyczerpującej nerwowo relacji, Deb powiedziała:

- Jakies pytania? - Po czym zaczerwieniła się i spojrzała na Chambersa, jakby zawstydzona, że wykorzystała jego tekst.

Detektyw Weems podniósł rękę.

- Co mamy robić w Everglades? - powiedział zadziwiająco łagodnym i piskliwym głosem.

Debora odchrząknęła. Znowu.

- Wystarczy, że... no wiesz... nagłośnicie sprawę. Może ktoś coś zobaczy, może ci ludzie spróbują zorganizować... no wiesz... następną imprezę. A może odbyła się jakaś, o której nie wiemy, i jest jakies miejsce, w którym znalazłoby się nowe dowody. - Odchrząknęła. Zastanawiałem się, czy podać jej pastylkę na kaszel.

Szczerliwie dla wizerunku Debory jako przebojowej śledczej Chambers uznał, że już wystarczy. Wstał, zanim zapadła się ze wstydu pod ziemię, i oznajmił:

- Wszyscy wiecie, co macie robić. Jeszcze tylko jedno: gęby na kłódkę. Media już mają używanie, nie chcę dawać im więcej amunicji. Zrozumiano?

Wszyscy skinęli głowami, nawet Debora.

- W porządku - rzekł Chambers. - No to do roboty, łapcie bandytów.

Odprawa zakończyła się wśród skrzypienia krzesel, szurania nóg i gwaru rozmów; siedzący podnieśli się z miejsc i dołączyli do tych, którzy już stali. Tylko major Nelson z drogówki nasadził kapelusz na krótko ostrzyżoną głowę i wyszedł z sali marszowym krokiem. Olbrzym z policji plemiennej, Weems, podszedł do Chambersa, a agentka specjalna Recht siedziała sama i rozglądała się ze słabo skrywaną dezaprobatą. Hood zerknął na nią i pokręcił lekko głową.

- Cholera - mruknął. - Nie cierpię jebanych fedziów.

- A im to wisi - odparował Alvarez.

- Nie żartuję - warknął Hood i zwrócił się do Debory: - Nie moglibyśmy jakoś utrzcć nosa tej federalnej suce?

- Pewnie, że tak - odparła tonem, który wróżył kłopoty. - Możecie znaleźć tę dziewczynę, złapać cholernego mordercę i robić to, co do was należy, żeby babsztyl nie miał o co się przyczepić. - Odśloniła kilka zębów; nie był to uśmiech, choć Bobby Acosta mógłby tak pomyśleć. - Dasz radę, Richard?

Hood spojrział na nią i pokręcił głową.

- Kurde - stęknął.

- No proszę, jednak miałaś rację - stwierdził Alvarez. - Ona jednak ma jaja, tyle że większe od twoich.

- Kurde - powtórzył Hood i, najwyraźniej szukając łatwego celu, na którym mógłby się odegrać, spytał: - A ty co, Deke?

- Co ja? - zdziwił się przystojny partner mojej siostry.

- Co ty będziesz robił? - uściślił Hood.

Deke wzruszył ramionami.

- No wiesz - powiedział - kapitan chce, żebym trzymał się... hm... Morgan.

- O rany - prychnął Alvarez. - To ci dopiero niebezpieczna robota.

- Jesteśmy partnerami - przypomniał mu Deke, lekko urażony.

- Uważaj na siebie - ostrzegł go Hood. - Morgan nieźle daje w kość swoim partnerom.

- A od czasu do czasu ich, że tak powiem, gubi - dodał Alvarez.

- Hej, dupki, zaprowadzić was za rączkę do wydziału komunikacji? - wtrąciła Debora. - A może z łaski swojej przestaniecie myśleć o pierdołach i sami tam traficie?

Hood wstał.

- Już idę, szefowo - zameldował i ruszył do drzwi.

- Uważaj na siebie, Deke - rzucił Alvarez i poszedł za nim.

Deke patrzył za nimi z lekko zmarszczonym czołem, a kiedy zamknęli za sobą drzwi, spytał:

- Dlaczego się mnie czepiają? Bo jestem nowy? - Debora zignorowała go, więc zwrócił się do mnie: - Czemu? Co takiego zrobiłem?

Odpowiedź wydawała mi się oczywista - gliny, jak wszystkie zwierzęta stadne, czepiają się każdego członka stada, który jest inny albo okazuje słabość. Deke, obdarzony nieprzyzwoitą urodą i raczej ograniczonym intelektem, spełniał oba kryteria i tym samym był typową ofiarą. Uznałem jednak, że trudno byłoby wyrazić tę myśl tak, by uniknąć przykrych nieporozumień, więc tylko uśmiechnąłem się do niego uspokajająco i powiedziałem:

- Jestem pewien, że odpuszczą, jak zobaczą, co potrafisz.

Pokręcił głową.

- Jak mam cokolwiek zrobić? - spytał i spojrzał na Deb. - Muszę łązić za nią jak cholerny cień.

Wyraźnie oczekiwał odpowiedzi, toteż odpowiedziałem:

- Cóż, na pewno kiedyś będziesz miał okazję wykazać się inicjatywą.

- Inicjatywą - powtórzył i przez chwilę myślałem, że będę musiał mu wyjaśnić, co to słowo znaczy.

Na szczęście dla mnie tylko znowu pokręcił głową i mruknął: „Cholera”, chwilę później podszedł Chambers i położył rękę na ramieniu Debory.

- No, Morgan - powiedział - wiesz, co masz zrobić. Za półtorej godziny na dole.

Deb spojrzała na niego. Tak bliskiej paniki jeszcze jej nie widziałem.

- Nie mogę - wykrztusiła. - Myślałam, że ty...

Teraz Chambers pokręcił głową i uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. Wyglądał jak perfidny elf.

- Nie - uciął szybko. - Ty prowadzisz śledztwo. Ja je tylko koordynuję. I chce, żebyś ty to załatwiła. - Poklepał ją po ramieniu i odszedł.

- Cholera - zakłęła Debora. Przez chwilę byłem poirytowany, że tego ranka wszyscy powtarzają to słowo. Przeczesła palcami włosy i zauważyłem, że ręka jej drży.

- O co chodzi? - spytałem, ciekawy, dlaczego moja nieustraszona siostra trzęsie się jak liść na wietrze.

Wzięła głęboki oddech i odparła:

- O konferencję prasową. Chcą, żebym się spotkała z dziennikarzami. - Z trudem przełknęła ślinę i oblizała usta, jakby wszystko w niej wyschło na wiór. - Cholera - powtórzyła.

Praca w laboratorium policyjnym daje mi satysfakcję głównie dlatego, że zawsze mogę liczyć na pewną różnorodność. Czasami przeprowadzam skomplikowane badania przy użyciu najnowocześniejszej aparatury, ale bywa też, że tylko siedzę i patrzę w mikroskop. Co więcej, zmieniam otoczenie, ilekroć wyjeżdżam na miejsce zbrodni, a przestępstwa też są różne: od prymitywnego zaszlachtowania żony po zdarzające się niekiedy całkiem ciekawe jatki.

Jednak w całej mojej długiej i przebogatej karierze jeszcze nigdy nie musiałem zaprzęgać całej wiedzy i ogólnej przenikliwości do tego, by przygotować zatrwożoną siostrę do konferencji prasowej. I dobrze, bo gdyby wchodziło to w zakres moich obowiązków, poważnie zastanowiłbym się nad porzuceniem medycyny sądowej i zostaniem wuefistą w gimnazjum.

Debora zawlokła mnie do swojego boksu i natychmiast oblała się bardzo nieestetycznym zimnym potem. Usiadła, wstała, zrobiła trzy kroki w jedną i trzy w drugą stronę, znowu usiadła i złączyła dłonie. A potem, żeby jeszcze bardziej podnieść swój już i tak niebotycznie wysoki Współczynnik Działania na Nerwy, zaczęła powtarzać: „Cholera! Cholera, cholera, cholera, cholera, cholera” – to głośniej, to ciszej, z różną intonacją, aż w końcu pomyślałem, że doszczętnie utraciła zdolność mówienia z sensem.

- Deb - powiedziałem w końcu - jeśli to cały twój komunikat, kapitan Matthews nie będzie zadowolony.

- Cholera - powtórzyła znowu i zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem dać jej w twarz. - Dexter, Jezu, proszę cię, co ja mam powiedzieć?

- Wszystko jedno, byle nie „cholera” - odparłem.

Znów wstała i podeszła do okna, nerwowo spletając palce. Każda dziewczynka od zarania dziejów chce być aktorką, tancerką albo inną artystką - każda z wyjątkiem mojej siostry. Wszystko, o czym marzyła Debora, nawet kiedy miała zaledwie pięć lat, to pistolet i odznaka.

Dzięki ciężkiej pracy, wrodzonej inteligencji i bardzo bolesnym ciosom w ramię osiągnęła swój cel – po to tylko, by teraz usłyszeć, że jeśli chce to zachować, musi zostać aktorką. Słowo „ironia” jest nadużywane, ale ta sytuacja zasługiwała na co najmniej cierpki uśmiech.

Wymagała też jednak pewnej dozy zrodzonego wraz z Lily Anne współczucia Dextera, bo widziałem, że bez mojej pomocy Deb udowodni, że samozapłon naprawdę jest możliwy. Uznawszy więc, że dość już wycierpiała, wstałem z rozklekotanego krzeselka i podszedłem do niej.

- Deb – powiedziałem. – To takie łatwe, że nawet kapitan Matthews jest w tym dobry.

Chyba już miała powtórzyć „cholera”, ale powstrzymała się i tylko przygryzła wargę.

- Nie dam rady – odparła. – Wszyscy ci ludzie... i reporterzy... kamery... nie mogę, Dexter.

Ucieszyłem się, że się pozbierała na tyle, by odróżnić „ludzi” od „reporterów”, ale miałem przed sobą jeszcze sporo pracy.

- Możesz, Deb – rzekłem stanowczo. – I zobaczysz, będzie dużo łatwiej, niż ci się wydaje. Może ci się nawet spodoba.

Zazgrzytała zębami i pewnie przywaliłaby mi, gdyby nie była taka rozkojarzona.

- Nie ma mowy – burknęła.

- To łatwe – zapewniłem ponownie. – Machniemy kilka akapitów, a ty będziesz musiała tylko przeczytać je na głos. Jakbyś streszczała lekturę w szóstej klasie podstawówki.

- Ze streszczeń dostawałam pały – warknęła.

- Bo nie miałaś mnie do pomocy – powiedziałem z pewnością siebie, jakiej wcale nie czułem. – No, do roboty; usiądźmy i napiszmy, co trzeba.

Znów zazgrzytała zębami i jeszcze przez kilka sekund stała ze splecionymi dłońmi, wyraźnie zastanawiając się, czy nie wyskoczyć przez okno. Ale to było pierwsze piętro, a okna zamknięte na stałe, więc w końcu odwróciła się i opadła z powrotem na krzesło.

- No dobrze – wycedziła przez zęby. – Jedziemy.

Do rozmowy z prasą wystarczy kilka oklepanych policyjnych formułek. Między innymi dlatego taki gadający garnitur jak kapitan

Matthews mógł wspiąć się na szczyty hierarchii: wystarczyło, że zdołał je wszystkie spamiętać i stojąc przed kamerą, wygłaszać w odpowiedniej kolejności. Tak naprawdę trudno to nazwać „talentem”, bo wymaga znacznie mniejszych umiejętności niż najprostsza karciana sztuczka.

Niestety Debora nawet takich umiejętności nie posiadała i tłumaczenie jej, o co mi chodzi, było jak opisywanie niewidomemu spódnicy w szkocką kratę. Ogólnie rzecz biorąc, okazało się na tyle męczące, że kiedy zesliśmy na konferencję prasową, oboje byliśmy skonani. Żadne z nas nie poczuło się lepiej na widok czekającego na nas tłumu zaślinionych drapieźców. Debora zamarła w pół kroku, z uniesioną nogą, i właśnie w tej chwili jak za naciśnięciem guzika, reporterzy zaczęli zarzucać ją pytaniami i pstrykać zdjęcia. Gdy zobaczyłem, że Deb zaciska szczęki i marszczy czoło, odetchnąłem z ulgą. Da sobie radę, pomyślałem i patrząc, jak wchodziła na podium, byłem z niej wręcz dumny.

Trwało to jednak tylko do momentu, kiedy otworzyła usta i zaczął się chyba najbardziej przygnębiający kwadrans w moim życiu. Widok Debory próbującej przemawiać do sali pełnej glin był żenujący. Widok Debory próbującej wygłosić komunikat na konferencji prasowej był torturą tak bolesną, iż jestem pewien, że nawet faceci w czarnych kapturach, którzy pracowali dla inkwizycji, wzdrygnęliby się ze zgrozy. Deb zacinała się, jąkała, przejęzyczała, oblewała potem i dukała kolejne starannie wyszlifowane frazy z takim wysiłkiem, jakby przyznawała się do gwałtu na dziecku. Gdy wreszcie skończyła czytać komunikat, nad którym tak ciężko pracowałem, w sali na kilka sekund zaległa pełna oszołomienia cisza. A potem, niestety, reporterzy zwietrzyli krew i rzucili się na Deborę z dziką furią. Wszystko, co działo się wcześniej, to była kaszka z mlekiem w porównaniu z tym. Patrzyłem, jak Debora powoli i starannie zawiązuje sobie stryczek na szyi, podciąga się do góry i kołysze na wietrze bez żadnej nadziei na ratunek, aż w końcu – chwała opatrności – kapitan Matthews uznał, że dość już wycierpiał, wystąpił naprzód i powiedział:

- Koniec pytań. - I wprawdzie nie zepchnął Debory z podium, ale widać było, że przemknęło mu to przez myśl.

Wpił się srogim wzrokiem w żądny krwi motłoch, jakby mógł ich zmusić do uległości samym męskim spojrzeniem, i o dziwo, trochę się

uciszyli.

- A teraz członkowie rodziny... - Podniósł dłoń do ust, odchrząknął i zacząłem się zastanawiać, czy aby nie zaraził się od Debory. - Pan i pani Aldovarowie pragną wygłosić krótkie oświadczenie. - Skinął głową i wyciągnął rękę w bok, jakby chciał kogoś objąć.

Oszołomiony pan Aldovar poprowadził żonę do mikrofonów. Wyglądała na wykończoną - miałem wrażenie, że postarzała się o kilka lat - ale kiedy stanęli przed tłumem, odsunęła się od męża i wyjęła z kieszeni kartkę papieru. Reporterzy zaś, dziw nad dziwy, zamilkli.

- Do osoby albo osób, które porwały naszą córeczkę - przerwała na chwilę i, jakby dostosowując się do konsekwencji, odchrząknęła. - Naszą Samanthę - dodała. - Nie jesteśmy bogaci, ale wszystko, co mamy i co zdołamy zebrać, jest wasze. Tylko proszę, nie krzywdźcie naszej córeczki... tylko nie... - Ukryła twarz w dłoniach i kartka sfrunęła na ziemię.

Pan Aldovar zrobił krok do przodu, wziął żonę w ramiona i spojrzał spode łba na reporterów, jakby wiedzieli, gdzie jest Samantha, i nie chcieli powiedzieć.

- To dobre dziecko - rzucił ostro. - Nie ma żadnego, ale to żadnego powodu, żeby, żeby... Proszę - dodał łagodniejszym tonem - proszę, uwolnijcie ją. Czegokolwiek chcecie, błagam, uwolnijcie ją... - urwał i zwiesił głowę.

Kapitan Matthews znów wystąpił naprzód i znów wpił się wzrokiem w reporterów.

- Wszyscy macie zdjęcie Samanthy - powiedział. - Prosimy, żebyście pomogli je rozpowszechnić i jeśli ktoś ją zobaczy, ktoś z mieszkańców miasta... niech zadzwoni na gorącą linię, której numer wy, przedstawiciele mediów, możecie rozpowszechnić razem ze zdjęciem... Zróbmy wszystko, aby uratować tę dziewczynę. Żywą. - Popatrzył pełnym determinacji wzrokiem prosto w obiektywy aparatów, odczekał chwilę i dodał: - Z góry dziękuję za pomoc. - Przez moment stał nieruchomo, dając fotografom jeszcze jedną szansę na uwiecznienie jego dostojnej fizys, po czym rzekł: - No dobrze, to tyle. - I odwrócił się.

Sala, co było do przewidzenia, wybuchła ogłuszającym gwarem, ale Matthews tylko machnął ręką, zwrócił się do Aldovarów, żeby powiedzieć coś na pocieszenie, i na tym konferencja się skończyła.

Przecisnąłem się do Debory, otrzymując i rozdając po drodze kilka mocnych kuksańców w żebra. Moja siostra stała z boku i na przemian zaciskała i rozwierała pięści. Powoli wracały jej rumieńce, ale wydawała się dziwnie wymięta, jakby właśnie wybudzono ją z sennego koszmaru.

- Jeśli jeszcze kiedyś każą mi to zrobić - wycodziła przez zęby - oddam pieprzoną odznakę.

- Jeśli jeszcze kiedyś spróbujesz to zrobić - odparłem - kapitan Matthews sam ci ją zabierze.

- Boże - jęknęła. - Więc naprawdę było aż tak źle?

- Ależ nie - zapewniłem. - Było jeszcze gorzej.

Zapewne kwaśny nastrój sprawił, że nie byłem przygotowany na cios w ramię. Z jednej strony, fajnie, że Deb dochodziła do siebie po przeżytych koszmarze. Z drugiej, cholernie bolało.

- Dzięki za wsparcie - rzuciła i zaczęła z furią przebijać się przez tłum, a ja ruszyłem za nią, pocierając obolałe ramię.

Reporterzy to dziwaczne stworzenia. Muszą mieć bardzo wysoką samoocenę, bo chociaż oglądali żałosny popis Debory, ubzdurali sobie, że jak tylko podstawią jej mikrofon i wykrzyczą pytanie, ona ulegnie presji ich nienaganych fryzur i użębienia i udzieli odpowiedzi. Niefortunnie dla tej ich zawodowej samooceny Debora tylko parła naprzód, odtrącając wszystko, co podsuwali jej pod nos, i odpychając każdego, kto był na tyle głupi, by stanąć jej na drodze. Mimo to reporterzy stojący przy samym wyjściu, którzy widzieli, co spotkało ich kolegów po fachu, próbowali robić to samo - i byli zaskoczeni, kiedy przynosiło to równie marny skutek.

Ponieważ szedłem za Deborą, kilku z nich obrzuciło mnie badawczym spojrzeniem, ale mój doskonalony przez lata kamuflaż był dla nich za dobry i wszyscy uznali, że jestem tym, za kogo chciałem uchodzić - absolutnym zerem, które nic o niczym nie wie. I tak oto, nieniekajony i niepoturbowany, jeśli nie liczyć ramienia obitego przez Deb, opuściłem salę i wróciłem z siostrą na górę, do centrum dowodzenia grupy specjalnej.

Gdzieś po drodze dołączył do nas Deke. Wszedł za nami do sali i oparł się o ścianę. Ktoś przyniósł ekspres i Debora naląła sobie trochę kawy do styropianowego kubka. Wypiła łyk i się skrzywiła.

- Jest jeszcze gorsza od kawy z automatu - oceniła.

- Moglibyśmy pójść gdzieś na śniadanie - zasugerowałem z nadzieją.
Deb odstawiła kubek i pokręciła głową.

- Za dużo roboty - orzekła. - Która godzina?

- Za piętnaście dziewiąta - odparł Deke, a gdy spojrzała na niego wilkiem, jakby wybrał niewłaściwą odpowiedź, rzucił: - No co? Mówię prawdę.

Drzwi otworzyły się i wszedł detektyw Hood.

- Jestem taki zajebisty, że sam siebie zadziwiam - oznajmił z dumą i klapnął na krzesło przed Deborą.

- Mnie też zadziw - powiedziała. - Co masz?

Hood wyjął z kieszeni kartkę i ją rozłożył.

- Niebieskie porsche kabriolet rocznik 2009. Samochód Tyler Spanos. - Trzepnął palcem kartkę, aż strzeliło. - Jeden gość, który prowadzi dziupłę z kradzionymi brykami, miał wobec mnie dług wdzięczności, bo rok temu mu pomogłem. - Wzruszył ramionami. - To byłaby jego trzecia wpadka, więc zgłosił się do mnie. - Znów trzepnął kartkę. - Porsche jest w warsztacie w Opa-Locka. Wysłałem radiowóz po gości, którzy go przemaalowują. To dwaj Haitańczycy. - Rzucił kartkę na biurko. - Dobry jestem, co?

- Jedź tam - poleciła Deb. - Chcę wiedzieć, kto im go sprzedał, i nie obchodzi mnie, jak to z nich wyciągniesz.

Hood obdarzył ją uśmiechem wygłodniałego drapieżcy.

- Fajnie - rzekł. - Czasem naprawdę kocham tę robotę. - Podniósł się z krzesła ze zdumiewającą gracją i wszedł, pogwizdując *Here Comes the Sun*.

Debora odprowadziła go wzrokiem, a kiedy drzwi za Hoodem się zamknęły, spojrzała na mnie.

- Pierwszy przełom w śledztwie i zawdzięczam go temu durniowi.

- Przełom? Czy ja wiem? - wtrącił Deke. - Jak skończą malować, nie będzie odcisków palców ani nic.

Deb popatrzyła na niego z miną, na której widok ja dałbym nura pod najbliższy mebel.

- Ktoś zrobił głupi błąd - powiedziała z wyraźnym naciskiem na słowo „głupi”. - Powinien był ten wóz zatopić, ale chciał szybko

zarobić parę patoli, więc go opchnął. A jeśli dowiemy się, kto sprzedał samochód...

- Znajdziemy dziewczynę - dokończył Deke.

Teraz Debora spojrzała na niego niemal czule.

- Otóż to - przyznała. - Znajdziemy dziewczynę.

- To dobrze - podsumował Deke.

Drzwi znów się otworzyły i wszedł detektyw Alvarez.

- Będiesz zachwycona - powiedział, zwracając się do Deb.

- Znalazłeś Bobby'ego Acostę? - spytała.

Alvarez pokręcił głową.

- Przyszła rodzina Spanos i chcą z tobą pogadać - odparł.

Gdyby człowiek, który wszedł pierwszy - niespełna trzydziestoletni kulturysta z włosami związanymi w kucyk i podejrzanym wybrzuszeniem pod lewą pachą - był ojcem Tyler, oznaczałoby to, że spłodził ją w wieku dziesięciu lat, co uznano by za przegięcie nawet w Miami. Kimkolwiek jednak był, miał srogą minę. Rozejrzał się po sali, łypiąc nieufnie na mnie i Deke'a, po czym wyjrzał na korytarz i skinął głową.

Wtedy do sali wszedł mężczyzna, który znacznie bardziej przypominał ojca nastolatki. W średnim wieku, raczej niski i trochę przy kości, o rzadziejących włosach i w okularach w złotych oprawkach. Miał spoconą twarz i rozdziawione usta, jakby dostał zadyszki. Wtoczył się do środka, rozejrzał bezradnie, po czym stanął przed Deborą, mrugając i ciężko sapiąc.

Następna była kobieta, młodsza od niego o dobrych kilka lat i o kilkanaście centymetrów wyższa. Miała rudoblond włosy i tyle biżuterii, że aż dziwne, że nie ugięła się pod jej ciężarem. Orszak zamykał kolejny młody kulturysta, dla odmiany ostrzyżony na jeża. Niósł średniej wielkości aluminiową walizkę. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o futrynę. Kobieta podeszła do Debory, wysunęła krzesło i wskazała je panu Spanosowi.

- Siadaj - powiedziała. - I zamknij usta.

Pan Spanos spojrział na nią, mrugał jeszcze chwilę, po czym pozwolił, by wzięła go za łokieć i posadziła. Ust jednak nie zamknął.

Kobieta rozejrzała się i wypatrzywszy wolne krzesło przy stole konferencyjnym, przysunęła je. Usiadła, spojrziała na pana Spanosa z wyraźną dezaprobatą i zwróciła się do Debory.

- Sierżant... Morgan? - spytała, jakby niepewna nazwiska.

- To ja - odparła Deb.

Kobieta przez chwilę wpatrywała się w nią, jakby miała nadzieję, że moja siostra zmieni się w Clintę Eastwooda. Wreszcie wydeła wargi i westchnęła.

- Jestem Daphne Spanos - przedstawiła się. - Matka Tyler. Debora skinęła głową.

- Proszę przyjąć moje kondolencje - powiedziała.

Pan Spanos rozplakał się, wydając przy tym bulgoczący dźwięk, który chyba zaskoczył Deb, bo wybałuszyła na niego oczy, jakby zaczął jodłować.

- Przestań - skarciła go Daphne. - Musisz wziąć się w garść.

- Moja córeczka - załkał i było oczywiste, że wzięcie się w garść na razie nie wchodzi w rachubę.

- Jest też moją córeczką, do cholery - syknęła Daphne. - A ty przestań wreszcie się mazgać.

Pan Spanos spojrział w dół na swoje buty i pokręcił głową, ale przestał bulgotać. Zamiast tego wziął głęboki wdech, usiadł na tyle prosto, na ile mógł, i spojrział na Deborę.

- To pani ma znaleźć te bestie, które to zrobiły - powiedział. - Które zabiły moją córeczkę. - Myślałem, że znów zacznie szlochać, ale zacisnął zęby i z jego ust nie wyszło nic prócz chrapliwego oddechu.

- Powołaliśmy grupę specjalną, panie Spanos - odparła Deb. - Zespół złożony z funkcjonariuszy różnych wydziałów...

Uniósł dłoń i uciszył ją machnięciem ręki.

- Nie obchodzi mnie zespół - stwierdził. - Mówili, że pani tu rządzi. To prawda?

Debora zerknęła na Alvareza, a gdy ten odwrócił wzrok z niewinną miną, znów spojrzała na Spanosa.

- Tak - potwierdziła.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Dlaczego nie mężczyzna? - spytał. - Zrobili kobietę szefem w ramach politycznej poprawności?

Widziałem, że Alvarez ledwo panuje nad sobą; Deborze przychodziło to bez trudu. Była przyzwyczajona do takich sytuacji, co nie znaczy, że jej się podobały.

- Kieruję śledztwem - wyjaśniła - bo jestem najlepsza. Jeśli to panu nie odpowiada, trudno.

Spanos pokręcił głową.

- Nie odpowiada mi - przyznał. - Powinien się tym zająć mężczyzna.

- Panie Spanos - odparła Debora - jeśli ma pan coś konkretnego do powiedzenia, proszę to zrobić. Jeśli nie... ja próbuję złapać mordercę, a pan tylko zabiera mi czas.

Zrobił niepewną minę i zerknął na żonę, która zacisnęła usta i skinęła głową. Spanos odwrócił się do Kucyka.

- Wyproś wszystkich - polecił stanowczo i Kucyk ruszył w stronę Deke'a.

- Ani kroku dalej - warknęła Debora i Kucyk zamarł. - Nikt stąd nie wyjdzie. Jesteśmy na komendzie policji.

- Chciałbym coś pani powiedzieć na osobności - wyjaśnił Spanos. - Coś, co powinno zostać między nami.

- Jestem policjantką - odparła. - Jeżeli chce pan rozmawiać ze mną na osobności, proszę przyjść z prawnikiem.

- Nie - sprzeciwił się Spanos. - To informacja tylko dla osoby prowadzącej śledztwo, nie dla tych wszystkich ludzi.

- Nie pracujemy w taki sposób - tłumaczyła cierpliwie Deb.

- Tylko ten jeden raz - nalegał Spanos. - Chodzi o moją córeczkę.

- Panie Spanos... - zaczęła Debora.

Daphne Spanos wychyliła się do przodu i powiedziała:

- Proszę. Zajmiemy tylko minutkę. - Chwyciła dłoń Deb i ścisnęła. - To naprawdę ważne dla śledztwa. - Widząc wyraz niepewności na twarzy Debory, ścisnęła jej dłoń jeszcze mocniej. - Chodzi o coś, co pomoże pani znaleźć tych ludzi - dodała kuszącym szeptem.

Deb cofnęła rękę i spojrzała na Spanosów. Potem zerknęła na mnie, a że byłem szczerze zaintrygowany, tylko wzruszyłem ramionami.

- Wasi ludzie poczekają na korytarzu razem z dwójką moich - zdecydowała wreszcie Debora.

Spanos pokręcił głową.

- Tylko pani i my - uparł się. - To musi zostać w rodzinie.

Debora wskazała mnie i odparła:

- Więc mój brat nie musi wychodzić.

- Brat - powtórzył Spanos i spojrzał na żonę, która skinęła głową. - W porządku. Mackenzie. - Wyciągnął rękę, a ostrzyżony na jeża podszedł i podał mu walizkę. - Ty i Harold poczekajcie za drzwiami.

Położył sobie walizkę na kolanach, a obaj kulturyści posłusznie wymaszerowali na korytarz. Deb machnęła na Deke'a.

- Deke, Alvarez, przypilnujcie tych dwóch.
- Ja mam pilnować ciebie - zaprotestował Deke. - Tak kazał kapitan.
- Wynoś się - rzuciła Deb.

Deke patrzył na nią hardo, aż w końcu podszedł Alvarez i położył mu dłoń na plecach.

- No, stary - ponaglił go. - Szefowa kazała wyjść, to wychodzimy.

Deke wysunął podbródek z dołkiem i przez sekundę wyglądał jak He-Man.

- Ale tylko dwie minuty - zastrzegł. Patrzył na Deb jeszcze chwilę, jakby chciał coś dodać, ale najwyraźniej nic ciekawego nie wymyślił, bo ostatecznie odwrócił się i wyszedł. Alvarez, posławszy Deborze krzywy uśmieszek, ruszył za Dekiem.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, przez prawie minutę nikt nawet nie drgnął. W końcu pan Spanos odchrząknął i położył walizkę na kolanach Debory.

- Proszę ją otworzyć - powiedział.

Deb tylko na niego patrzyła.

- No, niech pani otworzy - nalegał. - Nie wybuchnie.

Wpatrywała się w niego jeszcze chwilę, po czym spojrzała na walizkę, otworzyła dwa zamki i, rzuciwszy okiem na Spanosa, podniosła wieko.

Zajrzała do środka i zamarła na moment z ręką na uniesionym wieku, po czym spojrzała na Spanosa wzrokiem tak zimnym, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziałem.

- Co to, kurwa, jest? - wycodziła przez zęby.

Ludzkie uczucia były dla mnie czymś nowym, ale ciekawość nie, więc pochyliłem się i zajrzałem do walizki. Nie musiałem długo przyglądać się zawartości, żeby stwierdzić, co to, kurwa, było.

To były pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy.

Sądząc z górnej warstwy, studolarowe banknoty w zgrabnych paczuszkach przewiązanych papierową taśmą. Walizka była nimi wypełniona po brzegi. Aż dziwne, że Spanos zdołał ją domknąć. Może kiedy zamykał zamki, stał na niej Kucyk.

- Pół miliona dolarów gotówką - oświadczył Spanos. - Nieoznakowane banknoty. Dostarczę je, gdzie pani sobie zażyczy. Choćby do banku na Kajmanach.

- Za co? - spytała Debora bezbarwnym głosem i gdyby Spanos znał ją tak dobrze jak ja, w tej chwili powinien się bardzo zaniepokoić.

Ale że Spanos Debory nie znał, jej pytanie, za co są te pieniądze, tylko dodało mu otuchy. Uśmiechnął się niewesoło - jakby chciał pokazać, że jego twarz nadal to potrafi - i powiedział:

- Właściwie za nic. Ale kiedy znajdziecie drania, który zabił moją córeczkę... - Głos mu się załamał. Zdjął okulary i wytarł szkła w rękaw, założył je z powrotem, odchrząknął i znów spojrzął na Deborę. - Kiedy go znajdziecie, niech pani do mnie zadzwoni, zanim zrobi pani cokolwiek innego. Wystarczy jeden telefon i te pieniądze są pani.

Debora patrzyła na niego, a on na nią. Spanos nie był już siąkającym nosem wrakiem, tylko człowiekiem, który doskonale wie, czego chce, i doskonale wie, jak to zdobyć.

Spojrzałem na pieniądze w otwartej walizce. Pół miliona dolarów. Naprawdę bardzo dużo. Nigdy nie zależało mi na pieniądzach - przecież nie studiowałem prawa, które zawsze uważałem za coś, co służy owcom do udowadniania sobie nawzajem, jakie są wspaniałe. Ale kiedy teraz patrzyłem na pliki banknotów, nie widziałem w nich abstrakcyjnych żetonów pozwalających śledzić wynik rozgrywki. Widziałem lekcje baletu dla Lily Anne. Jej studia, przejażdżki na kucyku, nowe sukienki, aparaty ortodontyczne i zbieranie muszli na plaży na Bahamach. A wszystko to było w tej małej walizce, mrugało do mnie chytrymi zielonymi oczami i mówiło: „Czemu nie? Co złego się stanie?”

Wtedy uświadomiłem sobie, że cisza niepokojąco się przedłuża, oderwałem więc wzrok od przyszłego szczęścia Lily Anne i spojrzełem na Deborę. Ani ona, ani Spanos nie zmienili wyrazu twarzy. W końcu jednak Deb odetchnęła głęboko, zamknęła walizkę i postawiła ją na podłodze.

- Niech pan to zabierze - powiedziała, pchając ją nogą w stronę Spanosa.

- Należy do pani - odparł.

- Panie Spanos - oznajmiła moja siostra. - Próba przekupienia funkcjonariusza policji to poważne przestępstwo.

- Jakie przekupstwo? - zachnął się. - To zwykły prezent. Proszę go przyjąć.

- Niech pan to zabierze - powtórzyła Debora.

- Chodzi o jeden telefon - nie ustępował Spanos. - Czy to taka straszna zbrodnia?

- Ogromnie państwu współczuję z powodu utraty córki - powiedziała Deb bardzo powoli. - I jeżeli w tej chwili weźmie pan to i stąd wyniesie, zapomnę o sprawie. Jeśli jednak ta walizka będzie tu, kiedy wrócą pozostali detektywi, trafi pan do więzienia.

- Rozumiem - rzekł Spanos. - Nie może pani w tej chwili nic powiedzieć; w porządku. Oto moja wizytówka. Proszę zadzwonić, kiedy pani znajdzie mordercę, pieniądze będą czekać. - Rzucił jej wizytówkę, ale Debora wstała i kartonik spadł na podłogę.

- Proszę wracać do domu, panie Spanos. I proszę zabrać tę walizkę ze sobą. - Ominęła go i otworzyła drzwi.

- Czekam na telefon - rzucił Spanos do jej pleców, a jego żona również tym razem okazała się bardziej praktyczna.

- Nie bądź skończonym durniem - burknęła, schyliła się po walizkę i z całej siły docisnąwszy wieko, zamknęła ją tuż przed tym, jak Deke i Alvarez wrócili z dwoma ochroniarzami. Podała walizkę mięśniakowi ostrzyżonemu na jeża i wstała. - Chodź - zwróciła się do męża. Spojrzał na nią, a potem na czekającą przy drzwiach Debore.

- Czekam na telefon - powtórzył.

Deb przytrzymała mu drzwi.

- Żegnam, panie Spanos - oświadczyła.

Patrzył na nią jeszcze kilka sekund, aż w końcu żona wzięła go pod ramię i wyprowadziła.

Debora zamknęła drzwi, głośno wypuściła powietrze z płuc i wróciła do stołu. Alvarez patrzył, jak siadała, radośnie wyszczerzony. Podniosła na niego wzrok, zanim zdążył przybrać wyraz powagi.

- Bardzo, kurwa, śmieszne - warknęła.

Deke podszedł, oparł się o ścianą w tym samym miejscu co wcześniej i spytał:

- Ile?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co?

Deke wzruszył ramionami.

- Pytam, ile było w walizce?

Debora pokręciła głową.

- Pół miliona - odparła.

- Gówniane pieniądze - prychnął Deke. - Jeden gość z Syracuse chciał dać mojemu kumplowi Jerry'emu Kozanskiemu dwie bańki, a chodziło tylko o gwałt.

- To jeszcze nic - wtrącił Alvarez. - Parę lat temu jeden boss kokainowy proponował mi trzy miliony za ćpuna, który ukradł mu brykę.

- Trzy miliony? I nie wzięłeś? - zdziwił się Deke.

- Czekałem, aż podniesie do czterech - odparł Alvarez.

- No dobra - ucięła Debora. - Dość już zmarnowaliśmy czasu. Do roboty. - Spojrzała na Alvareza. - Nie chcę dłużej słuchać tych twoich pierdół. Chcę Bobby'ego Acostę. Jedź po niego.

Kiedy Alvarez niespiesznie wyszedł, nagle dotarło do mnie, że pół miliona to wcale nie tak dużo za zjedzoną córkę. A w takim razie nic wielkiego by się nie stało, gdyby wziąć tę forszę od Spanosów za jeden prosty telefon. Nawet Deke zareagował, jakby stało się coś zabawnego, ot, zwykła rzecz.

Deb wyprostowała się i spojrzała prosto na mnie.

- Bierzmy się do pracy - powiedziała. - Chcę wiedzieć wszystko o tym... ponczu, który znaleźliśmy w Everglades. Jest w nim krew, ale inne składniki mogą wskazać nam jakiś trop. Zajmij się tym.

- Dobrze - odparłem. - A wy z Dekiem co będziecie robić?

Popatrzyła na mnie z taką samą kwaśną miną, co chwilę wcześniej na Deke'a.

- My - odezwała się tonem, który idealnie pasował do jej wyrazu twarzy - sprawdzimy pozostałych trzech gości z listy tego dentysty. - Znow zerknęła na Deke'a i mocno zacisnęła szczęki. - Któryś z tych amatorów wampirycznych kłów na pewno coś wie i my to z niego wyciągniemy.

- Jasne - rzucił cicho Deke.

- No cóż - skwitowałem - w takim razie wracam do laboratorium.

- Słusznie - powiedziała Debora.

I wyszedłem, zostawiając moją siostrę w towarzystwie jej niechcianego partnera.

Vince Masuoka już krzątał się po laboratorium.

- Zrobiłem test na obecność ecstasy w tym syfie z Everglades - poinformował mnie.

- Znakomicie - odparłem. - Właśnie miałem ci to zasugerować.

- Wynik pozytywny - oznajmił. - Ale jest w tym coś jeszcze, i to w dużej ilości. - Uniósł dłonie w bezradnym geście. - Coś organicznego, ale na razie nic więcej nie wiem.

- Cierpliwości - pocieszyłem go. - Ustalimy to, *mon frère*.

- Ty znowu z tym francuskim? - mruknął. - Kiedy ci się znudzi?

- Kiedy przyjdą pączki - odparłem z nadzieją.

- Cóż, nie przyjdą, więc *zoot alors* - odrzekł, wyraźnie nieświadomy, że to, co powiedział, nie miało najmniejszego sensu w żadnym języku, a co dopiero we francuskim. Edukowanie Vince'a nie było jednak moim zadaniem, więc dałem temu spokój i zajęliśmy się próbką ponczu z imprezy kanibali.

Do południa przeprowadziliśmy wszystkie analizy, jakie można było przeprowadzić w naszym małym laboratorium. Ustaliliśmy, że głównym składnikiem wywaru był popularny napój energetyzujący. Dodano do niego ludzką krew, która - choć trudno było stwierdzić to jednoznacznie na podstawie niewielkiej, mocno zwietrzałej próbki - prawie na pewno pochodziła z kilku źródeł. Ostatni składnik, to organiczne coś, wciąż pozostawał niezidentyfikowany.

- No cóż - powiedziałem - trzeba podejść do tego inaczej.

- Jak? - spytał Vince. - Urządzimy seans spirytystyczny?

- Prawie - odparłem. - Co powiesz na odrobinę rozumowania indukcyjnego?

- Może być, Sherlocku. To fajniejsze niż chromatografia gazowa.

- Zjadanie bliźnich nie jest naturalne - zacząłem. Próbowałem wczuć się w stan ducha uczestnika tamtej imprezy, ale Vince brutalnie wyrwał mnie z transu.

- Co ty, żarty sobie robisz? - prychnął. - Nie uczyłeś się historii? Kanibalizm to najbardziej naturalna praktyka na świecie.

- Nie w XXI wieku w Miami - zaprotestowałem. - Bez względu na to, co piszą brukowce.

- Mimo wszystko - obstawał przy swoim - to tylko kwestia kulturowa.

- No właśnie - podchwyciłem. - Silne kulturowe tabu, które trzeba jakoś przełamać.

- Cóż, krew już piją, więc co za problem pójść o krok dalej.

- Jest duża grupa ludzi - powiedziałem, ignorując Vince'a i próbując wyobrazić sobie tę scenę. - Napój energetyzujący ich pobudza, ecstazy nakręca, coraz bardziej podnieceni patrzą, co się dzieje. Pewnie gra jakaś hipnotyczna muzyka...

- Jaka? - wtrącił Vince.

- Hipnotyczna - powtórzyłem i zamilkłem na chwilę. - Brakuje czegoś - podjąłem - co wprowadziłoby tłum w receptywny stan umysłu, taki, który w połączeniu z muzyką i całą resztą sprawiłby, że byliby podatni na odpowiednie sugestie.

- Marihuana - podsunął Vince. - Zawsze czuję po niej głód.

- Cholera! - zawołałem, bo coś mi się nagle przypomniało.

- Cholera odpada - stwierdził Vince. - Od niej raczej traci się apetyt.

- Zamknij się - burknąłem. - Gdzie są te biuletyny Urzędu do Walki z Narkotykami?

Sięgnąłem na półkę po duży segregator, do którego chowaliśmy wszystkie ciekawsze pisma z Urzędu do Walki z Narkotykami. Po kilku minutach wertowania znalazłem dokument, o który mi chodziło.

- Tutaj - powiedziałem.

Vince spojrział na akapit, który wskazałem.

- Szałwia wieszca - przeczytał. - Myślisz, że to może być to?

- Tak - odparłem. - Tak przynajmniej wynika z rozumowania indukcyjnego.

Wolno pokiwał głową.

- Może raczej powinieneś powiedzieć: „To proste, drogi Watsonie”?

- To coś względnie nowego - zwróciłem się do Debory. Siedziała za stołem w centrum dowodzenia, a ja, Vince i Deke staliśmy za nią. Schyliłem się i postukałem palcem w biuletyn Urzędu do Walki z Narkotykami. - W okręgu Dade zdelegalizowali szałwię raptem parę lat temu.

- Wiem, co to jest szałwia, do cholery - warknęła Deb. - Ale z tego, co słyszałam, nie robi nic poza tym, że na kilka minut ogłupia.

Skinąłem głową.

- To prawda - przyznałem. - Nie wiemy jednak, jak działa w większych dawkach, zwłaszcza połączona ze wszystkimi tymi składnikami.

- Nie wiemy, czy w ogóle działa - dorzucił Vince. - Może ktoś po prostu dodał ją do smaku.

Debora spojrzała na niego.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jakie brednie wygadujesz? - spytała z wyraźnym niesmakiem.

- Jeden gość w Syracuse wypalił skręta z szałwii - wtrącił Deke - a potem próbował się spuścić. - Widząc, że wszyscy troje patrzymy na niego, wzruszył ramionami i dodał: - Znaczy z wodą, w sedesie.

- Gdybym mieszkała w Syracuse, też bym tak zrobiła - burknęła Debora i Deke uniósł dłonie w geście kapitulacji.

Odchrząknąłem w dzielnej próbie powrotu do tematu.

- Tak naprawdę ważne jest nie to, dlaczego użyli szałwii, tylko to, że jej użyli - zauważyłem. - Bo skoro zebrał się tam taki tłum, musieli użyć jej dużo. I to pewnie nie pierwszy raz. A jeśli ktoś używa szałwii w tak dużych ilościach...

- Powinno być łatwo znaleźć dilerów - dokończył Deke.

- Wyobraź sobie, że też na to wpadłam - warknęła Deb. - Deke, idź do obyczajówki i weź od sierżanta Fine'a listę największych dilerów szałwii.

- Robi się - powiedział i spojrzawszy na mnie, mrugnął porozumiewawczo. - Trzeba się wykazać inicjatywą, co nie? - Wymierzył do mnie z palca i zgiął kciuk. - Paf! - wypalił i odwrócił się z uśmiechem.

Wychodząc, o mało nie zderzył się z Hoodem, który podszedł do naszej grupki i oznajmił z dumą:

- Macie przed sobą geniusza.

- Ja mam przed sobą dwóch dziwołagów i palanta - odparła Deb.

- Dziwołagów? - zachnął się Vince. - Nie jesteśmy dziwołagami, tylko specjalistami.

- Czekaj, aż zobaczysz - powiedział Hood do Debory.

- Aż co zobaczę, Richard? - mruknęła z przekąsem.

- Mam tych Haitańczyków - odparł. - Gwarantuję ci, będziesz zachwycona.

- Mam nadzieję, Richard, bo właśnie tego mi, kurwa, potrzeba - stwierdziła. - Gdzie są?

Hood otworzył drzwi i pomachał do kogoś na korytarzu.

Po chwili do sali weszło trzech mężczyzn.

Pierwsi dwaj, czarni i przeraźliwie chudzi, mieli ręce skute z tyłu kajdankami, a prowadził ich mundurowy policjant. Jeden z aresztantów lekko utykał, drugi miał oko tak zapuchnięte, że prawie się nie otwierało. Gdy policjant pchnął ich w stronę Debory, Hood wystawił głowę na korytarz, rozejrzał się, zawołał:

- Hej, Nick! Tutaj! - Po chwili do sali weszła czwarta osoba.

- Nichole, nie Nick - sprostowała. Kiedy Hood posłał jej złośliwy uśmiešek, potrząsnęła głową, rozrzucając burzę ciemnych kręconych włosów. - A dla ciebie pani Rickman. - Spojrzała mu w oczy, lecz Hood nadal się uśmiechał, dała więc za wygraną i podeszła do stołu.

Była wysoka, modnie ubrana, w jednej ręce trzymała duży szkicownik, w drugiej garść ołówków - niewątpliwie policyjna rysowniczką. Debora skinęła jej głową.

- Jak się masz, Nichole?

- Witam, sierżant Morgan - powiedziała kobieta. - Miło będzie rysować kogoś, kto jeszcze żyje. - Uniosła brwi. - Bo żyje, prawda?

- Oby - odparła Deb. - W nim cała moja nadzieja na odnalezienie tej dziewczyny.

- No dobrze. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. - Nichole położyła szkicownik i ołówki na stole i sięgnęła po krzesło.

Debora przyjrzała się dwóm mężczyznom, których przyprowadził mundurowy.

- Co im się stało? - spytała Hooda.

Wzruszył ramionami i zrobił minę niewiniątka.

- Jak to? - powiedział.

Deb przez chwilę mierzyła go wzrokiem, a gdy znów wzruszył ramionami i niedbale oparł się o ścianę, wróciła spojrzeniem do aresztantów.

- *Bonjour* - przywitała ich.

Nie zareagowali, tylko stali nieruchomo ze spuszczonej głowami. Dopiero gdy Hood odkaslnął, ten z opuchniętym okiem lękliwie podniósł na niego wzrok. Hood wskazał głową Debora, na co aresztant odwrócił się do niej i zaczął coś mówić w języku kreolskim.

Deb, która z jakichś donkiszotowskich pobudek w szkole średniej uczyła się francuskiego, przez kilka sekund zdawała się wierzyć, że zdoła go zrozumieć. W końcu jednak pokręciła głową.

- *Je nais comprend...* Cholera jasna, nie pamiętam, jak to idzie. Dexter, skocz po kogoś, kto mógłby tłumaczyć.

Drugi zatrzymany, ten z kontuzjowaną nogą, wreszcie podniósł głowę.

- Nie trzeba. - Mówił z bardzo silnym akcentem, ale łatwiej go było zrozumieć niż francuski Debora.

- To dobrze - stwierdziła. - A co z twoim kolegą? - Wskazała ruchem głowy drugiego mężczyznę.

Haitańczyk wzruszył ramionami.

- Będę mówił za mojego kuzyna - odparł.

- W porządku - uznała Deb. - Chcemy, żebyście opisali nam mężczyznę, który sprzedał wam to porsche... Bo to był mężczyzna, prawda?

Znów wzruszył ramionami.

- Chłopak - uściślił.

- No dobra, chłopak. Jak wyglądał?

Kolejne wzruszenie ramion.

- *Blanc*. Młody...

- Jak młody? - weszła w słowo Debora.

- Trudno powiedzieć. Na tyle dorosły, żeby się golić, bo był nieogolony z kilkudniowym zarostem.

- W porządku - mruknęła Deb i się zasępiła.

Nichole wychyliła się do przodu.

- Ja się tym zajmę, pani sierżant - zaproponowała.

Debora chwilę na nią patrzyła, po czym odchyliła się na oparcie i skinęła głową.

- Proszę bardzo - rzuciła.

Nichole uśmiechnęła się do Haitańczyków.

- Świetnie pan mówi po angielsku - pochwaliła tego, który utykał. - Zadam tylko kilka prostych pytań, zgoda?

Mężczyzna spojrział na nią podejrzliwie, ale nadal się uśmiechała, więc wzruszył ramionami i powiedział:

- Zgoda.

Nichole zaczęła zadawać dość niejasne dla mnie pytania. Przysłuchiwałem się z ciekawością, bo słyszałem, że jest naprawdę dobra w tym, co robi. Początkowo miałem wrażenie, że ta opinia była mocno przesadzona. Zaczęła od ogólnikowego: „Co pan pamięta o tym człowieku?”, a kiedy Haitańczyk opowiadał, kiwała głową, rysowała coś w szkicowniku i mówiła: „Uhm, rozumiem”.

Wyciągnęła z niego szczegółową relację z wizyty w warsztacie gościa, który przyjechał porsche Tyler. Nie miałem pojęcia, jak na tej podstawie można sporządzić portret pamięciowy kogokolwiek, wszystko jedno, żywego czy martwego. Debora najwyraźniej była podobnego zdania, bo niemal od razu zaczęła się wiercić, a potem odchrząkiwać, jakby chciała się wtrącić. Ilekroć to robiła, Haitańczycy zerkali na nią nerwowo.

Nichole, nie zwracając na Deb uwagi, dalej zadawała ogólnikowe pytania, a do mnie zaczynało docierać, że w ten sposób uzyskuje całkiem przyzwoity rysopis. Ledwo to sobie uświadomiłem, przeszła do konkretów.

- A jaki miał owal twarzy? - spytała.

Haitańczyk spojrział na nią tępo.

- Owal? - powtórzył niepewnie.

- Gadaj - warknął Hood.

- Nie wiem - wykrztusił mężczyzna, a Nichole wpiła się wzrokiem w Hooda. Posłał jej krzywy uśmiešek i oparł się o ścianę.

Nichole zwróciła się do Haitańczyka.

- Pokażę panu kilka różnych kształtów. - Wyjęła ze szkicownika arkusz papieru z kilkoma owalami twarzy i spytała: - Czy któryś z nich

przypomina panu kontur jego twarzy?

Aresztant pochylił się do przodu i uważnie obejrzał rysunki. Po chwili dołączył do niego kuzyn, zerknął na arkusz i powiedział coś cicho. Pierwszy mężczyzna skinął głową.

- Ten na górze - oznajmił.

- Ten? - upewniła się Nichole, wskazując ołówkiem jeden z owali.

- Tak - potwierdził. - Ten.

Zaczęła rysować szybkimi i bardzo pewnymi ruchami, przerywając tylko po to, by zadawać kolejne pytania i pokazywać kolejne obrazki. „A jego usta? A uszy? Czy któryś z tych kształtów pasuje?” - i tak dalej, aż na kartce zaczęła powstawać twarz. Debora milczała, a Haitańczycy po każdym pytaniu nachylali się ku sobie, odbywali cichą naradę po kreolsku i ten, który znał angielski, odpowiadał, jego kuzyn zaś kiwał głową. To było naprawdę fascynujące przysłuchiwać się ich stłumionej paplaninie i patrzeć, jak na kartce, niczym za sprawą magii, ukazuje się twarz. Aż żałowałam, że ten spektakl musi się skończyć.

No i się skończył. Nichole pokazała szkic mężczyznom, a ten, który nie znał angielskiego, uważnie go obejrzał i pokiwał głową.

- *Oui* - powiedział.

- To on - dodał drugi i niespodziewanie obdarzył Nichole szerokim uśmiechem. - Jak czary - dodał niewyraźnie, ale było oczywiste, o co chodzi.

Debora wstała, okrążyła stół konferencyjny i zajrzała Nichole przez ramię.

- Sukinkot - mruknęła. Podniosła wzrok na Hooda, który wciąż stał w niedbalej pozie pod ścianą i uśmiechał się obleśnie. - Dawaj tu te akta - rzuciła. - Te ze zdjęciami.

Hood poszedł na drugi koniec stołu, gdzie obok telefonu leżał wysoki stos teczek. Niespiesznie przejrzał pierwszych kilka z góry.

- Szybciej, do cholery - ponagliła go Debora.

Skinął głową, w ciągu paru sekund znalazł właściwą teczkę i przyniósł jej.

Debora rozrzuciła zdjęcia na stole, obejrzała i podała jedno Nichole.

- Nieźle - oceniła, kiedy rysownicza położyła fotografię obok swojego szkicu.

- Rzeczywiście, nieźle - pochwaliła siebie Nichole z szerokim uśmiechem. - Kurde, naprawdę jestem dobra. - Oddała zdjęcie Deborze, która z kolei pokazała je Haitańczykom.

- To ten człowiek sprzedał wam porsche?

Jeszcze nie skończyła pytania, a mężczyzna z opuchniętym okiem już kiwał głową.

- *Oui.*

Jego kuzyn wychylił się do przodu, przyjrzał się fotografii i dopiero wtedy stwierdził autorytatywnie:

- Tak. To on, na pewno.

- Jesteście pewni? - zapytała Debora.

Haitańczycy energicznie pokiwali głowami.

- *Bon* - ucieszyła się Deb. - *Très beaucoup bon.*

Mężczyźni uśmiechnęli się i ten z opuchniętym okiem powiedział coś po kreolsku.

Debora spojrzała pytająco na jego kuzyna.

- Prosi, żeby pani mówiła po angielsku, bo wtedy lepiej rozumie - przetłumaczył mężczyzna z jeszcze szerszym uśmiechem.

Vince i Hood zachichotali. Ale Debora była zbyt szczęśliwa, by przejąć się drobną uszczypliwością.

- To Bobby Acosta - oznajmiła i spojrzała na mnie. - Mamy gnojka.

Mundurowy odprowadził zatrzymanych do aresztu. Nichole zabrała swoje rzeczy i wyszła, a Debora usiadła i wbiła wzrok w zdjęcie Bobby'ego Acosty. Vince spojrzał na mnie ze wzruszeniem ramion, jakby chciał spytać: „No i co teraz?” Debora podniosła na niego wzrok.

- Jeszcze tu jesteś?

- Nie, wyszedłem dwadzieścia minut temu - odparł.

- Wypad - burknęła.

- Dobra, ale najpierw weź go w rękę - odciął się subtelnie.

- Nasraj se w ucho - zasugerowała równie miło Deb i Vince wymaszerował, a za nim niósł się jego okropny sztuczny śmiech.

Debora odprowadziła go wzrokiem, a że doskonale ją znam, wiedziałem, co się święci i nie byłem zaskoczony, kiedy to nastąpiło.

- No dobrze - powiedziała do mnie jakieś pół minuty po wyjściu Vince'a. - Chodźmy.

- Czy mam rozumieć - spytałem, starając się sprawiać wrażenie zaskoczonego - że nie zaczekasz na swojego partnera, wbrew regulaminowi wewnętrznemu i wyraźnemu poleceniu kapitana Matthews'a?

- Bierz dupę w troki i idziemy - odparła krótko.

- A co z moją dupą? - zainteresował się Hood.

- Idź se ją ugotuj - warknęła Debora, zerwała się z krzesła i ruszyła do drzwi.

- Co powiedzieć twojemu partnerowi? - dociekał Hood.

- Żeby sprawdził dilerów szafwii - odparła. - Chodź, Dex.

Pomyślałem, że spędzam zdecydowanie za dużo czasu, potulnie drepcząc za moją siostrą. Nie miałem jednak pojęcia, jak się od tego wymigać, więc poszedłem za nią.

Wsiedliśmy do samochodu i Debora pojechała na Dolphin Expressway, a potem autostradą numer 95 na północ. Nie udzieliła

mi żadnych informacji, ale nietrudno było się domyślić, dokąd zmierzamy, więc tak tylko, żeby nawiązać rozmowę, zagailem:

- Popatrzyłaś na zdjęcie Bobby'ego Acosty i już wiesz, jak go znaleźć?

- Uhm - burknęła. Debora nigdy nie znała się na sarkazmie. - Tak się składa, że wiem.

Zastanowiłem się chwilę.

- Lista od dentysty? Ludzie z wampirzymi kłami?

Skinęła głową, wyprzedzając zdezelowanego pikapa ciągnącego przyczepe.

- Zgadza się - potwierdziła.

- A nie sprawdziłaś ich z Dekiem?

Spojrzała na mnie, co uznałem za nie najlepszy pomysł, bo jechaliśmy sto trzydzieści na godzinę.

- Został jeden - odparła. - Ale to ten, jestem pewna.

- Uważaj - rzuciłem i Deb zerknęła na drogę w samą porę, by wyminąć wielką cysternę z paliwem, która bez widocznego powodu postanowiła zmienić pas.

- Sądzisz, że ten ostatni z listy powie nam, jak znaleźć Bobby'ego Acostę? - spytałem.

Debora energicznie pokiwała głową.

- Miałam co do niego przecucie od samego początku - powiedziała, skręcając na prawy pas.

- I dlatego zostawiłaś go na koniec? Debora! - krzyknąłem, kiedy dwa motocykle zajechały nam drogę i zahamowały przed zjazdem z autostrady.

- Uhm - odparła, płynnie zjeżdżając na środkowy pas.

- Bo chciałaś zbudować napięcie?

- To przez Deke'a - wyjaśniła i byłem przeszcześliwy, że patrzy na drogę. - On po prostu... - wahała się chwilę - przynosi pecha.

Jak dotąd, całe życie spędziłem wśród glin i pewnie tak już zostanie, zwłaszcza jeśli któregoś dnia mnie złapią. Wiem, że przesady ujawniają się w najdziwniejszych miejscach i momentach, nie spodziewałem się jednak usłyszeć o nich od mojej siostry policjantki.

- Mam wezwać *santero*? - zaproponowałem. - Zarznie czarnego koguta i...

- Wiem, jak to brzmi, do licha - przerwała mi. - Ale jak inaczej, do cholery, to wyjaśnić?

Mogłem to wyjaśnić na wiele innych sposobów, uznałem jednak, że wspomnianie o tym byłoby niedyplomatyczne, milczałem więc. Po chwili Debora zaczęła mówić dalej.

- No dobrze, może gadam bzdury - przyznała. - Ale w tej sprawie potrzebuje trochę szczęścia. Zegar tyka, a ta dziewczyna... - zawiesiła głos, jakby ze wzruszenia, więc spojrzałem na nią zaskoczony. Uczucia? U sierżant Żelazne Serce?

Nie odwzajemniła mojego spojrzenia. Pokręciła tylko głową i powiedziała:

- Tak, wiem, nie powinnam się tym tak przejmować. Tylko że... - Wzruszyła ramionami i znów się naburmuszyła. Trochę mi ulżyło na ten widok. - Ostatnio jestem trochę... sama nie wiem. Dziwna.

Przebiegłem myślami wydarzenia ostatnich kilku dni i stwierdziłem, że to prawda: moja siostra była jak na siebie wyjątkowo krucha i nadwrażliwa.

- Fakt - przyznałem. - Jak sądzisz, dlaczego?

Westchnęła ciężko; kolejna nietypowa dla niej reakcja.

- Chyba... sama nie wiem... Chutsky mówi, że to przez tę ranę. - Znowu westchnęła. - Tłumaczył mi, że to coś jak depresja poporodowa, że po poważnym urazie musi minąć trochę czasu, zanim człowiek się pozbiera.

Skinąłem głową. To miało sens. Debora niedawno dostała nożem i niewiele brakowało, żeby się wykrwawiła; gdyby pomoc nadeszła dosłownie kilka sekund później, dziś by jej tu nie było. A Chutsky, jej facet, niewątpliwie znał się na takich rzeczach - zanim został inwalidą, był agentem wywiadu czy kimś takim i jego ciało było jedną wielką mapą plastyczną z blizn.

- Mimo wszystko - orzekłem - nie możesz się tak przejmować tą sprawą. - Byłem przygotowany na bolesny cios w ramię, lecz Deb znów mnie zaskoczyła.

- Wiem - powiedziała cicho - ale nic na to nie poradzę. To zwyczajna młoda dziewczyna. Prawie dziecko. Dobra szkoła, kochająca rodzina i ci... ludzie... kanibale... - urwała i wpadła w ponurą zadumę,

co jaskrawo kontrastowało z faktem, że pędziliśmy zatłoczoną szosą. – To skomplikowane, Dexter – dodała w końcu.

– Widzę – stwierdziłem.

– Chyba wczuwam się w jej sytuację – wyznała. – Pewnie dlatego, że jest tak samo bezbronna jak ja. – Patrzyła prosto przed siebie, ale zdawała się nie widzieć drogi, co było trochę niepokojące. – A do tego cała ta reszta. Sama nie wiem.

Może dlatego, że siedziałem w samochodzie, który gnał z karkołomną prędkością, nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi.

– Jaka reszta? – spytałem.

– No wiesz – powiedziała, chociaż jasno dałem do zrozumienia, że właśnie nie wiem. – Te pierdoły o rodzinie. To znaczy... – nagle przerwała i spojrzała na mnie surowo. – Jeśli piśniesz Vince'owi czy komukolwiek choć słowo o moim tykającym zegarze biologicznym, przysięgam, że cię zabiję.

– Ale tykać tyka? – upewniłem się, lekko zdumiony.

Jeszcze chwilę patrzyła na mnie wilkiem, po czym, szczęśliwie dla naszego życia i zdrowia, znów spojrzała na drogę.

– Chyba tak – przyznała. – Naprawdę chcę rodziny, Dex.

Mogłem jej powiedzieć coś pocieszającego – że rodziny są przereklamowane, a dzieci to diabelski wynalazek powodujący, że starzejemy się przedwcześnie i wariujemy – pomyślałem jednak o Lily Anne i nagle zapragnąłem, żeby moja siostra miała własną rodzinę i mogła poczuć to wszystko, co ja uczyłem się czuć.

– No cóż... – zacząłem.

– Cholera, to ten zjazd! – Debora ostro odbiła w bok i nastrój bezpowrotnie prysł, a ja zapomniałem, o czym właściwie chciałem mówić. Tablica, która mignęła zaledwie kilkanaście centymetrów od mojej głowy, wskazywała skręt do North Miami Beach, dzielnicy skromnych domów i sklepów, która od dwudziestu lat prawie się nie zmieniła. Dziwna okolica jak dla kanibala.

Debora zwolniła przy końcu drogi zjazdowej, ale włączyła się do ruchu z wciąż zbyt dużą prędkością. Pojechała kawałek prosto, potem skręciła w prawo i wkrótce znaleźliśmy się na osiedlu, którego mieszkańcy posadzili żywopłoty blokujące wszystkie drogi wjazdowe z wyjątkiem jednej, głównej. Ta praktyka – powszechna w tej części

miasta - w założeniu miała ograniczać przestępczość. Nie wiedziałem, czy okazała się skuteczna.

Wjechaliśmy na małe osiedle i dwie przecznice dalej Deb skręciła na trawnik przed skromnym jasnożółtym domem i ostro zahamowała.

- To tu - oznajmiła, zerkając na kartkę na siedzeniu obok. - Gość nazywa się Victor Chapin i ma dwadzieścia dwa lata. Właścicielką domu jest pani Chapin, lat sześćdziesiąt trzy. Pracuje w centrum.

Spojrzałem na dom. Był nieco wyblakły i całkiem zwyczajny. Nie piętrzyły się przed nim stopy czaszek, żółtych ścian nie znaczyły magiczne symbole, w ogóle nic nie wskazywało, że czai się tu zło. Na podjeździe stał dziesięcioletni mustang; ot, typowy spokojny dom na przedmieściach.

- Victor mieszka z mamusią? - zdziwiłem się. - To kanibale tak mogą?

- Ten tak - odparła Deb. - Chodźmy.

Wysiadła i dziarsko ruszyła w stronę drzwi. Mimo woli przypomniałem sobie, jak nie tak dawno siedziałem w samochodzie i tylko patrzyłem, a ona podeszła do innych drzwi i chwilę później upadła, pchnięta nożem. Nie chcąc ryzykować, że sytuacja się powtórzy, wyskoczyłem z wozu i dołączyłem do Debory w chwili, kiedy naciskała dzwonek. Z wnętrza dobiegła jakaś melodia, która brzmiała bardzo podniosłe i wydawała mi się znajoma.

- Bardzo ładne - powiedziałem. - Wagner?

Deb tylko pokręciła głową, tupiąc niecierpliwie w betonową podłogę ganku.

- Może są w pracy - zasugerowałem.

- Na pewno nie - odparła. - Victor pracuje w nocnym klubie Fang w South Beach. Otwierają go dopiero o jedenastej.

Coś drgnęło na najniższej kondygnacji mojego najgłębszego i najmroczniejszego lochu. Fang. Skądś znałem tę nazwę, ale skąd? Z „New Timesa”? Z jakiejś opowieści Vince’a Masuoki o jego nocnych eskapadach? Nie mogłem sobie przypomnieć. Tymczasem Debora skrzywiła się złowrogo i ponownie nacisnęła dzwonek.

Wewnątrz znów rozbrzmiała muzyka, ale tym razem przez najbardziej zachwycający akord przebił się krzyk: „Zaraz, kurwa!”, i po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Osobnik, który

w nich stanął – przypuszczalnie Victor Chapin – spojrzął na nas spoode łba. Chudy, metr siedemdziesiąt w butach, ciemnowłosa, kilkudniowy zarost na twarzy. Był ubrany w spodnie od pizamy i podkoszulek.

- Czego?! - warknął. - Spać nie dają!

- Victor Chapin? - spytała Debora.

Jej oficjalny policyjny ton musiał się przebić przez rozdrażnienie chłopaka, bo nagle zeszywniał i spojrzął na nas nieufnie. Oblizwał wargi, a kiedy jego spojrzenie wędrowało od Debory do mnie i z powrotem, mignął mi kiel z koroną założoną przez doktora Lonoffa.

- A bo co? - powiedział wreszcie.

- Pan Victor Chapin? - powtórzyła Deb.

- A kto pyta? - rzucił.

Debora sięgnęła po odznakę. Gdy tylko stało się oczywiste, że to naprawdę odznaka, Chapin nie czekał, aż moja siostra podstawia mu ją pod nos, tylko zaklął i próbował zatrzaskać drzwi. Odruchowo zablokowałem je nogą, a kiedy odbiły się i poleciały z powrotem na Chapina, chłopak odwrócił się i uciekł w głąb domu.

- Tylne drzwi! - krzyknęła Debora, już biegnąc za róg domu. - Ty zostań!

Po chwili usłyszałem trzask zamykanych drzwi i krzyk Debory: „Stój!” Potem zapadła cisza. Znów przypomniało mi się, jak niedawno dostała nożem, a ja, przygnębiony i bezradny, patrzyłem, jak życie wylewa się z niej na chodnik. Deb nie mogła wiedzieć, czy Chapin pobiegł do tylnego wyjścia – równie dobrze mógł pójść po miotacz ognia i może właśnie w tej chwili ją atakował. Zajrzałem do pogrążonego w półmroku holu, ale nikogo nie zobaczyłem ani nie usłyszałem nic poza cichym szumem klimatyzatora.

Wychylnąłem z powrotem i czekałem. Czas mijał i nic się nie działo. Gdzieś w oddali zawyła syrena. Po niebie przeleciał samolot. Ktoś zaczął brząkać na gitarze i śpiewać *Abraham, Martin and John*.

Kiedy uznałem, że dłużej tego nie wytrzymam i muszę sprawdzić, co z Deborą, zza rogu dobiegł podniesiony głos, a potem ukazał się Victor Chapin ze skutymi z tyłu rękami. Debora popychała go w stronę samochodu. Spodnie od pizamy miał ubrudzone ziemią, a policzek wyraźnie zaczerwieniony.

- Nie możecie!... kurwa!... adwokata!... cholera!... - wykrzykiwał.

Może był to jakiś skrót myślowy stosowany przez kanibali, ale na Deb wrażenia nie zrobił. Popchnęła Chapina jeszcze mocniej, a gdy podszedłem do niej, posłała mi tak rozradowane spojrzenie, jakiego u niej dawno nie widziałem.

- Co jest, kurwa?! - tę błyskotliwą frazę Chapin skierował do mnie.

- To, co widać - odparłem uprzejmie.

- To, kurwa, skandal! - wrzeszczał.

- Wsiadaj - powiedziała Debora.

- Nie możecie! - protestował. - Dokąd mnie, kurwa, zabieracie?!

- Do aresztu - odparła.

- Nie możecie mnie, kurwa, tak po prostu zabrać! - krzyknął. Debora uśmiechnęła się do niego. Nie znałem zbyt wielu wampirów, ale pomyślałem, że chyba żaden nie potrafiłby uśmiechnąć się tak przerażająco jak ona.

- Nie wykonałeś polecenia policjanta na służbie i próbowałeś uciekać. A to znaczy, że mogę cię, kurwa, tak po prostu zabrać - wyjaśniła. - I cię, kurwa, zabiorę, a ty albo, kurwa, odpowiesz na moje pytania, albo, kurwa, nieprędko wyjdiesz na wolność.

Otworzył usta, ale przez chwilę tylko oddychał. Jego śliczne błyszczące kły już nie wyglądały groźnie.

- Jakie pytania? - wykrztusił wreszcie.

- Byłeś ostatnio na jakiejś fajnej imprezce? - spytałem.

Często słyszy się i czyta, że komuś odpłynęła cała krew z twarzy, ale dopiero teraz zobaczyłem to na własne oczy - pomijając, rzecz jasna, okazje, kiedy widziałem krew odpływającą z twarzy podczas moich zabaw. Victor zrobił się bielszy niż jego podkoszulek i zanim Debora zdążyła zgromić mnie wzrokiem za to, że odzywam się niepytany, wykrzyknął:

- Przysięgam na Boga, że tego nie jadłem!

- Czego nie jadłeś? - zapytała Debora słodkim głosem.

Teraz Victor drżał i kręcił głową z boku na bok.

- Zabiją mnie - jęknął. - Kurwa mać, Jezu Chryste, normalnie mnie zajebią.

Debora zerknęła na mnie, triumfująca i szczęśliwa, po czym położyła dłoń na ramieniu Victora i pchnęła go w stronę samochodu.

- Wsiadaj - powiedziała.

W drodze do aresztu Debora próbowała dodzwonić się do Deke'a, żeby umówić się z nim na miejscu, ale nie zgłaszał się przez radio ani nie odbierał telefonu, więc zostawiła wiadomość dla niego u dyspozytorki. Poza tym podróż upłynęła w milczeniu – jeśli to właściwe słowo w sytuacji, kiedy człowiek musi słuchać nieskładnego monologu złożonego głównie z powtarzanego raz po raz słowa „kurwa”. Chapin, unieruchomiony na tylnym siedzeniu – właśnie po to w samochodach policyjnych przytwierdza się pierścienie do podłogi – ciskał gromy i odgrażał się, zdecydowanie nadużywając tego przekleństwa. Jeśli o mnie chodzi, bardzo się ucieszyłem, kiedy dotarliśmy na miejsce, za to Deb wyraźnie nie miała nic przeciwko temu, gdyby ta podróż trwała wiecznie. Ilekroć zerknęła na Chapina w lusterku wstecznym, na jej twarzy ukazywało się coś na kształt uśmiechu, a gdy zaparkowała i wywlokła go z samochodu, była przeszczęśliwa.

Kiedy odwaliliśmy papierkową robotę, Victor siedział w przytulnym pokoju przesłuchań, a Chambers z FDLA przyszedł obejrzeć naszą zdobycz. Patrzył przez szybę na Chapina, który położył ręce na stole, a głowę zwiesił zaledwie kilka centymetrów nad kajdankami.

- Wiem, że nie muszę ci przypominać – powiedział Chambers – że wszystko ma być załatwione podręcznikowo. – Debora zerknęła na niego z zaskoczeniem, lecz nawet na nią nie spojrzał, tylko mówił dalej: – Dobrze się spisałaś, Morgan. Masz obiecującego podejrzanego i jeśli będziemy ściśle trzymać się przepisów, przy odrobinie szczęścia posadzimy go na ładnych parę lat.

- Mam gdzieś wyrok skazujący – odparła. – Chcę uratować tę dziewczynę.

- Wszyscy tego chcemy – zapewnił Chambers – ale tego tu też miło byłoby zamknąć.

- Słuchaj no – warknęła Debora – polityka i public relations nie są teraz najważniejsze.

- Wiem - zaczął Chambers, ale nie dała mu dokończyć.

- Ten gość coś wie - powiedziała. - A czuje się samotny, nagi i jest śmiertelnie przerażony, więc jak go przycisnę, to pęknie.

- Masz wykonywać swoje obowiązki, Morgan, i...

Spojrzała na Chambersa, jakby to on ukrywał Samanthę Aldovar.

- Moim obowiązkiem jest znaleźć tę dziewczynę - wycodziła przez zęby, dźgając go w pierś palcem wskazującym. - A ten gnojek powie mi, gdzie mam jej szukać.

Chambers chwycił rękę Debory i opuścił w dół, spokojnie, lecz zdecydowanie. Potem położył dłoń na jej ramieniu, zbliżył twarz do jej twarzy i rzekł:

- Mam nadzieję, że powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć. Ale gdyby nie chciał, masz przestrzegać przepisów. Nie pozwól ponieść się emocjom, bo możesz wpakować się na minę. Jasne?

Przeszyła go wzrokiem. Nie mrugali, nie oddychali i nie odzywali się w niemym pojedynku. Jej gniew kontra jego opanowanie rewolwerowca - ogień kontra lód. Było to nadzwyczaj fascynujące starcie i w innych okolicznościach mógłbym oglądać je cały dzień, by zobaczyć, kto wygra. Ale że sprawy miały się tak, jak się miały, odchrząknąłem głośno. Oboje popatrzyli na mnie.

- Naprawdę mi przykro, że przerywam - wskazałem ruchem głowy Chapina za szybą - ale, że tak powiem, *tempus fugit*uje.

Wpatrywali się we mnie i miałem wrażenie, że jedna strona mojej twarzy topnieje, a druga zamarza. Potem Chambers spojrzał na Deb, ona spojrzała na niego, skinęła głową i czar prysł.

- Gdzie twój partner? - spytał Chambers. - Powinien przy tym być.

Debora pokręciła głową.

- Nie zgłasza się - odparła. - A ja nie mogę czekać.

- W porządku, zastąpię go - powiedział Chambers i odwrócił się do mnie; spojrzenie jego zimnych niebieskich oczu było niemal bolesne. - Zostań tu - rzucił, a ja nie miałem najmniejszej ochoty protestować.

Patrzyłem przez szybę, jak wchodzi do pokoju przesłuchań. Słyszałem, co działo się w środku, ale sądząc z przebiegu rozmowy, pieniądze wydane na zainstalowanie mikrofonów i głośników poszły na marne.

- Masz przesrane, Chapin - zaczęła Debora. Victor nawet nie podniósł głowy, więc stanęła jakiś metr za nim, założyła ręce na piersi i spytała: - Co miałeś na myśli, mówiąc, że tego nie jadłeś?

- Chcę adwokata - zażądał Chapin.

- Porwanie, zabójstwo i kanibalizm - powiedziała.

- To Vlad, to wszystko Vlad - wykrztusił.

- Vlad? Masz na myśli Bobby'ego Acostę?

Chapin spojrział na Deborę z rozdziawionymi ustami i znów zwiesił głowę.

- Chcę adwokata - powtórzył.

- Wystaw nam Bobby'ego, a potraktują cię łagodnie. W przeciwnym razie dostaniesz jakieś pięćset lat odsiadki, o ile nie czapę.

- Chcę adwokata - upierał się Chapin. Znów podniósł głowę, ale tym razem patrzył nie na Deb, tylko na Chambersa, który stał po drugiej stronie stołu. - Chcę adwokata. - Zerwał się na nogi i wrzasnął: - Adwokata, do kurwy nędzy!

Ciągnęło się to parę dobrych minut. Chapin coraz głośniejsze domagał się adwokata. Chambers próbował go uspokoić i posadzić z powrotem na krześle, a Debora tylko stała z założonymi rękami i patrzyła spode łba. Kiedy Victor wreszcie usiadł, Chambers wziął Deb pod ramię i wyprowadził z pokoju przesłuchań.

Dołączyłem do nich, akurat gdy mówił:

- ...i doskonale wiesz, że musimy po niego zadzwonić.

- Pieprzyć to! - krzyknęła Debora. - Mogę nagiąć przepisy i posadzić go na dwadzieścia cztery godziny!

- Prosił o adwokata - powiedział Chambers takim tonem, jakby tłumaczył niesfornemu dziecku, że nie powinno jeść ciastka przed obiadem.

- Odbierasz mi szansę - warknęła Debora. - I tej dziewczynie.

Po twarzy Chambersa przemknął błysk złości. Agent FDLE zrobił krok do przodu, stając oko w oko z Deb. Pomyślałem, że za moment będę świadkiem kolejnego zamachu na życie mojej siostry, więc sprężyłem się, gotowy wkroczyć do akcji. Na szczęście Chambers odetchnął głęboko, położył dłonie na ramionach Debory i powiedział powoli:

- Podejrzany prosi o adwokata, a prawo nakazuje mu go zapewnić. - Długo mierzyli się wzrokiem, aż w końcu Chambers opuścił ręce i się odwrócił. - Pójdę wezwać obrońcę z urzędu - oznajmił i zniknął w głębi korytarza.

Debora patrzyła za nim i widać było, że przez głowę przebiega jej seria nieprzyjemnych myśli. Zajrzała przez szybkę w drzwiach do pokoju przesłuchań. Chapin zaś siedział w tej samej pozycji, pochylony nad stołem.

- Pieprzony Chambers. - Deb pokręciła głową. - Nie doszłoby do tego, gdyby był tu ten palant Deke.

- Byłby tu, gdybyś go nie spławiła - zauważyłem.

- Pieprz się, Dexter - powiedziała, odwróciła się i ruszyła za Chambersem.

Sądy w Miami są przeciążone i zwłaszcza obrońcy z urzędu nie radzą sobie z nawałem obowiązków. To zresztą jeden z wielu powodów, dla których Dexter od lat skrupulatnie oszczędza pieniądze. Rzecz jasna, sprawy zagrożone karą śmierci mają pierwszeństwo, ale z drugiej strony, jest ich tyle, że każdy, kogo oskarżą o zabójstwo, dla własnego dobra powinien móc sobie pozwolić na adwokata z wyboru, gdyż biuro obrońców z urzędu, niegdyś pełne pracowitych liberalnych idealistów, stało się tymczasowym przystankiem dla młodych wilczków szukających rozgłosu. Trzeba naprawdę wyjątkowej sprawy, żeby liczyć z ich strony na coś więcej niż lekceważące, przelotne zainteresowanie.

Dlatego dobitnym dowodem rozgłosu, jaki powstał wokół naszego śledztwa, był fakt, że po niecałej godzinie zjawiała się elegancka młoda absolwentka studiów prawniczych na Stetson, która przedstawiła się jako mecenas Victora Chapina. Miała na sobie bardzo ładny kostium w najnowszym stylu à la Hillary Clinton. Szła dumnym krokiem, pokazując wszem wobec, że jest ucieleśnieniem Amerykańskiej Sprawiedliwości, i niosła aktówkę, która pewnie kosztowała więcej niż mój samochód. Weszła z nią i ze swoją butą do pokoju przesłuchań, usiadła naprzeciwko Chapina, położyła aktówkę na stole i rzuciła szorstko do strażnika:

- Wszystkie mikrofony i urządzenia nagrywające mają zostać wyłączone, i to już.

Strażnik, starszy facet, który wyglądał, jakby od dymisji Nixona wszystko było mu obojętne, wzruszył ramionami.

- Dobra, robi się - powiedział, wyszedł na korytarz, pstryknął przełącznikiem i głośnik zamilkł.

Zza moich pleców dobiegło głośne „kurwa!” i zorientowałem się, że wróciła Debora. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, jak zagłąda wściekłym wzrokiem do cichego teraz pokoju. Nie byłem pewien, czy się do siebie odzywamy, bo przecież nie wykonałem jej polecenia, gdy kazała mi się pieprzyć, odwróciłem się więc bez słowa i oglądałem peep-show. Nie działo się nic specjalnie ciekawego: adwokat Chapina nachyliła się ku niemu i przez kilka minut coś szybko mówiła. Victor patrzył na nią coraz bardziej zaintrygowany. Gdy w końcu się odezwał, pani mecenas zapisała coś w notesie, po czym zadała Chapinowi kilka pytań, na które odpowiadał z narastającym ożywieniem.

Po jakichś dziesięciu, piętnastu minutach prawniczka wstała, ruszyła do drzwi i wyszła na korytarz, gdzie już czekała na nią Debora. Pani mecenas obrzuciła moją siostrę spojrzeniem bynajmniej niepełnym aprobaty.

- Sierżant Morgan? - spytała głosem, od którego w powietrzu tworzyły się sople.

- Tak - mruknęła Debora.

- To pani dokonała zatrzymania? - zabrzmiało to jak pytanie, czy moja siostra zgwałciła dziecko.

- Tak - powtórzyła Deb. - A pani to...?

- DeWanda Hoople, obrońca z urzędu - przedstawiła się takim tonem, jakby oczekiwała, że wszyscy znają to nazwisko. - No cóż, trzeba będzie zwolnić pana Chapina.

Debora pokręciła głową.

- Nie sądzę - odparła.

Pani Hoople odsłoniła swoje idealne uzębienie w czymś, co trudno byłoby nazwać uśmiechem.

- Nieważne, co pani sądzi, sierżant Morgan - powiedziała. - Prawda jest taka, że Nie Macie Dowodów.

- Ten gnojek to kanibal - warknęła Debora - i wie, gdzie mogę znaleźć zaginioną dziewczynę.

- Doprawdy? - odparła pani Hoople. - A czy ma pani na to jakiś dowód?

- Uciekał przede mną - wyjaśniła Debora - a potem stwierdził, że tego nie jadł.

Hoople uniosła brwi.

- Czy sprecyzował, czego nie jadł? - spytała głosem ociekającym fałszywą słodyczą.

- To jasno wynikało z kontekstu - odparowała Deb.

- Przykro mi - oświadczyła Hoople z uśmiechem - ale nie znam żadnego paragrafu mówiącego o kontekście.

Ja natomiast znałem moją siostrę na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest bliska wybuchu. Na miejscu pani Hoople zacząłbym się wycofywać z rękami uniesionymi w obronnym geście. Debora odetchnęła głęboko i wycodziła przez zęby:

- Pani Hoople. Pani klient wie, gdzie jest Samantha Aldovar, a uratowanie jej to w tej chwili najważniejsza sprawa.

Hoople tylko uśmiechnęła się jeszcze szerzej i odparła:

- Nie ważniejsza od Karty Praw. Będziecie musieli go zwolnić.

Widziałem, że Debora aż drży z wysiłku, jakiego wymagało od niej panowanie nad sobą. Są sytuacje, kiedy ktoś sam się prosi, by rozkwasić mu nos, i to zdecydowanie była jedna z nich, a moja siostra w normalnych okolicznościach nie zwykła przepuszczać takich okazji. Tym razem jednak oparła się pokusie.

- Pani Hoople - rzekła wreszcie.

- Tak, pani sierżant?

- Kiedy będziemy musieli powiedzieć rodzicom Samantha Aldovar, że ich córka nie żyje i że ten człowiek mógł ją ocalić, ale musieliśmy go wypuścić, chcę, żeby poszła pani do nich ze mną.

- To nie należy do moich obowiązków - odparła prawniczka.

- Do moich też nie powinno - powiedziała Debora. - Ale przez panią będę to musiała zrobić.

Pani Hoople nie znalazła żadnej odpowiedzi, więc Debora odwróciła się i odeszła.

Jechałem do domu w popołudniowym szczycie, ale tym razem ślimacze tempo zupełnie mi nie przeszkadzało. Sprzyjało nawet rozmyślaniom, w których się pogrążyłem. Tyle dziwnych i niezrozumiałych rzeczy działo się naraz: Samantha Aldovar i kanibalizm w Miami, niespodziewany kryzys emocjonalny Debory i niepokojący powrót mojego brata Briana. A bodaj najdziwniejszy był Nowy Dexter, który musiał stawić czoła wszystkim tym wyzwaniom. Już nie Przebiegły Mistrz Mrocznych Rozkoszy, o nie! Tamten Dexter uległ zdumiewającej przemianie w Tatuś-Mana, Obrońcę Dzieci i Wartości Rodzinnych.

...Mimo to, zamiast siedzieć w domu, prowadziłem bezsensowny pościg za złymi ludźmi i dziewczyną, której nawet nie znałem. No i czy naprawdę powinienem zaniedbywać swoje nowo narodzone dziecko tylko po to, żeby pomagać Deborze we freudowskich poszukiwaniach upragnionej rodziny? Czy to nie było logicznie sprzeczne?

A teraz - co jeszcze bardziej dziwaczne i niepokojące - snując te rozważania, poczułem się podle. Martwy Mroczny Dexter i wyrzuty sumienia; to się w głowie nie mieści. Przez cały czas gratulowałem sobie nadzwyczajnej przemiany, podczas gdy w rzeczywistości przeistoczyłem się z Wesołego Rozpruwacza w jeszcze jednego wiecznie nieobecnego rodzica, co jest przecież tylko inną formą znęcania się nad dziećmi. Pomijając fakt, że nikogo ostatnio nie zabiłem, z czego właściwie miałem być dumny?

Ogarnęły mnie wstyd i poczucie winy. Więc tak to jest być prawdziwym ludzkim rodzicem. Mam trójkę wspaniałych dzieciaków, a one mają tylko mnie. Zasługują na dużo więcej. Potrzebują ojca, który pokierowałby ich krokami i uczył, jak żyć, a trafił im się ktoś, komu bardziej zależało na odnalezieniu cudzej córki niż na bawieniu własnej. Tak naprawdę wcale się nie poprawiłem - po prostu zmieniłem się w innego rodzaju potwora.

A Cody i Astor wciąż żyli pragnieniem mroku. Obiecałem, że nauczę ich skradać się pośród ciemności, i nie dość, że tego nie zrobiłem, to nawet nie zacząłem ich do tego zniechęcać. Wyrzut sumienia za wyrzutem sumienia: wiedziałem, że muszę przy nich być i poprowadzić z powrotem ku światłu, pokazać im, że są w życiu radości, które sięgają głębiej niż jakikolwiek nóż. Lecz aby tego dokonać, musiałem poświęcać im czas, i pod tym względem zawiodłem.

Ale może nie jest jeszcze za późno. Może jeszcze zdołam odcisnąć na nich swoje piętno. Przecież trudno było liczyć, że zmienię się z dnia na dzień, że wydobędę się z nickszemnego kokonu przeobrażony w zupełnie nowego, ludzkiego ojca. Trzeba czasu, by nauczyć się być człowiekiem, a tym bardziej rodzicem, ja zaś dopiero zbierałem pierwsze doświadczenia. Jedno musiałem sobie oddać – wprawdzie jeszcze wiele musiałem się nauczyć, ale bardzo się starałem. A dzieci łatwo wybaczą. Jeśli więc zacznę wszystko od nowa i zrobię coś szczególnego, co pokaże im, że od tej chwili będzie inaczej i ich Prawdziwy Ojciec jest z nimi, niewątpliwie przyjmą to z radością i szacunkiem.

Postanowiwszy to, od razu poczułem się lepiej – Dex-Tatusz wrócił na właściwe tory. Jakby na potwierdzenie, że wszystko zaczyna się układać zgodnie z zamysłem mądrego i życzliwego wszechświata, w pasażu handlowym po lewej stronie zobaczyłem wielki sklep z zabawkami. Bez wahania skręciłem na parking, zatrzymałem się i wszedłem do środka.

Rozejrzałem się, lecz to, co zobaczyłem, nie wyglądało zachęcająco. Poczułem się, jakbym wszedł do sklepu z zabawkami dla dzieci dawnego Dextera. Mieli tam wszystko: szable, noże, miecze świetlne, karabiny maszynowe, bomby, pistolety i strzelby na plastikowe kule, pociski z farbą i pociski z gąbki, rakiety, którymi można było wysadzić w powietrze kolegów albo całe miasto – regał za regałem pełne narzędzi szkoleniowych do rekreacyjnej rzezi. Nie dziwota, że nasz świat jest tak okrutny i brutalny – i że są na nim tacy ludzie jak dawny ja. Jeśli uczymy dzieci, że zabijanie to fajna zabawa, czy powinno nas zaskakiwać, że niektóre biorą sobie tę naukę do serca?

Błąkałem się po tej fabryce zamętu, aż znalazłem mały zakątek opatrzony tabliczką z napisem „Edukacyjne”. Były tam rozmaite przybory szkolne, zestawy małego naukowca i trochę gier planszowych.

Obejrzałem wszystko dokładnie, szukając czegoś, co uderzyłoby w odpowiednią strunę. Musiało być edukacyjne, ale nie nudne ani kujońskie, i nie dla jednej osoby, jak zestawy małego naukowca. Potrzebowałem czegoś, co byłoby inspirujące i zarazem sprawiłoby frajdę nam wszystkim.

W końcu zdecydowałem się na grę o nazwie Tęga Głowa. Jeden gracz zadaje pytania, pozostali kolejno odpowiadają - idealne. Ta gra zacieśni nasze więzy rodzinne, wszyscy wiele się nauczymy, a przy tym będziemy się dobrze bawić. Nawet Cody będzie musiał mówić pełnymi zdaniami. Tak, to jest to.

W drodze do kasy minąłem regał z mówiącymi książkami, takimi z rzadkiem guzików, które się wciska, żeby wywołać efekty dźwiękowe. Kilka było z bajkami i natychmiast pomyślałem o Lily Anne. Co za doskonały sposób, żeby zaszczepić jej dożgonną miłość do czytania: ja będę czytał na głos, ona na dany znak będzie wciskała odpowiedni guzik, a przy okazji pozna klasyczne baśnie. Takiej okazji nie mogłem przepuścić, wybrałem więc trzy najładniej wyglądające bajki.

Zaniósłem pudełko i książki do kasy. Sama gra kosztowała prawie dwadzieścia dolarów plus VAT, ale uważałem, że to będą dobrze wydane pieniądze.

Kiedy skręciłem w moją ulicę, było już ciemno. Srebrzysty sierp księżycy pełgał nisko nad horyzontem i wzywał mnie tęsknym głosem, podsuwając rozmaite sugestie, co Dexter mógłby zrobić z nożem w taką noc. Wiemy, gdzie Chapin mieszka, szeptał. Moglibyśmy pokroić go aż po kły, zmusić, żeby nam powiedział wiele pożytecznych rzeczy, i wszyscy byliby szczęśliwi...

Na chwilę dałem się ponieść tej uwodzicielskiej fali. Mroczny wir wciągał mnie coraz głębiej. Poczułem jednak ciężar gry i książek, które kupiłem, i to wydobyło mnie z odmętów księżycowego blasku na suchy ląd Nowego Dextera. Koniec, powiedziałem sobie, nie ulegnę namowom księżycy. W kilku ostrych słowach wysłałem Pasażera tam, gdzie jego miejsce - w głąb chłodni. Idź sobie, powiedziałem mu, a on pierzchnął z jaszczurczym sykiem i zwinął się w kłębek. Musiał zrozumieć, że nie jestem już tym człowiekiem, co kiedyś. Teraz byłem Dex-Tatusiem, który wraca do domu stęskniony za Lily Anne i wszystkimi zwyczajnymi domowymi wygodami. Byłem żywicielem rodziny,

przewodnikiem małych nóżek po drogach życia, tarczą przeciw wszelkiemu złu. Byłem opoką, na której zbudowana zostanie przyszłość Lily Anne, i na dowód tego miałem Tęgą Głowę.

Kiedy zahamowałem przed domem i zobaczyłem wóz Briana, uświadomiłem sobie, że najwyraźniej jestem też Dex-Gapciem, bo nie miałem pojęcia, co znowu robi tu mój brat. Ale po cokolwiek przyjechał, nie podobało mi się to. Brian uosabiał wszystko, czym kiedyś byłem i czym już być nie chciałem, i nie życzyłem sobie, aby Lily Anne miała z tym styczność.

Wsiadłem, powoli okrążyłem mały czerwony samochód i złapałem się na tym, że przyglądam mu się, jakby to on stanowił zagrożenie. Głupota, rzecz jasna. Bomby-pułapki nie były w stylu Briana; podobnie jak dawny ja, wolał szybkie cięcie zmyślnego noża. Ja już taki nie jestem, bez względu na to, jak silnie mnie ku temu ciągnie, pomyślałem, kiedy podszedłem do drzwi i usłyszałem radosne dziecięce piski. Spośród wszystkich nawarstwiających się niedorzeczności ta była najgorsza: oto byłem urażony, nieufny i jakże po ludzku zły, bo dzieci najwyraźniej dobrze się bawiły beze mnie.

Tak, Dex-Tatuś był kompletnie skołowany, gdy otworzył drzwi i zobaczył swoją małą rodzinę-plus-brata skupionych przed telewizorem. W jednym końcu kanapy siedziała Rita z Lily Anne na rękach, w drugim Brian, a pośrodku Astor, wszyscy z twarzami rozciągniętymi w szerokich uśmiechach. Cody stał między nimi a telewizorem, machał zapamiętałe w stronę ekranu jakimś szarawym plastikowym przedmiotem i podskakiwał, dopingowany przez pozostałych.

Kiedy wszedłem, wszyscy oprócz niego spojrzeli na mnie, by w następnej chwili odwrócić się z powrotem do telewizora, jakby w ogóle mnie nie poznali. Tylko Brian z coraz szerszym sztucznym uśmiechem patrzył, jak na próżno usiłuję zrozumieć, co się dzieje w samym sercu mojego domowego ogniska.

Wtedy głośny aplauz przeszedł w przeciągłe „Ojeej...” i posmutniały nagle Cody oderwał wzrok od ekranu.

- Świetnie ci szło, Cody - powiedział Brian, wciąż wpatrzony we mnie. - Naprawdę świetnie.

- Mam najlepszy wynik - oznajmił Cody z zadziwiającą jak na niego elokwencją.

- Fakt - przyznał Brian. - Zobaczmy, czy twoja siostra go pobije.

- Pewnie! - krzyknęła Astor i wyskoczyła jak z katapulty, wymachując takim samym plastikowym przedmiotem. - Już po tobie, Cody!

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się, u licha, dzieje? - spytałem i nawet ja miałem wrażenie, że zabrzmiało to żałośnie.

- Och, Dexter. - Rita spojrzała na mnie jak na coś niepotrzebnego, co właśnie zobaczyła rozdeptane na dywanie. - Brian właśnie... twój brat kupił dzieciom Wii... To jest bardzo... i on nie może tak po prostu... - Odwróciła się ode mnie, żeby zerknąć na ekran. - To znaczy, to zdecydowanie za drogie i... Mógłbyś go spytać? Bo... Och! Dobry strzał, Astor! - Aż podskoczyła z wrażenia, przez co głowa Lily Anne nieznacznie osunęła się na bok.

Uświadomiłem sobie, że mógłbym rozebrać się do naga i podpalić, i nikt oprócz Briana by tego nie zauważył.

- To dla nich dobre, naprawdę - powiedział z uśmiechem Kota z Cheshire. - Doskonała gimnastyka, rozwija sprawność. No i - dodał - wielka frajda. Sam powinienes spróbować, braciszku.

Spojrzałem na ten jego szeroki, sztuczny uśmiech i usłyszałem za oknem zew księżyca, obiecujący schludne, szczęśliwe spełnienie. Odwróciłem się więc od Briana, ale kiedy zobaczyłem dzieci i Ritę opromienionych radością płynącą z cudownego nowego doświadczenia, pudło, które trzymałem pod pachą - Tęga Głowa, prawie dwadzieścia dolarów plus VAT - nagle wydało mi się ciężkie i bezużyteczne jak beczka po ropie pełna rybich głów. Upuściłem je na podłogę, a przed oczami stanął mi obrazek jak z kreskówki, pokazujący Dextera uciekającego z płaczem i rzucającego się twarzą na łóżko, by łzami ukoić znękaną serce.

Szczęśliwie dla rozpowszechnionego na świecie wizerunku twardego, choć troskliwego ojcostwa, obraz ten był tak absurdalny, że odetchnąłem głęboko, powiedziałem, „Ups” i schyliłem się po paczkę.

Na kanapie nie było dla mnie miejsca, więc ominąłem siedzącą tam wygodnie grupkę, patrząc, jak kolejno wychylają się zza mnie,

by nie uronić ani jednej fascynującej sekundy epickiej telewizyjnej bitwy Astor. Położyłem grę na podłodze i usiadłem w jakoś dziwnie dziś niewygodnym fotelu. Czuję na sobie wzrok Briana, ale nie spojrzalem na niego; skupiłem się na założeniu i utrzymywaniu maski grzecznego zaciekawienia i po kilku sekundach odwrócił się z powrotem do telewizora, a pozostali już dawno zapomnieli o moim istnieniu.

Patrzyłem, jak Cody i Astor na zmianę grają na swojej nowej drodze konsoli, i widziałem, że sprawia im to wielką frajdę, ale - nie wiedząc czemu - nie czułem z tego powodu najmniejszego entuzjazmu. Włączyli inną grę, która polegała na zabijaniu przy użyciu miecza zamiast pistoletu, lecz nawet widok młócej powietrze klingi nie rozpałił ognia w mojej piersi. A oni, rzecz jasna, byli tak uszczęśliwieni, że tylko wyjątkowy maruda mógłby mieć coś przeciwko temu. Co oznaczało, że mogłem dopisać tę informację do swojego CV. „Dexter Morgan. Technik specjalista od badania śladów krwi, nawrócony rozpruwacz; obecnie zatrudniony jako maruda”. Prawie żałowałem, że nie ma tu Deb. Po pierwsze, wtedy Brian na pewno by wyszedł, a po drugie, mógłbym jej powiedzieć: „Widzisz, co cię omija? Dzieci, rodzina... Ha!” A na koniec zaśmiałybym się gorzko dla podkreślenia fundamentalnej niestałości każdej rodziny.

Astor pisnęła „Ojeej” i Cody poderwał się, żeby zagrać. Było oczywiste, że nie ma znaczenia, co zrobię - nigdy mnie w pełni nie docenią ani nie nauczą się tego, co chciałem im wpoić. Byli gorzej niż niestali - byli niefrasobliwi jak kocięta, małe drapieżne istoty uganiające się za pierwszym lepszym świecidełkiem, które poturła się po podłodze. Nic, co powiem, ani nic, co zrobię, w żaden sposób nie umniejszy ich ignorancji.

I co z nich wyrośnie? Schowani za maską normalności bezwzględni mordercy - jak ja i Brian, gotowi z byle powodu wbić sobie nawzajem nóż w plecy, dosłownie i w przenośni? Gdzie tu sens? Przebrną przez lata dzieciństwa, siejąc wokół siebie chaos, a gdy będą na tyle duzi, żeby zrozumieć, co mam im do przekazania, będzie już za późno na zmiany. To wystarczyło, bym odrzucił nowo narodzone człowieczeństwo i zapragnął wyśliznąć się w kryształowo czysty blask księżycy i znaleźć kogoś do rozczłonkowania - bez finezji, bez starannego doboru, tylko z gwałtowną, oczyszczającą, przynoszącą ulgę brutalnością, tak jak zwykł robić Brian.

Spojrzałem na mojego brata. Siedział na mojej kanapie z moją żoną i uszczęśliwiał moje dzieci tak, jak ja najwyraźniej nie potrafiłem. Czy właśnie tego chciał? Zostać mną, ale lepszym niż ja sam? Na tę myśl wezbrało we mnie coś między goryczą i gniewem i postanowiłem, że jeszcze dziś się z nim rozmówię. Spytałem wprost, co naprawdę knuje, i każę mu przestać. A jeśli nie posłucha - cóż, zawsze pozostawała Debora.

Siedziałem więc z uprzejmym sztucznym półuśmiechem przyklejonym do twarzy przez następne pół godziny, które upłynęło wśród smoków, magicznych pięści i radosnych okrzyków. Nawet Lily Anne sprawiała wrażenie zadowolonej, co wydawało się najgorszą zdradą. Na krzyk Astor zamrugła i pomachała piąstkami, po czym wtuliła się z powrotem w pierś Rity z entuzjazmem, jaki do tej pory widziałem u niej tylko podczas karmienia. Uznawszy, że dłużej nie dam rady zmuszać się do zachowania spokoju, odchrząknąłem i spytałem:

- Rita, masz jakieś plany co do kolacji?

- Co? - powiedziała, nie patrząc na mnie, zaabsorbowana grą. - Coś chciałeś... Och, Cody! Przepraszam, Dexter, co mówiłeś?

- Pytałem - wyartykułowałem aż nazbyt wyraźnie - czy-maszjakieś-plany-co-do-kolacji?

- Tak, oczywiście - odparła, wciąż wpatrzona w telewizor. - Muszę tylko... Ojej! - krzyknęła z trwogą, lecz tym razem nie z powodu dramatycznego zwrotu w grze, tylko dlatego, że podniosła głowę i zobaczyła zegar. - O mój Boże, już po ósmej! Nawet nie... Astor, nakryj do stołu! O Boże, przecież jutro macie szkołę!

Ku mojej sporej satysfakcji, Rita wreszcie zerwała się z kanapy, podała mi Lily Anne i pobiegła do kuchni, nie przestając mówić.

- Na litość... Och, na pewno się przypaliło... Gdzie ja mam... Cody, wyjmij sztucce! Jeszcze nigdy nie dałam takiej... Astor, nie zapomnij nakrycia dla wujka Briana!

Nastąpiło kilka minut hałasu, w ciągu których otworzyła piekarnik i pobrząkując garnkami, skierowała życie z powrotem na właściwe tory.

Cody i Astor popatrzyli po sobie, wyraźnie nieskorzy do przerwania zabawy nawet po to, żeby coś zjeść, po czym, wciąż bez słowa, jak na komendę spojrzeli na wujka Briana.

- No, już - ponaglił ich z tą swoją okropną sztuczną wesołością - musicie robić, co mama każe.

- Chcę jeszcze pograć - stwierdził Cody, przekraczając swoją przeciętną długość wypowiedzi o co najmniej kilka sylab.

- To zrozumiałe, ale w tej chwili nie możesz - rzekł Brian i obdarzył oboje szerokim uśmiechem.

Widziałem, że bardzo się stara zrobić współczującą minę, ale wypadła niezbyt przekonująco, znacznie gorzej niż w moim wykonaniu. Cody i Astor musieli jednak być innego zdania, bo znów popatrzyli po sobie, skinęli głowami i powlekli się do kuchni pomóc w przygotowaniu kolacji.

Brian odprowadził ich wzrokiem, po czym spojrzął na mnie spod brwi uniesionych w sztucznie uprzejmym wyrazie wyczekiwania. Nie wiedział, rzecz jasna, co mam mu do powiedzenia, lecz kiedy zaczerpnąłem tchu, by zacząć, zorientowałem się, że sam też tego nie wiem. Czułem, że muszę go o coś oskarżyć - ale o co? O to, że kupił drogą zabawkę, kiedy ja kupiłem dużo tańszą? Że zabrał dzieciaki na chińszczyznę i zapewne coś trochę bardziej złowieszczonego? Że próbował mnie zastąpić, kiedy ja byłem zbyt zajęty, by odgrywać rolę ojca? Stary, wyzuty z uczuć Dexter powiedziałby po prostu: „Cokolwiek knujesz, przestań”. Ale w nowym wcieleniu nijak nie potrafiłem opisać słowami tych wszystkich skomplikowanych emocji, które się we mnie kotłowały. Co gorsza, kiedy tak siedziałem z mózgiem na jałowym biegu i otwartymi ustami, Lily Anne zabulgotała i na moją koszulę chlusnęła kwaśna mleczna struga niemowlęcych wymiocin.

- Ojej - powiedział Brian ze współczuciem równie szczerym, jak reszta jego reakcji.

Wstałem i poszedłem do sypialni, trzymając Lily Anne mniej więcej w pozycji „przez pierś broń”. Na półce pod blatem stolika do przewijania leżała sterta ręczników. Złapałem dwa - jeden, żeby wytrzeć wymiociny, drugi, by podłożyć go pod buzię małej i ocalić choć część swojej koszuli.

Gdy wróciłem na fotel, położyłem Lily Anne twarzą w dół na ręczniku i delikatnie poklepałem ją po plecach. Brian rzucił

mi kolejne pytające spojrzenie. Już otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć.

- Kolacja - oznajmiła Rita, wpadając do pokoju z półmiskiem tkwiącym między dwiema rękawicami kuchennymi. - Obawiam się, że nie jest... To znaczy, nie przypaliło się, ale jest trochę za suche i... Astor, wsyp ryż do niebieskiej miski. Siadaj, Cody.

Kolacja upłynęła wesoło, przynajmniej wideowojownikom. Rita raz po raz przeproszała za nieudanego kurczaka w soku pomarańczowym - i słusznie. Była to jedna z jej specjalności, ale że mięso zbyt długo się piekło, wyszło za suche. Cody i Astor, wyraźnie zachwyceni kulinarną wpadką mamy, zaczęli się z niej zgrywać.

- Za bardzo spalone - powiedział Cody po trzecich przeprosinach Rity i uśmiechnął się do Briana.

- Tak, wiem, ale... Naprawdę mi przykro, Brian - kajała się Rita.

- Och, jest przepyszne; nie ma o czym mówić, droga pani - odparł mój brat.

- Nie ma o czym mówić, droga mamo - powtórzyła Astor i oboje z Brianem parsknęli śmiechem. I tak to szło aż do końca kolacji.

Kiedy dzieci rzuciły się do sprzątanía ze stołu, zachęczone obietnicą piętnastu dodatkowych minut Wii przed snem, a Rita poszła przewinąć Lily Anne, przez chwilę siedzieliśmy z Brianem po przeciwnych stronach stołu i patrzyliśmy na siebie. Wreszcie miałem okazję zagrać w otwarte karty i nazwać rzeczy po imieniu, więc postanowiłem ją wykorzystać.

- Brian - zacząłem.

- Tak? - Uniósł brwi.

- Dlaczego wróciłeś? - spytałem, starając się, by nie brzmiało to jak zarzut.

Spojrzał na mnie z udawanym zdumieniem i odparł:

- Jak to dlaczego? Żeby być z rodziną, oczywiście. Z jakiegoż by innego powodu?

- Nie wiem - mruknąłem, coraz bardziej poirytowany - ale jakiś być musi.

Pokręcił głową.

- Czemu tak uważasz, braciszku?

- Bo cię znam - stwierdziłem.

- Czy ja wiem? - Spojrzał mi w oczy. - Znasz tylko małą cząstkę mnie. Pomyślałem sobie... O cholera! - zaklął, gdy z jego kieszeni dobiegły dźwięki *Cwału Walkirii*. Wyjął komórkę i zerknął na ekranik. - Ojej - westchnął. - Niestety, muszę lecieć. A tak miło się rozmawiało. Pójdę pożegnać twoją uroczą małżonkę.

Wstał i pognął do kuchni, z której po chwili dobiegły jego kwieciste komplementy i serdeczne przeprosiny.

Cała rodzina chciała odprowadzić go do samochodu; ja jednak odciąłem im drogę. Wyszedłem z Brianem i zamknąłem drzwi, oddzielając ich od mojego brata.

- Musimy porozmawiać - oznajmiłem.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Oczywiście, braciszku, koniecznie - przyznał. - Musimy uciąć sobie pogawędkę. Nadrobić zaległości i tak dalej. À propos, jak idą poszukiwania tej zaginionej dziewczyny?

Pokręciłem głową.

- Nie to miałem na myśli - powiedziałem, zdecydowany wreszcie przejść do sedna.

Ale komórka Briana znów przypomniała o sobie natarczywym wagnerowskim chórem. Zerknął na ekranik i ją wyłączył.

- Innym razem, Dexter - rzucił. - Teraz naprawdę muszę już lecieć. - Zanim zdążyłem zaprotestować, poklepał mnie po ramieniu i wsiadł do samochodu.

Patrzyłem bezradnie, jak odjeżdża, i jedynym moim pocieszeniem było to, że ramię, które poklepał, wciąż było wilgotne od wymiocin Lily Anne.

Stałem i patrzyłem za tylnymi światłami samochodu Briana, aż zniknęły w oddali. Jednak niezadowolenie nie odeszło wraz z moim bratem. Wirowało dokoła, wzbijało się coraz wyżej, a kiedy irytacja mieszała się z napływającym blaskiem księżyca, wężowy głos znów zaczął namawiać, kusić i podsuwać chytre pomysły. „Chodź z nami, szeptał miodowym tonem pełnym czystego, doskonałego rozsądku. Pójdźmy w noc; zabawimy się i od razu poczujesz się dużo lepiej...”

Odepchnąłem go, twardo stojąc na brzegu mojego nowego lądu, lądu ludzkiego ojcostwa – lecz światło księżyca powracało, przyciągało coraz mocniej i na chwilę zamknąłem oczy, by nie dopuścić go do siebie. Pomyślałem o Lily Anne. Pomyślałem o Codym i Astor, o tym, jak przymilali się do Briana, i wezbrała we mnie strużka irytacji. Zduśliłem ją w sobie i pomyślałem o głęboko nieszczęśliwej Deborze. Tak bardzo się cieszyła, kiedy złapała Victora Chapina, i była taka przygnębiona, kiedy musiała go puścić. Chciałem, żeby była szczęśliwa, żeby dzieci też były szczęśliwe – i w moje uszy znów wsączył się cichy, złośliwy głos, który mówił: „Wiem, jak ich uszczęśliwić i ciebie też”.

Przez chwilę słuchałem, a wtedy wszystko ułożyło się w jedną, idealnie ostrą, jasną całość i zobaczyłem, jak wyslizguję się w noc z taśmą samoprzylepną i nożem...

Znów odepchnąłem to od siebie, mocno, i obraz roztrzaskał się na drobne kawałki. Odetchnąłem głęboko i otworzyłem oczy. Księżyc wciąż świecił na mnie wyczekująco, lecz ja stanowczo pokręciłem głową. Będę silny i zwycięzę. Z kruchą determinacją odwróciłem się od nocy i dziarsko wmaszerowałem do domu.

Rita sprzątała w kuchni, Lily Anne gulgotała w łóeczku, a Cody i Astor wrócili na kanapę przed telewizorem i grali na Wii. Pora zaczynać. Pora wyjaśnić wszystkie nieporozumienia między nami, zadeptać żar wpływu Briana i przystąpić do wyprowadzania tych dzieci z mroku. To właśnie trzeba zrobić i ja to zrobię. Podszedłem

do Cody'ego i Astor i stanąłem między nimi a ekranem. Spojrzeli na mnie, jakby zobaczyli mnie pierwszy raz tego wieczoru.

- No co jest - powiedziała Astor. - Zasłaniasz.

- Musimy porozmawiać.

- Musimy grać w Dragon Blade - odparł Cody tonem, który mi się nie spodobał. Spojrzałem na niego, potem na Astor; patrzyli na mnie z pogardą i słusznym oburzeniem i tego już było dla mnie za wiele. Schyliłem się, sięgnąłem do konsoli Wii i wyjąłem wtyczkę z kontaktu.

- Hej! - obruszyła się Astor. - Nie zapisałeś gry! Będziemy musieli zaczynać od pierwszego poziomu!

- Gra trafi do kosza - oznajmiłem i oboje jednocześnie rozdziawili usta.

- To niesprawiedliwe - powiedział Cody.

- Nie musi być sprawiedliwe - odparłem. - Ma być słuszne.

- To bez sensu - skomentowała Astor. - Jeśli coś jest słuszne, jest też sprawiedliwe i sam mówiłeś... - Na widok mojej miny urwała w pół słowa. - No co? - spytała.

- Nawet nie lubicie chińszczyzny - stwierdziłem surowo. Dwie pary pustych oczu spojrzały na mnie, a potem na siebie nawzajem i usłyszałem echo własnych słów. Nawet ja nie dostrzegłem w nich krzty sensu. - To znaczy - powiedziałem i ich oczy zwróciły się ku mnie - chodzi mi o ten wieczór, kiedy Brian was zabrał. Mój brat. Wujek Brian.

- Wiemy, o kim mówisz - zapewniła Astor.

- Powiedzieliście mamie, że byliście na chińszczyźnie - ciągnąłem - a to było kłamstwo.

Cody pokręcił głową, a Astor wyjaśniła:

- To on jej tak powiedział. My powiedzielibyśmy, że byliśmy na pizzy.

- Co też byłoby kłamstwem - zauważyłem.

- Ale przecież sam nam mówiłeś - przypomniała, a Cody skinął głową - że mama ma nie wiedzieć o, no wiesz, tych innych sprawach. Dlatego musimy jej kłamać.

- Wcale nie - odparłem. - Musicie tylko więcej tego nie robić.

Patrzyłem, jak zdumienie rozlewa się po ich twarzach. Cody pokręcił głową w oszołomieniu, a Astor wykrztusiła:

- Ale to nie... to znaczy, przecież nie możesz... jak to? - Pierwszy raz w swoim życiu mówiła zupełnie tak, jak jej matka.

Usiadłem na kanapie między nimi.

- Co robiliście z wujkiem Brianem tamtego wieczoru? - spytałem. - Wtedy, kiedy rzekomo byliście na chińszczyźnie?

Popatrzyli po sobie i bez jednego słowa odbyli całą rozmowę. Potem Cody spojrział na mnie.

- Bezpański pies - powiedział.

Wezbrała we mnie złość. Brian zabrał ich ze sobą i znalazł im bezpańskiego psa, na którym mogli eksperymentować. Niby wiedziałem, że to musiało być coś takiego, ale uzyskane potwierdzenie podsycało uczucie moralnego oburzenia - na mojego brata i na dzieci. Już miałem unieść się słusznym gniewem, a wtedy, o dziwo, cichy złośliwy głos szepnął, że to ja powinienem był robić z nimi takie rzeczy. To moja dłoń powinna kierować ich niewprawnymi dłońmi, to mój mądry, cierpliwy głos powinien wskazywać im drogę, wyjaśniać i uczyć ich, jak chwytać, zarzywać i sprzątać po zabawie.

Ale to był przecież absurd; ja miałem za zadanie odwieść ich od ciemności, a nie uczyć, jak się nią cieszyć. Pokręciłem głową i na powrót wpuściłem do niej rozum.

- To, co zrobiliście, było złe - powiedziałem.

Oboje znów spojrzeli na mnie bez wyrazu.

- Jak to? - spytała Astor.

- Tak - odparłem - że musicie przestać...

- Och, Dexter - Rita wpadła do pokoju, wycierając ręce w ścierkę do naczyń - nie pozwól im dłużej grać, jutro mają szkołę. Zobaczcie, która godzina, a wy jeszcze nawet nie... No, chodźcie, czas szykować się do spania.

Ledwo mrugnąłem, już wygoniła dzieci z pokoju. Cody obejrzał się na mnie, a na jego twarzy mieszały się złość, zagubienie i poczucie krzywdy.

Kiedy po chwili z łazienki dobiegł odgłos płynącej wody, poczułem, że zgrzytam zębami z frustracji. Nic nie układało się jak należy. Próbowałem zacieśnić nasze więzy rodzinne, lecz uprzedził mnie brat. Chciałem się z nim rozmówić, ale uciekł, zanim zdążyłem zacząć. A gdy wreszcie przystąpiłem do tego ważnego zadania, jakim było

sprowadzenie dzieci ze złej drogi, przerwano mi w kluczowym momencie. Teraz Cody i Astor obrazili się na mnie, Rita mnie nie zauważała, moja siostra mi zazdrościła, a ja wciąż nie wiedziałem, co knuje Brian.

Pracowałem w pocie czoła, żeby stać się czystym jak łąza, porządnym mężem i ojcem – czego ode mnie oczekiwano – i na każdym kroku spotykałem się z odrzuceniem, drwiną i miażdżącą krytyką. Narastająca frustracja przerodziła się w gniew, lecz i on zaczął się zmieniać w coś innego, aż w końcu poczułem, jak kotłuje się we mnie zimna pogarda: pogarda dla Briana, Rity i Debory, dla Cody’ego i Astor, dla wszystkich zaślinionych kretynów na całym tym zwariowanym świecie...

...i przede wszystkim, pogarda dla samego siebie. Dla Dextera Dummkopfa, który chciał chodzić w słońcu, wachać kwiatki i patrzeć, jak tęcze rozpinają się na różanym niebie, zapomniał jednak, że słońce zwykle chowa się za chmurami, kwiaty mają ciernie, a tęcze zawsze są poza zasięgiem. Można śnić nierealne sny, lecz co z tego, skoro po przebudzeniu natychmiast pierzchają. Każdy przypominający mi o tym fakt coraz bardziej mnie dołował i teraz chciałem tylko złapać coś za gardło i ścisnąć...

Z głębi korytarza dobiegł monotony szmer głosów Rity i dzieci, odmawiających paciorek. Nadal nie znałem żadnych modlitw i to było kolejne irytujące przypomnienie, że wcale nie jestem Dex-Tatusiem i nigdy nim nie będę. Łudziłem się, że zostanę pierwszym w dziejach wilkiem, którego natura nie zaciągnie do lasu, a tak naprawdę byłem jeszcze jednym kotem dachowcem zmuszonym żywić się odpadkami.

Wstałem. Musiałem się uspokoić, zebrać myśli, ujarzmić te dziwne i zupełnie nowe emocje, zanim poniosą mnie na gigantycznej fali głupoty. Poszedłem do kuchni, gdzie zmywarka z cichym warkotem zajmowała się naczyńiami. Minąłem lodówkę ze szczękającą kostką do lodu i stanąłem w tylnym korytarzu, obok pralki i suszarki. Wszystko tu było czyste i funkcjonalne; cała maszyna domowego szczęścia była na swoim miejscu, gotowa robić, co do niej należy – cała oprócz mnie. Nie zostałem stworzony do tego, by dać się zainstalować w kuchni w tym czy jakkolwiek innym domu. Byłem stworzony do blasku księżycy odbitego od ostrego noża, do kojącego mrużenia taśmy samoprzylepnej powoli odrywanej z rolki i przerażenia schludnie

skrępowanych niegodziwców, gdy stają oko w oko ze swoim przeznaczeniem...

Ja jednak odwróciłem się plecami od wszystkiego, czym naprawdę byłem, i usiłowałem znaleźć dla siebie miejsce na obrazie czegoś, co nawet nie istniało - to tak, jakby wcisnąć demona na okładkę „Saturday Evening Posta” - a jedyny skutek był taki, że wyszedłem na skończonego idiotę. Nic dziwnego, że Brian tak łatwo odebrał mi dzieci. Nie miałem szans sprowadzić ich z drogi mroku, skoro nie potrafiłem nawet przekonująco odegrać cnotliwej normalności.

Ale czy przy tak ogromnej ilości zła na świecie mogłem przekuć mój lśniący miecz na nudny, funkcjonalny lemiesz? Jeszcze tyle było do zrobienia, zostało tylu łobuziaków, którzy musieli się nauczyć nowych reguł gry, reguł Dextera - wszak nawet w moim mieście grasowali kanibale. Czy mogłem siedzieć na kanapie i robić na drutach, gdy oni wykorzystywali Samantha Aldovar tego świata do zaspokajania swoich przerażających zachcianek? W końcu Samantha była czyjąś córką i ktoś czuł do niej to, co ja do Lily Anne.

Kiedy ta myśl do mnie dotarła, rozgorzał we mnie gniew, który doszczętnie strawił całą samokontrolę. To mogła być Lily Anne. Ba, pewnego dnia może ją spotkać to samo, a ja nie robiłem nic, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Byłem żyjącym złudzeniami głupcem. Atakowano mnie ze wszystkich stron, a ja na to potulnie pozwalałem. Dopuszczałem, by drapieżcy czyhali na swoje ofiary i zabijali je, więc jeśli pewnego dnia przyjdą po Lily Anne - albo po Cody'ego i Astor - to będzie moja wina. Miałem wszystko, czego trzeba, aby ochronić swoją rodzinę przed okrutnym światem, a zamiast tego udawałem, że samymi dobrymi myślami odstraszę smoka, który już ryczał pod moimi drzwiami.

Stałem w tylnym korytarzu i patrzyłem przez okno na podwórze. Niebo zasnuło się chmurami, które przesłoniły księżyc, sprowadzając na świat zupełną ciemność. Oto doskonały obraz tego świata: nic, tylko mrok skrywający nieliczne kępy zbrązowiełej trawy i skrawki nagiej ziemi. Świat to ciemność, zgnilizna i brud, a udając, że jest inaczej, nie zyskuje się nic prócz kłopotów. I nic nie można na to poradzić. Kompletnie.

...Wtedy chmury rozstąpiły się, przepuszczając cienką strużkę księżycowego światła, która rozjaśniła ciemność, a syczący szept

połaskotał mnie raz jeszcze i powiedział kusząco: „Jest coś, co możesz zrobić...”

Ta myśl była prosta i logiczna jak nic innego na świecie.

- Niedługo wrócę - powiedzieliśmy do Rity, która siedziała na kanapie z Lily Anne na rękach. - Mam coś do załatwienia w pracy.

- Jak to wrócisz? - spytała ze zdumieniem. - To znaczy, że zamierzasz... Przecież już noc!

- Wiem. - Błysnęliśmy zębami w zimnym uśmiechu na myśl o przytulnej aksamitnej ciemności za drzwiami.

- No tak, ale czy to nie... czy nie może poczekać do rana? - pytała dalej.

- Nie może - odparliśmy głosem dźwięczącym szaleńczą radością. - Muszę to załatwić dzisiaj.

Prawda tych słów była wyraźnie wypisana na naszej twarzy. Rita zmarszczyła brwi, lecz wymamrotała tylko:

- No cóż, mam nadzieję, że... Och! Ale ja właśnie opróżniłam wiaderko na pieluchy i strasznie... Mógłbyś zabrać worek i... - Poderwała się z kanapy i wyszła na korytarz, a we mnie aż zakotłowało się coś zimnego i żrącego, bo kto to widział przeszkadzać Dexterowi w takiej chwili. Na szczęście Rita wróciła po kilku sekundach z workiem śmieci, wcisnęła mi go do ręki i powiedziała: - Jak będziesz wychodził... Naprawdę musisz jechać do pracy? Czy to... to znaczy, czy nie potrwa za długo? No bo wiesz, jedź ostrożnie, ale...

- To nie potrwa długo - zapewniliśmy i zniecierpliwieni wyszliśmy w przytulną noc ku wyciągającym się do nas chudym palcom księżycowego światła przenikającego przez chmury, obiecującego ten jeden jedyny cud, który mógł zmyć całą duszną udrękę udawania kogoś, kim nie byliśmy i nigdy nie będziemy. W pośpiechu rzuciliśmy worek z pieluchami pod tylne siedzenie, razem z naszymi zabawkami, i wsiedliśmy do samochodu.

Pojechaliśmy niemal pustymi ulicami do pracy - tak jak mówiliśmy - ale nie tej dziennej, biurowej, bałaganiarskiej. Zmierzaliśmy tam, gdzie czekało nas dużo przyjemniejsze zadanie, gdzie nie będzie nudy, tylko sama rozkosz; na północ, za lotnisko, na zjazd prowadzący

do North Miami Beach, a potem wolniej, trasą zapisaną w pamięci, do pewnego małego pastelowożółtego domku w skromnej dzielnicy.

Debora mówiła, że klub otwierają dopiero o jedenastej. Powoli przejechaliśmy obok domu i zobaczyliśmy zapalone światła, w środku i na zewnątrz, a od frontu samochód, którego przedtem tam nie było. Wóz matki, oczywiście – za dnia jeździła nim do pracy. Bliżej domu, na poły ukryty w cieniu, stał mustang. Chłopak wciąż tu był. Jeszcze nie wybiła dziesiąta, a do South Beach nie jedzie się długo. Ani chybi siedzi w środku, cieszy się niezasłużoną wolnością i myśli, że w jego małym świecie wszystko znowu wróciło do normy – i o to nam właśnie chodziło. Mieliśmy spory zapas czasu i przyjemną pewność, że nie doznamy zawodu.

Zrobiliśmy kółko po okolicy, wypatrując wszelkich oznak, że coś jest nie tak, jak być powinno, lecz niczego takiego nie dostrzegliśmy. Jest cicho, bezpiecznie, wszystkie domki są oświetlone i zapięte na ostatni guzik dla ochrony przed ostrymi jak brzytwa kłami nocy.

Jedziemy dalej. Pokonujemy cztery przecznice i widzimy go – dom z kontenerem na śmieci na zapuszczonym trawniku. O to chodziło. Latarnie w okolicy są zgaszone. Jakaś pali się dwa domy dalej, lecz poza tym to cichy zakątek w sam raz na naszą noc, a dom z kontenerem nada się idealnie. Zajęty przez bank, pusty, tylko czeka, aż do środka wejdzie ktoś z nowym marzeniem. I stanie się to już wkrótce, ale nie będzie to piękne marzenie. Przecznicę dalej parkujemy pod zepsutą latarnią, obok żywopłotu. Wsiadamy z auta, ciesząc się myślą o tym, co nas czeka. Jak zawsze czerpiemy przyjemność z przygotowań, z pilnowania, by mieć wszystko, co konieczne do tego, co musiało się stać i co znowu się stanie i to och! już niedługo.

Tylne drzwi opuszczonego domu, ukryte przed wszelkimi wścibskimi oczami, otwierają się cicho i szybko. W środku jest ciemno – z wyjątkiem kuchni, gdzie promienie księżycowego światła padają przez okno na solidny drewniany blat. Na jego widok nasz wewnętrzny szept przechodzi w radosną pieśń. Oto znak, że ta noc była nam pisana i że należy tylko do nas – to wszak idealne pomieszczenie do tego, co musimy zrobić, a jakby na podkreślenie faktu, że z okrutnym światem wszystko jest w porządku, na blacie leży rolka worków na śmieci.

Teraz szybko, bo czas nagli, ale zarazem schludnie. Rozcinamy worki wzdłuż szwów, by powstały płaskie plastikowe płachty, które rozkładamy starannie na drewnianym blacie, na podłodze wokół niego i na ścianach – wszędzie, gdzie może chlapnąć niezauważona w radosnym szale zabawy kropla czerwonej brei. Wkrótce płachty są gotowe.

Bierzemy głęboki oddech. My też jesteśmy gotowi.

Raźnym krokiem idziemy do małego żółtego domu. Teraz ręce mamy prawie wolne, nie potrzeba nam niczego oprócz pętli z żyłki. Żyłka jest mocna, idealna do łowienia ryb i niegrzecznych towarzyszy zabawy; jeden z nich wkrótce poczuje ją na szyi i przez jego zaskoczenie przebiję się jej szept: „Chodź z nami. Chodź i poznaj granicę swoich możliwości”. I pójdzie, bo będzie musiał, bo będzie mu się robiło ciemno przed oczami, a oddychać będzie z bólem i tylko wtedy, kiedy mu na to pozwolimy.

A gdyby się szamotał i bronił, bardziej niż wypada, zaciśniemy żyłkę trochę mocniej, aż oddech ustanie i nasz przyjaciel nie będzie już słyszał nic oprócz narastającego rozpaczliwego kołatania serca i nylonowego szepotu: „Widzisz? Odebraliśmy ci dech, odebraliśmy ci głos i wkrótce odbierzemy dużo, dużo więcej, odbierzemy wszystko, a potem oddamy cię ziemi i ciemności, schludnie zapakowanego w kilka worków na śmieci...”

Na tę myśl nasz oddech robi się lekko chrapliwy, więc przystajemy, żeby się uspokoić, żeby lodowate palce ukończyły stargane nerwy i pomasaowały je, aż powoli wsączy się do nich rozkosz.

Teraz spokojnie: jeszcze jeden głęboki oddech dla nabrania luzu i pewności i już jesteśmy czujni, zvarci i gotowi. Pozwalamy, by z naszej czystej świadomości wykiełkował jedyny tej nocy niezaprzeczalny fakt: To stanie się teraz. Jeszcze dziś.

Teraz.

Otwieramy oczy i widzimy pejzaż pełen cieni; cała nasza chłodna świadomość wypełza na zewnątrz i zagląda we wszystkie ciemne zakamarki, wypatrując jakiegokolwiek ruchu, najmniejszego śladu jakiegokolwiek obserwatora. Nie ma nikogo, ani człowieka, ani zwierzęcia, ani istoty takiej jak ja. Nic się nie porusza, nic się

nie czai; tego wieczoru jesteśmy jedynym myśliwym na łowach i wszystko jest tak, jak ma być.

Stawiając jedną nogę przed drugą w doskonałej imitacji swobodnego kroku, wracamy przed skromny żółty dom. Bardzo ostrożnie wślizgujemy się w cień żywopłotu na sąsiedniej posesji i czekamy. Nie słychać żadnego dźwięku; nic się nie rusza, nic nie czeka razem z nami. Jesteśmy sami, niewidoczni i gotowi. Przysuwamy się bliżej, czujnie i bezszelestnie, aż stajemy przy wyblakłym żółtym rogu domu, bierzemy głęboki wdech i zlewamy się w jedno z ciemnością.

Jeszcze bliżej, wciąż ostrożnie i cicho. Wszystko jest tak, jak ma być, i oto stajemy przy tylnych drzwiach mustanga.

Otwarte. Nikczemny mały bardzo ułatwił nam zadanie, więc bezszelestnie wsuwamy się na tylne siedzenie, wtapiamy w niewidoczną ciemność na podłodze i czekamy.

Mijają sekundy, mijają minuty, a my wciąż cierpliwie czekamy. Czekanie to element łowów. Oddychamy równo i spokojnie, wyczekując chwili, która musi nadejść.

I nadchodzi.

Drzwi domu otwierają się i dobiegają nas ostatnie słowa jego ostatniej kłótni.

- ...kazała adwokat! - mówi wrednym, jazgotliwym głosem. - Muszę iść do pracy, rozumiesz?

Trzaska drzwiami i przypada do mustanga. Mamrocze coś gniewnie, otwiera drzwiczki samochodu i siada za kierownicą. Kiedy wkłada kluczyk do stacyjki i uruchamia silnik, cienie na podłodze za jego plecami wypływają z siebie postać. Podnosimy się błyskawicznie, nylonowa pętla ze świstem opada na jego szyję i zaciska się, odcinając myśli i powietrze.

- Nie ruszaj się i ani słowa - mówimy naszym strasznym zimnym Drugim Głosem, a on zastyga w bezruchu. - Słuchaj uważnie i rób, co każemy, to jeszcze trochę pożyjesz. Rozumiesz?

Sztywno kiwa głową z wybałuszonymi z przerażenia oczami, a jego twarz powoli sinieje z braku powietrza. Pozwalamy mu przekonać się, jak to jest nie móc oddychać; ale to tylko przedsmak tego, co go czeka, próbka nadciągającej nieskończonej ciemności, która zapada po wydaniu ostatniego tchu.

Zaciskamy pętlę ciut mocniej, tak żeby dać mu do zrozumienia, że w każdej chwili możemy zrobić to z dużo większą siłą, i jego twarz ciemnieje jeszcze bardziej, oczy nabiegają krwią...

...wtedy rozluźniamy nylonową pętlę - tylko odrobinę, na tyle, by mógł złapać jeden chrapliwy oddech - po czym zaciskamy ją znowu.

- Należysz do mnie - mówimy i zimna prawda tych słów brzmi w naszym głosie.

Przed oczami naszego przyjaciela staje prawdziwa wizja jego przyszłości. Zapomina na chwilę, że nie może oddychać, i wymachuje rękami, zanim znów zaciskamy pętlę nieco mocniej.

- Dość - mówimy i lodowaty syk naszego władczego głosu paraliżuje go.

Pozwalamy, by jego ohydny mały świat znów okrył się ciemnością; nie za bardzo, tylko na tyle, aby, gdy znów poluzujemy pętlę, miał odrobinę nadziei - słabej, utkanej z promieni księżyca i żyjącej tylko po to, by był potulny i milczał do chwili, aż zamilknie na wieczność.

- Ruszaj - mówimy i znów dajemy mu złapać charczący oddech.

Przez chwilę się nie rusza, więc pociągamy za żyłkę.

- Już - mówimy, a on gwałtownym ruchem wrzuca bieg.

Powoli oddalamy się od jego żółtego domku i jego nikczemnego życia, zmierzając ku mrocznej przyszłości, która go czeka w tę cudowną księżycową noc.

Wkrótce kierujemy go do pustego domu i ostrożnie prowadzimy przez ciemność do wyłożonej plastikiem kuchni, w której srebrzyste smugi księżycowego blasku oświetlają blat niby ołtarz w katedrze bólu. Bo tym jest dziś to pomieszczenie - świątynią cierpienia, a my jesteśmy jej kapłanem, mistrzem ceremonii i odprawimy rytuał, dzięki któremu nasza ofiara dostąpi ostatecznego objawienia i osiągnie zbawienie.

Zatrzymujemy się przy blacie i znów pozwalamy mu prawie swobodnie oddychać, tylko po to, by zobaczył, co go czeka. Kiedy uświadamia sobie, że wszystko zostało przygotowane wyłącznie dla niego, odwraca się przerażony, jakby chciał spytać, czy to nie jest tylko chory żart...

- Poznaję cię - mówi i lekko kręci głową, na tyle, na ile pozwala mu pętla. - Jesteś gliną - chrypi, a w jego oczach pojawia się nadzieja. -

Tym pieprzonym gliną, który przyjechał z tą porąbaną suką! Masz przesrane, skurwysynu! Już ja się postaram, żeby cię za to posadzili, ty jebany...

Pociągamy za pętlę, bardzo mocno, i jego paskudny wroni skrzek urywa się jak ucięty nożem. Znów robi mu się ciemno przed oczami, więc chwyta za żyłkę na gardle, ale po chwili ręce opadają mu do boków i osuwa się na kolana. Przez moment tylko się chwieje, a my ciągniemy coraz mocniej i mocniej; w końcu nieprzytomny pada na podłogę.

Teraz musimy się spieszyć; dźwigamy go na drewniany blat, tniemy na nim ubranie i przytwierdzamy go taśmą, żeby był nieruchomy, kiedy się obudzi - co następuje po chwili. Otwiera oczy, trzepocze powiekami i lekko napręża taśmę. Gdy orientuje się w swojej nowej, ostatecznej pozycji, otwiera oczy jeszcze szerzej i rozpaczliwie usiłuje się oswobodzić. Na próżno. Przez chwilę tylko go obserwujemy, pozwalając, by w nim narastał strach, a w nas radość. Oto, kim jesteśmy. Zostaliśmy stworzeni do tego, by być dyrygentem mrocznego baletu, i tej nocy dajemy koncert.

Muzyka narasta, a my zaczynamy taniec, cudowną choreografię Końca, z jej zdecydowanymi ruchami i zapachem strachu pośród dźwięków przerażenia. Nóż, szybki, ostry i pewny, śmiga w znajomym rytmie wzbierającej muzyki księżycy, która stopniowo przechodzi w ostateczny chór spełnienia.

Tuż przed końcem robimy przerwę, bo paskudna jaszczurka wątpliwości wkradła się w naszą rozkosz i przycupnęła na aureoli naszego szczęścia. Patrzymy z góry na człowieka, który wije się przerażony tym, co już go spotkało i co - jak wie - jeszcze go czeka.

„Nie przestawaj, nie w tej chwili...” - słyszę szept.

I nie przestajemy; lecz chwilę się wahamy. Patrzymy na istotę wijącą się pod naszym nożem. Już prawie po nim, oddycha coraz wolniej, ale wciąż rusza się w więzach, a przez jego przerażenie i ból z trudem przebija się ostatnia iskierka nadziei. Zanim ją zgasimy, musimy poznać jeden szczegół, niezbędny, by wszystko było jak należy i rozkosz wylała się z nas potężną falą.

- Hej, Victor, jak smakowała Tyler Spanos? - pytamy i zrywamy taśmę z jego ust. Prawdziwy ból jest zbyt silny, by poczuł, jak taśma

zdziera mu skórę z warg, ale głęboko wciąga powietrze i odnajduje oczami moje spojrzenie. – Jak smakowała? – powtarzamy, a on kiwa głową, pogodzony z tym, co nieuniknione.

– Wspaniale – odpowiada chrapliwie, wiedząc, że nie ma dość czasu na nic oprócz prawdy. – Najlepiej ze wszystkich. Było... fajnie... – Na chwilę zamyka oczy, a kiedy znów je otwiera, widać w nich promyk nadziei. – Teraz mnie puścisz? – pyta głosem zagubionego chłopca, choć na pewno zna odpowiedź.

Otocza nas furkot skrzydeł, więc prawie nie słyszymy własnego głosu, kiedy mówimy:

– Tak, możesz odejść

I wkrótce potem odchodzi.

Zostawiliśmy mustanga Chapina za sklepem całodobowym Lucky 7, kilometr od jego domu, z kluczykami w środku. Na pewno nie przetrwa całej nocy w Miami; do rana zostanie przemalowany i wyekspediowany do Ameryki Południowej. Przez to, że sprawy miały się tak, jak się miały, musieliśmy oporzędzić Victora trochę szybciej, niż chcieliśmy, ale teraz czuliśmy się znacznie lepiej, więc prawie nucilem, kiedy wysiadłem z mojego wiernego małego autka i szedłem do domu.

Gdy się umyłem, przyjemne ciepło zaczęło przygasać. Deb powinna być zadowolona – nie żebym miał jej cokolwiek powiedzieć, ale Chapin zasłużył sobie na główną rolę w dzisiejszym kameralnym dramacie i świat bez niego będzie odrobinę lepszy.

Ja też czułem się lepiej. Zeszło ze mnie napięcie, byłem spokojniejszy i gotowy stawić czoła gorączce ostatnich wydarzeń. Wprawdzie próbowałem zerwać z takimi rzeczami i mi się nie udało – ale to było pojedyncze uchybienie i dopilnuję, by się nie powtórzyło. Mały krok w tył, jeden jedyny, nic wielkiego. Przecież nikt nie rzuca palenia od razu, mam rację? Teraz odzyskałem równowagę, a taka chwila słabości więcej mi się nie zdarzy. Pora znów włożyć owczą skórę – tym razem na stałe.

Kiedy ta myśl próbowała zapuścić korzenie, skąpana w słońcu mojej nowej osobowości, poczułem drgnienie pazurów zadowolonego Pasażera i niemal wypowiedzianą myśl: oczywiście... do następnego razu...

Moja ostra reakcja - wybuch gniewu i bezgłośny okrzyk: „Nie będzie następnego razu! Odejdź!” - zaskoczyła nas obu. Było jednak oczywiste, że tym razem mój sprzeciw jest całkowicie szczery, więc najpierw zapadła pełna oszołomienia cisza, a potem poczułem, jak potężna jaszczurcza postać oddala się z godnością. Wziąłem głęboki wdech i powoli wypuściłem powietrze. Chapin był ostatnim drobnym potknięciem na mojej nowej świetlistej drodze do przyszłości Lily Anne. Więcej nic podobnego się nie zdarzy. „Nie wracaj!”, pouczyłem Pasażera

Nie usłyszałem odpowiedzi, tylko odległe trzaśnięcie drzwiami w strzelistej wieży Zamku Dexter. Szorując ręce, spojrzałem w lustro nad umywalką i zobaczyłem twarz nowego człowieka. To koniec, definitywnie. Nigdy więcej nie wrócę w mrok.

Wytarłem ręce, wrzuciłem brudne ubranie do kosza i poszedłem do sypialni. Kiedy wśliznąłem się do łóżka, zegar wskazywał za minutę trzecią.

Ledwo przyłożyłem głowę do poduszki, zacząłem śnić. Stoję nad Chapinem i wznoszę nóż do zadania ciosu, ale na blacie leży skrępowany Brian i obdarza mnie uśmiechem tak szerokim, że widać go przez taśmę zalepiającą mu usta. Wznoszę nóż wyżej - i nagle tuż obok pojawiają się Cody i Astor. Mierzą we mnie swoimi kontrolerami Wii i klikają jak szaleni, sterując każdym moim ruchem. Bezwolnie opuszczam nóż, odwracam się od Briana i wymierzam ostrze we własne gardło. Już mam je wbić, ale nagle słyszę za plecami przeraźliwy płacz. Odwracam się i widzę Lily Anne. Skrępowana taśmą wyciąga do mnie swoje małe paluszki i...

...Rita szturcha mnie łokciem, mówi:

- Dexter, wstań. - I wreszcie się budzę. Zegar przy łóżku pokazuje trzecią dwadzieścia osiem. Lily Anne płacze.

- Twoja kolej - powiedziała Rita i, przewróciwszy się na drugi bok, naciągnęła poduszkę na głowę.

Dźwignąłem się na nogi i powlokłem do łóżeczka małej. Lily Anne majtała rękami i nogami i przez jedną straszną chwilę miałem wrażenie, że to dalsza część mojego snu. Stałem nieruchomo, kompletnie ogłupiały, i czekałem, aż zrozumie coś z tego, co się

dzieje. Nagle wyraz ślicznej małej twarzyczki Lily Anne zaczął się zmieniać i pojąłem, że szykuje się kolejny atak ryku na cały regulator. Potrząsnąłem głową, żeby rozpedzić opary snu. Głupi sen - wszystkie sny są głupie.

Podniosłem Lily Anne i ostrożnie położyłem na stole do przewijania, mamrocząc do niej kojące, nic nieznaczące słowa. Wypowiadane moim ochrypłym, rozspanym głosem wcale nie brzmiały pocieszająco, lecz mimo to przy zmianie pieluchy mała uciszyła się, a kiedy usiadłem z nią w bujanym fotelu obok stołu, trochę się powierciła i po chwili zasnęła. Lęk, który rozbudził we mnie idiotyczny sen, minął, więc jeszcze kilka minut bujałem się i nuciłem cicho, ciesząc się tym o wiele bardziej, niżby wypadało. Gdy nabrałem pewności, że Lily Anne smacznie śpi, wstałem, zaniósłem małą do łóżeczka i ułożyłem w przytulnym gniazdku z ciasno otulającego ją kocyka.

Właśnie mościłem się we własnym gniazdku, kiedy zadzwonił telefon. Lily Anne zaczęła płakać.

- O Jezu - wyjęczała Rita, co w jej ustach zabrzmiało dość dziwnie.

Nie miałem żadnych wątpliwości co do tego, kto może dzwonić o tej porze. Oczywiście Debora, która pragnie mi powiedzieć, że pojawiła się jakaś nowa pilna sprawa, i przyprawić mnie o wyrzuty sumienia, jeśli natychmiast nie wyskoczę z łóżka i nie stanę u jej boku. Przez chwilę miałem ochotę nie odbierać - w końcu jest dorosła i najwyższy czas, by stanęła na własnych nogach. Ale cóż, nawyk i poczucie obowiązku wzięły górę, w czym trochę im pomógł kuksaniec od Rity.

- Odbierz, Dexter, na litość boską - mruknęła i to właśnie uczyniłem.

- Tak? - odezwałem się do słuchawki ostentacyjnie marudnym głosem.

- Jesteś mi potrzebny, Dex - powiedziała, a chociaż w jej głosie brzmiały autentyczne znużenie i nuta tego bólu, który okazywała ostatnio, mimo wszystko była to stara śpiewka, której miałem już dość.

- Przykro mi, Deb - odparłem stanowczo - ale jest już po godzinach pracy i muszę być z rodziną.

- Znaleźli Deke'a - oznajmiła takim tonem, że reszty wcale nie chciałem usłyszeć, ona jednak kontynuowała. - Nie żyje. Zabili go i częściowo zjedli.

O tym, że każdy glina z czasem obojętnieje, wiedzą chyba wszyscy. To tekst tak oklepany, że można go usłyszeć nawet w telewizji. Policjanci dzień w dzień mają do czynienia z rzeczami tak makabrycznymi, że muszą się na nie jakoś uodpornić, aby nie zwariować. Uczą się więc przybierać i utrzymywać godną pokerzysty maskę dystansu do wszystkiego, co ich pomysłowi bliźni robią sobie nawzajem. Wszyscy policjanci doskonalą tę umiejętność, ale niewykluczone, że gliny z Miami są w tym lepsi niż cała reszta, bo mają więcej okazji do treningu.

Dlatego to zawsze trochę niepokojące, kiedy człowiek przyjeżdża na miejsce zbrodni i widzi zszokowane twarze mundurowych pilnujących okolicy. A jeszcze gorzej, gdy prześlizgnie się pod taśmą i zobaczy wybitnych speców od medycyny sądowej – Vince’a Masuokę i Angela Batistę-Bez-Skojarzeń – bladych i niemo stojących na uboczu. To przecież ludzie, dla których widok wywleczonej na wierzch ludzkiej wątroby jest rzadką okazją do błysnięcia poczuciem humoru. Tutaj jednak zobaczyli coś tak strasznego, że zupełnie nie było im do śmiechu.

Wszyscy policjanci w obliczu śmierci przywdziewają pancerz nieczułości, ale gdy ofiarą jest inny glina, z jakiegoś powodu twardy pancerz pęka i emocje wylewają się na wierzch jak soki z drzewa. Nawet jeśli jest to glina, za którym nikt nie przepadał, jak Deke Slater.

Ciało porzucono na tyłach małego kina przy Lincoln Road, obok sterty starych desek i płacht i pojemnika, z którego wystawały plastikowe worki ze śmieciami. Leżał na plecach w dość teatralnej pozie: bez koszuli, z rękami złożonymi na piersi i ściskającymi coś, co wyglądało jak drewniany kołek wbity w okolicę serca.

Jego twarz zastygła w wyrazie cierpienia, spowodowanego zapewne wbijaniem kołka, ale od razu poznałem, że to Deke, mimo iż ktoś wyszarpał z twarzy i ramion wielkie kawały mięsa, zostawiając ślady zębów widoczne nawet z odległości trzech metrów. Poczulem lekkie

ukłucie żalu, kiedy tak stałem i patrzyłem na to, co pozostało z irytującego i nieprzyzwoicie przystojnego byłego partnera mojej siostry.

- Znaleźliśmy to - powiedziała Deb, unosząc plastikową torebkę na dowody, w której była kartka papieru z brunatną plamą zaschniętej krwi w rogu.

Wziąłem torebkę od siostry i przyjrzałem się kartce. Widniała na niej krótka wiadomość, wypisana ozdobną czcionką, która mogła być dziełem każdej drukarki komputerowej na świecie. Tekst brzmiał: „Okazał się niestrawny”.

- Nie wiedziałem, że kanibale potrafią być tacy dowcipni - powiedziałem.

Debora wbiła we mnie wzrok i cały smutek, z którym ostatnio się zmagala, osiadł na jej twarzy.

- Bardzo śmieszne - burknęła. - Zwłaszcza dla kogoś, kto tak jak ty potrafi docenić ten rodzaj dowcipu.

Rozejrzałem się, by sprawdzić, czy ktoś nie usłyszał jej komentarza. Nie było nikogo w zasięgu słuchu, ale Deb dopiero się rozkręcała.

- Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny, Dexter - ciągnęła coraz donośniejszym głosem. - Skończyła mi się cierpliwość do tego syfu i skończyli mi się partnerzy, a Samancie Aldovar zaraz skończy się czas. Muszę, do kurwy nędzy, zrozumieć, o co w tym cholerstwie chodzi... - Wzięła głęboki, urywany oddech i na szczęście zniżyła głos. - Żeby dopaść tych jebańców i ich posadzić. - Dźgnęła mnie palcem w pierś. - Masz - drugie dźgnięcie - wprawić się w ten swój trans i porozmawiać ze swoim duchowym przewodnikiem, cokolwiek to oznacza. - Dźgała mnie na podkreślenie każdej sylaby. - I... to... już...

- Daj spokój - odparłem. - To nie takie proste.

Debora była jedyną żyjącą istotą, z którą próbowałem rozmawiać o Mrocznym Pasażerze, ale najwyraźniej źle zrozumiała mój nieudolny opis szepczącego nie-całkiem-głosu, który czaił się w lochu tuż pod powierzchnią mojej świadomości. Co prawda w przeszłości kilka razy pomógł mi swoimi trafnymi przypuszczeniami, ale Deb wyobrażała go sobie jako kogoś w rodzaju Mrocznego Sherlocka, którego mogłem przywoływać, kiedy mi się podobało.

- Więc postaraj się, żeby było proste - powiedziała i ruszyła w stronę żółtej taśmy zabezpieczającej.

Jeszcze całkiem niedawno myślałem, że to wielkie szczęście mieć rodzinę. Teraz, w ciągu jednej nocy, zostałem zignorowany przez żonę i dzieci, zastąpiony przez brata i o nieludzkiej porze wezwany przez siostrę, by spełnić jej nierealistyczne oczekiwania. Moja kochająca rodzinka - oddałbym ich wszystkich za jednego pączka z dżemem.

Ale cóż, skoro już się w to wpakowałem, musiałem chociaż spróbować. Wziąłem głęboki wdech, postawiłem zestaw do badania śladów na ziemi i ukląknęłam przy zmasakrowanych zwłokach Deke'a Slatera.

Ślady ugryzień na twarzy i ramionach, prawie na pewno pozostawione przez ludzkie zęby, były pokryte niedużą ilością zakrzepłej krwi, co oznaczało, że rany zadano w czasie, kiedy serce jeszcze biło. Deke został zjedzony żywcem.

Krew pokrywała cały odkryty tors, co z kolei wskazywało, że Deke żył jeszcze chwilę po tym, jak wbito mu kolek w pierś. Krew przesiąkała przez koszulę i pewnie dlatego mu ją zdjęli. A może spodobał im się jego brzuch. To wyjaśniałoby, dlaczego brakowało kawałków mięśni.

Ślady zębów na brzuchu otaczała ledwo widoczna brązowa plama. Wątpiłem, by była to krew, i po chwili przypomniała mi się substancja, której ślady znaleźliśmy w Everglades: poncz z ekstazy i szalwią. Wyjąłem z torby kilka narzędzi, pobrałem próbkę brązowej mazi i schowałem wacik do woreczka na dowody.

Popatrzyłem na okolicę rany w piersi, a potem na dłonie zaciśnięte na drewnianym kołku. W samym kołku nie było nic ciekawego. Ot, zwykły kawałek drewna, jakich wszędzie pełno. Pod kilkoma paznokciami dostrzegłem coś ciemnego, co prawdopodobnie dostało się tam podczas walki. Kiedy tak patrzyłem, próbując rozpoznać, co to jest, uprzytomniłem sobie, że zachowuję się jak Mroczny Sherlock, kompletnie bez sensu. Zaraz zleci się tu reszta techników, którzy wykryją więcej, niż ja mogłem zobaczyć gołym okiem. Tym, czego oczekiwała ode mnie Debora, było jakieś specjalne spostrzeżenie na temat pokreślonych i niecznych umysłów, które postanowiły w taki właśnie sposób zabić Deke'a. Do tej pory zwykle widziałem wszystko

trochę wyraźniej niż pozostali technicy, sam bowiem byłem pokręcony i niecny.

Ale czy teraz, kiedy się zresocjalizowałem i zmieniłem w Dex-Tatusia, kiedy zignorowałem i wręcz obraziłem Pasażera – nadal to potrafię?

Nie wiedziałem i prawdę mówiąc, nie chciałem się o tym przekonywać, ale wyglądało na to, że siostra nie pozostawiła mi wyboru. Tak jak w każdej innej sytuacji związanej z rodziną, miałem tylko dwie możliwości: jedną nierealną, drugą nieprzyjemną.

Dlatego zamknąłem oczy i wyteżyłem słuch, czekając na chytry podszept.

Nic. Żadnego szumu błoniastych skrzydeł, żadnej oznaki podszytego urazą lekceważenia, nawet jednej prawie-sylaby naburmuszonej odmowy. Pasażer milczał, jakby go tam w ogóle nie było.

No, daj spokój, powiedziałem cicho do miejsca, w którym mieszkał. Stroisz fochy.

Doleciał mnie wyniosły, lekceważący szelest, jakby na znak, że nie zasłużyłem na odpowiedź.

Proszę... pomyślałem.

Po chwili wyraźnie prawie-usłyszałem coś jakby jaszczurcze: „Hmhf”, szelest składanych skrzydeł, drwiące echo własnego głosu – „I nie wracaj” – i znów zapadła cisza, jakby Pasażer rzucił słuchawką.

Otworzyłem oczy. Deke wciąż był martwy, a ja wiedziałem o tym, jak i dlaczego to się stało, nie więcej niż przed rozpoczęciem mojego miniseansu. Było oczywiste, że jeśli mam wpaść na jakiś pomysł, muszę poradzić sobie z tym sam.

Rozejrzałem się. Debora stała jakieś dziesięć metrów dalej i mierzyła mnie gniewnym, wyczekującym wzrokiem. Nie miałem jej nic do powiedzenia, a chociaż nie wiedziałem, co robi, kiedy to wyznam, czułem, że tym razem na kuksańcu w ramię się nie skończy; że spotka mnie coś nowego i prawdopodobnie znacznie bardziej bolesnego.

Cóż było rozbić? Ślady zbadają inni, nie miałem czasu na staranne oględziny, a Pasażer się obraził i zrobił sobie wolne – zostawał więc ślepy traf. Obejrzałem okolice ciała. Nie było charakterystycznych śladów szytych na zamówienie butów dla mańkuta, nikt nie upuścił unikatowego pudełka zapalek ani wizytówki, a Deke nie wypisał krwią

nazwiska zabójcy. Powiodłem spojrzeniem dookoła i wreszcie coś rzuciło mi się w oczy. Plastikowe worki ze śmieciami wylewające się z pojemnika przy drzwiach były duże, półprzezroczyste i żółtawobrazowe. Tylko jeden, wciśnięty mniej więcej w połowie wysokości stosu, był biały.

To raczej nic nie znaczyło: pewnie ekipie sprzątającej skończyły się inne worki albo ktoś podrzucił własne śmieci. Z drugiej strony, skoro i tak zdawałem się na łut szczęścia, równie dobrze mogłem spróbować. Wstałem, usiłując sobie przypomnieć imię rzymskiej bogini losu. Fortuna? Nieważne. Byłem prawie pewien, że mówiła tylko po łacinie, a ja nie.

Ostrożnie podszedłem do pojemnika, żeby nie zdeptać ewentualnych dowodów, które mogły leżeć na ziemi, i znów przykucnąłem. Biały worek był mniejszy od pozostałych i, co ciekawsze, wypełniony nawet nie w połowie. Po co ktoś miałby wyrzucać prawie pusty worek ze śmieciami? Może pod koniec dnia pracy... Ale ten worek był wciśnięty pod kilka innych, więc albo wyniesiono go razem z pozostałymi, mimo że nie był pełny, albo ktoś wepchnął go w głąb sterty później. A jeśli tak, czemu po prostu nie rzucił worka na wierzch? Bo chciał go schować, ale mu się spieszyło i nie miał czasu lepiej się postarać.

Wyjąłem z kieszeni długopis i końcówką nacisnąłem worek. Cokolwiek skrywał, było miękkie i się ugięło. Tkanina? Nacisnąłem trochę mocniej i wewnętrzna powierzchnia worka zetknęła się z czymś, na czym przez plastik widać było ciemnoczerwone plamy. Wzdrygnąłem się mimo woli. To była krew, bez wątplenia. I choć nie podpowiedział mi tego Pasażer, byłem przekonany, że nie była to krew kogoś, kto skaleczył się w kinie o automat z popcornem.

Wstałem i rozejrzałem się za siostrą. Stała tam, gdzie wcześniej, i wciąż patrzyła na mnie spode łba.

- Debora! - zawołałem. - Chodź, zobacz.

Szybko pokonała dzielący nas dystans i przykucnęła koło mnie.

- Zobacz - powiedziałem. - Ten worek jest inny niż pozostałe.

- Wielkie, kurwa, odkrycie - burknęła. - Nie masz nic lepszego?

- Mam - odparłem. Dźgnąłem worek długopisem i pod białym plastikiem znów ukazały się paskudne czerwone plamy. - To pewnie

zbieg okoliczności.

- Cholera - zakłęła cicho. Wstała i spojrzała w stronę żółtej taśmy. - Masuoka! Chodź tu! - Vince spojrzał na nią jak jelen na światła nadjeżdżającego samochodu, a Deb wrzasnęła: - Rusz się!

Wyrwał się z letargu i począpał do nas.

Standardowe procedury tylko krok dzieli od rytuału i pewnie dlatego działają na mnie jakoś tak kojąco. Lubię wykonywać czynności, które mają określone reguły i ustalony porządek, bo wtedy nie muszę się martwić o udawanie reakcji stosownych do okazji. Mogę się odprężyć i po prostu robić, co do mnie należy. Tym razem jednak rutyna wydawała się nudna, bezcelowa i frustrująca. Chciałem rozerwać ten worek i aż mnie skręcało z niecierpliwości, gdy Vince wolno i metodycznie szukał odcisków palców na całym pojemniku, na ścianie za nim i na workach nad tym białym. Wyciągaliśmy je jeden po drugim dłońmi w rękawiczkach, po zdjęciu odcisków palców oglądaliśmy w zwykłym i ultrafioletowym świetle, a potem ostrożnie otwieraliśmy, by wszystko z nich powyjmować i dokładnie przebadać. Śmieci, odpady, szajs, pierdoły. Kiedy wreszcie dotarliśmy do białego worka, miałem ochotę wysypać cały ten syf Vince'owi na głowę.

Ale koniec końców dostaliśmy się do niego i Vince posypał plastikową powierzchnię proszkiem daktyloskopijnym.

- Nic - oznajmił i wybałuszył na mnie zdumione oczy. Biały worek w odróżnieniu od pozostałych był nieskazitelnie czysty, jakby dopiero wyjęto go z opakowania.

- Gumowe rękawiczki - powiedziałem i zniecierpliwienie wzięło górę. - No, otwórz go wreszcie. - Spojrzał na mnie, jakbym złożył mu nieprzyzwoitą propozycję. - Otwórz to! - powtórzyłem.

Vince zaczął ostrożnie rozwiązywać plastikową taśmę.

- Jakiś ty niecierpliwy - zauważył spokojnie. - Musisz nauczyć się czekać, Koniku Polny. Co nagle, to...

- Otwórz ten cholerny worek - warknąłem, zaskakując samego siebie bardziej niż Vince'a, który tylko wzruszył ramionami, zdjął taśmę i schował ją do torebki na dowody.

Zdałem sobie sprawę, że trochę za blisko się nad nim pochylam, wstałem więc - i wpadłem na Deborę, która zaglądała mi przez ramię.

Bez mrugnięcia okiem przykucnęła i zajęła zwolnione przeze mnie miejsce.

- Szybciej, do cholery - mruknęła.

- Wy musicie być spokrewnieni - stwierdził Vince, ale zanim zdążyłem go kopnąć, rozchylił worek i zaczął związać jego górną część. Ostrożnie włożył rękę do środka i z naprawdę irytującym brakiem pośpiechu wyciągnął...

- Koszula Deke'a - powiedziała Debora. - Miał ją na sobie wczoraj po południu.

Spojrzała na mnie i skinąłem głową: pamiętałem tę beżową *guayabera* usianą jasnozielonymi palmami. Teraz jednak na koszuli widniał nowy wzór: ohydna plama krwi, wciąż wilgotna przez to, że worek był szczelnie zamknięty.

Vince powoli wyjął zakrwawioną koszulę. Kiedy wyłoniła się w całości, coś jeszcze wypadło na ziemię i poturlało się w stronę tylnych drzwi kina.

- Cholera! - Debora rzuciła się w pościg za przedmiotem, który zatrzymał się jakieś półtora metra od nas. Byłem o krok za nią, a że miałem na dłoniach rękawiczki, schyliłem się i go podniosłem.

- Pokaż - zażądała.

Podsunałem jej przedmiot na otwartej dłoni.

Właściwie nie było na co patrzeć. Wyglądało to jak żeton pokerowy, okrągły, o ząbkowanych krawędziach. Różnica polegała na tym, że był czarny jak smoła, a z jednej strony miał wytłoczony złoty znak, przypominający siódmkę, tylko że przekreśloną w poprzek.

- A to, kurwa, co? - spytała Deb, wpatrzona w symbol.

- Może europejska siódmka? - zasugerowałem. - Czasem zapisują ją z kreską pośrodku.

- No dobra, ale co znaczy ta europejska siódmka?

- To nie siódmka - wtrącił Vince, który stał tuż za nami i zaglądał Deborze przez ramię. Oboje spojrzeliśmy na niego. - To F napisane kursywą - oznajmił, jakby stwierdzał oczywisty fakt.

- Skąd wiesz? - spytała Deb.

- Bo już to kiedyś widziałem - odparł. - Jak buszowałem po klubach, rozumiecie.

- Jak to, buszowałeś po klubach? - zainteresowała się Deb.

Vince wzruszył ramionami.

- No, wiesz, poznawałem nocne życie South Beach. W każdym razie widziałem to. - Spojrzał na czarny żeton i wsadził rękę między nas, dźgnął go czubkiem palca. - F - powtórzył.

- Vince - zacząłem, tłumiąc pokusę, by złapać go za gardło i ścisnąć, aż mu gały wyjdą na wierzch - jeśli wiesz, co to jest, powiedz nam, zanim Debora cię rozwali.

Zmarszczył brwi i uniósł dłonie.

- Hej, wrzucie na luz. - Znów dźgnął krążek palcem. - To żeton wstępu, a F to skrót od Fang. - Podniósł na nas wzrok i się uśmiechnął. - Wiecie, Fang? Taki klub? - Kiedy usłyszałem tę nazwę, coś mnie połaskotało w tyle głowy, ale zanim zdążyłem to podrapać, Vince mówił dalej: - Bez tego żetonu się nie wejdzie, a niełatwo go zdobyć. Próbowałem. To prywatny klub, otwarty nawet wtedy, kiedy wszystkie inne są już zamknięte, i ponoć odchodzą tam niesamowite numery.

Debora wpatrywała się w żeton, jakby czekała, aż przemówi.

- Co robił z nim Deke? - myślała głośno.

- Może lubi imprezy - podsunął Vince.

Deb spojrzała na ciało Deke'a.

- Taa - mruknęła. - Wygląda, jakby się wyszalał za wszystkie czasy. - Zwróciła się do Vince'a: - Do której ten klub jest otwarty?

- W zasadzie do rana - odparł. - To taki niby klub dla wampirów. Fang czyli Kieł, rozumiesz? Dlatego jest otwarty całą noc. Wolno im, bo to prywatny lokal, wstęp tylko dla członków.

Debora złapała mnie za ramię.

- Chodź - powiedziała.

- Dokąd?

- A jak myślisz? - warknęła.

- Zaczekaj chwilę - odparłem, bo nagle coś przyszło mi do głowy. - Skąd żeton wziął się w worku razem z koszulą Deke'a?

- Jak to skąd? - spytała Deb.

- W tej koszuli nie ma kieszeni - wyjaśniłem. - A takiego żetonu raczej nie trzymasz w ręku, kiedy pozbywasz się zwłok. Czyli ktoś musiał go tam włożyć. Umyślnie.

Przez chwilę stała w zupełnym bezruchu. Nawet nie oddychała.

- Mógł tam wpaść i... - urwała; miałem nadzieję, że to dlatego, że zrozumiała, jakie bzdury gada.

- Nie mógł - stwierdziłem. - Ktoś chce, żebyśmy poszli do tego klubu.

- Wobec tego jedźmy tam - oznajmiła.

Pokręciłem głową.

- To zły pomysł. To musi być pułapka.

Zacisnęła szczęki i zrobiła upartą minę.

- Samantha Aldovar jest w tym klubie - powiedziała. - Wyciągnę ją stamtąd.

- Nie wiesz tego na pewno - zauważyłem.

- Wiem - wycodziła przez zęby. - Ona tam jest.

- Debora...

- Pieprz się, Dexter - warknęła. - To jedyny trop, jaki mamy.

Wyglądało na to, że tylko ja widziałem jadącą prosto na nas rozpędzoną lokomotywę.

- Deb, na litość boską, to zbyt niebezpieczne. Ktoś podrzucił żeton do worka, żeby nas zwabić do tego klubu. To albo pułapka, albo fałszywy trop.

Debora tylko pokręciła głową i pociągnęła mnie za rękę w stronę żółtej taśmy.

- Nie obchodzi mnie, czy to fałszywy trop - powiedziała. - Innego nie mamy.

Klub Fang znajdował się przy Ocean Drive w South Beach, na obrzeżach dzielnicy, którą można zobaczyć w każdym programie telewizyjnym ukazującym kolorowe, supermodne nocne życie Miami. Każdego wieczoru tłumy ludzi w ubraniach odsłaniających wszystko, co można odsłonić, przechadzają się tam wśród neonów i głośnej muzyki, wlewając się i wylewając z hoteli w stylu art déco w swoistych eleganckich ruchach Browna. Jeszcze kilka lat temu te same budynki były tanimi hotelami dla emerytów, pełnymi staruszków, którzy przyjeżdżali na południe, by umrzeć w słońcu. Dziś za pokój, który kiedyś kosztował pięćdziesiąt dolarów za noc, trzeba zapłacić dziesięć razy więcej, choć jedyna różnica polega na tym, że goście są młodszy i ładniejsi, a same hotele pokazuje telewizja.

Nawet tuż przed świtem po ulicach snuli się nieliczni przechodnie, zapewne ludzie, którzy przesadzili z imprezowaniem i nie mogli sobie przypomnieć drogi do domu albo po prostu jeszcze nie chcieli skończyć na dziś, mimo że wszystkie kluby były już zamknięte.

Wszystkie oprócz jednego. Fang mieścił się w budynku u wylotu przecznicy, który nie był ciemny i cichy jak pozostałe. Front miał wyjątkowo skromny jak na South Beach, ale na drugim końcu majaczyły plama światła i nieduży szyld z napisem „Fang” wykonanym współczesną wersją pisma gotyckiego. Początkowe F wyglądało identycznie ze znakiem na czarnym żetonie, który znaleźliśmy razem z koszulą Deke’a. Tonące w półmroku drzwi, nad którymi wisiał szyld, były pomalowane na czarno i nabite srebrnymi ćwiekami, niczym wrota piekieł z wyobrażeń nastolatka.

Debora nie traciła czasu na szukanie miejsca do parkowania. Wjechała na chodnik i wskoczyła w rzedniejący tłum. Dogoniłem ją dopiero w połowie zaułka. Kiedy zbliżaliśmy się do drzwi, poczułem rytmiczne łupanie. Ten irytujący natarczywy łomot płynął z mojego wnętrza i żądał, abym coś zrobił, lecz bez konkretnych sugestii, czym to coś miałoby być. Pulsował, dwa razy szybciej od zdrowego serca,

a przeszedł w rzeczywisty dźwięk, dopiero gdy stanęliśmy przed czarnymi drzwiami.

Była na nich mała tabliczka. Wypukłe złote litery w tym samym stylu co nazwa klubu na szyldzie układały się w napis: „Klub prywatny. Wstęp tylko dla członków”. Na Deborze nie zrobiło to wrażenia. Złapała za klamkę i przekręciła ją. Drzwi ani drgnęły. Naparła na nie ramieniem, lecz nie ustąpiły.

Wychyliłem się zza niej i wcisnąłem mały guzik osadzony we framudze pod tabliczką. Deb skrzywiła się ze złością, ale nic nie powiedziała.

Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna łudzaco podobny do Lurcha, lokaja z *Rodziny Addamsów*. Miał chyba ze dwa metry wzrostu i był w klasycznym stroju kamerdynera, z frakiem włącznie. Szczęśliwie dla mojego poczucia nierzeczywistości, kiedy zaczął mówić, okazało się, że ma cienki głos i silny kubański akcent.

- Wy dzwonili? - spytał.

Debora pokazała odznakę; żeby podstawić ją Lurchowi pod nos, musiała wysoko podnieść rękę.

- Policja - powiedziała. - Wpuść nas.

Lurch położył długi, sękaty palec na tabliczce ze złotym napisem.

- Klub prii-watny - oznajmił.

Debora spojrzała na Lurcha, a on, chociaż był prawie o pół metra wyższy i miał o wiele fajniejszy kostium, cofnął się o pół kroku.

- Wpuść nas - powtórzyła - bo wrócę z nakazem i *la migra*, i pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

Czy sprawiła to groźba sprowadzenia służby imigracyjnej, czy magia spojrzenia Debory, odsunął się na bok i przytrzymał nam drzwi. Deb schowała odznakę, wparowała do środka obok Lurcha, a ja ruszyłem za nią.

Łomotanie, już na zewnątrz irytujące, przeszło w ogłuszający hałas, który był istną torturą. Przez natrętny rytm przebijały piskliwe elektroniczne dźwięki, dwie nuty, które nijak nie harmonizowały ze sobą, ale tworzyły dziesięciosekundowy motyw, powtarzany bez końca. Przy co drugim powtórzeniu rzeczonoego motywu rozlegał

się elektronicznie przetworzony głęboki szept, złowrogi, sugestywny i aż nazbyt podobny do prawie-słyszalnego głosu Pasażera.

Ruszyliśmy krótkim korytarzem w stronę miejsca, z którego dobiegał ten straszliwy łomot, i po chwili zobaczyłem migoczące odblaski czegoś, co wyglądało jak światło stroboskopowe, tyle że czarne. Ktoś krzyknął: „Łuhuu!” i światła stały się czerwone jak wino, zamrugały gwałtownie, a gdy zaczęła się następna „piosenka”, rozbłysły na biało, by za moment przejść w ultrafiolet. Rytm nie ustawał i nie zmieniał się, ale dwie piskliwe nuty połączyły się w nowy motyw, któremu towarzyszył ogłuszający zgrzyt, wytwarzany chyba przez przesterowaną i rozstrojoną gitarę elektryczną. I znów rozległ się szept, tym razem wyraźnie słyszalny: „Pij”, namawiał. Odpowiedziało mu kilka okrzyków: „Łuhuu!” i parę innych dźwięków służących współczesnym do wyrażania entuzjazmu. Kiedy doszliśmy do drzwi, głęboki głos przeszedł w demoniczny śmiech. „Buuahahaha”, rozległo się i w tym momencie dotarliśmy do głównej sali.

Dexter nigdy nie był imprezowiczem; na widok dużych skupisk ludzi zazwyczaj odczuwam ulgę, że nie rządzą mną ludzkie odruchy. Nigdy jednak nie widziałem bardziej przekonującej ilustracji wszystkich powodów, dla których nie należy bawić się w towarzystwie. Nawet Debora zamarła na chwilę w bezruchu, daremnie próbując ogarnąć to wszystko wzrokiem.

Przez gęstą mgłę kadzidła widzieliśmy, że sala jest wypchana ludźmi – na oko nikt nie miał więcej niż trzydzieści lat i wszyscy byli ubrani na czarno. Podrygiwali na parkiecie w rytm tego straszliwego hałasu z twarzami wykrzywionymi w wyrazie nieprzytomnego szaleństwa, a migające czarne światło nadawało wyostrzonym kłom, które miało wielu z nich, dziwny blask.

Z mojej prawej było podwyższenie, pośrodku którego kręciły się na dwóch zamontowanych naprzeciw siebie podestach obrotowych dwie kobiety. Obie miały długie ciemne włosy i bardzo bladą skórę, która w migoczących światłach przybierała zielonkawy odcień. Były w obcisłych czarnych sukienkach z wysokimi kołnierzami zakrywającymi szyję i wyciętym z przodu otworem w kształcie rombu, odsłaniającym rowek między piersiami. Ilekroć odwracały się ku sobie, dotykały się twarzami i głaszały nawzajem opuszkami palców.

Wzdłuż bocznej ściany wisiały trzy grube aksamitne kotary. W pewnej chwili jedna z nich rozsunęła się, ukazując wnękę, w której stał starszy mężczyzna, cały w czerni. Trzymał za rękę młodą kobietę, a drugą dłonią ocierał usta. Na obnażonym ramieniu kobiety coś błysnęło i cichy głos szepnął mi do ucha, że to krew. Kobieta uśmiechnęła się do mężczyzny i złożyła głowę na jego piersi, a wtedy on wyprowadził ją z wnęki na parkiet i zniknęli w tłumie tańczących.

W drugim końcu sali była wielka fontanna. Tryskał z niej ciemny płyn podświetlony barwnym światłem, które pulsowało i zmieniało kolory zgodnie z rytmem muzyki. A za fontanną, w bijącym od dołu teatralnym niebieskim blasku, stał nie kto inny jak Bobby Acosta. Nad głową trzymał oburącz kielich ozdobiony ogromnym czerwonym klejnotem i nalewał z niego do kubków podsuwanych mu przez tańczących. Uśmiechał szeroko, odsłaniając drogie korony założone przez doktora Lonoffa. Gdy znów wzniosł kielich wysoko do góry i uszczęśliwiony rozejrzał się po sali, jego oczy spoczęły na Deborze; zamarł i wtedy trochę płynu przelało się przez krawędź i ściekło mu na oczy. Kilku balangowiczów podsunęło kubki, tańcząc w miejscu, ale Bobby tylko patrzył na Deborę. W końcu upuścił kielich i uciekł na tylny korytarz.

- Skurwysyn! - zaklęła Deb i wpadła na zatłoczony parkiet.

Nie miałem innego wyboru niż ruszyć za nią w szaleńczo wyginające się stado.

Tańczący tworzyli zwartą masę, a Debora próbowała przebić się przez nich na korytarz, w którym zniknął Bobby Acosta. Jakaś szczupła dłoń z pomalowanymi na czarno paznokciami podstawiła mi kubek pod nos i wylała coś na moją koszulę. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że ręka należy do młodej kobiety w T-shircie z napisem „Team Edward”. Oblizła usta, patrząc mi w oczy, i wtedy ktoś wpadł na mnie z tyłu. Odwróciłem się w stronę siostry. Facet o twarzy tępego osiłka i w pelerynie narzuconej na nagi tors złapał Deborę i próbował rozchylić jej bluzkę. Zatrzymała się, stanęła pewnie na nogach i prawym hakiem trafiła go prosto w szczękę. Facet upadł. Kilka osób w pobliżu wzniosło radosne okrzyki i zaczęli napierać na nas mocniej. Reszta tłumu usłyszała ich i wszyscy zwrócili się w naszą stronę. Ani się obejrzelśmy, a już zmierzali ku nam, skandując rytmicznie: „Hai! Hai!

Hai!" i powoli spychając nas ku strzeżonym przez Lurcha drzwiom, którymi weszliśmy.

Debora szamotała się, a jej usta układały się w kolejne sylaby niecenzuralnych słów, to jednak nic nie dało – byliśmy powoli, ale nieuchronnie spychani z parkietu. Kiedy znaleźliśmy się blisko wyjścia, silne dłonie chwyciły nas od tyłu za ramiona, wyniosły z sali jak parę kociaków i postawiły na korytarzu.

Odwróciłem się do naszych wybawców i zobaczyłem dwóch ogromnych facetów, białego i czarnego, o potężnych mięśniach przebiegających pod eleganckimi koszulkami bez rękawów. Czarny miał długi kucyk związany czymś, co wyglądało jak naszyjnik z ludzkich zębów, a biały, ogolony na zero, wielki złoty kolczyk w kształcie czaszki w prawym uchu. Obaj wyglądali, jakby byli gotowi urwać nam głowy, gdyby tylko ktoś sobie tego zażyczył.

I wtedy wszedł między nich facet, który mógł im podsunąć taki właśnie pomysł. Jeśli odźwierny był Lurchem, on był Gomezem Addamsem we własnej osobie: po czterdziestce, ciemnowłosa, z cienkim wąsikiem, w prążkowanej garniturze z krwistoczerwoną różą wpiętą w klapę. Cały Gomez, tyle że mocno rozgniewany.

- Nie macie prawa tu przychodzić! - wrzasnął, przekrzykując hałaśliwą muzykę i wymierzając palec w Deborę. - To jest nękanie! Podam was do sądu!

Zerknął na mnie, odwrócił wzrok i spojrzał na mnie znowu. Gdy nasze oczy się spotkały, w zatęchłą duchotę klubu wdarł się chłodny podmuch i usłyszałem słabe błoniaste sapnięcie – to Pasażer wyszeptał ostrzeżenie. W powietrzu między mną a nieznanym uformował się czarny jaszczurczy kształt i mały kawałek układanki spoczął na swoim miejscu. Przypomniałem sobie, skąd znam klub Fang – jego nazwa była w mojej niedawno zniszczonej teczce z potencjalnymi towarzyszami zabawy – i już wiedziałem, kim jest ten drapieżca.

- George Kukarov, jak sądzę – powiedziałem. Debora spojrzała na mnie z zaskoczeniem, ale to nie miało znaczenia; liczył się tylko fakt, że spotkali się dwaj Mroczni Pasażerowie i wymieniali syczące ostrzeżenia.

- Coś ty, kurwa, za jeden? - spytał Kukarov.

- Przeszedłem z nią - odparłem, a choć mój głos brzmiał łagodnie, przekazywał wiadomość, którą mógł usłyszeć tylko drugi drapieżca: „Zostaw ją, bo będziesz miał ze mną do czynienia”.

Kukarov wytrzymał moje spojrzenie, a kiedy już rozlegał się odległy, nie-całkiem-słyszalny ryk ukrytych potworów, Deb krzyknęła:

- Powiedz palantowi, żeby zabrał ode mnie te łapska! Jestem z policji!

Czar przysł, bo Kukarov spojrzął na Deborę i powiedział:

- Nie macie prawa tu być. To prywatny klub, a wy nie jesteście zaproszeni! - wrzasnął, lecz tylko dla efektu.

- Mam powód przypuszczać, że w tym lokalu popełniono przestępstwo! - Debora dorównała mu pod względem decybeli i przewyższyła go, jeśli chodzi o ładunek jadu.

- Macie uzasadnione podejrzenie? - warknął Kukarov i Debora przygryzła wargę. - Bo jeśli nie, moi adwokaci pożrą was żywcem!

Białego ochroniarza strasznie to rozśmieszyło, ale zgromiony wzrokiem przez szefa natychmiast spowaźniał i znów patrzył prosto przed siebie.

- A teraz won z mojego klubu! - Kukarov wskazał nam drzwi i dwaj goryle wystąpili naprzód.

Jeden chwycił za łokieć mnie, drugi Deborę i na wpół ponieśli nas w głąb korytarza. Lurch przytrzymał otwarte drzwi. Udało nam się uniknąć upadku na głowę, ale ledwo, ledwo.

- I nie pokazujcie się więcej w moim klubie! - krzyknął Kukarov, a Lurch uśmiechnął się promiennie i z hukiem zamknął drzwi.

- No i co? - powiedziała Debora. - Wychodzi na to, że się myliłeś.

Spojrzałem na nią z autentyczną troską, pewien, że w czasie całej tej szarpaniny musiała uderzyć się w głowę. Przecież właśnie zlekceważono i ją samą, i jej policyjną odznakę, a ona stała na chodniku i otrzępywała się, jakby nic się nie stało. Byłem tak osłupiały, że w pierwszej chwili jej słowa do mnie nie dotarły. A kiedy wreszcie dotarły, nie dostrzegłem w nich sensu.

- Myliłem się? Jak to?

- Jeśli to fałszywy trop - odparła - czemu facet kazał swoim goryłom wyrzucić nas na zbity pysk?

- No cóż - zacząłem.

- Cholera jasna, Dexter! - przerwała mi. - Tam w środku coś się dzieje!

- Niewątpliwie - przyznałem i Deb rąbnęła mnie w ramię. Miło było widzieć, że wraca do formy, ale z drugiej strony, to naprawdę bolało.

- Mówię serio - oświadczyła. - Albo ten żeton wpadł tam przez przypadek... co jest bez sensu... albo... - zawiesiła głos.

Wiedziałem, co jej chodzi po głowie. Zdecydowanie było tu jakieś drugie „albo”, tylko jakie? Czekałem, aż Debora dokończy myśl, a gdy tego nie zrobiła, wyręczyłem ją.

- Albo ktoś w to zamieszany chce, żebyśmy przyjrzeni się temu, co się dzieje, ale tak, żeby nikt inny się o tym nie dowiedział.

- No właśnie. - Odwróciła się i wbiła wzrok w lśniące czarne drzwi. Nawet nie drgnęły. - Co znaczy - dodała w zamyśleniu - że musisz tam wrócić.

Otworzyłem usta, ale nie wyszło z nich nic oprócz powietrza.

- Słucham? - powiedziałem, przyznając, dość cienkim głosem. Deb złapała mnie za ramiona i potrząsnęła.

- Wejdiesz do tego klubu - postanowiła - i sprawdzisz, co tam ukrywają.

Wyrwałem się z jej uścisku.

- Ci dwaj goryle mnie zabiją - odparłem. - Szczerze mówiąc, wystarczyłoby do tego jeden z nich.

- Dlatego wejdiesz tam później - oznajmiła takim tonem, jakby przedstawiała rozsądną propozycję. - Po zamknięciu klubu.

- Super - mruknąłem. - Więc nie skończy się na tym, że wkroczę na teren prywatny i dostanę po pysku. Dojdzie jeszcze włamanie i będą mnie mogli zastrzelić. Znakomity pomysł, Debora.

- Dexter - powiedziała i spojrzała na mnie z przejęciem, jakiego dawno u niej nie widziałem. - Samantha Aldovar jest w środku. Ja to wiem.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Ale wiem - upierała się. - Czuję to. Cholera jasna, myślisz, że ty jeden masz wewnętrzny głos? Samantha Aldovar jest tam w środku, a czas ucieka. Jeśli się wycofamy, zabiją ją i zjedzą. A jeśli zaczniemy załatwiać wszystko właściwymi kanałami, zanim ściągniemy antyterrorystów, ona zniknie i żywej jej nie znajdziemy.

Ja wiem, że ona tu jest, Dex. Mam przeczucie. Nigdy nie byłam niczego bardziej pewna.

Bardzo to wszystko było frapujące, ale pomijając drobne luki w argumentacji – na przykład, skąd to wiedziała – jej pomysł miał jedną zasadniczą wadę.

– Deb – zacząłem. – Jeśli jesteś taka pewna, czemu nie zrobisz tego, jak należy, i nie zdobędziesz nakazu rewizji? Dlaczego muszę to załatwić ja?

– Nie dostanę nakazu na czas, bo nie ma uzasadnionego podejrzenia – wyjaśniła i ulżyło mi, bo z jej słów mogło wynikać, że jednak zachowała resztki rozsądku. – Ale tobie mogę zaufać. – Poklepała mnie po piersi i poczułem wilgoć. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że mam na koszuli dużą brązową plamę. Przypomniała mi się dziewczyna, która na parkiecie oblała mnie drinkiem.

– Zobacz. – Wskazałem plamę. – To ta sama substancja, którą znaleźliśmy w Everglades, szalwia z ekstazy. – I tak tylko, żeby pokazać, że skoro ona tak może, to ja też, powiedziałem: – Ja to wiem. A że to substancja nielegalna; z tą próbką będziesz miała uzasadnione podejrzenie.

Deb jednak już kręciła głową.

– Zdobyta niezgodnie z prawem – odparła. – A zanim przekonamy sędziego, dla Samantha będzie za późno. Trzeba się tam dostać. To jedyne wyjście, Dexter.

– W takim razie ty to zrób.

– Nie mogę. Gdyby mnie złapali, straciłabym pracę, może nawet by mnie zamknęli. Tobie najwyżej wlepią grzywnę, w razie czego ja zapłacę.

– Nie, Deb – postawiłem się. – Nie zrobię tego.

– Musisz, Dex – nalegała.

– Nie – odparłem. – To wykluczone.

Kilka godzin później siedziałem w samochodzie Debory i obserwowałem wejście do klubu Fang. Z początku właściwie nie było czego oglądać. Ludzie wychodzili w kilkusobowych grupkach i albo oddalali się ulicą, albo wsiadali do samochodów i odjeżdżali. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek zmienił się w nietoperza albo odleciał na miotle. Nikt nas nie widział, bo Debora postawiła samochód w ciemnym miejscu po drugiej stronie ulicy, w cieniu furgonu dostawczego zaparkowanego przednimi kołami na chodniku. Niewiele miała do powiedzenia, a ja byłem zbyt poirytowany, żeby wdawać się w luźne pogawędki.

To było śledztwo Debory, przeczucie Debory, ale to ja przygotowywałem się, żeby zrobić z siebie głupka. W dodatku wcale nie podzielałem jej przeczucia, ale ponieważ byłem jej bratem – wprawdzie adoptowanym – nie mogłem odmówić. Nie proszę o sprawiedliwość; aż tak naiwny nie jestem. Ale czy w tym wszystkim nie powinno być odrobiny sensu? Żyję swoim życiem, ciężko pracuję nad tym, by wtopić się w otoczenie, przestrzegać reguł i być fajnym gościem – a mimo to, kiedy przychodzi czas, by cygaro eksplodowało, jakoś zawsze to ja trzymam je w ustach.

Nie chciałem jednak dłużej się opierać. Gdybym odmówił włamania się do klubu, zrobiłaby to Debora i – jako zaprzysiężona funkcjonariuszka policji – w razie wpadki mogłaby trafić do więzienia, podczas gdy ja dostałbym co najwyżej prace społeczne: sprzątnięcie parku albo prowadzenie zajęć z szydełkowania dla dzieci z rodzin patologicznych. A wspomnienie pobytu Deb na oddziale intensywnej terapii z raną od noża było zbyt świeże, bym pozwolił jej podjąć jakiegokolwiek ryzyko – co niewątpliwie uwzględniła w swoich rachubach. Dlatego to Dexter miał wleźć do środka przez okno, koniec, kropka.

Tuż przed świtem szyld nad wejściem zgasł, w tej samej chwili z klubu wyszła duża grupa ludzi i przez następne pół godziny nie działo się nic. Wkrótce niebo się rozjaśniło i gdzieś rozcwierkał się ptak. Po Ocean Drive przebiegł pierwszy miłośnik joggingu, obok nas

przetoczył się samochód dostawczy. Wreszcie czarne drzwi otworzyły się na oścież i wyszedł Lurch, a za nim dwaj goryle, Bobby Acosta i dwa inne sługusy, których wcześniej nie zauważyłem. Kilka minut później wyłonił się Kukarov we własnej osobie, zamknął drzwi na klucz i wsiadł do zaparkowanego kawałek dalej jaguara. Samochód zapalił od razu, wbrew wszystkiemu, co słyszałem o jaguarach, i Kukarov odjechał ku wschodzącemu słońcu, Morticii i spokojnemu dniowi odpoczynku w swojej krypcie.

Spojrzałem na Deborę, ale pokręciła głową, więc jeszcze trochę poczekałem. Jaskrawopomarańczowy palec światła wysunął się na ocean i nastał nowy dzień. Trzej mówiący po niemiecku młodzi ludzie w skąpych kostiumach kąpielowych przeszli obok i skierowali się na plażę. Kontemplowałem wschodzące słońce i w przypiływie zrodzonego wraz ze świtem optymizmu stwierdziłem, że jest jedna szansa na trzy, że nie będzie to mój ostatni dzień na tym świecie.

- No dobra - powiedziała wreszcie Debora, a gdy spojrzałem na nią, wyjaśniła: - Już czas.

Spojrzałem na klub. Nie uważałem, że to już czas - czas spać może i tak, ale nie czas na to, by zakradać się do jaskini smoka w świetle dnia. Dexter potrzebuje cieni, mroku, pełgającego blasku księżycy, a nie pogodnego poranka w Ciasteczkowej Stolicy Zachodniego Świata. Ale jak zwykle nie dano mi wyboru.

- W środku może ktoś być. Strażnik czy ktoś taki - ostrzegła Deb. - Dlatego uważaj.

Naprawdę nie miałem ochoty zniżać się do komentowania tego rodzaju uwag, więc tylko westchnąłem i próbowałem przywołać ciemność, żeby się przygotować.

- Masz komórkę, prawda? - ciągnęła Deb. - Jeśli będą kłopoty albo jeśli zobaczysz Samanthę i będzie... no wiesz, pod strażą, zadzwoń pod 911 i uciekaj. To powinna być prosta sprawa.

- Nie taka prosta jak siedzenie w samochodzie - burknąłem i przyznam, że byłem naprawdę zły. Że też Debora akurat teraz musiała się rozgadać. Jak człowiek ma wezwać swojego Pasażera, kiedy wszystkim wokół się zbiera na pogawędkę?

- Dobrze, już dobrze - powiedziała. - Uważaj na siebie, to wszystko. W porządku?

Było oczywiste, że ta gadanina sama z siebie się nie skończy, więc położyłem rękę na drzwiach i odparłem:

- Na pewno nic mi nie będzie. Co może mi się stać? Przecież tylko włamuję się do gniazda wampirów i kanibali, którzy porwali i zamordowali kilka osób.

- Boże, Dexter - jęknęła Debora, ale ja nie miałem dla niej odrobiny litości.

- W końcu mam komórkę - ciągnąłem. - Jeśli mnie złapią, zagrozę im, że wyślę esemesa.

- Daj już spokój - mruknęła.

Pchnąłem drzwi samochodu i rzuciłem do niej:

- Otwórz bagażnik.

Zamrugnęła.

- Co?

- Otwórz bagażnik - powtórzyłem.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale ja już wysiadłem i ruszyłem w stronę bagażnika. Kiedy szcęknął zamek, podniosłem klapę, znalazłem łyżkę do opon i schowałem ją do kieszeni. Naciągnąłem koszulę na wystającą rączkę, zamknąłem bagażnik i podszedłem do okna od strony kierowcy. Debora opuściła szybę.

- Żegnaj, siostrzyczko - rzekłem. - Powiedz matuli, że umarłem jak bohater.

- Dexter, na litość boską - mruknęła. Przeszedłem przez ulicę, a ona została sama, mamrocząc pod nosem podszyte niepokojem przekleństwa.

Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że pójdzie mi tak łatwo, jak liczyła Debora. Dostać się do środka to żaden problem dla kogoś o moich skromnych umiejętnościach - oddając się mojemu hobby, włamałem się do wielu budynków, w tym takich, które robiły dużo większe wrażenie od tego, a większość z nich zamieszkiwały prawdziwe potwory, nie to, co ci przebierańcy z ich operowymi pelerynami i sztucznymi zębami. W świetle porannego słońca, które wlewało się na South Beach, trudno było traktować ich szczeniackie zabawy poważnie.

Zaskakująco trudno było też nawiązać łączność z Mrocznym Pasażerem. A naprawdę potrzebowałem cichego, instruującego głosu i niewidzialnej peleryny wewnętrznej ciemności, którą tylko Pasażer

mógł mnie okryć. Niestety, wyglądało na to, że mimo przelotnego dreszczu zaniepokojenia wcześniej w klubie jeszcze nie przestał się dąsać. Zatrzymałem się po drugiej stronie ulicy, zamknąłem oczy, położyłem dłoń na słupie telefonicznym i pomyślałem: Halo? Jest tam kto? Ktoś był w domu, ale nadal nie miał ochoty na rozmowę; poczułem jedwabisty szelest skrzydeł, jakby Pasażer zakładał nogę na nogę i czekał, aż wydarzy się coś ciekawego. No, przestań, pomyślałem. Wciąż nic.

Otworzyłem oczy. Ocean Drive przejechała ciężarówka z przesadnie podgłośnionym radiem, w którym leciała salsa. Ale była to jedyna muzyka, jaką słyszałem. Najwyraźniej będę musiał poradzić sobie sam.

Dobrze więc, trzeba być twardym i tak dalej. Schowałem ręce do kieszeni i zacząłem przechadzać się wokół budynku jak ktoś, komu nigdzie się nie spieszy i chce się tylko pogapić. O jeny, patrzcie państwo, palmy. Takich u nas w Iowa nie uświadczysz. Rewelacja.

Przespacerowałem się dookoła budynku i dokładnie go obejrzałem, choć z pozoru wyglądało to tak, jakbym tylko sobie chodził i wybałuszał gały. Wydawało się, że nikt nie zwracał na mnie uwagi na tyle, by zachwycić się tym, jak wspaniale udaję niewiniątko, ale nigdy nie zaszkodzi być skrupulatnym, więc na pięć minut przeistoczyłem się w turystę. Budynek zajmował całą przecznicę i obszedłem go ze wszystkich stron. Słaby punkt był oczywisty: w krótkim, wąskim zaułku na tyłach stał kontener na śmieci. Zasłaniał drzwi, które musiały prowadzić do kuchni klubu, tak że aby je zauważyć, trzeba było stanąć u wylotu zaułka.

Wyjąłem prawą rękę z kieszeni i „niechcący” rozrzuciłem po chodniku pół garści monet. Przykucnąłem, żeby je pozbierać, i jednocześnie rozejrzałem się na wszystkie strony. Jeśli na którymś z dachów nie siedział ktoś z lornetką, nie byłem obserwowany. Zostawiłem trzydzieści siedem centów na chodniku i szybko wsunąłem się w zaułek.

W wąskim zaułku było dużo ciemniej niż na ulicy, ale to nie zachęciło Pasażera do nawiązania ze mną rozmowy, więc podbiegłem do kontenera całkiem sam. Szybko dotarłem do tylnych drzwi i obejrzałem je. Były zamknięte na dwa zamki, co nie wyglądało zachęcająco. Mógłbym je otworzyć, gdybym miał trochę czasu i odpowiednie narzędzia, ale nie miałem ani tego, ani tego, a łyżka

do opon nie wystarczy. Tym samym drzwi odpadały. Będę musiał dostać się do środka innym, mniej reprezentacyjnym wejściem.

Spojrzałem w górę; bezpośrednio nad drzwiami był rząd okien ciągnący się aż do ulicy. Gdybym wszedł na kontener, drugie okno z lewej miałbym na wyciągnięcie ręki; wystarczyłoby podciągnąć się na parapet i wśliznąć do środka. Żaden kłopot. Dexter jest zręczny i o ile tylko uda się to okno otworzyć, sprawa będzie prosta.

Kontener miał dwie klapy. Jedna z nich była otwarta, więc położyłem obie dłonie na tej zamkniętej, a wtedy coś wyprysnęło z otworu z przeraźliwym piskiem i przeleciało mi koło ucha. Byłem dosłownie sparaliżowany z przerażenia, dopóki nie rozpoznałem w tym czymś kota. Choć wychudzony, brudny i sponiewierany, wylądował półtora metra dalej, wygiął grzbiet w łuk i plunął na mnie jak wzorcowy kocur czarownicy. Patrzyłem na niego i przez moment miałem wrażenie, że w klubie znów zaczęła grać muzyka, ale uświadomiłem sobie, że to łomotanie mojego serca. Kot odwrócił się i wymaszerował z zaułka, ja oparłem się o kontener i odetchnąłem głęboko, a Pasażer poruszył się, lecz tylko na tyle, by obdarzyć mnie chichotem mówiącym: „Dobrze ci tak”.

Minęła chwila, zanim doszedłem do siebie i tak na wszelki wypadek zajrzałem do kontenera. Wyglądało na to, że nie ma w nim już nic oprócz śmieci, co uznałem za bardzo sprzyjającą okoliczność. Dźwignąłem się na zamkniętą klapę, ponownie zerknąłem ku wylotowi zaułka, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy, po czym wyciągnąłem ręce do góry, dotknąłem szyby i pchnąłem okno. Leciuteńko zagrzechotało, więc nie było zabite gwoździami ani przyklejone do framugi wskutek niefachowego malowania ramy.

Nie widziałem górnej części okna, ale z tego, co mogłem dostrzec, na framudze nie było żadnego czujnika systemu alarmowego - dobra, acz niezaskakująca nowina. Większość właścicieli lokali dla oszczędności wmawia sobie, że włamanie może nastąpić tylko na parterze. Miło wiedzieć, że nawet wampiry potrafią być gospodarne.

Sięgnąłem do kieszeni po łyżkę do opon i o mało jej nie upuściłem. Gdyby spadła na pokrywę kontenera, narobiłaby wystarczającego hałasu, by obudzić całą dzielnicę. Poczuję, że moje dłonie są śliskie od potu. To było nowe doświadczenie; do tej pory w takich sytuacjach

byłem zimny jak lód i spokojny, ale dąsy Pasażera i lot zdziczałego kota wzbudziły we mnie pewną nerwowość. Pot można jeszcze zrozumieć – w końcu byłem w Miami. Ale pot strachu? Na skórze Dextera Dzielnego i Demonicznego, Największego Luzaka Wszech Czasów? To nie był dobry znak, więc zrobiłem przerwę, żeby odetchnąć głęboko, zanim uniosłem rękę i wsunąłem łyżkę do opon między okno a dolną część framugi.

Pociągnąłem rączkę łyżki w dół, najpierw delikatnie, a potem, kiedy okno nie ustępowało, z większą siłą. Nie chciałem naciskać zbyt mocno, bo framuga mogłaby nie wytrzymać i wyleciałaby cała szyba, a wtedy hałas byłby taki, jakbym rzucił tuzin łyżek do opon na pokrywę kontenera. Ciągnąłem rączkę jakieś dziesięć sekund i gdy już myślałem, że będę musiał poszukać innego rozwiązania, rozległo się ciche „pyk” i okno podsunęło się do góry. Przez chwilę trwałem w bezruchu, nasłuchując kroków, okrzyków albo wycia alarmu. Nic. Podciągnąłem się, wślizgnąłem do środka przez otwarte okno i zamknąłem je za sobą.

Wstałem i się rozejrzałem. Byłem na korytarzu, z lewej strony kończącym się przy ulicy, a z prawej zakręcającym pod kątem prostym. Podszedłem do jedynych drzwi. Nie miały klamki, więc pchnąłem je lekko. Otworzyły się. W pomieszczeniu panowała ciemność, ale zapach lizolu i moczu wskazywał, że to ubikacja. Wszedłem do środka, zamknąłem drzwi, wymacałem włącznik światła na ścianie i pstryknąłem. Rzeczywiście była to ubikacja, z umywalką, sedesem i szafką wbudowaną w ścianę. Jako że jestem skrupulatny, zajrzałem do szafki, ale nie znalazłem w niej nic bardziej złowieszczonego od papieru toaletowego. W pomieszczeniu nie było żadnego miejsca, gdzie można by ukryć człowieka, żywego bądź martwego, zgasilem więc światło i wyszedłem z powrotem na korytarz.

Stąpając cicho jak kot, dotarłem do zakrętu korytarza. Tam przystanąłem i ostrożnie wyjrzałem za róg. Prostopadły korytarz był pusty, oświetlony pojedynczą lampą nad drzwiami w połowie jego długości. Oprócz tych, było jeszcze dwoje innych drzwi, a na przeciwległym końcu dostrzegłem coś, co wyglądało jak szczyt schodów.

Podszedłem do pierwszych drzwi, powoli przekręciłem klamkę, a gdy ustąpiły, otworzyłem je i wszedłem do środka. Tak jak poprzednio, zamknąłem drzwi za sobą i wymacałem na ścianie włącznik światła.

Światło było słabsze niż na korytarzu, ale wystarczająco mocne, by ukazać mi pokój do imprez prywatnych. Na ścianie z lewej strony wisiał telewizor płaskoekranowy, po prawej stała niska kanapa, a przed nią stolik. Za kanapą był kontuar przykryty blatem z zielonkawego marmuru, pod którym skrywała się mała lodówka. Tylną ścianę zasłaniała czerwona aksamitna kotara.

Podszedłem do kontuaru. Stało tam kilka butelek i, zamiast szklanek, naczynia, które wyglądały jak zlewki laboratoryjne. Podniosłem jedno z nich; rzeczywiście, była to zlewka z pyreksu z wybitym złotymi literami napisem „Pierwszy Narodowy Bank Krwi”.

Odchyliłem aksamitną zasłonę. Były za nią drzwi. Otworzyłem je i zajrzałem do środka. Zobaczyłem mały schowek, pusty, nie licząc przyborów do sprzątania: szczotki, mopa, wiadra i worka szmat. Zamknąłem drzwi, opuściłem kotarę i wyszedłem na korytarz.

Drzwi pod lampą okazały się zamknięte na klucz, więc zostawiłem je na później i ruszyłem do ostatnich, po mojej lewej. Te były otwarte. Zajrzałem do środka i zobaczyłem drugi pokój do imprez prywatnych, taki sam jak pierwszy.

Wróciłem do zamkniętych drzwi. Rozsądek podpowiadał mi, że wszystko, co godne zobaczenia, trzyma się pod kluczem, ale mówił mi również, że zamek na pewno jest solidny i nie dam rady otworzyć go tak, by nie zostawić wyraźnych śladów mojej obecności, a może nawet uruchomić alarmu. Czy chciałem pozostać niewidoczny, czy też po prostu przyjąć, że jeśli znajdę Samanthę Aldovar, nie będzie miało znaczenia, kto się dowie, że tu byłem? Nie omówiłem tego z Deborą, a teraz ta kwestia stała się bardzo ważna. Po krótkiej chwili nad wyraz intensywnego namysłu stwierdziłem, że znalazłem się tu po to, by odszukać Samanthę, muszę więc zajrzeć wszędzie – zwłaszcza w miejsca, które chciano przed wszystkimi ukryć, na przykład zamykając drzwi.

I tak oto, uzbroiwszy się w męstwo, przystąpiłem do wyłamywania drzwi łyżką do opon. Próbowałem robić to cicho i zostawić możliwie najmniej śladów, ale ograniczanie hałasu wychodziło mi trochę lepiej niż minimalizowanie uszkodzeń drewnianej framugi. Kiedy drzwi wreszcie ustąpiły, wyglądały jak po ataku wściekłych borsuków. Były jednak otwarte, więc wszedłem do środka.

Jeśli chodzi o pilnie strzeżone tajemnice, ten pokój sprawiłby wielki zawód każdemu, kto nie jest księgowym. Od razu poznałem, że znalazłem się w gabinecie kierownika klubu. Były tam duże drewniane biurko, komputer i szafka z czterema szufladami. Komputer był włączony, usiadłem więc za biurkiem i przejrzałem zawartość twardego dysku. Znalazłem kilka plików Quicken wskazujących, że klub osiąga niezłe zyski i trochę dokumentów: listy członków klubu i kandydatów do członkostwa. Był też spory plik o nazwie Kowen. wpd, chroniony programem zabezpieczającym tak starym, że mogłbym się z nim uporać w dwie minuty. Nie miałem jednak dwóch minut, więc tylko wpadłem w podziw nad naiwnością właściciela i przeglądałem dalej.

Nie trafiłem na nic ciekawego, choćby plik o nazwie Samantha.jpg czy podobnej, który mógłby mi powiedzieć, gdzie jest dziewczyna. Przetrzęsnałem szuflady biurka i szafki, ale tam też nic nie znalazłem.

Wyglądało na to, że zniszczyłem futrynę bez powodu. Nie miałem w związku z tym wyrzutów sumienia, ale straciłem dużo czasu i musiałem zacząć myśleć o tym, jak się stąd wydostać; kto wie, czy lada chwila nie przyjdzie ekipa sprzątająca albo czy nie wróci sam Kukarov, by podziwiać futrynę drzwi swojego gabinetu.

Wyszedłem na korytarz i ruszyłem w stronę schodów. Byłem pewien, że nie ma po co przeszukiwać ogólnodostępnych części klubu. Gdyby wszyscy, którzy tu przychodzili, wiedzieli o kanibalizmie, za nic w świecie nie udałoby się zachować tego w tajemnicy. Jeśli zatem Samantha gdzieś tu jest, należało jej szukać w miejscu, do którego zwykli członkowie nie mieli wstępu.

Zszedłem schodami na dół i przemierzyłem parkiet taneczny, nie oglądając się za siebie. W głębi, za podwyższeniem, na którym stał Bobby ze swoim kielichem, był krótki korytarz. Prowadził do kuchni i tylnych drzwi, które podziwiałem z zewnątrz. Nie była to kuchnia wysokiej klasy, ot, ciasna kuchenka z mikrofalówką, zlewem i suszarką, na której dostrzegłem kilka garnków i kilka bardzo ładnych noży. Naprzeciwko zlewu znajdowały się metalowe drzwi, które wyglądały, jakby prowadziły do chłodni.

Tylko po to, żeby dochować należytej staranności, podszedłem do nich. Przez małe okienko z grubego szkła sączyło się słabe światło. Zdziwiłem się, bo zawsze mi się wydawało, że w tego typu

pomieszczeniach po zamknięciu drzwi światło się gasi. Przystawiłem nos do szyby i zajrzałem do środka.

Chłodnia miała jakieś dwa metry szerokości i ponad dwa i pół metra długości. Wzdłuż bocznych ścian ciągnęły się rzędy półek, większość zastawiona kilkilitrowymi słoikami, a pod tylną ścianą stało coś, czego na ogół nie ogląda się w chłodniach: stare łóżko polowe.

Co jeszcze dziwniejsze, łóżko było zajęte. Leżał na nim zawinięty w koc tłumok, który, jak mi się zdawało, był młodą kobietą. Miała spuszczoną głowę i nie ruszała się, ale gdy tak na nią patrzyłem, wolno podniosła wzrok jak ktoś, kto jest wyczerpany albo naćpany, i jej oczy spotkały się z moimi.

To była Samantha Aldovar.

Bez chwili namysłu złapałem za klamkę i pociągnąłem drzwi. Nie były zamknięte z zewnątrz, zauważyłem jednak, że nie da się ich otworzyć od środka.

- Samantha! - zawołałem. - Nic ci nie jest?

Posłała mi słaby uśmiech.

- Czuję się świetnie - odparła. - Już czas?

Nie miałem pojęcia, co to znaczy, więc nie odpowiedziałem.

- Przyszedłem cię uratować - wyjaśniłem. - Zabrać cię do domu, do rodziców.

- Po co? - spytała.

Uznałem, że rzeczywiście jest naćpana. To miało sens: przymulona narkotykami nie próbowała uciekać i nie trzeba było jej pilnować. Znaczyło to jednak, że będę ją musiał wynieść.

Rozejrzałem się za czymś, czym można by przyblokować drzwi, i dostrzegłem wielki rondel, który wisiał nad kuchenką. Zdjąłem go, wstawiłem między drzwi a framugę i wszedłem do chłodni.

Dwa kroki za progiem zorientowałem się, co jest w słojach na półkach.

Krew.

Słój za słojem, wszystkie wypełnione były litrami krwi. Przez bardzo długą chwilę patrzyłem na tę krew, a ona na mnie i nie mogłem się ruszyć. W końcu wziąłem głęboki wdech, wypuściłem powietrze i rzeczywistość wróciła. To tylko płyn, bezpiecznie schowany tam, gdzie nie mógł nikomu zrobić krzywdy, a teraz przede wszystkim należało

zabrać stąd Samanthę. Przeszedłem kilka ostatnich kroków dzielących mnie od polówki i spojrzałem na dziewczynę.

- Wstań - powiedziałem. - Wracamy do domu.

- Nie chcę - mruknęła.

- Wiem - przekonany, że to oczywisty przypadek syndromu sztokholmskiego, objąłem ją ramieniem i podniosłem z łóżka. Nie stawiała oporu. Zarzuciłem sobie jej rękę na szyję i ruszyliśmy w stronę drzwi i wolności.

- Moja torebka - powiedziała lekko bełkotliwym głosem. - Została na łóżku. - Kiwnęła głową w stronę polówki, zdjęła rękę z mojej szyi i przytrzymała się półki.

- Jasne - odparłem i wróciłem do łóżka. Nie zobaczyłem żadnej torebki, za to usłyszałem głośny brzęk. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że Samantha odtrąciła nogą wielki rondel i właśnie zamyka drzwi chłodni.

- Przestań! - zawołałem, co zabrzmiało jeszcze bardziej głupio, niż się wydaje.

Samantha najwyraźniej też tak sądziła, bo nie przestała. Zanim zdążyłem ją dopaść, zatrzasnęła drzwi, spojrzała na mnie przez szybę z wyrazem triumfu na twarzy i oznajmiła:

- Przecież mówiłam, że nie chcę wracać do domu.

W chłodni było zimno. To niby oczywiste, ale oczywistość ciepła nie daje, więc dygotałem, odkąd wyszedłem z szoku wywołanego zdradą Samantha. Było zimno, ciasne pomieszczenie wypełniały słoje z krwią i nie miałem jak się stąd wydostać, nawet za pomocą łyżki do opon. Próbowałem rozbić okienko w drzwiach, co pokazuje, jak mocno panika rzuca się na rozum. Szkło miało kilka centymetrów grubości i było wzmocnione drutem, więc nawet gdybym je rozbił, przez powstały otwór mógłbym co najwyżej wystawić nogę.

Oczywiście próbowałem zadzwonić z komórki do Debory, ale, co jeszcze bardziej oczywiste, w hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu o grubych metalowych ścianach nie było zasięgu. Wiedziałem, że są grube, bo gdy zrezygnowałem z prób wybicia szyby i wygiąłem łyżkę do opon, usiłując wyłamać drzwi, przez kilka minut w nie waliłem, co dało mniej więcej taki skutek, jakbym kręcił młynka kciukami. Łyżka do opon wygięła się jeszcze bardziej, słoje z krwią zdawały się napierać na mnie ze wszystkich stron - a Samantha tylko siedziała i się uśmiechała.

Dlaczego tak siedziała z tym swoim uśmiechem Mony Lisy, wyrażającym niezmaczone zadowolenie? Musiała wiedzieć, że wcześniej czy później - przy czym raczej wcześniej - zostanie zakąską, a mimo to, kiedy przybyłem w całkiem przyzwoitej zbroi na białym rumaku, zamknęła drzwi z kopa i uwięziła nas oboje. Czy to przez narkotyki, które jej najwyraźniej podawali? A może łudziła się, że nie zrobią jej tego, co już zrobili jej najlepszej przyjaciółce, Tyler Spanos?

W miarę, jak pragnienie walenia w ściany przechodziło w dygotanie, myślałem o niej coraz intensywniej. Zupełnie nie zwracała uwagi na moje żalosne próby wydostania się z wielkiej stalowej skrzyni przy użyciu nędznego kawałka żelaza - w tym przypadku powinno się go nazwać „łyżeczką do opon” - i tylko uśmiechała się z półzamkniętymi oczami, nawet gdy dałem za wygraną, usiadłem obok niej i pozwoliłem, by dobrało się do mnie zimno.

Ten uśmiech zaczynał mi działać na nerwy; uśmiech kogoś, kto nałykał się prochów po zawarciu udanej transakcji na rynku nieruchomości: wyrażający zadowolenie z siebie, wszystkiego, czego się dokonało, i świata takiego, jakim się go sobie poukładało. Prawdę mówiąc, zacząłem żałować, że nie zjedli Samantha najpierw.

Siedziałem tak koło niej, dygotałem i na zmianę niepokoiłem się i nieprzychylnie myślałem o Samancie. Jakby i bez tego nie dość narozrabiała, to nawet nie zaproponowała, że użyczy mi koca. Próbowałem ją ignorować, ale trudno o to w małym i bardzo zimnym pomieszczeniu, kiedy siedzi się tuż obok kogoś, kogo chce się nie zauważać.

Spojrzałem na słoje z krwią. Wciąż trochę mnie mdliło na ich widok, lecz przynajmniej pozwalały oderwać myśli od zdrady Samantha. Tyle tego lepkiego paskudztwa... Odwróciłem wzrok i wreszcie znalazłem kawałek metalowej ściany, na którym nie było ani krwi, ani Samantha.

Byłem ciekaw, co robi Debora. To samolubne z mojej strony, wiem, ale miałem nadzieję, że zaczęła się martwić. Nie było mnie trochę za długo i pewnie siedziała w samochodzie, zgrzytała zębami, bębniła palcami o kierownicę, zerkła na zegarek i zastanawiała się, czy już pora, żeby coś zrobić, a jeśli tak, czym to coś miałoby być. Trochę mnie to pocieszyło - nie myśl, że Deb coś robi, tylko myśl, że się zadręcza. Dobrze jej tak. Miałem nadzieję, że przez to zgrzytanie zębami będzie musiała pójść do dentysty. Może zapisze się do doktora Lonoffa.

Bez żadnego powodu poza tym, że byłem zły i mi się nudziło, wyjąłem telefon i jeszcze raz spróbowałem do niej zadzwonić. Znowu nic z tego.

- Tu nie będzie działać - oznajmiła Samantha ospałym, szczęśliwym głosem.

- Wiem - odparłem.

- To przestań próbować - powiedziała.

Ludzkie uczucia stanowiły dla mnie nowość, ale byłem prawie pewien, że emocje, które ta dziewczyna we mnie budziła, to irytacja pomieszana z nienawiścią.

- Tak zrobiłaś ty? - spytałem. - Poddadaś się?

Wolno pokręciła głową i wydała z siebie coś w rodzaju niskiego dwusylabowego chichotu.

- Gdzie tam - prychnęła. - Nigdy w życiu.

- Więc dlaczego to robisz, na litość boską? Czemu mnie tu uwięziłaś, a teraz siedzisz i się uśmiechasz?

Odwróciła się do mnie i miałam wrażenie, że po raz pierwszy dokładnie mi się przyjrzała.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

Nie widziałem powodu, żeby jej tego nie powiedzieć - inna sprawa, że nie widziałem też powodu, by nie dać jej w twarz, ale to mogło poczekać.

- Dexter - odparłem. - Dexter Morgan.

- O rany - powiedziała z następną sylabą tego irytującego śmiechu. - Dziwnie.

- Jak cholera - przyznałem.

- Mniejsza z tym - skwitowała. - Masz w życiu coś, czego naprawdę bardzo, bardzo pragniesz?

- Chciałbym stąd wyjść - odparłem.

Pokręciła głową.

- Chodzi mi o coś, co jest, no wiesz... tak jakby, zupełnie, zupełnie, hm... zakazane. I bardzo, bardzo złe. Ale chcesz tego mimo wszystko, tak bardzo, że to jest jak... to znaczy, nawet nie możesz o tym z nikim porozmawiać, ale czasem o niczym innym nie możesz myśleć.

Pomyślałem o Mrocznym Pasażerze, a on poruszył się lekko, jakby chciał mi przypomnieć, że gdybym tylko go posłuchał, można było tego wszystkiego uniknąć.

- Nie, nie mam niczego takiego - powiedziałem.

Długo na mnie patrzyła, z rozchyłonymi ustami, ale wciąż uśmiechnięta.

- W porządku - stwierdziła, jakby wiedziała, że kłamię, ale nie miało to dla niej znaczenia. - Ale ja mam. To znaczy coś, czego pragnę.

- Marzenia wspaniała rzecz - rzekłem. - Ale czy nie łatwiej byłoby je spełnić, gdybyśmy się stąd wydostali?

Znów pokręciła głową.

- Hm, nie - odpowiedziała. - Właśnie o to chodzi. Muszę tu być. Bo inaczej, rozumiesz, nie będę mogła... - Przygryzła wargę jakoś tak dziwnie i jeszcze raz pokręciła głową.

- Czego? - Im bardziej się krygowała, tym silniejszą czułem pokusę, żeby porachować jej zęby. - Czego nie będziesz mogła?

- Trudno o tym mówić, nawet teraz - powiedziała. - To tak, jakby... - Zmarszczyła brwi, co było miłą odmianą. - Nie masz jakiegoś sekretu, który, no wiesz... czegoś, co jest silniejsze od ciebie, ale czego się tak jakby wstydzisz?

- Jasne - odparłem. - Oglądałem całą serię *Idola*.

- To się nie liczy. - Machnęła lekceważąco ręką i skrzywiła się, jakby ugryzła cytrynę. - To robią wszyscy. Mnie chodzi o coś, co... Wiesz, ludzie chcą się dostosować do otoczenia, być tacy jak wszyscy. I jeśli masz w sobie coś złego, dziwnego, coś, co sprawia, że przez to nigdy nie będziesz taki jak inni, ale dalej tego pragniesz, to boli, ale jednocześnie powoduje, że tak jakby bardziej się pilnujesz. Że jesteś ostrożniejszy w tych swoich próbach dostosowania się do otoczenia. Co być może ma większe znaczenie dla kogoś w moim wieku.

Spojrzałem na nią z lekkim zaskoczeniem. Zapomniałem, że ma osiemnaście lat i podobno jest bystra. Może narkotyki, które jej podali, przestawały działać, a może po prostu cieszyła się, że po raz pierwszy od dłuższego czasu ma okazję z kimś pogadać. Cokolwiek było przyczyną, wreszcie pokazała odrobinę głębi, co przynajmniej trochę ulżyło mojej ciężkiej niedoli.

- Nieprawda - zaproponowałem. - To jest ważne przez całe życie.

- Ale wtedy wydaje się dużo bardziej bolesne - upierała się. - Kiedy człowiek jest młody i ma wrażenie, że wokół trwa nieustająca impreza, na którą go nie zaproszono. - Odwróciła głowę i spojrzała na nagą stalową ścianę.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziałem. - Popatrzyła na mnie zachęcająco. - Kiedy byłem w twoim wieku, też byłem inny. Musiałem bardzo się starać, żeby udawać, że jestem taki jak wszyscy.

- Tylko tak mówisz - odparła.

- Nie - zapewniłem. - Taka jest prawda. Musiałem się nauczyć zachowywać jak moi fajniejsi koledzy, udawać twardziela, ba, musiałem nawet nauczyć się śmiać.

- Co takiego? - spytała z kolejnym dwusylabowym chichotem. - Nie umiesz się śmiać?

- Teraz już tak - zapewniłem.

- Pokaż.

Przybrałem jedną z moich przeszczęśliwych min i wybuchnąłem serdecznym śmiechem, jakbym usłyszał dobry kawał.

- Nieźle - oceniła.

- Lata treningu - wyjawiałem skromnie. - Na początku brzmiało to fatalnie.

- No cóż, ja dopiero trenuję - wyznała. - I jest mi dużo trudniej niż komuś, kto musi tylko nauczyć się śmiać.

- To typowe dla nastolatków zapatrzenie w siebie - odparłem. - Myślisz, że tobie jest trudniej, bo to dotyczy ciebie. Ale prawda jest taka, że bycie człowiekiem to ciężka praca, zwłaszcza dla kogoś, kto czuje się, jakby nim nie był.

- Ja jestem - odezwała się cicho. - Tylko takim zupełnie innym.

- Rozumiem. - Przyznam, że zaczynałem być zaintrygowany. Kto by przypuszczał, że Samantha okaże się taką osobą? - I nie ma w tym nic złego. Z czasem może wyjdzie ci to na dobre.

- Już to widzę - prychnęła.

- Ale nie przekonasz się o tym - podjąłem - jeśli stąd nie wyjdiesz. Pozostanie tutaj to ostateczne rozwiązanie przejściowego problemu.

- Jakie to głębokie - powiedziała.

Znów zachowywała się nonszalancko, co wystawiało na próbę moje nowe, ludzkie nerwy. Już zaczynała wydawać się interesująca na tyle, że prawie ją polubiłem, obudziłem w sobie nawet autentyczne współczucie dla niej - a ona na powrót włożyła maskę rozkapryszonej nastolatki, której nikt nie rozumie. Trochę mnie to rozzłościło i ogarnęła mnie pokusa, żeby nią wstrząsnąć.

- Na litość boską - wypaliłem. - Czy ty nie rozumiesz, dlaczego tu jesteś? Ci ludzie cię upieką i zjedzą!

Odwróciła wzrok.

- Tak, wiem - rzekła cicho. - Tego właśnie chcę. - Spojrzała na mnie wielkimi wilgotnymi oczami. - To jest ten mój wielki sekret - wyznała.

Aż dziw bierze, jak wiele dźwięków słyszeć, kiedy człowiek ma wrażenie, że siedzi w zupełnej ciszy. Ja na przykład słyszałem łomotanie własnego serca i to, jak obok mnie Samantha bierze długi, powolny wdech. Oprócz tego był jeszcze metaliczny warkot małego wentylatora, który włączył się i wdmuchnął więcej zimnego powietrza do chłodni; usłyszałem nawet, jak coś smyrza w kawałku papieru pod łóżkiem polowym, na którym siedziałem, pewnie karaluch.

Ale nawet w tym ogłuszającym hałasie dźwiękiem, który przytłaczał wszystkie pozostałe, był wszechogarniający biały szum ostatnich słów Samanthy, kiedy tłukły się po małym pomieszczeniu, odbijały echem od ścian, aż po chwili w ogóle przestałem rozumieć nawet poszczególne sylaby i odwróciłem się, by na nią spojrzeć.

Siedziała nieruchomo, znów z tym swoim irytującym uśmiechem na twarzy, i patrzyła prosto przed siebie, nie tyle unikając kontaktu wzrokowego, ile po prostu czekając, co się teraz stanie. W końcu nie wytrzymałem.

- Przepraszam - zacząłem - kiedy powiedziałem, że oni cię zjedzą, a ty powiedziałaś, że właśnie tego chcesz... co, u licha, miałaś na myśli?

Milczała kilka sekund, ale przynajmniej jej uśmiech przygasł, a twarz ułożyła się w rozmarzoną, zadumaną minę.

- Gdy byłem jeszcze bardzo mała - rzekła wreszcie - mój ojciec ciągle wyjeżdżał, na jakieś konferencje czy gdzieś. I żeby mi to wynagrodzić, zawsze kiedy wracał, czytał mi różne historie. No wiesz, bajki. Gdy dochodził do momentu, w którym potwór albo czarownica kogoś pożerają, wtedy, no wiesz, zaczynał mlaskać i udawać, że zjada mi rękę albo nogę. A mnie... rozumiesz, byłem tylko dzieckiem... mnie się to podobało, i prosiłam: „Jeszcze raz, jeszcze raz”. On robił: „Mlask, mlask”, ja śmiałam się jak głupia i...

Zamilkła i odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

- Po jakimś czasie - podjęła trochę ciszej - kiedy byłem starsza... - pokręciła głową, włosy opadły jej z powrotem na czoło i znów

je odgarnęła - ...zrozumiałam, że to nie bajki mi się tak podobały, tylko... to uczucie, kiedy tata udawał, że chce mnie schrupać. I im więcej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej kręciła mnie myśl, że ktoś miałby mnie zjeść. Że jakaś czarownica czy, no wiesz, ktokolwiek, pomалу opiekałby moje ciało, odkrawał cienkie plastry, jadł mnie i... delectował się mną. Mną, moim smakiem i...

Odetchnęła głęboko i zadrżała, ale nie ze strachu.

- Wiesz, rozumiem, że to okres dojrzewania i tak dalej. Inne dziewczyny gadają tylko, że z tym czy z tamtym chłopakiem to by zrobiły to i to, i pozwoliłyby, żeby on robił z nimi, co chce... A mnie wcale nie bierze cały ten pisk, to porównywanie chłopaków... Bo tak naprawdę jedyne, o czym myślę, jedyne, czego chcę, to to, żeby ktoś mnie zjadł. - Zaczęła rytmicznie kiwać głową i jej głos stał się niski, chrapliwy. - Chcę być pieczona żywcem, chcę widzieć, jak ci ludzie mnie przeżuwiają, mówią: „Mniam, mniam” i wracają po dokładki, aż...

Znów zadrżała, ciaśniej opatulila ramiona kocem i objęła się wpeł, a ja szukałem czegoś lepszego do powiedzenia niż pytanie, czy nie powinna się wybrać do psychologa. Nie przyszło mi jednak do głowy nic oprócz ulubionego powiedzonka Debory.

- O cholera - powiedziałem do Samantha.

- Tak, wiem - odparła.

Wydawało się, że właściwie wszystko już zostało powiedziane, lecz po chwili przypomniałem sobie, że miasto Miami płaci mi za to, abym był dociekliwy, więc spytałem:

- A Tyler Spanos?

- Co z nią?

- Przyjaźniłyście się, chociaż z pozoru nie miałyście ze sobą nic wspólnego.

Skinęła głową i na jej twarz wrócił na poły rozmarzony uśmiech.

- Uhm. Nic oprócz tego - powiedziała.

- To był jej pomysł?

- O nie - odparła. - Ci ludzie są tu, no wiesz, od lat. - Wskazała ruchem głowy słoje pełne krwi i się uśmiechnęła. - Ale Tyler, wiesz, jest trochę zwariowana. - Wzruszyła ramionami i jej uśmiech stał się

szerszy. - To znaczy, była trochę zwariowana. I na jednej imprezie dla gotów poznała takiego gościa.

- Bobby'ego Acostę?

- Bobby, Vlad, wszystko jedno. Chciał jej zaimponować, rozumiesz, poderwać ją. Mówi więc: „Należę do takiej grupy, nie uwierzysz, co robimy. Zjadamy ludzi”. Ona mu na to: „Mnie też możesz”. On myślał, że źle go zrozumiała, więc tłumaczy: „Mówię serio, naprawdę ich zjadamy”. Wtedy Tyler mu powiedziała: „Ja też mówię serio, możesz zjeść mnie i moją przyjaciółkę”.

Samantha znów zadrzała i mocno objęła się w pół, lekko kołysząc się w przód i w tył.

- Chciałyśmy poszukać kogoś takiego. To znaczy, byliśmy na forach dyskusyjnych Yahoo i w ogóle, ale tam są głównie pierdoły i porno, a poza tym, jak można zaufać komuś, kogo poznaje się w sieci? A tu nagle pojawia się ten gość i od razu zagaja: „Zjadamy ludzi”. - Znów zadrzała, tym razem silniej. - Tyler przyszła do mnie i mówi: „Nie uwierzysz, co się stało w nocy”. Często mi opowiadała takie rzeczy, więc pytam: „Znowu?” A ona na to: „Nie, mówię serio”, i powiedziała mi o Vladzie i jego grupie...

Samantha zamknęła oczy i oblizwała usta.

- To było jak spełnienie moich marzeń. To znaczy, to było zbyt piękne. Z początku jej nie wierzyłam. Bo Tyler jest... była postrzelona i faceci to widzieli, i często wciskali jej kit, żeby, no wiesz, zaciągnąć ją do łóżka. Poza tym byłam pewna, że wzięła ekstazkę albo coś takiego, więc skąd mogła wiedzieć, czy gość mówił serio? Ale zabrała mnie na spotkanie z Vladem, on pokazał nam parę zdjęć i różnych rzeczy, no i stwierdziłam, że to jest to.

Spojrzała na mnie i odgarnęła włosy z czoła. Miała ładne włosy, w mysim kolorze, ale czyste i lśniące, i na pozór wyglądała jak normalna nastolatka opowiadająca życzliwemu dorosłemu, co ciekawego spotkało ją na lekcji francuskiego - do chwili, aż znów zaczęła mówić.

- Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia to zrobię - oznajmiła. - Że znajdę kogoś, kto mnie zje. Tylko myślałam, że to będzie później, no wiesz, po studiach albo... - Wzruszyła ramionami i pokręciła głową. - Ale facet był pod ręką i pomyślałyśmy sobie z Tyler, że po co czekać,

po co wydawać pieniądze rodziców na studia, skoro możemy mieć to, czego chcemy, bez nich, już teraz. Powiedziałyśmy więc Vladowi: „Dobra, wchodzimy w to”, a on zabrał nas na spotkanie z szefem grupy i... - uśmiechnęła się - oto jestem.

- A Tyler nie - powiedziałem.

Samantha skinęła głową.

- Zawsze miała szczęście. - Uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Ale teraz moja kolej. Już wkrótce.

Kiedy widziałem, jak bardzo pali się do tego, żeby pójść za Tyler do kotła, wyparowała ze mnie cała zawodowa gorliwość i nie miałem nic więcej do powiedzenia. Samantha milczała, czekając, co zrobię - a ja pierwszy raz w życiu nie miałem żadnego pomysłu. Jaki wyraz twarzy należy przybrać, kiedy ktoś mówi, że jego największym marzeniem jest dać się zjeść? Czy powinienem udawać szok? Niedowierzenie? A może oburzenie? Byłem prawie pewien, że ta kwestia nie wypłynęła w żadnym z filmów i seriali, które oglądałem, i choć w niektórych kręgach cieszę się opinią osoby bystrej i kreatywnej, nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby być stosowne w tych okolicznościach.

Dlatego tylko patrzyłem na Samanthę, a ona na mnie, i tak siedzieliśmy obok siebie w chłodni klubu dla wampirów w South Beach: najzupełniej normalny, żonaty mężczyzna z trójką dzieci i widokami na przyszłość, który, tak się składało, lubił zabijać ludzi, i najzupełniej normalna osiemnastolatka, która chodziła do dobrej szkoły, lubiła *Zmierzch* i chciała, żeby ją zjedzono. Tak bardzo się starałem, żeby moje życie nabrało chociaż pozorów normalności, ale jeśli to miała być normalność, to ja dziękuję. Chyba nikt poza Salvadorem Dalim nie wymyśliłby czegoś bardziej drastycznego.

Wreszcie także to wpatrywanie się w siebie nawzajem zaczęło się wydawać zbyt dziwne nawet dwojgu praktykującym nieludziom jak my, więc oboje zamrugaliśmy i spuściliśmy wzrok.

- Tak czy owak - stwierdziła - to bez znaczenia.

- Co jest bez znaczenia? - spytałem. - To, że chcesz, żeby cię zjedli?

Wzruszyła ramionami w dziwnie autentycznym geście nastolatki.

- Wszystko jedno - odparła - bo niedługo tu będą.

Poczułem się, jakby ktoś łaskotał mnie soptem po plecach.

- Kto?

- Ktoś z kowenu - powiedziała i zerknęła na mnie. - Tak to nazywają. Tę, no wiesz, grupę, która je ludzi.

Pomyślałem o pliku, który widziałem na komputerze. Kowen. Żałowałem, że go nie skopiowałem i nie uciekłem do domu.

- Skąd wiesz, że przyjdą? - spytałem.

Znów wzruszyła ramionami.

- Muszą mnie karmić. Trzy razy dziennie, rozumiesz.

- Po co? - zainteresowałem się. - Skoro i tak cię zabiją, po co mają o ciebie dbać?

Spojrzała na mnie jak na skończonego durnia.

- Zjedzą mnie, nie zabiją - uściśliła. - Nie chcą, żebym była chora i chuda. Muszę być, no wiesz, podtuczona. Z tłuszczkiem. Żeby lepiej smakować.

Moja praca i moje hobby wymagają naprawdę mocnego żołądka, ale teraz był on poddawany wyjątkowo ciężkiej próbie. Myśl, że ta dziewczyna radośnie zjada trzy pełne posiłki dziennie, aby jej mięso lepiej smakowało, była trochę zbyt ciężko strawna przed śniadaniem, więc znów odwróciłem głowę. Jednak szczęśliwie dla mojego apetytu do tej głowy zapukała praktyczna myśl.

- Ilu ich będzie? - spytałem.

Spojrzała na mnie i odwróciła wzrok.

- Nie wiem - odparła. - Zwykle przychodzą we dwóch. Na wypadek, gdybym, no wiesz, zmieniła zdanie i chciała uciec. Ale... - Znowu zerknęła na mnie, po czym spuściła wzrok na swoje stopy. - Myślę, że tym razem przyjdzie z nimi Vlad - powiedziała wreszcie i nie zabrzmiało to optymistycznie.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytałem.

Pokręciła głową, ale nie podniosła wzroku.

- Kiedy nadeszła kolej Tyler - wyjaśniła - zaczął z nimi przychodzić. I wiesz... robił jej różne rzeczy. - Oblizawała usta, nadal nie podnosząc wzroku. - Nie tylko... rozumiesz... nie tylko seks. To znaczy, nie normalny seks. On... hm... strasznie się nad nią znęcał, jakby to go kręciło, i... - Wzdrygnęła się i wreszcie podniosła oczy. - Chyba dlatego wsypują mi coś do jedzenia, jakiś środek uspokajający -

powiedziała. – Żeby, no wiesz, była spokojna i siedziała cicho. Bo inaczej... – urwała. – Może nie przyjdzie – dodała po chwili.

– Ale przyjdzie co najmniej dwóch ludzi? – upewniłem się.

Skinęła głową.

– Tak.

– Są uzbrojeni? – zapytałem i spojrzała na mnie pustym wzrokiem. – No wiesz, czy mają noże, pistolety, bazooki? Jakąkolwiek broń?

– Nie wiem – odparła. – To znaczy, ja na ich miejscu bym miała.

Pomyślałem, że ja również, i choć może to złośliwe z mojej strony, pomyślałem też, że ja zauważyłbym, jaką broń mają moi oprawcy. Inna rzecz, że nie myślałem o sobie jako o daniu głównym, a coś takiego prawie na pewno wpływa na spostrzegawczość.

Czyli będzie ich dwóch, zapewne uzbrojonych, co prawdopodobnie oznaczało pistolety, bo przecież byliśmy w Miami. I mogło też oznaczać Bobby'ego Acostę, który, jako bogaty zbieg, niechybnie będzie miał jakąś broń. A ja siedziałem w ciasnym pomieszczeniu, nie miałem gdzie się ukryć i do tego byłem obarczony Samanthą, która pewnie wrzaśnie: „Uwaga!”, gdy tylko spróbuję zaatakować ich z zaskoczenia. Po stronie plusów mogłem zapisać to, że miałem czyste serce i wygiętą łyżkę do opon.

Mało tego było, ale wiedziałem z doświadczenia, że jeśli tylko człowiek dokładnie przeanalizuje sytuację, prawie zawsze znajdzie sposób, by zwiększyć swoje szanse. Wstałem i rozejrzałem się po chłodni z myślą, że może ktoś zostawił na którejś z półek karabin szturmowy; nawet zmusiłem się do tego, by dotknąć słojów i zajrzeć za nie, ale nic nie znalazłem.

– Jeśli chodzi ci po głowie – powiedziała Samantha – żeby, no wiesz... to znaczy, nie chcę, żeby mnie ratowano, ani nic takiego.

– To znakomicie – odparłem. – A ja z kolei nie chcę, żeby mnie zjedli. Mam swoje życie, mam rodzinę. Mam nowo narodzoną córkę i chcę ją jeszcze zobaczyć. Chcę patrzeć, jak będzie rosła, i czytać jej bajki.

Drgnęła i zrobiła niepewną minę.

– Jak ma na imię? – spytała.

– Lily Anne.

Spojrzała w bok. Widziałem, że próbuje przebrnąć przez wątpliwości, więc trochę ją przycisnąłem.

- Samantho - powiedziałem - czegokolwiek chcesz dla siebie, nie masz prawa mi tego narzucać. - Prawiąc jej kazania, czułem się jak skończony hipokryta, ale z drugiej strony, gra toczyła się o bardzo wysoką stawkę, a tak czy owak, praktykowałem hipokryzję przez całe dorosłe życie.

- Ale... ja tego pragnę - odparła. - To znaczy, przez całe życie...

- Pragniesz tego na tyle, żeby mnie zabić? - spytałem. - Bo to właśnie robisz.

Spojrzała na mnie i pośpiesznie odwróciła wzrok.

- Nie - zapewniła. - Ale...

- No właśnie. Ale - powiedziałem. - Jeśli nie ucieknę ludziom, którzy cię karmią, umrę, i dobrze o tym wiesz.

- Nie mogę z tego zrezygnować - stwierdziła.

- Nie musisz - powiedziałem i spojrzała na mnie z uwagą. - Musisz tylko pozwolić mi uciec, sama możesz zostać.

Przez kilka sekund przygryzała dolną wargę.

- Nie wiem - rzekła wreszcie. - To znaczy, skąd mam wiedzieć, że... no wiesz... że nie wezwiesz glin i nie wpadniesz tu, żeby mnie odbić?

- Zanim wróciłbym tu z glinami - zauważyłem - już dawno przenieśliby cię w inne miejsce.

- No tak - przyznała, wolno kiwając głową. - Ale skąd mogę wiedzieć, że nie wywleczesz mnie stąd, żeby, no wiesz, uratować mnie przed samą sobą?

Ukląknę przed nią na jedno kolano. Teatralny gest, wiem, ale dziewczyna była nastolatką i pomyślałem, że pewnie to kupi.

- Samantho - powiedziałem - musisz tylko pozwolić mi spróbować. Nic nie rób, a ja nie wyciągnę cię stąd wbrew twojej woli. Daję ci na to uroczyste słowo honoru. - Nie było huku pioruna ani nawet odległego śmiechu i mimo mojej niedawnej epidemii nieprzyjemnych uczuć nie czułem wstydu. Uważam, że wypadłem bardzo przekonująco; właściwie była to chyba moja życiowa kreacja. Oczywiście kłamałem jak najęty, ale w tych okolicznościach chętnie obiecałbym jej przejażdżkę latającym talerzem, jeśli dzięki temu miałbym się stąd wydostać.

A Samantha była coraz bardziej przekonana.

- Czyli... nie rozumiem. To znaczy, mam tu siedzieć i po prostu nic nie mówić? To wszystko?

- To wszystko - zapewniłem. Wziąłem ją za rękę i spojrzałem jej głęboko w oczy. - Proszę cię, Samantha. Dla Lily Anne. - Szczyt bezwstydu, wiem, lecz ku mojemu zaskoczeniu stwierdziłem, że mówię poważnie, i co gorsza, poczułem, że w kącikach moich oczu zbiera się wilgoć. Może po prostu grałem metodą Stanisławskiego, ale to mąciło mi wzrok i było głęboko niepokojące.

I, jak się okazało, niezwykle skuteczne.

- Dobrze - zgodziła się Samantha i nawet uścisnęła moją dłoń. - Nic nie powiem.

Odwzajemniłem uścisk.

- Dziękuję - wybąkałem. - Lily Anne ci dziękuje. - Może trochę przeszarżowałem, ale zbyt mało wiedziałem o tym, jak się zachowywać w takiej sytuacji.

Wstałem i podniosłem łyżkę do opon. Marna broń, lecz lepsze to niż nic. Podszedłem do drzwi i próbowałem się wcisnąć między framugę a boczną ścianę, żeby nie było mnie widać przez okienko. Stałem od strony klamki; drzwi otwierały się na zewnątrz, więc wchodzącym łatwiej będzie zajrzeć w przeciwny kąt. Musiałem liczyć na to, że mnie nie zauważą, a gdy już zerkną do środka i zobaczą Samanthę na łóżku polowym, po prostu wejdą, niczego nie podejrzewając. A wtedy, przy odrobinie szczęścia, raz-dwa, i ciach, i ciach, świstotnie, i Dexter galumfująco umknie.

Stałem ściśnięty w mojej kryjówce przez jakieś pięć minut, kiedy zza drzwi dobiegły przytłumione głosy. Odetchnąłem głęboko, powoli wypuściłem powietrze i próbowałem skurczyć się jeszcze bardziej. Spojrzałem na Samanthę; oblizwała nerwowo usta, ale skinęła głową. Odpowiedziałem jej tym samym gestem i wtedy usłyszałem, że ktoś ciągnie za klamkę. Duże drzwi otworzyły się na oścież.

- Chrum, chrum, świnko - powiedział ktoś z bardzo złośliwie brzmiącym śmiechem. - Kwi-kwi.

Do chłodni wszedł mężczyzna z czerwoną nylonową torbą termoizolacyjną. Uderzyłem go w głowę łyżką do opon i bez żadnego dźwięku upadł twarzą w przód. Niczym naoliwiona błyskawica

ominałem jego ciało i wpadłem w drzwi z uniesioną łyżką, gotowy na wszystko...

...oprócz potężnej ręki, która już nadlatywała ku mojej twarzy i spychała mnie na ścianę. Zdążyłem tylko przelotnie zobaczyć masywnego ochroniarza z ogoloną głową, który przedramieniem ucisnął mi gardło, i stojącego za nim Bobby'ego Acostę, krzyczącego: „Zabij skurwysyna!”

Wtedy ochroniarz uderzył mnie pięścią wielkości fortepianu w podbródek i zapadła ciemność.

Byłem w wielkim morzu ciemności przecinanym przez śmigające iskierki światła. Z nogami jak z ołowiu i rękami, które nie ruszały się wcale, Dexter płynął przed siebie, nieprzyjemnie wypychany na powierzchnię wzbierającymi w nim mdłościami, i bardzo długo nie miał żadnych myśli ani uczuć, tylko samo wrażenie bycia. Aż w końcu z daleka dobiegł nagłący dźwięk, który przyniósł ze sobą natarczywą myśl, stopniowo układającą się w jedną krystalicznie czystą sylabę: Au! I uświadomiłem sobie, że owo „au” to nie mistyczne zaklęcie stosowane w medytacji ani nie zaginiony biblijny łąd, tylko jedyne słowo, którym mogłem krótko i zwięźle oddać Stan Dextera, od ramion w górę. Au...

- No, Dexter, obudź się - powiedział łagodny kobiecy głos i delikatna, chłodna dłoń spoczęła na moim czole. Nie miałem najmniejszego pojęcia, czyja to dłoń ani czyj głos, lecz, prawdę mówiąc, wydawało się to znacznie mniej istotne od faktu, że moja głowa była bezkresnym oceanem bólu i nie mogłem ruszać szyją. - Dexter, proszę cię - nalegał głos i chłodna dłoń poklepała mój policzek dużo mocniej, niż nakazywała przyzwoitość. Każde klepięcie huczało mi w głowie głośnym „au”, aż w końcu znalazłem przyrządy sterujące moimi rękami i podniosłem jedną, żeby odtrącić okładającą mnie dłoń.

- Au - jęknąłem i zabrzmiało to jak odległy krzyk dużego, zmęczonego ptaka.

- Żyjesz - powiedział głos, po czym ta przeklęta ręka wróciła i znów poklepała mnie po policzku. - Już się martwiłam.

Miałem wrażenie, że gdzieś słyszałem ten głos, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie, a w tej chwili nie było to priorytetem, bo głowę miałem wypchaną płonąca owsianką.

- Auuuu - powtórzyłem z nieco większą mocą. Nic innego nie przyszło mi do głowy, ale to jedno słowo zgrabnie podsumowywało całą sytuację.

- No - odezwał się głos. - Otwórz oczy, Dexter. Spróbuj.

Pomyślałem o tym słowie: „oczy”. Byłem prawie pewien, że je znam. Chodzi o coś związanego z... hm... z widzeniem? Coś, co jest gdzieś na twarzy albo w jej okolicach? Tak, to musiało być to, uznałem i poczułem tępe, przyćmione zadowolenie, że trafiłem w dziesiątkę. Dobry chłopiec.

- Dexter, proszę cię - ciągnął kobiecy głos. - Otwórz oczy, no, dawaj.

Poczułem, że dłoń znów się poruszyła, jakby zamierzała mnie poklepać po policzku, i wywołana tą myślą irytacja obudziła wspomnienie... oczy otwiera się o, tak. Spróbowałem. Prawe otworzyło się od razu, lewe chwilę trzepotało, zanim zobaczyło rozmazany świat. Zamrugałem kilka razy i obraz stał się wyraźny, ale nie mogłem nic z niego zrozumieć.

Patrzyłem w górę na twarz oddaloną o niecałe pół metra od mojej. Nie była to twarz zła i miałem wrażenie, że gdzieś już ją widziałem. Była młoda, kobieca i w tej chwili zryta bruzdami troski, ale kiedy zamrugałem, próbując sobie przypomnieć, skąd ją znam, rozplynęła się w uśmiechu.

- No, nareszcie - powiedziała. - Tak się martwiłam.

Znów zamrugałem; wymagało to mnóstwo wysiłku i właściwie na nic więcej nie mogłem się zdobyć. A że za trudno było jednocześnie mrugać i myśleć, przestałem mrugać.

- Samantha - wychrypiałem, bardzo z siebie zadowolony. To było imię, które pasowało do tej twarzy. A twarz Samantha była tak blisko mojej, bo moja głowa leżała na jej kolanach.

- We własnej osobie - oznajmiła. - Miło, że znowu jesteś wśród żywych.

Rzeczywistość pomału przesączała się do mojego pulsującego mózgu: Samantha, kanibale, chłodnia, ogromna pięść... Kosztowało mnie to trochę wysiłku, ale zacząłem łączyć oderwane myśli i powoli ułożyłem z nich wspomnienie tego, co się stało - a że było dużo bardziej bolesne od bólu głowy, znów zamknąłem oczy.

- Auuuu... - jęknąłem.

- Już to mówiłeś - zauważyła Samantha. - Nie mam aspiryny ani niczego takiego, ale może to pomoże... - Poczułem, że lekko przekręciła się pode mną, i otworzyłem oczy. Podniosła dużą plastikową

butelkę wody i zdjęła zakrętkę. - Napij się - powiedziała. - Pomału. Nie za dużo, żebyś się nie porzygał.

Wziąłem łyk. Woda była chłodna, o słabym posmaku, którego nie mogłem rozpoznać. Dopiero kiedy przełknąłem, poczułem, jak bardzo wysuszone i obolałe mam gardło.

- Jeszcze - poprosiłem.

- Po trochu - upomniała mnie Samantha i pozwoliła mi wypić następny mały łyk.

- Dobrze - wymamrotałem. - Mokre.

- O rany - ucieszyła się. - Całe dwa słowa. Rzeczywiście lepiej z tobą. - Też się napiła i odstawiła butelkę.

- Mógłbym się jeszcze napić? - spytałem i dodałem: - To już cztery słowa.

- Jasne - odparła, wyraźnie zachwycona moim cudownym, nowo odkrytym talentem do tworzenia zdań rozwiniętych. Przystawiła mi butelkę do ust i wziąłem następny łyk. Mięśnie gardła jakby się rozluźniły, ból głowy zelżał i zaczęło do mnie docierać, że sprawy nie do końca mają się tak, jak powinny.

Przekręciłem lekko głowę, żeby się rozejrzeć, i w nagrodę od szyi po czubek głowy przeszła mnie błyskawica bólu. Zobaczyłem też przy okazji skrawek świata do tej pory schowany za twarzą i koszulą Samantha, i nie wyglądało to zachęcająco. W górze była jarzeniówka, której światło padało na jasnozieloną ścianę. Tam, gdzie powinno być okno, znajdował się kawałek zwykłej, niepomalowanej sklejki. A żeby zobaczyć coś więcej, musiałbym jeszcze trochę przekręcić głowę, czego zdecydowanie wolałem uniknąć po tym, ile wycierpiałem, przekręcając ją nawet o tych parę centymetrów.

Powoli obróciłem głowę do jej pierwotnego położenia i próbowałem pomyśleć. Nie wiedziałem, gdzie jestem, ale przynajmniej nie byłem już w chłodni. Gdzieś blisko słyszałem mechaniczny terkot i, jak na mieszkańca Florydy przystało, od razu rozpoznałem odgłos klimatyzatora okiennego. Lecz ani to, ani ten kawałek sklejki nie mówiły mi niczego istotnego.

- Gdzie jesteśmy? - spytałem Samanthę.

Wzięła łyk wody.

- W przyczepie kempingowej - odparła. - Na jakimś odludziu w Everglades, nie wiem, gdzie dokładnie. Jeden gość z kowenu ma tu kawałek ziemi, na niej tę przyczepę i przyjeżdża tu polować. Przywieźli nas tutaj, no wiesz, niepostrzeżenie. Nikt nas nie znajdzie - mówiła to z nieskrywanym zadowoleniem, ale przynajmniej pamiętała, żeby okazać lekkie poczucie winy z tego powodu, i dla niepoznaki napiła się wody.

- Jak?... - mój głos był chrapliwy, więc sięgnąłem po butelkę i wziąłem łyk, tym razem większy. - Jak udało im się wynieść nas z klubu, tak żeby nikt nas nie zauważył? - dokończyłem pytanie.

Machnęła ręką, przy okazji lekko podbijając mi głowę - nieznaczny ruch, ale potężny ból.

- Zawinęli nas w dywany - wyjaśniła. - Przyszli dwaj goście w kombinezonach, wynieśli dywany z nami w środku, wrzucili je do samochodu i wywieźli. „Gonzalez Carpet Cleaners”, tak było napisane na furgonetce. Łatwizna. - Posłała mi półuśmiech, wzruszyła ramionami i napiła się wody.

Zastanowiłem się nad tym. Gdyby Debora obserwowała klub, widok dwóch wynoszonych tłumoków na pewno wzbudziłby jej podejrzenia, a znając Deb, gdyby coś podejrzewała, wyskoczyłaby z samochodu z wyciągniętą bronią i zatrzymała tych ludzi. Czyli nie obserwowała klubu - ale dlaczego? Czyżby porzuciła kochanego braciszka? Skazała go na los gorszy od śmierci, choć i ją obejmujący? Wątpiłem, by mogła to zrobić, a w każdym razie nie z własnej woli. Napiłem się wody i próbowałem to przemyśleć.

Nie zostawiłaby mnie z własnej woli. Z drugiej strony, raczej nie mogła wezwać wsparcia - jej partner zginął, a ona formalnie robiła coś odrobinę niezgodnego nie tylko z regulaminem policji, ale i z kodeksem karnym stanu Floryda. Jak więc miała postąpić?

Wziąłem następny łyk wody. Butelka była już w połowie pusta, ale głowa jakby mniej bolała - nie żeby ból całkiem minął, ale nie było tak źle. Ból dowodził, że żyję, a kto to kiedyś powiedział: „Dopóki życia, dopóty nadziei”? Może Samantha to wie? Już otworzyłem usta, żeby ją o to spytać, ale przypomniałem sobie, że miałem się zastanowić nad tym, co też mogła zrobić moja siostra i dlaczego skutek tego był taki, że wylądowałem tutaj.

Debora by mnie nie zostawiła. Na pewno nie. Debora mnie kocha. I nagle coś sobie uprzytomniłem – ja też ją kocham. Wziąłem następny łyk wody. Zabawna rzecz, miłość. To znaczy, dziwnie jest uzmysłwić to sobie w moim wieku, ale przecież otaczało mnie tyle miłości, przez całe życie. Weźmy choćby moich przybranych rodziców, Harry’ego i Doris – nie musieli mnie kochać, bo przecież tak naprawdę nie byłem ich dzieckiem, ale kochali. I oni, i wielu innych ludzi aż po dziś dzień – Deb, Rita, Cody, Astor i Lily Anne. Piękna, wspaniała, cudowna Lily Anne, najwyższy dostarczyciel miłości. Jednak i pozostali kochali mnie każde na swój sposób...

Samantha wzięła butelkę, napiła się i w nagłym błysku olśnienia zrozumiałem coś jeszcze: nawet ona okazała mi tyle miłości. Udowodniła to, ryzykując utratę wszystkiego, co dla niej ważne, wszystkiego, czego zawsze pragnęła, tylko po to, żeby dać mi szansę ucieczki! Czyż nie był to akt czystej miłości?

Wziąłem następny łyk wody i poczułem, że otacza mnie tylu wspaniałych ludzi, ludzi, którzy mnie kochają mimo wszystkich moich niecnym postępów. Ale co tam, przecież z tym skończyłem, prawda? Czyż nie próbowałem żyć odpowiedzialnie w świecie, który nagle przerodził się w siedlisko szczęścia i cudowności?

Samantha wyrwała mi butelkę, pociągnęła solidny łyk i oddała mi ją. Łapczywie wypilem do dna – woda smakowała wybornie, nigdy nie piłem lepszej. A może po prostu teraz bardziej wszystko doceniam. Tak. Świat jest jednak nadzwyczajny, a ja mam na nim swoje miejsce. Samantha też. Ależ wspaniała z niej dziewczyna. Zaopiekowała się mną, chociaż nie musiała. I opiekowała się nadal! Czuwała przy mnie, gładziła moją twarz z – inaczej tego nie można nazwać – miłością. Cudowna dziewczyna! A jeśli chce, żeby ją zjedli... O rany! Doznałem objawienia. Jedzenie to miłość, czyli pragnienie, by zostać zjedzonym, to tylko inny sposób na to, żeby podzielić się miłością! A Samantha wybrała ten sposób, bo była tak przepełniona miłością, że mogła to wyrazić tylko w tak drastycznej formie! Niesamowite!

Spojrzałem na nią z nowym uznaniem. Jest cudowną, szczodłą dziewczyną. I choć bolała mnie od tego szyja, musiałem pokazać, że rozumiem jej postępowanie i że naprawdę widzę, jak wspaniała i piękną jest osobą – dlatego podniosłem rękę i położyłem dłoń na jej twarzy. Skóra Samantha była miękka, ciepła, tętniąca życiem

i przez chwilę delikatnie głaskałem jej policzek. Spojrzała na mnie z uśmiechem i położyła dłoń na mojej twarzy.

- Jesteś taka piękna - powiedziałem. - To znaczy samo słowo „piękna” nie oddaje tego w pełni, co najwyżej w powierzchowny sposób, który odnosi się tylko do tego, co na zewnątrz, i tak naprawdę nie sięga prawdziwej, najgłębszej głębi tego, co rozumiem przez „piękna”... zwłaszcza w twoim przypadku, bo chyba już rozumiem, o co ci chodzi z tym twoim pragnieniem, żeby cię zjedli... To znaczy, z zewnątrz też jesteś piękna, nie chcę ci tego odmawiać, bo wiem, że to ważne dla dziewczyny. Dla kobiety. Masz osiemnaście lat, jesteś kobietą, wiem, bo podjęłaś bardzo dojrzałą decyzję co do tego, co zrobić ze swoim życiem, decyzję, od której nie ma odwrotu, co znaczy, że jest to decyzja naprawdę bardzo dojrzała, i jestem pewien, że rozumiesz jej konsekwencje, a to najlepszy dowód dorosłości; to, że podejmuje się decyzję, której skutki są nieodwracalne, z której nie można się wycofać, i naprawdę cię za to podziwiam. I także dlatego, że, jak już powiedziałem, jesteś bardzo, bardzo piękna.

Jej dłoń pogłaskała mnie po twarzy, zsunęła się po mojej szyi pod kołnierzyk koszuli i potarła moją pierś. To było przyjemne.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziała Samantha - i chyba jesteś pierwszym człowiekiem, który naprawdę zrozumiał, co dla mnie znaczy przejść przez to wszystko... - Uniosła rękę i machnęła nią, ukazując szerokim gestem wszystko wokół nas, a ja sięgnąłem do góry i ściągnąłem jej dłoń z powrotem na moją pierś, bo to było naprawdę przyjemne i chciałem dalej czuć jej dotyk. Uśmiechnęła się i znów delikatnie potarła mój tors. - Bo to nie jest coś, co łatwo zrozumieć, i to jeden z powodów, dla których zawsze myślałam, że nigdy z nikim nie będę mogła o tym rozmawiać, i dlatego, no wiesz, przez prawie, co tam prawie, przez całe życie byłam sama jak palec, bo kto mógłby zrozumieć coś takiego? To znaczy, jeśli komuś powiem: „Chcę być zjedzona”, od razu zacznie się gadanie: „O mój Boże, trzeba cię zabrać do psychiatry”, i już nigdy nikt nie spojrzy na mnie jak na normalnego człowieka, a ja czuję, że to jest coś normalnego, najzupełniej normalny wyraz...

- Miłości - dokończyłem.

- Ty naprawdę rozumiesz! - Zsunęła dłoń niżej, na mój brzuch, a potem wróciła na moją pierś. - O Boże, wiedziałam, że to zrozumiesz,

bo nawet kiedy siedzieliśmy w tej chłodni, czułam, że masz w sobie coś, dzięki czemu jesteś inny niż wszyscy ludzie, których spotkałam w swoim życiu, i pomyślałam sobie, że może choć raz, zanim to się stanie, będę mogła porozmawiać z kimś, kto to naprawdę rozumie i nie będzie na mnie patrzył jak na jakiegoś zboczonego, chorego, pokręconego, dziwaczного potwora!

- Nie, nie, jesteś taka piękna - zaprotestowałam. - Nikt nigdy nie mógłby tak o tobie myśleć, nawet sama twoja twarz jest nadzwyczajna...

- Ale nie o tym...

- Wiem, wiem, nie to miałem na myśli - zapewniłem. - Ale to element tego, co czyni cię tym, kim jesteś, i zobaczyć ten element to pierwszy krok do tego, żeby zrozumieć całą resztę... To znaczy, jeśli człowiek nie jest skończonym idiotą, nie może spojrzeć na twoją twarz i nie pomyśleć: o rany, co za nadzwyczajna osoba; a kiedy potem przekonuje się, że twoje wnętrze jest jeszcze piękniejsze... to po prostu niesamowite. - Ponieważ nie mogłem tego w pełni wyrazić słowami, a naprawdę chciałem, żeby zrozumiała, o czym mówię, przyciągnąłem jej twarz do mojej i pocałowałem ją. - Jesteś piękna wewnątrz i na zewnątrz - powiedziałem.

Uśmiechnęła się ciepłym, pełnym wdzięczności uśmiechem, na którego widok poczułem, że już zawsze wszystko będzie dobrze.

- Ty też - odparła, schyliła głowę i pocałowała mnie. Tym razem pocałunek trwał dłużej i przyniósł ze sobą inne uczucie, nowe dla mnie i poznałem, że dla niej też, ale żadne z nas nie chciało przestać, aż w końcu wyciągnęła się obok mnie na podłodze i dalej się całowaliśmy; po długim czasie przerwała na moment i wyszeptwała: - Chyba dosypali czegoś do tej wody.

- To nie ma znaczenia - stwierdziłem. - Bo to, co zaczynamy rozumieć, nie płynie z czegoś, czego dosypuje się do wody, tylko z nas samych, z naszego prawdziwego wnętrza, i to jest rzeczywiste, na pewno czujesz to tak jak ja. - Pocałowałem ją, ona odwzajemniła pocałunek, po czym oderwała się ode mnie i położyła dłonie na moich policzkach.

- Tak czy owak - powiedziała - nawet jeśli czegoś dosypali, to niczego nie zmienia, bo zawsze sobie myślałam, że to jest coś bardzo

ważnego... to znaczy, miłość i to, rozumiesz, nie tylko taka, którą się czuje, ale i taka, którą się uprawia, i tak mi przyszło do głowy, że mam osiemnaście lat i powinnam to zrobić choć raz, zanim odwalę kitę, nie uważasz?

- Co najmniej raz - odparłem, a ona uśmiechnęła się, zamknęła oczy, zbliżyła twarz do mojej twarzy i zrobiliśmy to.

Więcej niż raz.

Pić mi się chce – powiedziała Samantha cokolwiek marudnym głosem. Działała mi na nerwy, ale nic nie mówiłem. Mnie też chciało się pić. Po kiego to powtarzać? Obojgu nam chciało się pić, i to od dłuższego czasu, a nie było już wody. Ani kropli. To był jednak najmniejszy z moich problemów. Poza tym bolała mnie głowa, tkwiłem uwięziony w przyczepie kempingowej w Everglades i właśnie zrobiłem coś, czego za skarby świata nie mogłem pojąć. Aha, i wkrótce ktoś miał przyjąć mnie zabić.

- Ale mi głuuupio – wyznała Samantha. I znów właściwie nie było co na to odpowiedzieć. Teraz, kiedy to, co znajdowało się w wodzie, przestało działać, oboje czuliśmy się głupio, ale jej wyraźnie trudniej było przyjąć do wiadomości, że działaliśmy pod wpływem narkotyków. W miarę, jak przytomnieliśmy, Samantha najpierw była zawstydzona, potem nerwowa, aż w końcu wpadła w popłoch i zaczęła gorączkowo zbierać rozrzucone w zapamiętaniu ubrania. A chociaż nie wychodziło jej to zbyt zgrabnie, uznałem, że to dobry pomysł. Znalazłem wszystkie moje ciuchy i się ubrałem.

Razem ze spodniami wróciła mi odrobina inteligencji. Wstałem i obejrzałem przyczepę od jednego końca do drugiego. Miała jakieś dziesięć metrów długości, a wszystkie okna były szczelnie zabite półtoracentymetrową sklejką skutniczą. Waliłem w nie pięściami. Napierałem całym ciężarem. Nie ustępowały. Najwyraźniej były wzmocnione od zewnątrz.

Przyczepa miała tylko jedne drzwi. Oczywiście zamknięte. Kiedy uderzyłem w nie barkiem, nie zyskałem na tym nic oprócz jeszcze silniejszego bólu głowy. W dodatku dołączył do niego ból ramienia. Usiadłem na kilka minut i czekałem, aż przejdzie. To wtedy Samantha zaczęła marudzić. Teraz, gdy już się ubrała, uznała chyba, że ma prawo skarżyć się na praktycznie wszystko, bo na wodzie nie poprzestała. I czy sprawiła to akustyka przyczepy, czy zwykły pech, tonacja jej głosu wchodziła w idealny rezonans z łupaniem w mojej głowie. Ilekroć

zaczynała narzekać, tępy ból wdzierał się w głąb moich zmaltretowanych szarych komórek.

- Jakoś tak... śmierdzi - powiedziała Samantha.

Rzeczywiście śmierdziało - starym potem, mokrym psem i pleśnią - ale nie widziałem najmniejszego sensu wspomnienia o czymś, na co i tak nie mogliśmy nic poradzić.

- Skoczę po saszetkę zapachową - zaproponowałem. - Została w samochodzie.

Spuściła wzrok.

- Nie musisz być złośliwy - stwierdziła.

- Nie - przyznałem. - Ale muszę się stąd wydostać.

Nie spojrzała na mnie ani nie odpowiedziała, co przyniosło mi niejaką ulgę. Zamknąłem oczy i próbowałem siłą woli stłumić łupiący ból. To jednak nie pomogło, a po minucie Samantha znów się odezwała.

- Żałuję, że to zrobiliśmy.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią. Patrzyła w kąt przyczepy. Był pusty, ale najwyraźniej ładniejszy ode mnie.

- Przykro mi - bąknąłem.

Wzruszyła ramionami, wciąż nie patrząc na mnie.

- To nie twoja wina - stwierdziła, co wydało mi się tyleż szlachetne, ile zgodne z prawdą. - Wiedziałam, że dodali czegoś do wody. Zawsze tak robią. - Znów wzruszyła ramionami. - Ale nigdy dotąd nie próbowałam ekstazy.

Dopiero po chwili załapałem, że miała na myśli narkotyk.

- Ja też nie - powiedziałem. - To było ekstazy?

- Prawie na pewno - odparła. - To znaczy z tego, co słyszałam. Tyler mówiła, że dużo tego bierze... brała. - Pokręciła głową i, o dziwo, zarumieniła się. - W każdym razie opowiadała, że po tym chce się... znaczy, dotykać wszystkich i... no wiesz, być dotykany.

Jeśli to rzeczywiście było ekstazy, musiałem się z tym opisem zgodzić. Wypadałoby też dodać, że albo wzięliśmy o wiele za dużą dawkę, albo był to bardzo silny narkotyk. O mało się nie zarumieniłem, kiedy przypomniałem sobie, co mówiłem i robiłem. Dążenie do tego, by stać się bardziej ludzkim, to jedno - ale to już był upadek w otchłań tępego, rozpytowanego człowieczeństwa. Może powinno się to raczej

nazywać eksces-tazą. Z perspektywy czasu byłem bardzo zadowolony, że mogę rzucić całą winę na narkotyki. Źle się czułem z myślą, że zachowywałem się jak postać z kreskówki.

- W każdym razie zrobiłam to - podsumowała Samantha, wciąż lekko zażenowana. - Nie będzie mi tego bardzo brakowało. - Kolejne wzruszenie ramion. - Nie było aż tak super.

Słabo się znam na tak zwanych rozmowach łóżkowych, ale miałem wrażenie, że taka szczerość nie przystoi. Z tego, co wiedziałem - choć nie było tego dużo - wynikało, że w takich sytuacjach należy raczej prawić pochlebstwa, nawet nieszczerze. Mówi się rzeczy typu: „Było cudownie, nie kalajmy pięknego wspomnienia, próbując odtworzyć tę magię”. Albo: „Zawsze będziemy mieli Paryż”. Wprawdzie tekst: „Zawsze będziemy mieli tę okropną, śmierdzącą przyczepę kempingową w Everglades”, nie miał tej siły wyrazu, ale mogła przynajmniej spróbować. Może mściła się za głęboki wstyd, który ją trawił, a może powiedziała prawdę i, jako niedoświadczona młódka, nie wiedziała, że to nie wypada.

Tak czy owak, jej wyznanie w połączeniu z moim bólem głowy wyzwoliło we mnie pokłady złości, z których istnienia dotąd nie zdawałem sobie sprawy.

- Nie, wcale nie było super - przyznałem.

Spojrzała na mnie z niemal gniewną miną, ale nie odezwała się i po chwili znów odwróciła wzrok, a ja przeciągnąłem się, rozmasowałem mięśnie szyi i wstałem.

- Musi być jakieś wyjście - powiedziałem, bardziej do siebie niż do niej, lecz, oczywiście, i tak odpowiedziała.

- Wcale nie musi - stwierdziła. - Przyczepa jest dobrze zabezpieczona. Bez przerwy przetrzymują tu ludzi i jeszcze nikt się nie wydostał.

- A ktoś w ogóle próbował, skoro wszyscy byli naćpani?

Przymknęła oczy i tylko pokręciła głową nad moją głupotą. Może i byłem głupi, ale nie na tyle, aby siedzieć i czekać, aż przyjdą i mnie zjedzą - przynajmniej dopóki nie zrobię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby się stąd wyrwać.

Jeszcze raz przeszukałem przyczepę. Nie spodziewałem się zobaczyć niczego nowego, ale przyjrzałem się wszystkiemu z większą uwagą.

Mebli nie było, lecz na drugim końcu była wbudowana ława, która zapewne służyła jako łóżko. Leżał na niej cienki pas gumy piankowej przykryty przetartym szarym prześcieradłem. Zajrzałem pod ten niby-materac i zobaczyłem kwadrat ze sklejki zakrywający otwór. Uniosłem sklejkę. Pod spodem był schowek, a w nim płaska poduszka w poszwie tego samego koloru co prześcieradło. Schowek ciągnął się przez całą szerokość przyczepy, ale co znajdowało się w głębi, nie widziałem, bo z obu stron było ciemno.

Wyjąłem poduszkę i sięgnąłem do schowka. Znalazłem w nim półmetrowy drewniany palik zaokrąglony na końcu. Ostry koniec był ubrudzony ziemią, a drugi znaczyły nacięcia wykonane na obu bokach i wyżłobienie, prawdopodobnie od sznura. Najwyraźniej z jakiegoś tajemniczego powodu palik wbijano w ziemię, by następnie coś do niego przytrzymać sznurem. U góry był nawet wygięty gwóźdź, na którym ten sznur zawiązywano. Wyjąłem palik, położyłem go obok poduszki i wsadziłem głowę do schowka najdalej, jak się dało, ale nie było już nic do oglądania. Napałem na dno i poczułem, że ustępuje, więc nacisnąłem mocniej i w nagrodę usłyszałem jęk wyginającego się metalu.

O to chodziło. Nacisnąłem jeszcze mocniej i metal wygiął się bardziej. Wystawiłem głowę, podniosłem się i stanąwszy obiema nogami w schowku, zacząłem skakać, ile sił. Huk był straszny i gdzieś tak po siódmym „bum!” podeszła Samantha, żeby zobaczyć, co to za hałasy.

- Co robisz? - spytała, co wydało mi się nie tylko głupie, ale i irytujące.

- Uciekam - wyjaśniłem jej i podskoczyłem jeszcze wyżej. Bum!

Obejrzała jeszcze kilka moich podskoków, po czym pokręciła głową i przezornie podniosła głos, żebym usłyszał jej zrzęczenie.

- Tak się raczej nie wydostaniesz - oznajmiła.

- Tu metal jest cienki - odparłem. - Nie jak w podłodze.

- Ale wytrzymały na rozciąganie - powiedziała. - To jak napięcie powierzchniowe w szklance wody. Mieliśmy to na fizyce.

Poświęciłem chwilę na to, by pomyśleć z uznaniem o lekcjach fizyki, na których uczy się dzieci o wytrzymałości na rozciąganie podłogi przyczepy kempingowej w sytuacji, kiedy człowiek ucieka przed

kowenem kanibali, i zamarłem w połowie skoku. Może miała rację – w końcu Ransom Everglades to porządna szkoła, w której pewnie uczą rzeczy, jakie nigdy nie trafiają do programu nauczania szkół publicznych. Wszedłem ze schowka i sprawdziłem, czego udało mi się dokonać. Nie wyglądało to imponująco. Owszem, powstało widoczne zagłębienie, ale niewystarczające, by rozbudzić nadzieje.

- Przyjdą, zanim się tędy wydostaniesz – oznajmiła Samantha i ktoś mniej życzliwy mógłby dosłyszeć w jej głosie nutę triumfu.

- Może i tak – przyznałem i moje spojrzenie padło na deskę. Nie powiedziałem: „Aha!”, ale miałem jeden z tych momentów, kiedy człowiekowi zapala się w głowie żarówka. Podniosłem palik, wydlubałem z niego stary gwóźdź, wsadziłem jego główkę do pęknięcia na szpicu, a szpic postawiłem na środku wgłębienia w podłodze. Potem zerknąłem wymownie na Samanthę i z całej siły walnąłem w palik od góry.

Zabolało. Doliczyłem się trzech drzazg w dłoni.

- Ha – powiedziała Samantha.

Parafrazując myśl, że za każdym wielkim mężczyzną stoi kobieta, można stwierdzić, że za każdym uciekającym Dexterem jest irytująca Samantha, bowiem jej radość z każdego mojego niepowodzenia mobilizowała mnie do tego, by wznieść się na wyżyny pomysłowości. Zdjąłem but, nałożyłem go na palik i uderzyłem na próbę. Bolało o wiele mniej i byłem pewien, że dam radę tłuc osłonięty w ten sposób palik na tyle mocno, by zrobić dziurę w dnie schowka.

- Masz swoje „ha” – powiedziałem do Samanthy.

- Wielkie mi mecyje – burknęła i wróciła na swoje miejsce w środkowej części przyczepy.

Ja zaś wziąłem się do pracy. Zacząłem walić ile sił w podeszwę mojego buta, a gdy po paru minutach zrobiłem przerwę, by sprawdzić, jak mi idzie, wgłębienie było już dużo większe, metal wyraźnie się naprężył na krawędziach, a czubek gwoździa wszedł w podłogę. Jeszcze kilka minut powinno wystarczyć, żeby przebić ją na wylot. Ochoczo wróciłem do pracy. Po dwóch minutach ton łupnięć jakby się zmienił, wyjąłem więc palik i jeszcze raz zajrzałem do schowka.

Powstał otwór na tyle duży, by zobaczyć światło dzienne pod przyczepą. Jeszcze trochę czasu i wysiłku i niechybnie uda mi się

przebić podłogę na wylot, powiększyć otwór i sobie pójść.

Wwierciłem szpic palika najgłębiej, jak się dało, i zacząłem go wbijać jeszcze mocniej. Powoli przeciskał się na zewnątrz, a przy którymś z kolei uderzeniu opadł o kilka centymetrów. Zacząłem poruszać palikiem w przód, w tył i na boki, rozciągając metal i powiększając dziurę. Rozpychałem otwór i nawet włożyłem z powrotem but i kopnąłem palik. Przez dwadzieścia minut metal stawiał opór, ale w końcu dopiąłem swego.

Zrobiłem chwilę przerwy i obejrzałem otwór, który zrobiłem. Byłem wyczerpany, obolały i zlany potem, lecz tylko krok dzielił mnie od wolności.

- Spadam! - zawołałem do Samantha. - To twoja ostatnia szansa na ucieczkę.

- Szerokiej drogi! - odkrzyknęła. Było to trochę chłodne pożegnanie po wszystkim, co razem przeszliśmy, ale widać tylko na tyle mogłem liczyć.

- No dobra - powiedziałem, wszedłem do schowka i wsadziłem nogi w otwór. Gdy moje stopy stanęły na ziemi, wsunąłem resztę ciała za nimi. Poczułem, jak najpierw spodnie, a potem koszula zaczęły się i rozdarły o metalowe krawędzie. Uniosłem ręce nad głowę, precyzyjnie się przez otwór i po chwili byłem na zewnątrz, na ciepłej, mokrej ziemi Everglades. Czułem, jak wilgoć przesiąka przez moje spodnie, ale i tak było przyjemniej niż na podłodze przyczepy.

Odetchnąłem głęboko. Byłem wolny. Ze wszystkich stron otaczały mnie fundamenty z cementowych bloków, na których jakiś metr nad ziemią stała przyczepa. Między blokami były dwie szczeliny - jedna tuż obok, naprzeciwko drzwi. Przewróciłem się na brzuch i podczołgałem do niej. A kiedy wystawiłem głowę na światło dzienne, pewny, że uda mi się uciec, masywna dłoń chwyciła mnie za włosy.

- Starczy już tego, palancie - warknął męski głos i poczułem, jak potężna siła podnosi mnie na nogi, z krótką przerwą na to, żeby walnąć moją głowę o ścianę przyczepy. Przez jasne światła, które rozbłysły w mojej obolałej łepetynie, zobaczyłem starego znajomka, ochroniarza ostrzyżonego na zero. Rzucił mnie na ścianę przyczepy i, tak jak wcześniej w chłodni, otoczył przedramieniem moją szyję.

Za jego plecami zobaczyłem, że przyczepa stoi na małej polanie otoczonej bujną roślinnością Everglades. Znad pobliskiego kanału zlatywały się do nas komary, bzyząc radośnie. Gdzieś krzyknął ptak, a od strony ścieżki na najbliższym końcu polany nadszedł Kukarov w towarzystwie dwóch groźnie wyglądających typów. Jeden niósł termoizolacyjny pojemnik na lunch, drugi skórzaną torbę z narzędziami.

- No, prosiaczku - powiedział Kukarov z iście szatańskim uśmiechem. - Dokąd to się wybierasz?

- Mam wizytę u dentysty - odparłem. - Nie mogę jej opuścić, naprawdę.

- Ależ możesz - orzekł Kukarov i jego goryl przywalił mi, dodając kolejny uraz głowy do mojej stale rosnącej kolekcji. Bolało dużo bardziej, niż powinno.

Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że Dexter nigdy nie traci zimnej krwi, ale tego już było za wiele. Zrobiłem szybki zamach nogą i kopnąłem ochroniarza w krocze z taką siłą, że puścił mnie, zgiął się wpół i zaczął cicho stękać. A że okazało się to łatwe i satysfakcjonujące, odwróciłem się do Kukarova, uniosłem ręce i przybrałem pozycję do walki.

Niestety, miał pistolet, i to wymierzony prosto między moje oczy. Była to solidna i droga broń, chyba magnum 357, a ciemniejszy od wylotu lufy był tylko wyraz oczu Kukarova.

- No, dawaj - powiedział. - Spróbuj.

Była to interesująca propozycja, ale postanowiłem nie skorzystać i podniosłem ręce wysoko do góry. Kukarov przyglądał mi się przez chwilę, po czym, nie spuszczając mnie z oczu, cofnął się o kilka kroków i zawołał pozostałych.

- Zwiążcie go - rozkazał. - I trochę sklepcie, ale tak, żeby nie uszkodzić mięsa. Przyda się prosiak.

Jeden goryl wygiął mi ręce do tyłu tak mocno, że zabolalo, a drugi zaczął odrywać taśmę samoprzylepną z rolki. Zdążył tylko kilka razy opasać nią moje nadgarstki, kiedy dobiegł mnie chyba najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałem - pisk megafonu, z którego po chwili dobył się głos Debory.

- Policja! - wrzasnęła. - Jesteście otoczeni! Rzućcie broń i twarzą na ziemię!

Dwaj pomagierzy oderwali się ode mnie i spojrzeli na Kukarova z rozdziawionymi ustami. Ochroniarz z klubu wciąż klęczał i się krztusił.

- Zabiję sukinsyna! - krzyknął Kukarov i zobaczyłem, jak jego palec zaciska się na cynglu i lufa pistoletu wędruje do góry.

Pojedynczy wystrzał rozdarł powietrze i przednia część głowy Kukarova zniknęła. Poleciał w bok jak za pociągnięciem sznurka i runął jak kłoda.

Dwaj kanibale błyskawicznie dali nura na ziemię, nawet ochroniarz opadł na twarz, a ja patrzyłem, jak Debora wyskakuje z zarośli na skraju polany i biegnie do mnie. Za nią pędziło kilkunastu policjantów, w tym grupa antyterrorystów w pełnym rynsztunku i detektyw Weems, mahoniowy gigant z policji plemienia Miccosukee.

- Dexter! - zawołała Deb. Złapała mnie za ramiona i przez chwilę patrzyła mi w oczy. - Dex. - Przyjemnie było zobaczyć odrobinę niepokoju na jej twarzy. Poklepała mnie po ramionach i prawie się uśmiechnęła, co zdarza jej się niezwykle rzadko. Ale że Deb to Deb, musiała od razu popsuć to wrażenie. - Gdzie Samantha? - spytała.

Spojrzałem na siostrę. Łupało mnie w głowie, miałem porwane spodnie, obolałe gardło i twarz, brutalnie potraktowane przez ochroniarza, wstydziłem się tego, co niedawno zrobiłem, ręce wciąż miałem skrępowane taśmą i chciało mi się pić. Zostałem pobity, uprowadzony, nafaszerowany narkotykami, grożono mi wielgachnym pistoletem i wszystko zniosłem bez słowa skargi, a Deb myślała tylko o Samancie, która była dobrze odżywiona, siedziała sobie w przyczepie - siedziała z własnej woli, ba! chętnie - i narzekała na drobne niewygody, podczas gdy ja bezskutecznie próbowałem uniknąć pocisków zawistnego losu i zlatujących się chmar komarów, których nijak nie mogłem zatłuc skrępowanymi rękami.

No ale cóż, Debora to rodzina, a poza tym ręce miałem wyłączone z użytku, więc spoliczkowanie jej odpadało.

- Czuję się dobrze, siostrzyczko - powiedziałem. - Ale dzięki za troskę.

Debora, jak zawsze głucha na ironię, złapała mnie za ramiona i potrząsnęła mną.

- Gdzie ona jest? - spytała ponownie. - Gdzie Samantha?

Westchnąłem i dałem za wygraną.

- W przyczepie - odparłem. - Nic jej nie jest.

Debora sekundę na mnie patrzyła, po czym rzuciła się biegiem za róg przyczepy, do drzwi. Za nią ruszył Weems i po chwili usłyszałem donośny trzask; ani chybi wyrwał drzwi z zawiasów. I rzeczywiście, po kolejnej chwili wyłonił się zza rogu, niosąc je za gałkę w ogromnej dłoni. Za nim szła Deb, która obejmowała Samanthę, prowadząc ją do samochodu.

- Jestem przy tobie, nic ci nie grozi - mówiła do wyraźnie wkurzonej dziewczyny, mamroczącej pod nosem: „Daj mi spokój”.

Rozejrzałem się po polanie. Antyterrorysty skuwali ludzi Kukarova, niezbyt delikatnie, i wszystko powoli wracało do normy, jeśli nie liczyć gorączkowej aktywności milionów komarów, które znalazły moją niechronioną głowę. Próbowałem je odpędzić - co, rzecz jasna, było niewykonalne, bo miałem ręce skrupowane taśmą za plecami. Rzuciałem głową na boki, by je spłoszyć, ale to nie skutkowało, a gdyby nawet, to tak bolało, iż uznałem, że nie warto. Próbowałem machać łokciami - też nic z tego. Miałem wrażenie, że słyszę, jak komary śmieją się ze mnie i łykając ślinkę, wzywają pobratymców na ucztę.

- Mógłby mnie ktoś rozwiązać? - powiedziałem.

W końcu zdjęto mi taśmę z nadgarstków, bo przecież nie uchodziło, żeby tylu funkcjonariuszy organów ścigania trzymało mnie w pętach jak jakiegoś... Cóż, szczerze mówiąc, jak kogoś, kim tak naprawdę byłem, ale usilnie starałem się z tym skończyć. Tak czy inaczej, nie wiedzieli, kim jestem, więc to logiczne, że wreszcie jeden z nich musiał się nade mną zlitować i mnie uwolnić. Tak też się stało, a zrobił to Weems, olbrzym z policji plemiennej. Podszedł, spojrział na mnie z promiennym uśmiechem rozlewającym się po jego wielkiej twarzy i pokręcił głową.

- Co tak stoisz z rękami sklejonymi taśmą? - spytał. - Nikt cię już nie kocha?

- Widać jestem mało ważny - odparłem. - Dla wszystkich oprócz komarów.

Wybuchnął piskliwym i aż nadto radosnym śmiechem, który trwał kilka sekund - zdecydowanie za długo w moim wciąż skrępowanym taśmą mniemaniu, ale kiedy już miałem powiedzieć mu coś do słuchu, wyciągnął wielki scyzoryk i rozłożył ostrze.

- No dobra, bierz się do bicia much - powiedział i dał znak, żebym się odwrócił.

Posłusznie to zrobiłem, a on błyskawicznie przyłożył krawędź ostrza do taśmy krępującej moje nadgarstki. Nóż musiał być bardzo ostry, bo choć wcale nie poczułem nacisku, więzy od razu puściły. Wyciągnąłem ręce do przodu i zerwałem resztki taśmy, a z nimi większość włosów na nadgarstkach, ale że przy pierwszym klepnięciu w kark rozpaćkałem co najmniej sześć komarów, uznałem, że się opłaciło.

- Wielkie dzięki - powiedziałem.

- Nie ma sprawy - odparł tym swoim łagodnym, wysokim głosem. - Nikt nie powinien być aż tak skrępowany. - Zarechotał ze swojego przedniego dowcipu, a ja, w przekonaniu, że choć tyle jestem

mu winien za dobry uczynek, obdarzyłem Weemsa moim najlepszym sztucznym uśmiechem.

- Skrępowany - parsknąłem. - Bardzo dobre. - Może trochę przesadziłem, ale byłem naprawdę wdzięczny, a poza tym głowa wciąż za bardzo mnie bolała, żeby wykluła się w niej jakakolwiek celna riposta.

Zresztą nie miało to znaczenia, bo Weems i tak mnie nie słuchał. Stał w całkowitym bezruchu, z lekko uniesionym nosem i na wpół zamkniętymi oczami, jakby słyszał wołanie z oddali.

- Co się dzieje? - spytałem.

Przez chwilę milczał. W końcu pokręcił głową.

- Dym - powiedział. - Ktoś zaproszył ogień, mimo zakazu. - Wskazał ruchem głowy w głąb Everglades. - O tej porze roku to niedobrze.

Nie czułem nic oprócz typowego gliniastego aromatu Everglades zmieszanego z odorem potu i słabą nutą prochu strzelniczego, wciąż wiszącą w powietrzu, ale nie miałem zamiaru się spierać z moim wybawicielem. Inna sprawa, że musiałbym dyskutować z jego plecami, bo już się odwrócił i ruszył w stronę skraju polany. Odprowadziłem go wzrokiem, rozcierając nadgarstki i wywierając straszliwą zemstę na komarach.

W okolicach przyczepy właściwie nie było czego oglądać. Gliniarze brali kanibali w niewolę i jak dla mnie, im cięższa ta niewola będzie, tym lepiej. Antyterrorysty skupili się wokół jednego ze swoich, zapewne tego, który odstrzelił Kukarowowi twarz; jego mina wyrażała powolny spadek adrenaliny i szok, więc towarzysze broni obserwowali go z troską.

Ogólnie emocje opadały i nadszedł czas na Odmarsz Dextera. Jedyne problem polegał na tym, że nie miałem transportu, a ryzykownie jest zdawać się na życzliwość obcych. Wprawdzie często jeszcze gorzej jest liczyć na życzliwość członków rodziny, ale mimo wszystko wydawało się to najlepszym rozwiązaniem, więc poszedłem poszukać Debory.

Siedziała na przednim siedzeniu swojego samochodu i próbowała być delikatna, troskliwa i opiekuńcza wobec Samathy Aldovar. Nic z tego nie przychodziło jej naturalnie, więc miała pod górkę, nawet gdyby Samantha była skłonna pójść jej na rękę. Tak oczywiście nie było i szybko powstał między nimi emocjonalny impas.

- Wcale nie poczuje się lepiej - mówiła Samantha. - Dlaczego ciągle to powtarzasz, jakbym była niedorozwinięta?

- Przeżyłaś poważny szok, Samantho - powiedziała Deb i mimo że wyraźnie chciała, by zabrzmiało to uspokajająco, wręcz słyszałem znaki cudzysłowu okalające jej słowa, jakby cytowała *Poradnik dla uratowanych zakładników*. - Ale teraz jest już po wszystkim.

- Nie chcę, żeby było po wszystkim, do cholery - odparła Samantha. Spojrzała na mnie, kiedy wśliznąłem się na tylne siedzenie i zamknąłem drzwi. - Bydlak - warknęła.

- Ja nic nie zrobiłem - broniłem się.

- Ściągnąłeś ich tutaj - oskarżyła mnie. - To był podstęp. Pokręciłem głową.

- Nie - zapewniłem. - Nie mam pojęcia, jak nas znaleźli.

- Akurat - prychnęła.

- Naprawdę - powiedziałem i odwróciłem się do Deb. - Jak nas znaleźliście?

Wzruszyła ramionami.

- Chutsky przyszedł czekać razem ze mną. Kiedy przyjechała furgonetka firmy od dywanów, przyczepił do niej nadajnik GPS. - Logiczne; jej facet, Chutsky, półemerytowany agent wywiadu, na pewno miał pod ręką odpowiednie zabawki. - Zabrali was i pojechali; my trzymaliśmy się daleko za nimi. Kiedy trafiliśmy tu, na mokradła, wezwałam antyterrorystów. Miałam nadzieję, że przy okazji zwiniemy Bobby'ego Acostę, ale dłużej nie mogliśmy czekać. - Spojrzała na Samanthę. - Priorytetem było uratowanie ciebie.

- Do kurwy nędzy, nie chcę, żebyście mnie ratowali - burknęła Samantha. - Kiedy to do ciebie dotrze? - Debora otworzyła usta, ale Samantha nie dała jej dojść do słowa. - I jeśli jeszcze raz powiesz, że wkrótce poczuje się lepiej, przysięgam na Boga, że zacznę krzyczeć.

Szczerze mówiąc, ulżyłoby mi, gdyby krzyknęła. Tak byłem zmęczony jej zrzędzeniem, że sam miałem ochotę zacząć krzyczeć, i widziałem, że mojej siostrze też niewiele do tego brakowało. Deb jednak najwyraźniej wciąż żywiła złudzenie, że uratowała Bogu ducha winną ofiarę od straszliwego losu, więc choć kłykcie zbieleły jej

od wysiłku, z jakim powstrzymywała się od uduszenia Samantha, zachowała zimną krew.

- Samantho - powiedziała wolno i wyraźnie - to całkiem naturalne, że w tej chwili sama nie bardzo wiesz, co czujesz.

- Wcale nie - odparowała Samantha. - Czuję się wkurzona i żałuję, żeście mnie znaleźli. To też całkiem naturalne?

- Tak - odrzekła Debora, choć zauważyłem, że na jej twarz wkradło się lekkie zwątpienie. - Ofiara uprowadzenia często nawiązuje więź uczuciową z porywaczami.

- Mówisz tak, jakbyś to czytała - skwitowała Samantha i nie mogłem nie podziwiać jej spostrzegawczości, choć na dźwięk jej głosu wciąż bolały mnie zęby.

- Doradzę twoim rodzicom, żeby wysłali cię do psychologa... - zaczęła Debora.

- No, super, tylko tego mi trzeba - burknęła Samantha.

- Będzie ci lżej, kiedy z kimś porozmawiasz o wszystkim, co cię spotkało - stwierdziła Deb.

- Jasne, już nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć komuś o wszystkim, co mnie spotkało. - Samantha odwróciła się i spojrzała na mnie. - Chcę opowiedzieć wszystko, od początku do końca, bo do pewnych rzeczy doszło, no wiesz, wbrew mojej woli i wszyscy na pewno będą chcieli tego posłuchać.

Doznałem gwałtownego i bardzo niemiłego szoku - nie przez to, co powiedziała, ale dlatego, że powiedziała to do mnie. Nie sposób było nie zrozumieć, co miała na myśli; ale czy naprawdę zamierza wszystkim opowiedzieć o naszych krótkich igraszkach wywołanych ecstazy i twierdzić, że doszło do nich wbrew jej woli? Do głowy mi nie przyszło, że mogłaby tak postąpić - w końcu to było coś intymnego i coś, czego, nawiasem mówiąc, ja też nie chciałem. Nie ja wsypałem narkotyk do butelki z wodą.

Kiedy jednak groźba Samantha zaczęła do mnie docierać, poczułem ucisk w żołądku. Gdyby powiedziała, że to się stało wbrew jej woli, tym samym oskarżyłaby mnie o coś, co określa się jako „gwałt”, a chociaż tego typu gwałt leżał zdecydowanie poza obszarem moich zainteresowań, byłem prawie pewien, że wymiar sprawiedliwości nie pochwała go tak bardzo, jak innych postępów, które miałem

na sumieniu. Wiedziałem, że gdyby takie oskarżenie padło, żadna z moich chytrych wymówek na nic by się nie zdała. I właściwie nie mógłbym się dziwić ludziom, gdyby w to uwierzyli. Starszy facet, który ma wkrótce umrzeć, uwięziony z młodą kobietą – aż się prosi, żeby wykorzystać okazję. Całkowicie wiarygodne i zupełnie niewybaczalne, nawet jeśli rzeczywiście uważałem, że jestem o krok od śmierci. Nigdy nie słyszałem, żeby oskarżony o gwałt powoływał się na okoliczności łagodzące, i byłem pewien, że to nie może się udać.

Nawet gdyby elokwencja Dextera przelała się przez granice ludzkiej mowy i wzruszyła marmurowy posąg sprawiedliwości do łez – w najlepszym razie byłaby to sytuacja typu „jego słowa przeciwko jej słowom”, a ja tak czy owak pozostałbym draniem, który wykorzystał bezbronną więzioną dziewczynę. W końcu sam głośno wiwatowałem, ilekroć słyszałem o starszych żonatyh facetach, którzy tracili posady i rodziny przez to, że zachciało im się seksu z młodszymi kobietami – teraz postąpiłem dokładnie tak jak oni. Nawet gdybym wszystkich przekonał, że to przez narkotyki, byłbym skończony. Seks z nastolatką pod wpływem narkotyków – to przypominało raczej nagłówek w brukowcu niż logiczne tłumaczenie.

I nawet najwybitniejszy adwokat wszech czasów nie obroniłby mnie przed Ritą. Wciąż nie do końca rozumiałem istoty ludzkie, ale oglądałem wystarczająco dużo oper mydlanych, aby przewidzieć, czym by to się skończyło. Rita może by uwierzyła, że nie dopuściłem się gwałtu, ale to nie miałyby znaczenia. Choćbym miał związane ręce i nogi, był naszpikowany narkotykami i został zmuszony do seksu pod lufą pistoletu, nic by to nie zmieniło. Gdyby się o tym dowiedziała, zażądałaby rozwodu, a potem wychowywałaby Lily Anne beze mnie. Zostałbym sam, na lodzie, bez pieczeni wieprzowej, bez Cody’ego i Astor, i bez niosącej radość Lily Anne; Eks-Dex-Tatuś.

Bez rodziny, bez pracy – bez niczego. Rita pewnie dostałaby prawo opieki nawet nad moimi nożami do oprawiania ryb. To było straszne, potworne, niewyobrażalne – wszystko, na czym mi zależało, stracone, całe moje życie wrzucone do kontenera na śmieci tylko dlatego, że ktoś nafaszerował mnie narkotykami. Szczyt niesprawiedliwości. Część tych przemyśleń musiała się odbić na mojej twarzy, bo Samantha, która wciąż na mnie patrzyła, zaczęła kiwać głową.

- No właśnie – powiedziała. – Zastanów się.

Spojrzałem na nią i się zastanowiłem. I pomyślałem, że choć ten jeden raz mógłbym pozbyć się kogoś z powodu czegoś, czego jeszcze nie zrobił; taka igraszka przewencyjna.

Jednak szczęśliwie dla Samantha, zanim zdążyłem sięgnąć po taśmę samoprzylepną, Debora znów postanowiła wcielić się w rolę życzliwej wybawicielki.

- To wszystko może poczekać - powiedziała. - Teraz zawieziemy cię do domu, do rodziców. - I położyła dłoń na ramieniu Samantha.

Samantha strąciła jej rękę jak ohydneho robala.

- Super - burknęła. - Już nie mogę się doczekać.

- Zapnij pas - rzuciła Debora, po czym odwróciła się do mnie i powiedziała: - Możesz się z nami zabrać.

Już chciałem odpowiedzieć: „Nie, dzięki, zostanę tu i podkarmię komary”, ale w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że moja siostra ma kiepskie osiągnięcia, jeśli chodzi o wyczuwanie ironii, więc tylko skinąłem głową i zapiąłem pas.

Debora połączyła się z dyspozytorem.

- Mam Samanthę Aldovar - powiedziała. - Wiozę ją do domu.

- Normalnie, kurwa, rewelacja - burknęła Samantha.

Deb zerknęła na nią z twarzą zastygłą w grymasie, który zapewne miał być uspokajającym uśmiechem, wrzuciła bieg i miałem nieco ponad pół godziny na to, żeby siedzieć z tyłu i wyobrażać sobie, jak moje życie rozpada się na milion ozdobnych kawałków. Wyjątkowo dołująca wizja - Dexter Zdegradowany, wyrzucony na złom, pozbawiony swojego starannie skompletowanego kostiumu i wszystkich użytecznych rekwizytów. Nie widziałem sposobu, by tego uniknąć. Musiałem błagać Samanthę na kolanach tylko o to, żeby nic nie robiła, gdy spróbuję uciec - a wtedy była wobec mnie obojętna. Teraz, kiedy się na mnie złościła, nijak nie zdołałem jej skłonić do milczenia, no, chyba żebym poddał ją wiwisekcji. Nawet nie mogłem oddać jej kanibalom; Kukarov nie żył, a pozostali byli w rękach policji albo się ukrywali, więc nie miały jej kto zjeść. Obraz sytuacji był ponury i bardzo klarowny: marzenie Samantha przysło, winiła za to mnie i pałała żądzą zemsty - a ja nie mogłem nic na to poradzić.

Nigdy nie przepadałem za ironią, a tu widziałem jej aż za wiele: po wszystkim, co zrobiłem z premedytacją i radością, miałbym zostać

pokonany przez nadąsaną młodą kobietę i butelkę wody? Tylko Francuzi potrafiliby w pełni docenić coś tak subtelnie absurdalnego.

Żeby podkreślić moje kłopotliwe położenie i własną determinację, przez całą drogę do domu Samantha co kilka minut odwracała się i przeszywała mnie wzrokiem. Jechaliśmy drogą 41, a potem nad LeJeune do Grove, gdzie mieszkali Aldovarowie. I tak tylko, dla przypomnienia, że nawet najgorszy żart musi mieć pointę, kiedy skręciliśmy w ulicę Samantha i zbliżaliśmy się do jej domu, Debora mruknęła: „Cholera”, a ja wychyliłem się do przodu i zobaczyłem przez przednią szybę coś, co wyglądało jak wesołe miasteczko.

- Cholerny sukinsyn - burknęła Deb i walnęła dłonią w kierownicę.

- Kto? - spytałem i szczerze mówiąc, ucieszyłem się na myśl, że tym razem dostanie się komuś innemu.

- Kapitan Matthews - odparła. - Po moim zgłoszeniu ściągnął wszystkich cholernych dziennikarzy, żeby puszyć się przed kamerami.

I rzeczywiście, ledwie Debora zatrzymała wóz przed domem Aldovarów, przy drzwiach, jak za sprawą czarów, wyrósł kapitan Matthews. Pomógł wciąż ponurej Samancie wysiąść, wokół trzasnęły flesze i horda drapieżnych reporterów wydała głośnie: „Ojeeeej”. Kapitan troskliwie otoczył dziewczynę ramieniem, po czym władczym gestem machnął na tłum, by się rozstąpił i zrobił im miejsce - naprawdę wiekopomna chwila w dziejach ironii, bo przecież Matthews wezwał ich po to, by zobaczyli ten właśnie moment, a teraz udawał, że chce, żeby zostawili go w spokoju i dali mu pocieszać Samanthę. Oglądałem ten występ z takim podziwem, że przez całą minutę tylko dwa, trzy razy pomyślałem z niepokojem o swojej przyszłości.

Debora nie była aż tak zafascynowana jak ja. Szła za Matthewsem z groźną miną, odpychała każdego reportera, który był na tyle głupi, by wejść jej w drogę, i ogólnie zachowywała się jak ktoś, komu właśnie postawiono zarzut torturowania więźniów. Podążałem za tą wesołą grupką, aż Matthews dotarł do drzwi wejściowych, gdzie już czekali państwo Aldovar, by powitać córkę marnotrawną uściskami, całusami i łzami. Była to nader wzruszająca scena, a kapitan wykorzystał ją tak doskonale, jakby przygotowywał się do tego od miesiący. Stał obok Aldovarów i uśmiechał się do nich promiennie, podczas gdy

rodzice siąkali nosami, a Samantha marszczyła czoło; wreszcie, kiedy wyczuł, że dziennikarze zaczynają tracić zainteresowanie, wystąpił naprzód i uniósł dłoń.

Zanim przemówił do tłumu, nachylił się do Debory i szepnął:

- Bez obaw, Morgan; tym razem nie każę ci nic mówić.

- Tak jest - wycedziła przez zęby.

- Staraj się okazywać dumę i pokorę - doradził, poklepał ją po ramieniu i uśmiechnął się do niej przed kamerami. Kiedy Debora pokazała mu zęby, odwrócił się z powrotem do tłumu.

- Obiecałem, że ją znajdziemy - obwieścił - i znaleźliśmy! - Spojrzał na trio Aldovarów, żeby reporterzy mogli uwiecznić, jak patrzy opiekuńczo na szczęśliwą rodzinę, a potem wygłosił mowę pochwalną na swoją cześć.

Oczywiście nie było ani słowa o ogromnym poświęceniu Dextera ani nawet o sumienności Debory, ale może nie należało wymagać zbyt wiele. Trwało to jakiś czas, aż wreszcie Aldovarowie weszli do domu, reporterzy znudzili się widokiem uniesionego podbródka kapitana, a Debora złapała mnie za ramię i zaciągnęła do swojego samochodu.

Debora w milczeniu jechała Dixie Highway i bez słowa skręciła na południe, w stronę mojego domu, ale po kilku minutach srogi marsz powoli zniknął z jej twarzy, a ręce przestały kurczowo ścisnąć kierownicę.

- Co tam - powiedziała - najważniejsze, że uratowaliśmy Samanthę.

Zaimponowała mi, doskonale wychwytyjąc to, co „najważniejsze”, ale czułem, iż powinienem jej wytknąć, że przeoczyła mnie.

- Samantha nie chciała, żeby ją ratowano - zauważyłem. - Chce zostać zjedzona.

Debora pokręciła głową.

- Nikt nie chce czegoś takiego - orzekła. - Mówiła tak, bo pewnie ma trochę narąbane w głowie i zaczęła się utożsamiać z tymi palantami, którzy ją porwali. Ale żeby chciała zostać zjedzona? - Skrzywiła się, jakby ugryzła cytrynę, i znów pokręciła głową. - Nie wciskaj mi kitu, Dex.

Mogłem powiedzieć, że nie wciskam jej kitu i że przekonaliśmy się o tym, gdyby porozmawiała z Samanthą pięć minut. Kiedy jednak Deb coś sobie wbije do głowy, nie zmienia zdania bez pisemnego rozkazu komendanta policji, a wątpiłem, by taki miał powstać.

- Poza tym - ciągnęła - rodzice mogą ją wysłać do psychologa czy coś. Dla nas jest teraz ważniejsze, żeby skończyć sprawę, zgarnąć Bobby'ego Acostę i resztę tej grupy.

- Kowenu - uściśliłem. - Samantha mówiła, że to się nazywa kowen.

Debora zmarszczyła brwi.

- Wydawało mi się, że w kowenie są czarownice - powiedziała.

- Jak widać kanibale też - zauważyłem.

- Nie sądzę, żeby można było nazwać grupę facetów „kowenem” - upierała się. - To muszą być czarownice. No wiesz, kobiety.

Wydawało się to nieistotnym drobiazgiem, zwłaszcza po wszystkim, przez co przeszedłem, no i byłem zbyt zmęczony, żeby się spierać.

Na szczęście czas spędzony w towarzystwie Samantha przygotował mnie na to, by udzielić najlepszej możliwej odpowiedzi.

- Wszystko jedno - powiedziałem.

Deborę to zadowolilo i wymieniwszy jeszcze kilka pustych uwag, wjechaliśmy na moją ulicę. Wsiadłem przed domem, Deb odjechała, a ja dłużej nie zaprzętałem sobie głowy nazwami; cieszyłem się tylko, że wreszcie wróciłem.

Czekał na mnie dom i to z jakiegoś powodu wydało mi się wzruszające. Debora uprzedziła Ritę przez telefon, że się spóźnię, ale że wszystko w porządku - co trąciło bezdusznym nadmiarem pewności siebie z jej strony. Cóż, kiedy Rita oglądała wiadomości, w których tematem dnia były aresztowania w Everglades - no bo jakże dziennikarze mogliby się oprzeć pokusie? Kanibale, zaginiona nastolatka, strzelanina na mokradłach - wymarzony materiał. Nawet dzwonili już z płatnej stacji kablowej, która chciała wykupić prawa do tej historii.

Tak więc Rita wiedziała, że byłem w samym sercu wydarzeń i narażałem się na wielkie niebezpieczeństwo, i zareagowała z klasą. Czekala na mnie w drzwiach w stanie wzruszenia tak głębokiego, jakiego jeszcze nie było mi dane oglądać.

- Och, Dexter. - Siąknęła nosem i o mało nie utonąłem w jej uściskach i całusach. - Tak bardzo się... Pokazywali to w wiadomościach i widziałam cię, ale nawet jak już Debora zadzwoniła... - Znów mnie pocałowała. - Dzieci oglądały telewizję i Cody powiedział: „O, Dexter”, i spojrzałam... To była informacja z ostatniej chwili - wyjaśniła, zapewne po to, abym nie pomyślał, że wystąpiłem jako gość specjalny w *SpongeBobie*. - O mój Boże - przerwała, żeby się wzdrygnąć, a potem mnie uściskać. - Nie powinieneś musieć robić takich rzeczy - powiedziała bardzo zasadnie. - Ty jesteś od badania śladów i... nawet nie masz broni, a to... Jak oni mogą... A twoja siostra mówiła i w telewizji mówili, że to kanibale i że cię porwali, ale przynajmniej znalazłeś tę dziewczynę i wiem, że to bardzo ważne, ale, o mój Boże, kanibale... W głowie mi się nie mieści, jak... Zabrali cię i przecież mogli... - wreszcie urwała, pewnie z braku tlenu, i skupiła się na siąkaniu nosem w moją koszulę.

Korzystając z tej przerwy, rozejrzałem się z satysfakcją po moim skromnym królestwie. Cody i Astor siedzieli na kanapie i przyglądali się nam z identycznymi minami, wyrażającymi obrzydzenie tą demonstracją uczuć, a obok nich siedział mój brat Brian z promiennym sztucznym uśmiechem przeznaczonym dla nas wszystkich i każdego z osobna. Lily Anne leżała w swoim koszyku obok kanapy i kiwała na mnie palcami u nóg w ciepłym, serdecznym powitaniu. To był idealny obraz, w sam raz do oprawienia w ramki: *Bohater Powraca Do Domu*. I choć niezbyt się ucieszyłem na widok Briana, nie znajdowałem żadnego powodu, dla którego miałbym chcieć, żeby sobie poszedł. Poza tym cała ta życzliwość była zaraźliwa – nawet sztuczna, którą tryskał mój brat – a powietrze wypełniał cudowny aromat, w którym rozpoznałem jeden z największych cudów współczesnego świata: pieczeń wieprzową Rity.

„Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”, powiedziała Dorotka, zanim opuściła krainę Oz.

Niegrzecznie byłoby powiedzieć Ricie, że starczy już tego smarkania, ale miałem za sobą całą masę przykrych doznań, w tym głód, więc wypełniający dom zapach wprawiał moje kiszki w stan szaleństwa, w porównaniu z którym przedawkowanie ekstazy to nic. Pieczeń wieprzowa Rity nawet posąg skłoniłaby do tego, żeby zeskoczyć z cokołu i krzyknąć: „Mniam!” Dlatego gdy się wreszcie wyswobodziłem i wytarłem ramię, podziękowałem jej wylewnie i poszedłem do stołu tylko z jednym krótkim postojem po drodze: żeby zobaczyć Lily Anne i policzyć jej palce u rąk i nóg, tak tylko dla pewności, że żadnego nie brakuje.

I oto zasiedliśmy do posiłku, tworząc obraz idealnej rodziny, a mnie przyszło do głowy, jak bardzo obrazy bywają mylące. Miejsce u szczytu stołu zajmował oczywiście Dex-Tatuś, potwór usiłujący się choć trochę ucłowieczyć. Po jego lewej ręce siedział Brat Brian, potwór znacznie gorszy i wciąż nieokazujący najmniejszej skruchy; a naprzeciw niego – dwójka gładkoliczych, z pozoru niewinnych dzieci, które najbardziej na świecie marzyły o tym, by być takie jak ich nikczemny wujcio. I wszyscy mieli na twarzach fałszywe miny, wyrażające najgłębsze, najbardziej banalne człowieczeństwo, jakie można sobie wyobrazić. To byłby idealny temat dla Normana Rockwella, zwłaszcza gdyby wpadł w szczególnie zgryźliwy nastrój.

Kolacja upływała w ciszy, przerywanej głównie cmoknięciami, jękami rozkoszy i żądaniem Lily Anne, by ją nakarmiono, pewnie sprowokowanymi zapachem i odgłosami jedzenia pieczeni wieprzowej. Rita od czasu do czasu zakłócała milczenie pełnymi niepokojem uwagami à propos niczego i paplała dotąd, aż ktoś podsuwał jej talerz i prosił o dokładkę – co wszyscy oprócz Lily Anne zrobiliśmy po kilka razy. I kiedy posiłek niespiesznie zbliżał się ku końcowi i raz jeszcze dowiedliśmy, że „resztki z pieczeni wieprzowej” to w naszym domu oksymoron, byłem naprawdę bardzo zadowolony, że wróciłem w jednym kawałku do mojego gniazdko.

Uczucie sytej satysfakcji nie opuszczało mnie nawet po kolacji, kiedy Cody i Astor pogalopowali do Wii i gry polegającej na zabijaniu straszliwych potworów. Siedziałem na kanapie i pomagałem Lily Anne bekać, a Rita sprzątała ze stołu. Brian zajął miejsce obok mnie i przez chwilę bezmyślnie przyglądaliśmy się dzieciom, zanim wreszcie się odezwał.

- No cóż – powiedział. – A więc poradziłeś sobie z kowenem.

- Na to wygląda – odparłem.

Skinął głową, a że Cody akurat unicestwił jakiegoś wyjątkowo paskudnego stwora, zawołał: „Brawo, Cody!”, po czym ponownie odwrócił się do mnie i zapytał:

- Złapali już naczelną czarownicę?

- To był George Kukarov – odpowiedziałem. – Zastrzelili go na miejscu.

- Szef klubu Fang? – zdziwił się.

- Zgadza się – potwierdziłem. – I muszę przyznać, że to był doskonały strzał, padł w samą porę.

Brian milczał chwilę.

- Zawsze mi się wydawało, że głową kowenu musi być kobieta – zauważył wreszcie.

Już drugi raz dzisiaj ktoś się ze mną o to spierał i nie miałem ochoty znów tego słuchać.

- Nie mój problem – stwierdziłem. – Debora i jej grupa specjalna zgarną resztę.

- Nie, jeśli uważa, że przywódcą był ten Kukarov – odparł Brian.

Lily Anne wyrwało się ciche, ale silne beknięcie i poczułem, jak wilgoć przesiąka przez ręcznik i moją koszulę. Mała opuściła głowę i zasnęła.

- Brian - powiedziałem - spędziłem jeden koszmarny dzień z tymi ludźmi i wystarczy. Nie obchodzi mnie, czy przywódcą kowenu jest mężczyzna, kobieta czy dwugłowy jaszczur z planety Nardone. To problem Debory, mnie to już nie dotyczy... a właściwie czemu tak się tym przejmujesz?

- Och, wcale się nie przejmuję - rzekł. - Ale jesteś moim młodszym braciszkiem. To naturalne, że się tym interesuję.

Może coś bym odpowiedział, gdyby nie przeszkodziła mi Astor, która wydała zboląły skowyt: „Nieeee!” Obaj odwróciliśmy się gwałtownie w stronę telewizora, w samą porę, by zobaczyć, jak mała złotowłosa postać, która reprezentowała ją na ekranie, ginie w szczękach potwora. Cody powiedział: „Ha”, cicho, ale triumfalnie, i podniósł swój kontroler; gra toczyła się dalej, a ja nie myślałem więcej o czarownicach, kowenach i zainteresowaniu mojego brata jednym i drugim.

Wieczór nieuchronnie dobiegał końca. Złapałem się na tym, że ziewam, szeroko i głośno, a choć było to trochę krępujące, nie mogłem się powstrzymać. Straszliwe katusze, które przeżyłem, mocno dały w kość mojemu biednemu organizmowi, no i jestem pewien, że pieczeń wieprzowa zawiera mnóstwo tryptofanu czy czegoś takiego. Czy sprawiło to połączenie jednego z drugim, czy przyczyna była zupełnie inna, wkrótce stało się dla wszystkich oczywiste, że Dex-Tatuś goni resztkami sił i lada chwila dołączy do Lily Anne w Krainie Snów.

Kiedy już miałem pożegnać przeurocze towarzystwo - którego spora część nawet by tego nie zauważyła, sądząc po tym, jak bardzo byli skupieni na grze wideo - z komórki Briana popłynęły narastające dźwięki *Cwału Walkirii*. Wyjął telefon z futerału, zerknął na ekranik, zmarszczył brwi i od razu poderwał się z miejsca.

- A to pech - powiedział. - Niestety, muszę was opuścić, bez względu na to, jak miło mi tu z wami.

- A jest ci miło? - mruknęła Astor, patrząc, jak Cody nabija kolejne punkty.

Brian obdarzył ją szerokim sztucznym uśmiechem.

- Bardzo - zapewnił. - Jesteście moją rodziną. Ale - dodał z jeszcze szerszym uśmiechem - obowiązki wzywają. Muszę iść do pracy.

- Już noc - zauważył Cody, nie podnosząc głowy.

- Fakt - przyznał Brian. - Ale cóż, czasem muszę pracować nocą.

Spojrzał na mnie radośnie, prawie jakby zamierzał puścić oko, i zaciekawienie wzięło górę nad sennością.

- Czym się teraz zajmujesz? - spytałem go.

- Działalnością usługową - odparł. - I naprawdę muszę lecieć. - Poklepał mnie po ramieniu, tym, z którego nie korzystała Lily Anne, i dodał: - Zresztą na pewno chcesz się wypać po wszystkim, przez co przeszedłeś.

Znów ziewnąłem, więc nie było sensu zaprzeczać, że naprawdę potrzeba mi snu.

- Masz rację - powiedziałem, wstając. - Odprowadzę cię.

- Nie trzeba - rzucił Brian i ruszył do kuchni. - Rita? Jeszcze raz dziękuję za kolejny wyśmienity posiłek i uroczy wieczór.

- Och. - Rita wyłoniła się z kuchni, wycierając ręce w ścierkę do naczyń. - Przecież jeszcze wcześniej i... Napijesz się kawy? Albo...

- Niestety - ubolewał Brian - muszę niezwłocznie wyjść.

- Co to znaczy niezwłocznie? - spytała Astor.

Brian puścił do niej oko.

- To znaczy: nie włączając nogami - wyjaśnił, odwrócił się do Rity i nieporadnie ją uściskał. - Wielkie dzięki, droga pani, i dobrej nocy.

- Tak mi przykro, że... to znaczy, chyba trochę za późno, żeby pracować, a ty... Może zmien pracę? Bo to naprawdę nie...

- Wiem - wszedł jej w słowo Brian. - Ale tak się składa, że to praca idealna dla kogoś o moich kwalifikacjach. - Spojrzał na mnie i poczułem w żołądku zimne mdłości. O ile wiedziałem, miał tylko jedną umiejętność, i nie wyobrażałem sobie, żeby ktokolwiek mógł mu za nią płacić. - No i - mówił dalej do Rity - zapewnia mi pewne dodatkowe korzyści, a w tej chwili naprawdę muszę się nią zająć. Dlatego żegnam was wszystkich serdecznie. - Uniósł dłoń, prawdopodobnie w geście serdecznego pożegnania, i ruszył do drzwi.

- Brian - powiedziałem do jego pleców i musiałem przerwać, bo kolejne nadwerężające szczęki ziewnięcia zawładnęły moim ciałem.

Odwrócił się z uniesionymi brwiami.

- Tak? - spytał.

Próbowałem sobie przypomnieć, co chciałem powiedzieć, ale następne ziewnięcie wybiło mi to z głowy.

- Nic - odparłem. - Dobranoc.

Jego twarz znów rozciągnęła się w tym okropnym sztucznym uśmiechu.

- Dobranoc, braciszku. Wyśpij się. - Otworzył drzwi i zniknął pośród nocy.

- No cóż - stwierdziła Rita. - Brian jest już prawie członkiem rodziny.

Skinąłem głową i lekko mną zakolebało, jakby ten ruch wytrącił mnie z równowagi; miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a padnę na twarz.

- To prawda - mruknąłem i oczywiście podkreśliłem te słowa ziewnięciem.

- Och, Dexter, jakiś ty biedny... Kładź się, musisz być... Daj, wezmę małą. - Wrzuciła ścierkę do kuchni i przybiegła po Lily Anne. Tak byłem wypompowany, że nie mogłem się nadziwić szybkości jej ruchów. W mgnieniu oka włożyła Lily Anne do koszyka i wygoniła mnie do sypialni. - Weź porządny gorący prysznic, wskakuj do łóżka, a jutro śpij do późna. Nie mogą od ciebie oczekiwać... to znaczy, po wszystkim, przez co przeszedłeś...

Byłem zdecydowanie zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć. Jakoś udało mi się dowlec pod prysznic, ale choć oblepiał mnie brud z całego dnia, pod strumieniem gorącej wody strasznie trudno było odpędzić sen na dość długo, by się starannie obmyć. Wreszcie, z uczuciem wręcz nadnaturalnej błogości, padłem na łóżko, zamknąłem oczy i okryłem się po szyję...

I, rzecz jasna, nijak nie mogłem zasnąć. Leżałem z zamkniętymi oczami, czułem, że po drugiej stronie poduszki wzbiera głęboki sen, ale jakoś nie mógł mnie dosięgnąć. Słuchałem, jak Cody i Astor grają na Wii, teraz trochę ciszej wskutek nalegań Rity, która wytłumaczyła im, że próbuję zasnąć. I rzeczywiście próbowałem, tyle że z mizernym skutkiem.

Myśli brnęły przez moją głowę jak parada w zwolnionym tempie. Pomyślałem o czterech osobach na drugim końcu korytarza: o mojej

rodzinie. Wciąż wydawało się to cokolwiek dziwaczne. Dex-Tatuś, obrońca i żywiciel, mąż i ojciec. Jeszcze bardziej dziwaczne było, że mi się to podobało.

Pomyślałem o moim bracie. Nadal nie wiedziałem, co knuje, po co nas odwiedza. Czy to możliwe, że chce poczuć coś w rodzaju rodzinnej więzi? Bardzo trudno w to było uwierzyć – ale z drugiej strony, przed narodzinami Lily Anne równie trudno byłoby uwierzyć, że coś podobnego stanie się ze mną, a tu proszę, wyrzekłem się Mrocznych Rozkoszy i mościłem się na łonie prawdziwej rodziny. Może Brian pragnie tej samej, prostej, ludzkiej więzi. Może też chce się zmienić.

A może ja mógłbym klasnąć trzy razy w dłoń i przywrócić wróżkę Dzwoneczek do życia. To było równie prawdopodobne. Brian przez całe życie kroczył Drogą Mroku i nie mógł się zmienić, nie aż tak. Musiał mieć jakiś inny powód, dla którego wtarabanił się do mojego gniazdka, i wcześniej czy później go poznam. Wątpiłem, by chciał zrobić coś złego mojej rodzinie – ale będę miał go na oku, dopóki nie dowiem się, co szykuje.

No i, oczywiście, pomyślałem o Samancie i jej groźbie, że wszystko wygada. Czy to tylko czcza pogroźka, uzewnętrznienie frustracji wywołanej tym, że była cała, zdrowa i niezjedzona? Czy też naprawdę zacznie mówić i przedstawi wypaczoną wersję tego, co się wydarzyło? Kiedy tylko padnie okropne słowo „gwałt”, wszystko nieodwołalnie się zmieni, i to nie na lepsze. Będziemy mieli Dextera na Dnie, zgniecionego na miazgę przez wymiar niesprawiedliwości. To było niewyobrażalnie straszne i całkiem niezasłużone. Nikt, kto mnie znał, nie mógł mnie uważać za obleśnego potwora, zafiksowanego na punkcie seksu. Zawsze byłem potworem zupełnie innego gatunku. Cóż, kiedy ludzie wierzą w banały nawet nieprawdziwe, a stary facet z nastolatką to banal, jakich mało. Naprawdę nie byłem winny – ale czy znajdzie się ktoś, kto, słysząc domniemaną wersję Samantha, nie puści oka ze złośliwym uśmieszkiem? Nie wziąłem narkotyków dobrowolnie, czy więc naprawdę chce mnie ukarać za sytuację, w której byłem ofiarą? Nie wiedziałem tego na pewno, ale wydawało mi się, że byłaby do tego zdolna. A to by zniszczyło całe moje starannie zbudowane życie.

Co mogłem zrobić? Nieuchronnie nasza mnie myśl, że zabijając Samanthę, rozwiązałbym wszystkie problemy naraz – mógłbym nawet skłonić ją do uległości obietnicą, że schrupię kilka jej kawałeczków, zanim ją wykończę. Nie zrobiłbym tego, rzecz jasna – fuj! – ale jeśli małe kłamstewko miałyby kogoś uszczęśliwić, co w tym złego?

Tak czy owak, nie zabiję jej. I znów ta ironia losu: nie mogłem zabić Samanthy bez względu na to, jak bardzo oboje tego pragnęliśmy. Nie dlatego, że wykształciło się we mnie sumienie; po prostu było to sprzeczne z kodeksem Harry'ego, no i wyjątkowo niebezpieczne, bo Samantha była teraz na oczach wszystkich, zbyt uważnie obserwowana, żebym mógł się do niej zbliżyć. Tak, ryzyko było zdecydowanie za duże. Będę musiał poszukać innego sposobu ocalenia własnej skóry.

Tylko jakiego? Rozwiązanie nie przychodziło, podobnie jak sen, i myśli dalej przewalały się po rozmiękłej podłodze mojego zmęczonego mózgu. Kowen – co za różnica, czy na czele stoi mężczyzna czy kobieta? Kukarov nie żył i tym samym kowenu już nie było.

Ale był Bobby Acosta. Może uda mi się go znaleźć i nakarmić Samanthą. A potem oddać w ręce Debory. Oboje by się ucieszyli.

A Deb naprawdę trzeba jakoś pocieszyć: ostatnio bardzo dziwnie się zachowywała. Czy to coś znaczy? Czy to tylko emocjonalny kac po ranie od noża?

Noże... czy naprawdę mogę porzucić raz na zawsze moje Mroczne Rozkosze? Dla Lily Anne?

Lily Anne... Myślałem o niej bardzo, bardzo długo i nagle było rano.

Posłuchałem rady Rity i następnego ranka spałem do późna. Obudziły mnie dźwięki pustego domu: odległe kapanie wody z prysznicą, włączająca się klimatyzacja i dochodzące z kuchni tykanie zmywarki zmieniającej obroty. Leżałem przez kilka minut, rozkoszując się względną ciszą i uczuciem rozleniwiającego zmęczenia, które ogarniało mnie od stóp do głów. Wczoraj miałem dzień, że ho, ho, i ogólnie rzecz biorąc, uznałem, że to doskonale, iż udało mi się przetrwać. Moja szyja wciąż była trochę sztywna, ale ból głowy minął i czułem się dużo lepiej, niż powinienem – do chwili, kiedy przypomniałem sobie o Samancie.

Dlatego poleżałem jeszcze trochę i zastanawiałem się, czy mogę ją w jakikolwiek sposób przekonać, żeby milczała. W sumie był cień szansy, że się z nią dogadam. Raz mi się to udało, w chłodni klubu Fang, kiedy wzniosłem się na wyżyny poruszającej retoryki, do jakich nigdy wcześniej nawet się nie zbliżyłem. Czy mogę zrobić to znowu i czy za drugim razem wywrze to równie pożądany skutek? Nie byłem pewien, a kiedy rozważałem swoje szanse, przyszedł mi do głowy ten stary tekst o „językach ludzi i aniołów”. Nie pamiętam, jak się kończył, ale chyba niezbyt dobrze. I po co ja czytałem Szekspira?

Usłyszałem, że drzwi wejściowe się otworzyły – to Rita wróciła po odwiezieniu dzieci do szkoły. Przeszła przez salon do kuchni, wytwarzając przy tym wszystkie głośne dźwięki kogoś, kto stara się nie hałasować. Słyszałem, jak mówiła do Lily Anne, zmieniając jej pieluchę, a potem wróciła do kuchni, skąd po chwili dobiegło odkaszlnięcie ekspresu zaczynającego parzyć kawę. Wkrótce do sypialni napłynął zapach świeżej kawy i poczułem się trochę lepiej. Byłem w domu, z Lily Anne, i wszystko było w porządku, przynajmniej na razie. Nie było to racjonalne uczucie, ale, jak się przekonywałem, uczucia z zasady racjonalne nie są i najlepiej cieszyć się tymi przyjemnymi, póki można. Nie ma ich wiele i nigdy nie trwają długo.

Wreszcie usiadłem na krawędzi łóżka i pokręciłem wciąż obolałą szyją w nadziei, że to pomoże. Pomóc nie pomogło, ale i nie było

aż tak nieprzyjemne. Wstałem, co okazało się nieco trudniejsze, niżby wypadało. Nogi miałem sztywne i też trochę obolałe, powlokłem się więc niepewnym krokiem pod prysznic i przez dziesięć długich, rozkosznych minut oblewałem się gorącą wodą. Dzięki temu Dexter był odświeżony i prawie w formie, kiedy wreszcie się ubrał i poszedł do kuchni, gdzie mieszanka niebiańskich zapachów i dźwięków powiedziała mi, że Rita ciężko pracuje.

- Och, Dexter - powiedziała, odłożyła łyżkę kuchenną i pocałowała mnie w policzek. - Słyszałam, jak brałeś prysznic, więc pomyślałam sobie... masz ochotę na naleśniki z jagodami? Co prawda musiałam wziąć mrożone jagody, a one nie są tak dobre jak... Ale jak się czujesz? Bo to nie... mogłabym zamiast tego usmażyć ci jajka i zamrozić naleśniki na... Och, kochanie, usiądź; wyglądasz, jakbyś był wykończony.

Z pomocą Rity klapnąłem na krzesło i odparłem:

- Naleśniki byłyby super.

Zjadłem ich zdecydowanie za dużo, wmawiając sobie, że na to zasłużyłem, i starałem się nie słuchać złośliwego głosu, który szeptał do mojego wewnętrznego ucha, że to może być ostatni raz, jeśli nie rozwiążę problemu Samantha.

Po śniadaniu siedziałem na krześle i wysączyłem kilka filiżanek kawy w próżnej nadziei, że zgodnie z reklamą napełni mnie energią. Kawa była bardzo dobra, ale nie odeгнаła zmęczenia, więc jeszcze trochę poleniuchowałem w domu. Przez jakiś czas siedziałem z Lily Anne na rękach. Raz na mnie z wymiotowała i dziwiłem się, że wcale mi to nie przeszkadza. Potem zasnęła w moich ramionach, a ja posiedziałem z nią jeszcze chwilę, i to też mi się podobało.

W końcu jednak cichy i nieproszony głos obowiązku zaczął zrzędzić, więc ułożyłem Lily Anne w jej koszyku, pocałowałem Ritę i wyszedłem.

Jadąc Dixie Highway, trochę błądziłem myślami, ale kiedy skręciłem na Palmetto Expressway i obudziło się we mnie niepokojące uczucie, że sprawy nie mają się tak, jak powinny, uruchomiłem potężny mózg Dextera i kazałem mu sprawdzić, co jest nie tak. Poszukiwania trwały krótko, lecz nie dzięki potędze mojego umysłu, tylko za sprawą zapachu, który dolatywał zza moich pleców, z tylnego siedzenia. To był straszliwy odór starych, nienazwanych rzeczy rozkładających się,

fermentujących i coraz bardziej martwych. Nie potrafiłem określić co to, wiedziałem tylko, że coś okropnego i z każdą chwilą coraz gorszego.

Prowadząc, nie mogłem zobaczyć, czy mam coś za plecami, nawet gdy przechyliłem lusterko wsteczne w dół, jechałem więc do pracy w głębokim zamyśleniu, aż autobus szkolny, który błąkał się z pasa na pas, zmusił mnie do skupienia się na drodze. Nawet przy małym ruchu nie można sobie pozwolić na chwilę nieuwagi, zwłaszcza w Miami, więc podniosłem lusterko, otworzyłem okno i skoncentrowałem się na tym, żeby dotrzeć do pracy w jednym kawałku.

Kiedy przed komendą zwolniłem, żeby wjechać na moje miejsce parkingowe, fetor znów przybrał na sile i zastanowiłem się, co to może być. Ostatni raz jechałem moim samochodem zaraz przed całym tym bajzlem z Samanthą, który zaczął się w Fang, a przedtem...

Chapin.

Pojechałem samochodem na spotkanie z Victorem Chapinem, a po wszystkim wyniosłem resztki w workach na śmieci. Czy to możliwe, że jakiś mały okrawek wypadł i wciąż tam leży, powoli gnijąc w gorącym, zamkniętym przez cały dzień wozie i wydzielając ten straszliwy smród? To nie do pomyślenia, zawsze byłem taki ostrożny – ale cóż innego mogłoby to być? Odór był więcej niż ohydny, a teraz, podsycany moim niemal panicznym strachem, wydawał się jeszcze gorszy. Nacisnąłem hamulec i obejrzałem się za siebie...

Worek na śmieci. Najwyraźniej jeden przeoczyłem... Nie, to niemożliwe, nie mógłbym być taki głupi, taki nieuważny...

Tyle że tamtej nocy starałem się uwinąć jak najszybciej i wrócić do łóżka. Głupie, samolubne niedbalstwo, wskutek którego teraz byłem pod komendą główną policji z workiem części ciała w samochodzie. Ustawiłem dźwignię zmiany biegów w pozycji „park” i wysiadłem; zimny pot oblewał mi plecy i ściekał po twarzy, gdy otworzyłem tylne drzwi, ukląknę i zajrzałem do środka.

Tak, worek na śmieci. Ale skąd wziął się na podłodze pod tylnym siedzeniem, skoro wszystkie pozostałe spoczęły w bagażniku, a potem...

Jakiś samochód wjechał na miejsce obok mojego. Po krótkim, przesywającym serce ataku paniki wziąłem głęboki oddech,

aby uspokoić nerwy. To żaden problem, pomyślałem, nie dla mnie. Ktokolwiek to był, przywitam się z nim uprzejmie, on pójdzie do budynku, a ja wywożę worek pełen Chapina. To tylko ja, stary dobry Dexter, spec od rozbryzgów krwi, i nikt, nikt w całej komendzie nie miał powodu w to wątpić.

Nikt oprócz człowieka, który wygramolił się z wozu i wpił się we mnie wzrokiem. Czy raczej, gwoli ścisłości, dwóch trzecich człowieka. Brakowało mu dłoni i stóp, a także języka i dlatego nosił ze sobą mały komputer, który pomagał mu mówić. Kiedy ja usiłowałem złapać oddech, on otworzył laptop i, nie odrywając ode mnie oczu, wystukał na klawiaturze zdanie.

- Co... jest... w... worku? - spytał sierżant Doakes przez komputer.

- W worku? - powtórzyłem i przyznam, że nie była to najlepsza odpowiedź.

Czy tylko dlatego, że Doakes mnie nienawidził i podejrzewał, kim naprawdę jestem, czy może przez to, że naprawdę wyglądałem, jakbym miał coś na sumieniu, kiedy tak kuciałem i obmacywałem worek z resztkami - w każdym razie zobaczyłem przerażający błysk w jego oczach i zanim zdążyłem zrobić coś więcej niż wybałuszyć gały, skoczył naprzód, przeciął powietrze swoim metalicznym szponem i wyszarpnął worek z mojego samochodu.

Kiedy tak patrzyłem z przerażeniem i narastającym poczuciem własnej śmiertelności, Doakes odłożył swoją sztuczną krtań na dach wozu, otworzył worek, wsadził szpon do środka i szczerząc zęby w złowieszczym uśmiechu, wyciągnął straszliwie brudną, cuchnącą pieluchę.

Po jego twarzy przebiegała cała gama uczuć, od triumfu do głębokiej odrazy, ja zaś przypomniałem sobie, że gdy wychodziłem na spontaniczną sesję z Chapinem, Rita wcisnęła mi worek brudnych pieluch. A że wtedy mi się spieszyło, zostawiłem go na później. Tyle że później, w całym zamieszaniu związanym ze śmiercią Deke'a, moim uprowadzeniem i okropnym incydentem z Samanthą, ten mały, nieistotny worek z pieluchami wyleciał mi z głowy. Teraz, kiedy wspomnienie wróciło, wezbrała we mnie fala radości, której dodatkowego smaku przydała świadomość, że Lily Anne to cudowne, magiczne dziecko. Lily Anne - królowa pieluch, Jej Okupkana Wysokość

- ocaliła mnie swoimi brudnymi pieluchami. I, co jeszcze lepsze, jednocześnie upokorzyła Doakesa.

Życie było piękne; ojcostwo znów stało się wspaniałą przygodą.

Wstałem i wielce rozbawiony spojrzałem Doakesowi w twarz.

- Wiem, to toksyczne - powiedziałem. - I pewnie niezgodne z kilkoma zarządzeniami władz miasta. - Sięgnąłem po worek. - Ale błagam, sierżancie, nie zamykaj mnie. Słowo daję, wyrzucę to w odpowiednim miejscu.

Doakes oderwał wzrok od pieluchy i popatrzył na mnie z tak potężną nienawiścią i furją, że przez chwilę nawet zapach dolatujący z otwartego worka nie mógł się z tym równać. Potem, wolno i wyraźnie, powiedział:

- Huhyhyn. - I otworzył szpon. Worek upadł na asfalt. Po chwili obok klapnęła pielucha, którą Doakes trzymał w drugim szponie.

- Huhyhyn? To po niderlandzku? - spytałem wesoło.

Doakes tylko porwał srebrną sztuczną krtań z dachu samochodu, odwrócił się ode mnie i brudnych pieluch i ruszył przez parking na swoich sztucznych stopach.

Z bezbrzeżną ulgą odprowadziłem go wzrokiem, a kiedy zniknął w budynku, wziąłem głęboki oddech - duży błąd, biorąc pod uwagę, co leżało mi pod nogami. Krztusząc się i mrugając załzawionymi oczami, schyliłem się, wcisnąłem pieluchę z powrotem do worka, zawiązałem go na supeł i zaniósłem do kontenera na śmieci.

Gdy wreszcie usiadłem za biurkiem, było już wpół do drugiej. Przejrzałem kilka raportów z laboratorium, zrobiłem rutynowe badanie na spektrometrze i w mękach wysączyłem kubek wyjątkowo ohydnej kawy, a tymczasem wskazówki zegara dowlokły się po tarczy do wpół do piątej. Kiedy już myślałem, że udało mi się bezpiecznie przetrwać pierwszy dzień po powrocie z niewoli, weszła Debora. Miała straszną minę. Nie mogłem z niej wyczytać szczegółów, ale wiedziałem, że stało się coś bardzo złego i że było to coś, co wzięła do siebie. A ponieważ znałem Deb całe życie i wiedziałem, jak działa jej umysł, podejrzewałem, że oznacza to kłopoty dla Dextera.

- Dzień dobry - powiedziałem wesoło w nadziei, że jeśli będę wystarczająco radosny, problem zniknie, na czymkolwiek polegał. Oczywiście nie zniknął.

- Samantha Aldovar. - Deb przeszła mnie wzrokiem na wylot i wszystkie moje obawy z ostatniej nocy wróciły wielką falą. Byłem pewien, że Samantha się wygadała i siostra przyszła mnie aresztować. Ta pannica coraz bardziej działała mi na nerwy; nie raczyła nawet poczekać na tyle długo, żebym zdążył sobie przygotować zgrabną wymówkę. Jakby miała język na sprężynie, który musiał wyskoczyć i pójść w ruch, kiedy tylko zaczerpnęła pierwszy oddech na wolności. Pewnie rozpaplała się o mnie, ledwo przestąpiła próg domu, no i teraz byłem skończony. Wszystko przepadło, zostałem - że pozwolę sobie na kiepski żart - wydymany. Natychmiast wypełniły mnie lęk, trwoga i gorycz. Gdzie się podziała stara dobra dyskrecja?

Ale cóż, stało się i Dexterowi nie pozostało nic innego, jak tylko wypić piwo, którego nawarzył, i za nie zapłacić. Dlatego wziąłem głęboki wdech i spojrzałem przeznaczeniu prosto w oczy.

- To nie moja wina - powiedziałem do Debory i zacząłem zbierać swoje rozmiękle myśli w przygotowaniu do Pierwszego Etapu Obrony Dextera.

Ona jednak zamrugała, a jej ponura twarz zmarszczyła się w wyrazie zdumienia.

- Jak to, kurwa, nie twoja wina? Kto tak twierdzi?... Niby jak mogłaby to być twoja wina?

I znów miałem wrażenie, że wszyscy wokół trzymają się starannie przeciwionego scenariusza, a ja muszę improwizować.

- Chodzi mi o to, że... - urwałem w nadziei, że ktoś podsunie mi moją kwestię.

- Jezu Chryste - burknęła Deb. - Dlaczego wszystko zawsze musi się obracać wokół ciebie?

Mogłem odpowiedzieć: „Bo jakimś cudem zawsze tkwię w centrum wszystkiego, zwykle wbrew własnej woli, i najczęściej dlatego, że ty mnie tam wpychasz”, ale rozsądek wziął górę.

- Przepraszam - powiedziałem potulnie. - Co się stało, Deb?

Chwilę na mnie patrzyła, w końcu pokręciła głową i zwiesiła ramiona.

- Samantha Aldovar - powtórzyła. - Znowu zniknęła.

W takich momentach jak ten myślę sobie, jakie to szczęście, że miałem tyle lat na to, by wyćwiczyć okazywanie tylko tych uczuć, które chcę okazywać - bo w pierwszym odruchu korciło mnie, żeby krzyknąć: „Hurra! Brawo, mała!”, i zaintonować radosną pieśń. Dlatego za jeden z największych wyczynów aktorskich naszej epoki należy uznać, że zamiast tego zdołałem udać zaskoczenie i niepokój.

- Żartujesz - powiedziałem z myślą: obyś nie żartowała.

- Dziś nie poszła do szkoły, odpoczywała w domu - wyjaśniła Debora.

- No wiesz, strasznie dużo przeszła. - Mojej siostrze najwyraźniej umknęło, że ja przeszedłem jeszcze więcej, ale nikt nie jest doskonały. - Koło drugiej jej matka pojechała na zakupy - ciągnęła - a kiedy niedawno wróciła, Samantha już nie było. - Deb pokręciła głową. - Zostawiła wiadomość: „Nie szukajcie mnie, nie wróć”. Ona uciekła, Dex. Po prostu uciekła.

Nastrój poprawił mi się tak bardzo, że zdołałem zwalczyć chęć powiedzenia: „A nie mówiłem?” Deb nie wierzyła mi, kiedy ją przekonywałem, że Samantha oddała się w ręce kanibali z własnej woli. A skoro tak, trudno było się dziwić, że teraz przy pierwszej okazji dała nogę. Może nie była to szlachetna myśl, ale miałem nadzieję, że znalazła dobrą kryjówkę.

Debora westchnęła ciężko.

- Jeszcze nigdy nie słyszałam o syndromie sztokholmskim tak silnym, że ofiara sama wraca do porywaczy - powiedziała.

- To żaden syndrom sztokholmski, Deb. - Ja też westchnąłem, bo teraz już naprawdę nie mogłem się powstrzymać. - Przecież ci mówiłem. Samantha chce, żeby ją zjedzono. Marzy o tym.

- Gównu prawda - rzuciła ze złością. - Nikt nie chce czegoś takiego.

- To dlaczego znowu uciekła? - spytałem, a ona pokręciła głową i spojrzała w dół na swoje dłonie.

- Nie wiem - odparła. Wpatrywała się w swoje dłonie, jakby miała nadzieję, że odpowiedź znajdzie wypisaną na kłykciach. Wreszcie uniosła głowę i powiedziała: - Zresztą to nieważne. Liczy się to, dokąd poszła. - Spojrzała na mnie. - Jak sądzisz, Dex, dokąd mogła pójść?

Szczerze mówiąc, było mi kompletnie obojętne, dokąd poszła, byle tylko tam została. Musiałem jednak coś powiedzieć.

- A co z Bobbym Acostą? - zapytałem. - Znaleźliście go?

- Jeszcze nie - mruknęła ponuro i wzruszyła ramionami. - Niby nie może się wiecznie ukrywać, ale z drugiej strony, jego rodzina ma forszę i wpływy, więc na pewno coś wymyślą, żeby mu załatwić zwolnienie.

- A mogliby go wypuścić?

- Chyba tak. Wprawdzie mamy dwóch świadków, którzy widzieli Acostę w samochodzie Tyler Spanos, ale dobry adwokat w dwie sekundy zetrze tych Haitańczyków na miazgę. No i uciekał przede mną... ale to też za mało. Reszta to na razie domysły i pogłoski... Cholera, pewnie mogliby go wypuścić. - Skinęła głową w zamyśleniu i znów spojrzała na swoje dłonie. - Bobby Acosta znowu wyjdzie - powiedziała cicho - a wtedy nikt nie odpowie za... - urwała i spojrzała na mnie z wyrazem twarzy, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widziałem.

- Co się stało? - spytałem.

Debora przygryzła wargę.

- Może... - znowu urwała. - Sama nie wiem - wzięła głęboki oddech - ale może jest coś, no wiesz... coś, co mógłbyś z tym zrobić.

Zamrugalem kilka razy i ledwo się powstrzymałem, żeby nie sprawdzić, czy nadal mamy pod nogami podłogę. Nie sposób było opacznie zrozumieć, co sugerowała. W mniemaniu Deb miałem tylko dwie specjalności i w tym przypadku na pewno nie chodziło jej o to, żebym poddał Bobby'ego Acostę badaniom krwi.

Debora była jedyną osobą na świecie, która wiedziała o moim hobby. Miałem wrażenie, że nauczyła się je tolerować, choć nie bez oporu - ale żeby otwarcie sugerować, abym je na kimś praktykował? To tak dalece przekraczało granice wszystkiego, co uważała za dopuszczalne, że na dłuższą chwilę dosłownie zaniemówiłem.

- Deb - zdołałem wreszcie wykrztusić.

Musiła zauważyć moje osłupienie, ale tylko wychyliła się do przodu najdalej, jak mogła, nie spadając przy tym z krzesła, i powiedziała:

- Bobby Acosta to morderca, ale wyjdzie na wolność... znowu... tylko dlatego, że ma kasę i znajomości. To nie w porządku, dobrze o tym wiesz... a tata na pewno chciał, żebyś załatwiał właśnie takie sprawy.

- Słuchaj - zacząłem, lecz Deb jeszcze nie skończyła.

- Dexter, do cholery. Długo starałam się zrozumieć ciebie i to, jakie tata miał wobec ciebie plany, i wreszcie rozumiem. Doskonale wiem, co chodziło mu po głowie, bo też jestem gliną, a każdy glina pewnego dnia trafia na kogoś takiego jak Bobby Acosta, mordercę, który wychodzi na wolność, nawet jeśli zrobisz wszystko, jak należy. Nie możesz spać, zgrzytasz zębami, chce ci się wyć i kogoś udusić, ale masz obowiązek łykać to gównu z uśmiechem i nic nie możesz na to poradzić. - Wstała, położyła pięść na moim biurku i zbliżyła twarz do mojej twarzy. - Ale tata znalazł rozwiązanie, sposób, żeby uprzątnąć ten zasrany bajzel. - Dźgnęła mnie palcem w pierś. - Tym rozwiązaniem jesteś ty. I teraz musisz zrobić to, czego tata od ciebie oczekiwał, Dexter. Musisz zająć się Bobbym Acostą.

Przez kilka sekund patrzyła na mnie, a ja rozpaczliwie szukałem jakiejś sensownej odpowiedzi. I chociaż byłem znany - zasłużenie - z giętkiego języka i ogólnej błyskotliwości, nie znalazłem żadnych słów, których mógłbym się złapać jak koła ratunkowego. No bo tego było już trochę za wiele: tak bardzo się starałem zmienić na lepsze, wieść normalny żywot, i z tego powodu zostałem naszpikowany prochami, zmuszony do udziału w orgii, wyszydzony i pobity przez kanibali - a teraz jeszcze moja siostra, funkcjonariuszka organów ścigania i odwieczna przeciwniczka wszystkiego, co mi drogie, prosiła ni mniej, ni więcej, tylko o to, żebym kogoś zabił. Zacząłem myśleć, że może nadal leżę gdzieś, skrępowany i naćpany, a to wszystko to tylko zwidy. Była to bardzo pocieszająca teoria - ale burczało mi w brzuchu, bolała mnie dźgnięta przez Deborę pierś i zrozumiałem, że coś tak nieprzyjemnego zapewne jest prawdziwe i że muszę się z tym pogodzić.

- Debora - odpowiedziałem ostrożnie - chyba jesteś trochę wzburzona...

- A żebyś, kurde, wiedział - odparowała. - Flaki sobie wypruwam, żeby uratować Samanthę Aldovar, a ta znowu znika... i założę się, że ma ją Bobby Acosta i że ujdzie mu to na sucho.

Oczywiście powinna powiedzieć, że to mnie wypruwała flaki, by uratować Samanthę Aldovar - ale to nie był właściwy moment, żeby ją poprawiać, a poza tym podejrzewałem, że miała rację co do Bobby'ego Acosty. On wciągnął Samanthę w to wszystko i jako jeden z niewielu wciąż mógł pomóc spełnić jej marzenie. A poza tym

zmiana tematu rozmowy z tego, co zrobić z Acostą, na to, gdzie on jest, mogła mi ułatwić wybrnięcie z tej niezręcznej sytuacji.

- Myślę, że masz rację - zgodziłem się z nią. - To przez Acostę się w to wpackowała. Na pewno poszła do niego.

Wbrew moim oczekiwaniom Debora nie usiadła, tylko wciąż patrzyła na mnie, z czerwonymi plamami na policzkach i ogniem w oczach.

- W porządku - rzekła wreszcie. - Znajdę gnoja. A wtedy...

Chwila wytchnienia i zmiana tematu to czasem wszystko, na co można liczyć, a ja właśnie byłem w takiej sytuacji. Mogłem tylko mieć nadzieję, że zanim znajdziemy Acostę, Debora trochę ochłonie i uzna, że podanie Dexterowi przestępcy na talerzu to nie najmądrzejsze posunięcie. Może sama go zastrzeli. Tak czy owak, miałem spokój - chwilowo.

- No dobra. Jak zamierzasz go znaleźć?

Wyprostowała się i przeczesła palcami włosy.

- Pogadam z jego starym - odparła. - Musi wiedzieć, że dla Bobby'ego najlepiej będzie przyjść tu z adwokatem.

To na pewno było prawdą - ale z drugiej strony, Joe Acosta jest bogaty i wpływowy, a moja siostra twarda i uparta, więc spotkanie dwóch takich osób przebiegnie dużo sprawniej, jeśli przynajmniej jeden z obecnych będzie miał choć odrobinę taktu. Debora nie miała go ani trochę; pewnie nawet nie wiedziała, co to znaczy. A Joe Acosta, sądząc z jego reputacji, był typem człowieka, który, gdyby potrzebował taktu, kupiłby go sobie. Zostawałem więc tylko ja.

Wstałem.

- Pojadę z tobą - zaproponowałem.

Chwilę wpatrywała się we mnie i myślałem, że powie „nie” z czystej przekory. W końcu jednak skinęła głową.

- Zgoda - rzuciła i ruszyła do drzwi.

Jak większość mieszkańców Miami, sporo wiedziałem o Joem Acoście z gazet. Radnym był prawie od zawsze, a nawet przedtem różne informacje o jego życiu od czasu do czasu trafiały do mediów. To była ciepła historia ku pokrzepieniu serc, opowieść o zwyczajnym chłopcu, któremu dobrze się powiodło. Chociaż w przypadku Acosty była to raczej opowieść o zwyczajnym *chico*, któremu *bueno* się powiodło.

Joe Acosta przybył do Miami z Hawany na pokładzie jednego z pierwszych Samolotów Wolności, przewożących dzieci kubańskich opozycjonistów w ramach operacji „Pedro Pan”. Był wtedy jeszcze bardzo mały, więc łatwo przystosował się do życia w Stanach, a zarazem pozostał *gusano* w wystarczającym stopniu, by zdobyć silną pozycję w kubańskiej społeczności. Dzięki temu świetnie się ustawił. Podczas boomu w latach osiemdziesiątych zajął się nieruchomościami, a wszystkie zyski zainwestował w jedno z nowych osiedli budowanych na południe od South Miami. Mieszkania rozeszły się w pół roku. Obecnie jego firma budowlano-deweloperska była jedną z największych na południowej Florydzie i jeżdżąc po mieście, widziało się tablice z jego nazwiskiem na prawie każdym placu budowy. Wiodło mu się tak dobrze, że nawet ostatni kryzys finansowy za bardzo mu nie zaszkodził. Inna sprawa, że nie musiał polegać wyłącznie na swojej firmie budowlanej. Zawsze mógł się poratować pensją radnego, wynoszącą sześć tysięcy dolarów.

Przed mniej więcej dziesięcioma laty Joe ożenił się po raz drugi i wyglądało na to, że nawet rozwód go nie zrujnował, bo wciąż wiódł dostatni i publiczny żywot. Często pojawiał się w plotkarskich rubrykach gazet, fotografowany u boku nowej żony, brytyjskiej piękności, która w latach dziewięćdziesiątych spłodziła sporo wyjątkowo okropnych techno-popowych hitów, a kiedy do ludzi dotarło, że jej muzyki nie da się słuchać, przyjechała do Miami, znalazła Joego i szybko przyzwyczaiała się do przyjemnego życia żony robiącej za żywą ozdobę męża.

Acosta miał biuro na Brickell Avenue i tam go znaleźliśmy. Zajmował całe ostatnie piętro jednego z nowszych drapaczy chmur, za sprawą których panorama Miami wygląda, jakby z kosmosu spadło wielkie lustro i potłukło się na wysokie, poszarpane odłamki, sterczące z ziemi w nieregularnych odstępach. Przeszliśmy obok strażnika w holu i wjechaliśmy windą na górę. Z supermodnej, pełnej stali i skóry poczekalni rozciągał się wspaniały widok na zatokę Biscayne. Mieliśmy pod dostatkiem czasu, by go podziwiać, jako że Acosta kazał nam czekać czterdzieści pięć minut – w końcu skoro ma się wpływy, czemu ich nie wykorzystać do utrudniania życia policji.

Podziałało to rewelacyjnie, przynajmniej na Deborę. Ja siedziałem spokojnie i wertowałem ekskluzywne magazyny dla miłośników wędkarstwa rekreacyjnego, a ona wierciła się, na przemian zaciskała i rozwierała pięści i szczęki, zakładała nogę na nogę, zdejmowała i zakładała z powrotem, i bębniła palcami w poręcz krzesła. Wyglądała jak ktoś, kto czeka na otwarcie punktu wydawania metadonu.

Po jakimś czasie nie mogłem się skupić nawet na zdjęciach absurdalnie bogatych facetów, którzy jedną ręką obejmowali modelkę w bikini, a drugą wielką rybę, więc odłożyłem magazyn.

- Deb, nie wierć się, na litość boską. Zrobisz dziurę w krześle.

- Ten sukinsyn każe mi czekać, bo coś knuje – syknęła.

- Ten sukinsyn jest zapracowanym człowiekiem – powiedziałem. – A do tego bogatym i wpływowym. Poza tym wie, że szukasz jego syna. A to znaczy, że może kazać nam czekać, jak długo zechce. Dlatego odpręż się i podziwiał widok. – Sięgnąłem po jeden z magazynów i podałem jej. – Czytałaś ten numer „Cigar Afficionado”?

Odrząciła pismo z pacnięciem, które wydało się nienaturalnie głośne w stonowanej, klinicznie eleganckiej poczekalni.

- Daję mu jeszcze pięć minut – warknęła.

- I co potem? – spytałem.

Nie miała na to odpowiedzi, przynajmniej werbalnej, ale spojrzenie, które mi posłała, na pewno ścięłoby mleko, gdybym akurat je pił.

Ostatecznie nie dowiedziałem się, co zrobiłaby po upływie pięciu minut, bo po zaledwie trzech i pół drzwi windy otworzyły się i obok nas przeszła elegancka kobieta. Byłaby wysoka nawet bez butów na niebotycznych obcasach, a platynowe włosy nosiła krótko obcięte,

pewnie po to, żeby nie zasłaniały ogromnego brylantu, który wisiał na okalającym jej szyję grubym złotym łańcuchu. Kamień był osadzony w oku czegoś, co wyglądało jak ankh, tyle że z ostrym jak sztylet szpicem. Kobieta zerknęła na nas wyniośle i ruszyła prosto do recepcjonistki.

- Muriel - odezwała się z angielskim akcentem - bądź tak dobra i przynieś kawę. - Nie zatrzymując się, minęła recepcjonistkę, otworzyła drzwi gabinetu Acosty i wszedłszy do środka, zamknęła je za sobą.

- To Alana Acosta - szepnąłem do Deb. - Żona Joego.

- Wiem, kto to, do cholery - burknęła i znów zaczęła zgrzytać zębami.

Było oczywiste, że moje żalosne próby dodaniu jej otuchy nie odnoszą skutku, sięgnąłem więc po następny magazyn. Zawierał zdjęcia i opisy ubrań, które trzeba nosić na pokładzie łodzi kosztujących tyle, co małe państwo. Nie zdążyłem jednak przejrzeć go na tyle dokładnie, by zrozumieć, dlaczego szorty za tysiąc dwieście dolarów są lepsze od tych za piętnaście z Walmartu, bo zawołała nas recepcjonistka.

- Sierżant Morgan? - powiedziała i Debora zerwała się z krzesła, jakby siedziała na wielkiej stalowej sprężynie. - Pan Acosta prosi. - Recepcjonistka machnęła ręką w stronę drzwi gabinetu.

- Czas, kurwa, najwyższy - burknęła Deb pod nosem.

Recepcjonistka chyba to usłyszała, bo uśmiechnęła się do nas wyniośle, kiedy przechodziliśmy obok niej, Debora przodem, a ja tuż za nią.

Gabinet Joego Acosty był tak duży, że można by zorganizować w nim kongres. Całą jedną ścianę zajmował największy telewizor płaskoekranowy, jaki w życiu widziałem. Naprzeciwko niego wisiał obraz, który powinno się raczej trzymać w muzeum, pod strażą. Były też barek połączony z małą kuchnią, dwie kanapy i kilka foteli, które wyglądały, jakby pochodziły z klubu dla dżentelmenów z czasów Imperium Brytyjskiego, i zapewne kosztowały więcej niż mój dom. Alana Acosta siedziała w jednym z nich i sączyła kawę z porcelanowej filiżanki. Nas nie poczęstowała.

Joe siedział za masywnym biurkiem ze szkła i stali, przed szklaną ścianą, która wychodziła na zatokę Biscayne. Mimo że szkło było przyciemniane, późnopołudniowe słońce odbijające się od lustra wody napełniało pokój nadnaturalnym blaskiem.

Kiedy weszliśmy, Acosta wstał i światło z okna za jego plecami otoczyło go jasną poświatą, przez co patrząc na niego, trudno było nie mrużyć oczu. Ja patrzyłem mimo to i musiałem przyznać, że nawet bez tego nimbu wyglądałby imponująco.

Nie fizycznie; był chudy, ciemnowłosy, ciemnooki i ubrany w niewątpliwie bardzo drogi garnitur. No i znacznie niższy od żony, może jednak sądził, że potęga jego osobowości przewycięża taki drobiazg, jak pół metra różnicy wzrostu. A może to pieniądze dawały mu wewnętrzną siłę, którą emanował. W każdym razie miał tę siłę, czemukolwiek to zawdzięczał. Gdy tak patrzył na nas zza biurka, nagle ogarnęła mnie pokusa, żeby paść na kolana, a przynajmniej nisko się pokłonić.

- Przepraszam, że kazałem pani czekać, pani sierżant - powiedział - ale moja żona chciała być przy naszej rozmowie. - Machnął ręką w kierunku kanap. - Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. - Wyszedł zza biurka i usiadł w wielkim fotelu naprzeciwko Alany.

Debora chwilę się wahała i zauważyłem, że wyglądała trochę niepewnie, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że stoi przed obliczem człowieka, który jest w hierarchii tylko trochę niżej od Boga. W końcu jednak przemogła onieśmielenie i ruszyła w stronę kanapy. Usiadła, a ja obok niej.

Kanapa najwyraźniej została zaprojektowana na wzór muchołówki, bo ledwie usiadłem, natychmiast wessała mnie głęboka pluszowa poduszka. Kiedy próbowałem utrzymać się w pozycji wyprostowanej, przyszło mi do głowy, że to jeszcze jedna sztuczka, za pomocą której Acosta onieśmielał ludzi, taka sama jak ustawienie biurka przed nasłonecznionym oknem. Debora chyba też tak pomyślała, bo zauważyłem, że zacisnęła szczęki i gwałtownie wysunęła się do przodu, by przycupnąć na krawędzi kanapy.

- Panie Acosta - zaczęła - musimy porozmawiać z pańskim synem.

- O czym? - spytał. Siedział wygodnie w fotelu z nogą założoną na nogę i wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

- O Samancie Aldovar - odparła Deb. - I Tyler Spanos. Joe się uśmiechnął.

- Roberto ma dużo dziewczyn - skwitował. - Nawet nie próbuję być z nimi na bieżąco.

Debora nasrożyła się, ale szczęśliwie dla nas wszystkich zdołała się opanować.

- Jak pan na pewno słyszał, Tyler Spanos została zamordowana, a Samantha Aldovar zaginęła. I myślę, że pański syn wie coś o nich obu.

- Dlaczego pani tak sądzi? - zapytała Alana ze swojego fotela naprzeciwko męża. Następna sztuczka: żeby za nimi nadążyć, musieliśmy kręcić głowami z boku na bok, jakbyśmy oglądali mecz ping-ponga.

Debora mimo to na nią spojrzała.

- Bobby zna Samanthę - powiedziała. - Mam też świadków, którzy twierdzą, że sprzedał im wóz Tyler. To oznacza kradzież samochodu i współudział w zabójstwie, a to dopiero początek.

- Nic mi nie wiadomo o tym, by Bobby'emu postawiono jakiegokolwiek zarzuty - rzekł Acosta i oboje ponownie odwróciliśmy głowy ku niemu.

- Jeszcze nie - odparła Debora. - Ale to tylko kwestia czasu.

- W takim razie może powinniśmy rozmawiać w obecności adwokata - powiedziała Alana.

Deb zerknęła na nią i znów spojrzała na Joego.

- Wolalabym najpierw porozmawiać z panem - rzekła. - Zanim wmieszają się w to prawnicy.

Acosta skinął głową, jakby oczekiwał od funkcjonariusza policji tego rodzaju specjalnych względów i zapytał:

- Dlaczego?

- Bobby ma kłopoty - wyjaśniła Debora. - Chyba sam o tym wie. A w tej chwili najkorzystniej dla niego będzie przyjść do mojego biura z adwokatem i oddać się w ręce policji.

- Oszczędziłoby to wam pracy - skomentowała Alana z wyniosłym uśmiechem.

Deb wpiła się w nią wzrokiem.

- Nie mam nic przeciwko pracy - stwierdziła. - I tak czy inaczej go znajdę. Tyle że będzie wtedy w o wiele gorszej sytuacji. Gdyby

stawiał opór, może nawet spotkać go coś złego. – Spojrzała na Acostę. – Będzie dla niego zdecydowanie lepiej, jeżeli zgłosi się dobrowolnie.

– Dlaczego sądzi pani, że wiem, gdzie on jest? – spytał Acosta.

Debora długo patrzyła na niego, aż w końcu odwróciła wzrok i wyrzała przez panoramiczne okno na zatokę.

– Gdyby chodziło o mojego syna – odparła – wiedziałabym, gdzie jest. Albo jak go znaleźć.

– Nie ma pani dzieci, prawda? – spytała Alana.

– Nie – przyznała Deb. Przez długą, krępującą chwilę patrzyła na Alanę, po czym zwróciła się do Joego. – To pański syn, panie Acosta. Jeśli wie pan, gdzie on jest, i zatai pan to, kiedy wniosę oskarżenie przeciwko niemu, będzie to równoznaczne z ukrywaniem zbiega.

– Uważa pani, że powinienem wydać własnego syna? – rzucił. – Pani zdaniem to właściwe?

– Tak – odparła.

– „Radny przestrzega prawa, nawet gdy to boli” – powiedziałem moim najlepszym głosem prezentera wiadomości. Spojrzał na mnie z niemal namacalnym gniewem, więc wzruszyłem ramionami i dodałem: – Jeśli pan chce, może pan wymyślić coś lepszego.

Nawet nie spróbował, tylko nadal na mnie patrzył. Nie miałem się gdzie ukryć, więc wytrzymałem jego spojrzenie. W końcu odwrócił się do Debory.

– Nie wydaję własnego syna, pani sierżant – powiedział głosem zbliżonym do syczenia węża. – Bez względu na to, co waszym zdaniem zrobił.

– Moim zdaniem jest zamieszany w handel narkotykami, zabójstwo i jeszcze gorsze sprawy – odparła Debora. – I to nie pierwszy raz.

– Skończył z tym – stwierdził Acosta. – Alana sprowadziła go na dobrą drogę.

Deb zerknęła na Alanę, która obdarzyła ją kolejnym wyniosłym uśmiechem, i oświadczyła:

– Z niczym nie skończył. Stał się jeszcze gorszy.

– Jest moim synem – zachnął się Acosta. – To jeszcze dziecko.

– Jest gnidą, nie dzieckiem – odrzekła Debora. – Zabija ludzi i ich zjada. – Alana prychnęła, ale Joe zbladł i próbował coś powiedzieć. Deb

nie pozwoliła mu na to. - Bobby potrzebuje pomocy, panie Acosta - oznajmiła. - Psychiatrów, psychologów i tak dalej. Potrzebuje też pana.

- Niech was diabli - warknął Acosta.

- Jeśli tak pan to zostawi, stanie mu się coś złego - przekonywała go moja siostra. - Gdyby dobrowolnie się zgłosił...

- Nie wydam własnego syna - powtórzył Acosta. Wyraźnie walczył z nerwami i na razie chyba wygrywał.

- Dlaczego nie? - spytała Debora. - Przecież może mu pan załatwić zwolnienie; nie byłby to pierwszy raz. - Jej głos był twardy jak stal, co wyraźnie zaskoczyło Acostę. Spojrzał na nią i poruszył ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku, więc Deb mówiła dalej zabójczo rzeczowym tonem: - Przy pańskich koneksjach i majątku stać pana na najlepszych adwokatów. Skończy się na jakiejś śmiesznej karze i Bobby'ego wypuszczą. Tak być nie powinno, ale będzie, oboje to wiemy. Pański syn wyjdzie na wolność, jak zawsze. Ale tylko jeśli zgłosi się dobrowolnie.

- To pani tak twierdzi - powiedział Joe. - Ale w życiu nie ma nic pewnego. I jakkolwiek to się skończy, wyjdzie na to, że sprzedałem syna. - Znów przeszył mnie wzrokiem. - Dla chwyтлиwego nagłówka. - Wrócił spojrzeniem do Debory. - Nie zrobię tego.

- Panie Acosta... - zaczęła, ale uniósł dłoń, nakazując jej milczenie.

- Tak czy inaczej - oznajmił - nie wiem, gdzie on jest.

Przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem i było dla mnie jasne jak słońce, że żadne z nich nie zamierza się poddać. Oni też doszli do tego wniosku; Debora wolno pokręciła głową i z wysiłkiem dźwignęła się z kanapy. Przez chwilę stała i patrzyła z góry na Acostę.

- W porządku - odezwała się wreszcie. - Skoro tak pan chce to rozegrać, nie będę nalegać. Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas. - Odwróciła się, ruszyła do drzwi i zanim zdążyłem się wyzwolić z żelaznego uścisku mięsożernej kanapy, już miała rękę na klamce.

Kiedy wreszcie wstałem, Alana rozplotła swoje długie nogi i podniosła się z fotela. Zrobiła to tak niespodziewanie i tak teatralnie, że zamarłem w połowie ruchu i tylko patrzyłem, jak sztywno wyprostowana podchodzi do męża.

- Strasznie się wynudziłam - powiedziała.

- Idziesz do domu? - spytał ją Joe.

Schyliła się i cmoknęła męża w policzek. Wielki ankh z brylantem zakołysał się i uderzył go w podbródek. Jako że nie rozciął skóry, Acosta zupełnie się tym nie przejął.

- Tak - odparła. - Do zobaczenia wieczorem. - Ruszyła do drzwi, a ja uprzytomniłem sobie, że wciąż się na nią gapię, więc otrząsnąłem się i podążyłem za nią.

Debora czekała przy windzie, tupiąc niecierpliwie. Alana, najwyraźniej nieświadoma niezręczności sytuacji, stanęła obok niej. Debora spojrzała na nią; musiała wyciągnąć szyję, żeby zobaczyć jej twarz, ale to zrobiła. Alana odwzajemniła spojrzenie, a kiedy brzęknął dzwonek i drzwi windy się rozsunęły, odwróciła wzrok i weszła do środka. Deb, zgrzytając zębami, ruszyła za nią. Nie pozostało mi nic innego, jak wskoczyć między nie i mieć nadzieję, że zdołam zapobiec walce na noże.

Ale do żadnej walki nie doszło. Gdy drzwi się zamknęły i winda ruszyła w dół, Alana spojrzała z góry na Deborahę i powiedziała:

- Wiem, gdzie jest Bobby.

To była jedna z tych chwil, kiedy słowa wiszą w powietrzu i wszyscy wiedzą, co znaczy każde z nich, ale nie mogą ich połączyć w całość, która znaczyłaby to, co im się wydaje. Winda pędziła w dół. Spojrzałem na Alanę. Miałem oczy mniej więcej na wysokości jej podbródka, więc mogłem dobrze się przyjrzeć naszyjnikowi z brylantem. To rzeczywiście był ankh, jak przypuszczałem. Lekko wydłużony, zwęzał się ku końcowi, tworząc ostry szpic. Zastanawiałem się, czy Alana ma od niego bliźny. Nie za dobrze znam się na brylantach, lecz ten nawet z bliska wydawał się prawdziwy, no i był ogromny.

Debora nie miała takiego widoku jak ja, więc pierwsza ochłonęła.

- Co to znaczy, do licha? - powiedziała.

Alana spojrzała na nią z góry. Przy swoim wzroście inaczej nie mogła, ale kryło się za tym coś więcej. Patrzyła na Deb z drwiącym rozbawieniem, którego okazywanie tylko Angole opanowali do perfekcji.

- A co chciałaby pani, żeby znaczyło, pani sierżant? - Słowo „sierżant” powiedziała takim tonem, jakby chodziło o jakiegoś robaka, co nie umknęło uwagi mojej siostry. Deb się zaczerwieniła.

- Zastanawiam się, czy to jakaś podpucha, żebyś mogła sobie popatrzeć, jak my, maluczcy, się miotamy - odparła. - Po kiego czorta mówisz, że wiesz, gdzie jest Bobby, skoro obie świetnie wiemy, że mi tego nie powiesz?

Alana zrobiła jeszcze bardziej rozbawioną minę.

- A kto powiedział, że nie powiem?

Debora walnęła wielki czerwony guzik na tablicy sterowniczej. Winda stanęła gwałtownie i na zewnątrz rozbrzęczał się dzwonek.

- Słuchaj no - powiedziała moja siostra i stanęła twarzą w twarz, czy raczej twarzą w szyję, z Alaną. - Nie mam czasu na durne gierki. Szukam dziewczyny, której życie jest zagrożone, i myślę, że Bobby Acosta albo ją przetrzymuje, albo wie, gdzie ona jest. Muszę ją znaleźć,

zanim zostanie zamordowana, więc jeśli wiesz, gdzie jest Bobby, powiedz mi. Bo inaczej wsadzę cię do paki pod zarzutem ukrywania dowodów.

Na Alanie nie zrobiło to wrażenia. Uśmiechnęła się, pokręciła głową, sięgnęła za plecy Deb i wcisnęła guzik. Gdy winda ruszyła, odparła swobodnym tonem:

- Ależ pani sierżant, nie musi mnie pani straszyć biczami i łańcuchami. Chętnie pani powiem, gdzie jest Bobby.

- To przestań mnie wodzić za nos i gadaj - rzuciła Debora.

- Joe ma nieruchomość, którą Bobby bardzo lubi - oznajmiła Alana. - Jest duża, przeszło czterdzieści hektarów, i całkowicie opuszczona.

- Gdzie? - wycedziła Debora przez zęby.

- Słyszała pani o Krainie Piratów?

Deb skinęła głową.

- Słyszałam.

Ja też wiedziałem. Kraina Piratów była kiedyś największym parkiem rozrywki na południowej Florydzie. W dzieciństwie wiele razy tam jeździliśmy i świetnie się bawiliśmy. Oczywiście byliśmy wtedy prostaczkami, które nic nie wiedziały o świecie, więc dopiero kiedy nadagresywna mysz otworzyła biznes na północ od nas, zdaliśmy sobie sprawę, że Kraina Piratów to tylko nędzna namiastka. Do tego samego wniosku doszła reszta mieszkańców południowej Florydy, no i Kraina Piratów wkrótce zamknęła podwoje. Miałem jednak kilka miłych wspomnień związanych z tym miejscem.

- Jest nieczynna od lat - wtrąciłem i Alana spojrzała na mnie.

- Tak - potwierdziła. - Zbankrutowała, długo stała pusta i w końcu Joe kupił ją za bezcen. To porządna działka komercyjna, ale nic z nią nie zrobił. Bobby lubi tam jeździć. Czasem uruchamia karuzele dla znajomych.

- Dlaczego uważasz, że tam jest? - spytała Deb.

Wzruszenie ramion Alany było pełne wdzięku i jednocześnie wzgardliwe.

- Bo to logiczne - odparła takim tonem, jakby nie miała pewności, czy Debora zna to słowo. - To całkowite odludzie. Podoba mu się tam. Na terenie lunaparku jest stary domek dozorczy, o który Bobby bardzo

dba. – Uśmiechnęła się. – Zdaje się, że od czasu do czasu przywozi tam dziewczyny.

Winda stanęła gwałtownie, drzwi rozsunęły się i do kabiny wpakowało się kilkanaście osób.

– Odprowadźcie mnie do samochodu – powiedziała Alana nad ich głowami i weszła w tłum krokiem człowieka pewnego, że wszyscy zejść mu z drogi. Tak też się stało.

Debora i ja ruszyliśmy za nią, dużo mniej pewnie. Najpierw dostałem łokciem pod żebro od potężnego babska w średnim wieku, a potem musiałem przytrzymać zamykające się drzwi, zanim udało mi się wyjść do holu. Deb i Alana były już na drugim końcu i szły szybkim krokiem do drzwi prowadzących na podziemny parking, więc musiałem prawie biec, żeby je dogonić.

Dopałem je, kiedy wchodziły w drzwi, i usłyszałem końcówkę pytania Debory:

– ...miałabym ci wierzyć?

Alana wyszła na parking.

– Dlatego, słonko, że Bobby naraża na szwank wszystko, na co tak długo pracowałam.

– Pracowałaś? – prychnęła Deb z pogardą. – To odpowiednie słowo na określenie tego, co robisz?

– Och, zapewniam, że to ciężka praca – odrzekła Alana. – Tak było od samego początku, od czasów mojej kariery w show-biznesie. Może mi pani wierzyć, trzeba się nieźle napocić, żeby zrobić karierę muzyczną, zwłaszcza kiedy ktoś nie ma krzty talentu. – Uśmiechnęła się ciepło do Debory. – W dużej mierze sprowadza się to do dawania dupy bardzo niesympatycznym typom. Na pewno zgodzi się pani ze mną, że nie jest to łatwe.

– Pewnie dużo trudniejsze niż wydanie policji własnego syna – mruknęła Deb.

– Pasierba – uściśliła Alana, zupełnie nieporuszona. Wzruszyła ramionami i stanęła obok jaskrawopomarańczowego kabrioletu ferrari zaparkowanego obok tabliczki „Zakaz parkowania”. – Bobby i ja nigdy dobrze ze sobą nie żyliśmy, wbrew temu, co sądzi Joe. Poza tym, jak sama pani słusznie zauważyła, dopóki pieniądze i wpływy Joego pozostaną nienaruszone, Bobby’emu włos z głowy nie spadnie.

Jeśli jednak pozwolimy, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli, możemy wszystko stracić. Wtedy Bobby'ego zamkną na długo, Joe zaniedba interesy i zbankrutuje, próbując go wyciągnąć z więzienia, a ja będę musiała się rozejrzeć za nowym sposobem zarabiania na życie, co przysporzy mi sporo problemów, bo, niestety, nie jestem już pierwszej młodości.

Debora spojrzała na mnie spod uniesionych brwi. To, co mówiła Alana, miało sens, zwłaszcza dla kogoś nieniekuszonego przez ludzkie uczucia, jak do niedawna ja. Jej rozumowanie było klinicznie chłodne, ale klarowne i z pewnością zgodne z tym, czego jak dotąd dowiedzieliśmy się o żonie Joego Acosty. A jednak coś mi tu nie grało. Czy sposób, w jaki przedstawiła swoje argumenty, czy coś innego – nie potrafiłem stwierdzić, ale coś tu zgrzytało.

- Co zrobisz, jeśli Joe się dowie, że go wsypałaś? – spytałem Alanę.

Spojrzała na mnie i w tym momencie zrozumiałem, co było nie tak, bo w głębi jej oczu dostrzegłem coś bardzo ciemnego i błoniaszkowatego, tylko przez chwilę, zanim maska zimnego rozbawienia opadła z powrotem na jej twarz.

- Przekonam go, żeby mi przebaczył – odparła i kąci jej ust uniosły się w cudownej imitacji uśmiechu. – Poza tym nie dowie się, prawda? – Odwróciła się do Debory. – To będzie nasz mały sekret, zgoda?

- Nie mogę tego obiecać – zaproponowała Deb. – Jeśli zabiorę oddział specjalny do Krainy Piratów, ludzie się o tym dowiedzą.

- Więc musi pani załatwić to sama – orzekła Alana. – Sprawdzenie anonimowej informacji... nie tak się na to mówi? Pojedzie tam pani sama, nic nikomu nie mówiąc. A kiedy wróci pani z Bobbym, kogo będzie obchodziło, skąd pani wiedziała, gdzie był?

Byłem święcie przekonany, że Debora powie Alanie, że to absurdalny pomysł, w ogóle nie ma o czym mówić, to byłoby niedopuszczalne odstępstwo od procedur, a poza tym bardzo niebezpieczne. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Alana wygięła usta w łuk i uniosła brwi. Nie było cienia wątpliwości, że rzuca jej wyzwanie, ale tak dla pewności dodała:

- Chyba nie boi się pani jednego młodego człowieka? Ma pani taki ładny pistolet, a on jest zupełnie sam, bez broni.

- Nie o to chodzi – powiedziała Deb.

Z twarzy Alany zniknęło rozbawienie.

- Nie - przyznała. - Chodzi o to, że musi pani pojechać tam sama, bo inaczej zrobi się wielki szum, Joe dowie się, że to ja wam wszystko powiedziałam, a nie chcę ryzykować, że tak się stanie. Więc jeśli uprze się pani, żeby zabrać tam cały oddział i urządzić awanturę, uprzedzę Bobby'ego o waszym przyjeździe i zanim cokolwiek zrobicie, on już będzie w Kostaryce. - W jej oczach znów zatrzepotały na moment mroczne skrzydła. Zmusiła się do uśmiechu, ale nie wyglądała ani trochę sympatyczniej. - Jak to się mówi? Wóz albo przewóz. Zgoda?

Widziałem wiele innych możliwości niezwiązanych ze środkami transportu, a już na pewno nie paliłem się do tego, by wejść na opuszczony, wrogi teren i próbować schwytać Bobby'ego Acostę bez solidnego wsparcia tylko dlatego, że według Alany był sam i nieuzbrojony. Najwyraźniej jednak Debora była ulepiona z twardszej gliny, bo wytrzymała jej spojrzenie i po chwili skinęła głową.

- Zgoda - powiedziała. - Załatwię to po twojemu. I jeśli Bobby tam będzie, Joe nie usłyszy ode mnie, jak się o tym dowiedzieliśmy.

- Świetnie. - Alana otworzyła drzwi ferrari, wsiadła i uruchomiła silnik. Dla efektu wcisnęła dwa razy pedał gazu i grube betonowe ściany podziemnego parkingu zadrżały. Posłała nam jeszcze jeden zimny uśmiech - i znów przez sekundę widziałem w jej oczach trzepoczący cień. Zamknęła drzwi, wrzuciła bieg i odjechała z piskiem opon.

Debora odprowadziła ją wzrokiem, co dało mi trochę czasu na to, żeby ochłonąć po spotkaniu z wewnętrzną Alaną. Sam nie wiem, czemu zszokowało mnie odnalezienie drapieźcy w tak stylowym i pięknym opakowaniu. Przecież to było całkiem logiczne. Z tego, co wiedziałem o Alanie, jej życie było jednym długim pasmem bezwzględności, a tylko osoba określonego pokroju może tyle razy wbijać innym nóż w plecy, i to najwyraźniej skutecznie.

Przynajmniej teraz rozumiałem, dlaczego wydała Bobby'ego. Tak postępuje smok, który próbuje chronić swoje ciężko wywalczone złote gniazdo; jednym posunięciem zabezpieczyła skarb i wyeliminowała rywala. Bardzo sprytny manewr; moje mroczne „ja” było pełne uznania dla jej sposobu myślenia.

Deb odwróciła się raptownie od znikającego ferrari i ruszyła do drzwi prowadzących do głównego holu.

- Załatwmy to - rzuciła przez ramię.

W milczeniu przemierzaliśmy korytarz i wyszliśmy na Brickell Avenue. Samochód Debory stał w niedozwolonym miejscu przy krawężniku - wzorcowy przykład Policyjnego Parkowania. Wsiadliśmy, ale chociaż moja siostra tak się spieszyła do samochodu, nie uruchomiła go od razu. Położyła ręce na kierownicy i wychyliła się do przodu ze zmarszczonym czołem.

- O co chodzi? - spytałem.

Pokręciła głową.

- Coś tu nie gra - odparła.

- Myślisz, że Bobby'ego tam nie ma?

Skrzywiła się.

- Po prostu nie ufam tej suce.

Uznałem, że to bardzo rozsądne. Krótki rzut oka na prawdziwe „ja” Alany przekonał mnie, że zawsze robi to, co dobre dla niej, bez względu na konsekwencje dla reszty świata. A to, że pomagała nam wsadzić Bobby'ego za kratki, wydawało się pasować do jej planów.

- Nie musisz jej ufać - powiedziałem. - Bo w tej sprawie kieruje się własnym interesem.

- Zamknij się - warknęła Deb, więc się zamknąłem.

Patrzyłem, jak bębni palcami w kierownicę, wydyma wargi, pociera czoło. Pomyślałem, że fajnie byłoby mieć jakieś podobne zajęcie, które pomogłoby mi zabić czas, ale żadne nie przyszło mi do głowy. Nie podobało mi się, że mieliśmy we dwójkę osaczyć Bobby'ego Acostę. Może nie wydawał się groźny - ale większość ludzi to samo myślała o mnie i proszę, jak na tym wyszli.

A nawet jeśli Bobby nie był śmiertelnie groźny, w całej tej sytuacji było zbyt wiele nieznanych i złowieszczo przypadkowych czynników. Mówiąc najzupełniej szczerze - co czasem bywa konieczne - pomyślałem, że jeśli znów przybędę z odsieczą Samancie, resztki nadziei na jej milczenie prysną bezpowrotnie.

Z drugiej strony, doskonale wiedziałem, że nie mogę zostawić Debory samej. To byłoby wbrew wszystkim regułom, które przyswoiłem sobie przez całe moje perfidnie nikczemne życie. Co więcej,

stwierdziłem, że Nowy Dexter, tatuś Lily Anne, który tak usilnie się starał uczłowieczyć, coś czuje w związku z tą sytuacją. Tym czymś była troska o Deborę – nie chciałem, by mojej siostrze stała się krzywda, a jeśli miała się narazić na niebezpieczeństwo, pragnąłem być przy niej i jej strzec.

Bardzo to było dziwne, być rozdartym między obawą o Deborę a autentycznym pragnieniem pozbycia się Samantha – dwie przeciwne siły, ciągnące każda w swoją stronę. Byłem ciekaw, czy to znaczy, że jestem dokładnie w połowie drogi między Mrocznym Dexterem a Dex-Tatusiem. Mroczny Tatuś? To brzmiało nieźle.

Debora walnęła pięściami w kierownicę, wyrывая mnie z tego, pożałuj Boże, transu.

- Szlag by to trafił – warknęła. – Nie ufam babie i już.

Rozsądek brał górę. Od razu poczułem się lepiej.

- Więc tam nie pojedziesz? – spytałem.

Debora uruchomiła silnik.

- Oczywiście, że pojedę – powiedziała i wrzuciła bieg. – Ale nie muszę załatwiać tego sama.

Może powinienem był zwrócić jej uwagę, że skoro siedzę z nią w samochodzie, to nie jest sama. Ona jednak już przyspieszyła do takiej prędkości, że zacząłem się bać o własne życie, więc tylko sięgnąłem po pas bezpieczeństwa i zapiąłem go ciaśniej niż zwykle.

Zawsze uważałem, że trzeba być upośledzonym umysłowo, by sądzić, że można bezpiecznie prowadzić pędzący samochód i jednocześnie rozmawiać przez komórkę. Pech chciał, że Debora była tą przypadłością dotknięta, ale cóż, rodzina to rodzina, więc siedziałem cicho, kiedy wyciągnęła telefon. Gdy z wyciem silnika skręcaliśmy na autostradę I-95, jedną dłoń trzymała na kierownicy, a drugą wybierała numer. Wcisnęła tylko jeden guzik, co znaczyło, że to numer wprowadzony pod szybkim wybieraniem, i domyślałem się, do kogo należy. Potwierdzenie uzyskałem, ledwie zaczęła mówić.

- To ja - powiedziała. - Trafisz do Krainy Piratów? Tak, na północ. Dobra, będę przed główną bramą. Jak najszybciej. Przywieź trochę sprzętu. Kocham cię - rzuciła i się rozłączyła.

Niewielu było ludzi, których Deb kochała, a jeszcze mniej takich, którym była gotowa to wyznać, więc bez trudu odgadłem, z kim rozmawiała.

- Dołącz do nas Chutsky? - spytałem.

Skinęła głową i schowała komórkę do futerału.

- Wsparcie - powiedziała, a potem, szczęśliwie dla mojego spokoju ducha, położyła obie dłonie na kierownicy i skupiła się na lawirowaniu wśród samochodów.

W miejsce, gdzie niszczała Kraina Piratów, jechało się jakieś dwadzieścia minut, ale Deborze wystarczyło dwanaście; na drogę prowadzącą do głównej bramy skręciła z prędkością więcej niż brawurową. Skoro Chutsky'ego jeszcze nie było, mogliśmy jechać w rozsądniejszym tempie, a i tak mielibyśmy sporo czasu, żeby spokojnie na niego poczekać. Deb nie zdejmowała jednak nogi z gazu do chwili, aż przed nami pojawiła się brama; wtedy wreszcie zwolniła i zatrzymała się na poboczu, przy wrotach, za którymi dawniej rozciągała się Kraina Piratów.

Moją pierwszą reakcją była ulga. Nie tylko dlatego, że Deb nie zabiła nas obojga, ale i dlatego, że Roger, ośmiometrowy pirat, którego

tak dobrze pamiętałem z dzieciństwa, wciąż pełnił straż przy bramie. Jaskrawe farby, którymi go pomalowano, wyblakły, czas i żywioły zerwały mu papugę z ramienia, a wzniesiona szabla była ułamana, ale wciąż miał opaskę na jednym oku i złośliwy błysk w drugim. Wysiadłem i spojrzałem na mojego starego druha. W dzieciństwie zawsze czułem, że łączy mnie z Rogerem szczególna więź. Bądź co bądź był piratem, co znaczyło, że mógł pływać wielkim żaglowcem i szatkować każdego, kogo chciał, co wówczas wydawało mi się idealnym sposobem na życie.

Mimo to dziwnie było znów stać w jego cieniu i wspominać, jak to miejsce wyglądało przed laty i ile Roger dla mnie znaczył. Czułem, że bez względu na jego opłakany stan, winien mu jestem hołd, w takiej czy innej formie. Dlatego przez chwilę patrzyłem na niego z dołu i w końcu powiedziałem: „Aaarrrr”. Nie odpowiedział, za to Deb dziwnie na mnie spojrzała.

Odsunąłem się od Rogera i zajrzałem przez siatkę do lunaparku. W gasnącym świetle dnia niewiele było do oglądania: ta sama zbieranina pstrokatych tablic i karuzeli, które pamiętałem, teraz zdewastowanych i mocno wyblakłych po latach niszczenia w palącym słońcu Florydy. Nad wszystkim górowała wysoka i zupełnie niepiracka wieża, którą nazwano Grotmasztem. Zwisało z niej kilka metalowych ramion, każde z dyndającą na końcu okratowaną kabiną. Nigdy nie mogłem pojąć, co ma wspólnego z piratami, bez względu na to, iloma tabliczkami i flagami została obwieszona, a kiedy spytałem o to Harry’ego, tylko poklepał mnie po głowie i powiedział, że zrobili na niej dobry interes; poza tym fajnie się wjeżdżało na samą górę. Był stamtąd niesamowity widok i gdy się zamknęło jedno oko i zawołało: „Jo-ho-ho!”, można było prawie zapomnieć, że to tak nowocześnie wyglądająca konstrukcja.

Teraz wieża jakby lekko się przechylała na bok i wszystkie kabiny oprócz jednej zniknęły albo zostały zdemolowane. Ale że nie zamierzałem dziś wjeżdżać na górę, nie miało to znaczenia.

Z miejsca, w którym stałem, nie widziałem pozostałej części lunaparku, więc skoro do przyjazdu Chutsky’ego i tak nie miałem nic do roboty, pogрузyłem się we wspomnieniach. Byłem ciekaw, czy w sztucznej rzece wijącej się przez Krainę Piratów nadal jest woda. Kiedyś pływał po niej straszny korab „Zemsta” – duma i radość Rogera

Pirata. Z obu burt sterczały lufy dział, które naprawdę strzelały. A na brzegu można było wsiąść do sztucznego wydrążonego pnia i spłynąć wodospadem. Dalej, w drugim końcu lunaparku, znajdował się tor przeszkód. Tak jak w przypadku wieży, nigdy nie mogłem pojąć, co miał wspólnego z piratami, ale to była ulubiona przejażdżka Deb. Ciekawiło mnie, czy teraz o niej myśli.

Spojrzałem na siostrę. Przechadzała się w tę i z powrotem przed bramą, zerkając to na drogę, to na lunapark, co jakiś czas przystawała i zakładała ręce na piersi, by znów ruszyć w swoją wędrówkę, kilka kroków w jedną stronę, kilka w drugą. Widać było, że za chwilę pęknie z niecierpliwości, uznałem więc, że wypadłoby ją trochę uspokoić i podzielić się rodzinnym wspomnieniem. Kiedy przechodziła obok mnie, zawołałem do jej pleców:

- Debora!

Odwróciła się na pięcie i spojrzała na mnie.

- Co? - warknęła.

- Pamiętasz tor przeszkód? - spytałem. - Uwielbiałaś na nim jeździć.

Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym zaproponował jej skok z wieży.

- Jezu Chryste - powiedziała. - Nie przyjechaliśmy tu w jakąś pieprzoną podróż sentymentalną. - Odwróciła się i pomaszerowała do drugiego końca bramy.

Widać jej nie opadły miłe wspomnienia. Pomyślałem, że może ubywa jej cech ludzkich w miarę, jak przybywa ich mnie. No ale były jeszcze te dziwne i jakże ludzkie humory, którym ostatnio ulegała - zatem to wytłumaczenie odpadało.

Tak czy owak, Debora najwyraźniej uznała, że chodzenie wte i wewte i zgrzytanie zębami jest fajniejsze od snucia radosnych wspomnień o naszych dziecięcych igraszkach w Krainie Piratów. Dlatego pozwoliłem jej defilować w spokoju, a sam zająłem się patrzeniem przez siatkę i tak to trwało jeszcze przez pięć długich minut, aż przyjechał Chutsky. Wreszcie.

Zaparkował za samochodem Debory i wysiadł z metalową walizką, którą położył na dachu swojego wozu. Deb przypadła do niego i powitała go tak ciepło i serdecznie, jak tylko ona potrafi.

- Gdzie, kurwa, byłeś? - powiedziała.

- Cześć - odparł Chutsky. Schylił się, żeby ją pocałować, ale wywinęła mu się i złapała walizkę. Wzruszył ramionami i skinął mi głową. - Cześć, stary.

- Co tu masz? - spytała Deb.

Zabrał jej walizkę i otworzył.

- Mówiłaś, żebym wziął sprzęt - odparł. - Nie wiedziałem, co miałaś na myśli, więc przywiozłem całą kolekcję. - Wyjął mały karabin szturmowy ze składaną kolbą. - Najlepszy heckler and koch. - Pokazał go nam i położył na masce, po czym wyjął z walizki dwie znacznie mniejsze sztuki broni. - Tu macie małe, ale porządne uzi. - Pieszczotliwie poklepał jedno stalowym hakiem, który zastępował mu lewą dłoń, odłożył oba i wyjął dwa pistolety automatyczne. - Standardowe modele wojskowe, kaliber 9 milimetrów, dziewiętnaście nabojów w magazynku. - Spojrzał na Deborahę i dodał: - Każdy z nich o wiele lepszy od tego szajsu, który nosisz.

- Mam go po tacie - wyjaśniła Debora, sięgając po jeden z pistoletów.

Chutsky wzruszył ramionami.

- To czterdziestoletnia pukawka - przypomniał. - Prawie tak stara jak ja, a to niedobrze.

Debora zwolniła magazynek, odciągnęła zamek i zajrzała do komory.

- To nie oblężenie Khe Sanh, do cholery - warknęła i wcisnęła magazynek z powrotem. - Biorę ten.

Chutsky skinął głową.

- Słusznie - ocenił. Sięgnął za jej plecy do walizki. - Zapasowy magazynek - powiedział, ale Deb pokręciła głową.

- Jeśli jeden mi nie wystarczy, i tak nie będzie co ze mnie zbierać - stwierdziła.

- Pewnie masz rację - przyznał Chutsky. - Czego właściwie mamy się spodziewać?

Debora zatknęła pistolet za pas spodni.

- Nie wiem - odparła. - Powiedziano nam, że jest tu sam. - Chutsky uniósł brwi. - Biały mężczyzna, dwadzieścia dwa lata - wyjaśniła. - Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ciemne włosy... Ale szczerze mówiąc, nie mamy pojęcia, czy naprawdę tu jest, czy jest sam, a już na pewno nie ufam suce, która dała nam cynk.

- W takim razie dobrze, że mnie wezwałaś - powiedział, kiwając z zadowoleniem głową. - Kiedyś poszłabyś tam sama z pukawką twojego taty. - Spojrzał na mnie. - Wiem, że nie lubisz broni i przemocy - uśmiechnął się i znowu wzruszył ramionami - ale rozumiesz... lepiej, żebyś nie wchodził tam goły i wesoły, kolego. - Skinął głową w stronę swojego arsenału, rozłożonego na masce samochodu. - Przywitaj się z moim małym przyjacielem.

To była najgorsza imitacja *Człowieka z blizną*, jaką kiedykolwiek słyszałem, lecz mimo to podszedłem, żeby obejrzeć broń z bliska. Rzeczywiście nie lubię pistoletów: robią tyle hałasu i bałaganu i ani nie wymagają wprawy, ani nie dają przyjemności. Z drugiej strony, nie byłem tu po to, żeby się dobrze bawić.

- Jeśli nie masz nic przeciwko - zacząłem - wezmę ten drugi pistolet. I zapasowy magazynek. - Uznałem, że jeśli będę w ogóle potrzebował broni, to będę jej potrzebował naprawdę, a dziewiętnaście zapasowych pocisków to znowu nie taki wielki ciężar.

- Super - odparł wesoło. - Jesteś pewien, że wiesz, co się z tym robi? To był taki nasz mały prywatny żarcik - mały głównie dlatego, że śmieszył tylko Chutsky'ego. Doskonale wiedział, że potrafię posługiwać się bronią. Ale żeby miał radochę, podniosłem pistolet za lufę.

- O ile pamiętam, trzyma się z tej strony i celuje o tak.

- Doskonale - zakpił Chutsky. - Tylko jaj sobie nie odstrzel, co? - Wziął karabin szturmowy na pasku, który przewiesił sobie przez ramię. - Ja wezmę to małe cudeńko. Gdyby jednak zrobiło się z tego drugie Khe Sanh, będę gotowy na przyjęcie Wietkongu. - Przez chwilę patrzył na broń z taką samą czułością, z jaką ja patrzyłem na Rogera; najwyraźniej miał związane z nią miłe wspomnienia.

- Chutsky - burknęła Debora.

Poderwał wzrok, jakby przyłapała go na oglądaniu pornoli.

- No dobra, jak chcesz to rozegrać? - spytał.

- Wchodzimy przez bramę - wyjaśniła. - Potem tyralierą na drugi koniec lunaparku. Tam powinny być kwatery personelu. - Spojrzała na mnie.

- Pamiętam - powiedziałem, kiwając głową.

- Czyli tam jest domek dozorczy - ciągnęła - w którym powinien być Bobby Acosta. - Zwróciła się do Chutsky'ego: - Ty idź z prawej i ubezpieczaj mnie. Dexter pójdzie z lewej.

- Nie możesz ot tak wywalić drzwi z kopa i wpaść do środka - stwierdził Chutsky. - To szaleństwo.

- Każę mu wyjść - odparła Debora. - Chcę, żeby pomyślał, że jestem sama. Potem zobaczymy, co się stanie. Jeśli to pułapka, będę mogła liczyć na was.

- No tak - mruknął Chutsky z powątpiewaniem. - Ale mimo wszystko będziesz na odkrytym terenie.

Machnęła ręką, poirytowana.

- Nic mi nie będzie - zapewniła. - Myślę, że jest tam też ta dziewczyna, Samantha Aldovar - dodała. - Dlatego uważaj. Nie zgrywaj Rambo.

- Dobra - mruknął. - Ale tego chłopaka, jak mu tam, Bobby'ego, chcesz mieć żywego, zgadza się?

Debora milczała trochę za długo.

- Oczywiście - odezwała się w końcu. Nie zabrzmiało to przekonująco. - Idziemy.

Odwróciła się i ruszyła w stronę bramy. Chutsky chwilę za nią patrzył, po czym wyjął z walizki dwa zapasowe magazynki i wsunął je do kieszeni. Walizkę zamknął i wrzucił do samochodu.

- No dobra, stary - powiedział, odwrócił się i spojrzał na mnie. To było zaskakująco rzewne spojrzenie. - Nie pozwól, żeby stało jej się coś złego - rzekł i pierwszy raz, odkąd go znałem, dostrzegłem na jego twarzy coś na kształt autentycznego uczucia.

- Jasne - odparłem, lekko zakłopotany.

Ścisnął moje ramię.

- No dobra - powtórzył. Jeszcze chwilę na mnie patrzył, wreszcie odwrócił wzrok i ruszył za Deborą.

Stała przy bramie z drucianej siatki i sięgała do kłódki po drugiej stronie.

- Chyba powinienem ci uświadomić, że nielegalnie wchodzisz na prywatny teren - powiedziałem, chociaż w istocie bardziej martwiłem się, co to będzie, gdy znów znajdę Samanthę i wypuszczę na świat aż nazbyt chętny słuchać jej pikantnych opowieści.

Deb jednak pociągnęła za kłódkę, a ta otworzyła się w jej dłoni.

- Otwarte - oznajmiła głosem przeznaczonym dla ławy przysięgłych.
- Ktoś dostał się na teren parku rozrywki, prawdopodobnie nielegalnie i prawdopodobnie w celu popełnienia przestępstwa. Moim obowiązkiem jest to sprawdzić.

- Chwila moment - wtrącił się Chutsky. - Jeśli gnojek się tu ukrywa, dlaczego brama jest otwarta?

Jakimś cudem powstrzymałem się, żeby go nie uściskać, i zamiast tego powiedziałem:

- Ma rację, Deb. To pułapka.

Niecierpliwie pokręciła głową.

- Wiedzieliśmy, że tak może być - stwierdziła. - Dlatego wzięłam was ze sobą.

Chutsky się zasępił.

- To mi się nie podoba - wyznał.

- Wcale nie musi - odparowała Debora. - Nawet nie musisz tam wchodzić.

- Nie puszczę cię samej - powiedział. - Dexter też nie. W normalnych okolicznościach pewnie miałbym ochotę skopać Chutsky'emu tyłek za to, że składa delikatną skórę Dextera na ołtarzu zbytecznego ryzyka. Jednak w pełni się z nim zgadzałem - ten jeden raz. Było oczywiste, że tu potrzebny był ktoś z odrobiną zdrowego rozsądku, a w naszej małej grupce to kryterium spełniałem tylko ja.

- Zgadza się - zapewniłem. - Poza tym, gdyby zrobiło się gorąco, zawsze możemy wezwać wsparcie.

Najwyraźniej powiedziałem nie to, co trzeba. Debora łypnęła na mnie spode łba, podeszła i zbliżyła twarz do mojej twarzy.

- Dawaj telefon - warknęła.

- Co?

- Już! - Wyciągnęła rękę.

- To nowiotki blackberry - zaprotestowałem, ale było oczywiste, że albo go oddam, albo stracę władzę w rękach pod gradem jej ciosów w ramię, więc wykonałem polecenie.

- Ty też, Chutsky - powiedziała i podeszła do niego. Posłusznie oddał telefon.

- To zły pomysł, kochanie - stwierdził.

- Nie pozwolę, żeby któryś z was spanikował i wszystko spieprzył - postanowiła. Potruchtała z powrotem do samochodu, rzuciła wszystkie telefony, ze swoim włącznie, na przednie siedzenie i wróciła do nas.

- Słuchaj, Debbie, co do tych telefonów... - zaczął Chutsky, ale nie dała mu dokończyć.

- Do licha, Chutsky, muszę to zrobić, i to bez zawracania sobie głowy prawami aresztowanego i resztą tych pierdol. Jeśli ci to nie pasuje, zamknij gębę i jedź do domu. - Szarpnęła za łańcuch. Puścił. - Ale ja tam idę. Znajdę Samanthę i załatwię Bobby'ego Acostę. - Zerwała kłódkę z łańcucha i kopnęła bramę, która otworzyła się z przeraźliwym zgrzytem. Deb łypnęła na Chutsky'ego, a potem na mnie. - To na razie - powiedziała i przeszła przez bramę.

- Hej, Debbie, czekaj! - zawołał Chutsky. Zignorowała go, więc ciężko westchnął i spojrzał na mnie. - No dobra, stary, ja biorę prawą flankę, ty lewą. Ruszamy. - I poszedł za Deborą.

Zauważyliście kiedyś, że chociaż na okrągło gadamy o wolności, właściwie nigdy jej nie mamy? Nie chciałem iść za moją siostrą do lunaparku, w którym, co wydawało się oczywiste, czekała na nas pułapka, a nawet gdyby wszystko dobrze poszło, w najlepszym razie mogłem liczyć na to, że Samantha Aldovar zrujnuje mi życie. Gdybym tak naprawdę miał choć odrobinę wolności, wsiadłbym do samochodu Debory i pojechał na Calle Ocho na porządny stek i napój Ironbeer.

Jednak jak wszystko na tym świecie, co z pozoru dobre, wolność jest złudzeniem. Ja zaś w tej sytuacji miałem nie więcej do powiedzenia niż człowiek przypięty do krzesła elektrycznego, któremu mówią, że po włączeniu prądu może żyć tak długo, jak zechce.

Spojrzałem na Rogera. Jego uśmiech nagle zaczął mi się wydawać złośliwy.

- Nie szczerz się - rzuciłem do niego. Nie odpowiedział.

Poszedłem za Deborą i Chutskym do lunaparku.

Jestem pewien, że wszyscy oglądaliśmy wystarczająco dużo starych filmów, by wiedzieć, że rozsądni ludzie unikają opuszczonych lunaparków, zwłaszcza gdy, jak to było w tej chwili, zachodzi słońce. Straszliwe rzeczy czyhają w takich miejscach i kto tam wchodzi, sam się prosi o zgubę. Może byłem przewrażliwiony, ale Kraina Piratów naprawdę przyprawiała mnie o dreszcze, jakie potrafi wywołać tylko film klasy B. Nad niszczącymi karuzelami i budynkami wisiało echo odległego śmiechu, w którym pobrzmiwała nuta drwiny, jakby zaniedbywany przez lata lunapark zgorzkniał i niecierpliwie czekał, kiedy stanie mi się coś złego.

Debora najwyraźniej nie zapoznała się należycie ze starymi filmami, bo spokojnie wyjęła pistolet zza paska i weszła do lunaparku, zupełnie jakby wchodziła do sklepu na rogu postrzelać do skórek z bekonu. Dogoniliśmy ją z Chutskym jakieś trzydzieści metrów za bramą. Ledwo na nas zerknęła.

- Rozsuńcie się - poleciała.

- Deb, wyluzuj - rzucił Chutsky. - Daj nam trochę czasu, żebyśmy zabezpieczyli flanki. - Spojrzał na mnie i wskazał ruchem głowy w lewo. - Idź między karuzelami. Zagląдай za budki, szopy, we wszystkie miejsca, gdzie ktoś się może ukrywać. Bądź czujny, stary. Miej oko na Deb i uważaj na siebie. - Odwrócił się do Debory i powiedział: - Deb, słuchaj...

Machnęła pistoletem, żeby go uciszyć.

- Rób, co mówię, Chutsky, na litość boską.

Chwilę tylko na nią patrzył.

- Bądź ostrożna - powiedział wreszcie, odwrócił się i poszedł w prawo.

Był potężnie zbudowany i miał jedną sztuczną stopę, ale kiedy wśliznął się w mrok, brzemień lat i odniesionych ran zniknęło bez śladu; wyglądał jak dobrze naoliwiony cień, lufa jego broni chodziła z boku

na bok i bardzo byłem zadowolony, że jest tu ze swoim karabinem szturmowym i długoletnim doświadczeniem.

Zanim jednak zdążyłem zaintonować hymn marines, Debora dała mi solidnego kuksańca i przeszyła mnie wzrokiem.

- Na co, kurwa, czekasz? - warknęła i choć zdecydowanie wolałbym przestrzelić sobie stopę i wrócić do domu, ruszyłem w lewo przez gęstniejący mrok.

Skradaliśmy się jak komandos, zagubiony patrol na misji w krainie filmów klasy B. Trzeba Deborze przyznać, że była bardzo ostrożna. Przemykała chyłkiem od jednej kryjówki do drugiej, regularnie zerkając w prawo na Chutsky'ego i w lewo na mnie. Coraz trudniej było ją dostrzec, bo słońce już zaszło, ale to przynajmniej oznaczało, że im też było trudniej dostrzec nas - kimkolwiek ci „oni” mieli się okazać.

I tak przemierzaliśmy opuszczony lunapark. Minąłem stary kram z pamiątkami i po chwili dotarłem do pierwszej karuzeli. Spadła z osi i leżała przechylona na bok. Była zdewastowana. Ktoś poobcinał koniom głowy i wymazał wszystko zielonym i pomarańczowym sprejem luminescencyjnym - naprawdę przygnębiający widok. Ostrożnie ją okrążyłem, z pistoletem gotowym do strzału, zaglądając za wszystko, co było na tyle duże, by mógł się za tym ukryć kanibal.

Obszedłszy karuzelę, spojrzałem w prawo. W zapadającym mroku ledwo mogłem dostrzec Deborę. Weszła w cień jednego ze słupów kolejki linowej, która niegdyś kursowała z jednego końca lunaparku na drugi. Chutsky'ego nie widziałem w ogóle; dostrzegłem tylko szereg wałących się domów zabaw dla dzieci, przy którym biegł tor gokartowy. Miałem nadzieję, że tam jest, czujny i niebezpieczny, i gdyby coś wyskoczyło na nas, krzycząc: „Puu!”, będzie gotowy ze swoim karabinem szturmowym.

Debora ruszyła w głąb ciemnego lunaparku. Zerwał się ciepły, lekki wietrzyk i poczułem zapach nocy w Miami: spaliny i gnijąca roślinność, doprawione ledwo wyczuwalną szczyptą soli. Kiedy wdychałem tę znajomą woń, z najgłębszego lochu Zamku Dextera dobiegł cichy szept i błoniaste skrzydła zatrzepotały cicho na szańcach. Było to bardzo klarowne ostrzeżenie, że coś tu nie gra i że w tej chwili lepiej

byłoby się znaleźć gdzie indziej. Zamarłem przy bezgłowych koniach, rozglądając się za tym, co uruchomiło alarm Pasażera.

Niczego nie widziałem ani nie słyszałem. Debora zniknęła w ciemności i wokół ruszała się tylko niesiona łagodnym wiatrem plastikowa torba po zakupach. Ścisnęło mnie w żołądku, ten jeden raz nie z głodu.

Mój pistolet nagle zaczął się wydawać mały i niewystarczający i pragnąłem ucieczki bardziej niż powietrza. Pasażer wprawdzie dąsał się na mnie, ale nie pozwolilby mi wpakować się w tarapaty, a nie mylił się nigdy, nie, kiedy mówił tak wyraźnie. Musiałem złapać Deborę i wyciągnąć stąd, zanim dopadnie nas to, co tu było.

Ale jak zdołam ją przekonać? Była tak zdeterminowana, by uwolnić Samanthę i dorwać Bobby'ego, że nie posłuchałaby mnie, nawet gdybym zdołał jej jakoś wyjaśnić, skąd wiem, że zaraz stanie się coś okropnego. Kiedy tak wahałem się, ściskając pistolet w dłoni, decyzję podjęto za mnie. Rozległ się donośny łoskot, w całym lunaparku rozbłysły światła, po czym zatrzęsała się ziemia, rozbrzmiał przeraźliwy zgrzyt zardzewiałego metalu i...

...wagoniki kolejki linowej ruszyły.

Przez długą, drogocenną sekundę gapilem się w górę i wyobrażałem sobie wszystkie paskudztwa, które mógłby mi zrzucić na głowę ktoś przejeżdżający nade mną. Następną straszną chwilę przeżyłem, kiedy obmierzły altruizm przeważył i spojrzałem w prawo, żeby zobaczyć, czy z Deborą wszystko w porządku - zniknęła bez śladu. Wtedy z jednego z wagoników kolejki sunących w górze padł strzał i usłyszałem dziki, radosny wrzask, okrzyk myśliwego, który wypatrzył zwierzynę. Dałem nura w ciemność, pod dach karuzeli. Chowając się pod jednym z koni, walnąłem nosem w dużą, twardą bryłę, która okazała się odciętą końską głową z włókna szklanego. Kiedy pod jej osłoną przesunąłem się w stronę zewnętrznej krawędzi karuzeli, wrzask ucichł.

Czekałem; nie działo się nic. Nikt nie otworzył ognia z haubicy. Bomby z napalmem nie spadały ze świstem z wagoników kolejki. Nie słyszałem żadnego dźwięku oprócz niezdrowego łoskotu starej zardzewiałej liny przesuwającej się przez podtrzymujące ją słupy. Poczekalem jeszcze trochę. Coś połaskotało mnie w nos i podrapałem

się; kiedy cofnąłem rękę, zobaczyłem, że mam na niej krew. Przez długą, zastygłą sekundę wpatrywałem się w nią sparaliżowany, niezdolny myśleć, niewidzący niczego oprócz tej ohydnej czerwonej plamy drogiego płynu ustrojowego Dextera. Na szczęście dla mnie mój mózg uruchomił się na nowo, a wtedy wytarłem dłoń w nogawkę spodni i wziąłem się w garść. To musiało się stać, kiedy dając nura do kryjówki, uderzyłem się w nos. Żadna sensacja. Wszyscy mamy krew. Sztuka w tym, żeby zachować ją w żyłach.

Przesunąłem się ostrożnie, oparłem pistolet na wielkiej głowie konia i wyjrzałem na zewnątrz. Na prawo ode mnie, nad miejscem, w którym ostatnio widziałem Deborę, przejechał wagonik kolejki. Nie zostało z niego nic oprócz elementu, którym był połączony z liną, i małego fragmentu metalowej rurki, niegdyś stanowiącej część siedzenia. Bujał się na wszystkie strony jak oszalały. Nadciągnął następny wagonik, w nieco lepszym stanie, ale bez bocznej obudowy i też pusty.

Patrzyłem na kolejne sunące w górze wagoniki. Tylko jeden był w na tyle dobrym stanie, by zabrać pasażera, ale w środku nie dostrzegłem żywej duszy. Zrobiło mi się trochę głupio, że tak się kulę pod wysmarowanym farbami w spreju konikiem z karuzeli i mierzę z pistoletu w rządę zdewastowanych i zupełnie pustych wagoników. Przejechał następny, też mocno poobijany - nic. Mimo to byłem pewien, że słyszałem kogoś w górze, a ostrzeżenie Pasażera było głośne i wyraźne. W lunaparku, gdzieś pośród beztroskich wspomnień z Krainy Piratów, czyhało niebezpieczeństwo. I wiedziało, że tu jestem.

Odetchnąłem głęboko. Najwyraźniej Bobby tu był, i to nie sam. Ale w tych starych, rozklekotanych wagonikach nie zmieściłoby się więcej niż dwie, trzy osoby. Jeśli więc zgodnie z pierwotnym planem ruszymy dalej w głąb lunaparku, we trójkę powinniśmy dać radę paru stukniętym małolatom. Nie ma się czego obawiać; po prostu oddychaj, trzymaj się planu, a wrócisz do domu na program Lettermana. Poczłgałem się w stronę krawędzi karuzeli i już opuściłem jedną nogę na ziemię, kiedy znów usłyszałem sztubacki okrzyk triumfu - z tyłu, od strony głównej bramy - zsunąłem się więc po przechylonej osi z powrotem pod bezgłowego konia.

Po kilku sekundach dobiegły mnie wesole głosy i tupot nóg. Wyjrzałem z kryjówki i zobaczyłem grupkę ośmiu, dziesięciu ludzi. W większości byli to rówieśnicy Bobby'ego Acosty, rozradowane młode

potwory w typie tych, jakie widzieliśmy w klubie Fang, może nawet te same. Wszyscy mieli na sobie kostiumy piratów, co, jestem pewien, bardzo ucieszyłoby Rogera. Przemknęli obok podekscytowani i radosni, ot, maślaki idące na imprezę, a na czele, z wysoko uniesioną, groźnie wyglądającą szablą, kroczył ochroniarz z kucykiem, znany mi z klubu Fang.

Patrzyłem zza bezgłowego konia, a gdy zniknęli i tupot nóg ucichł w oddali, pomyślałem o tym, co zobaczyłem. Wnioski nie były optymistyczne. Układ sił się zmienił, cała sytuacja wyglądała teraz zupełnie inaczej. Z natury jestem odludkiem, ale uznałem, że to dobry moment, by odszukać moich towarzyszy i wspólnymi siłami zatroszczyć się o nasze przetrwanie.

Odczekałem jeszcze minutę, a kiedy nabrałem pewności, że nie nadejdą żadni maruderzy, przeczłogałem się na krawędź karuzeli. Przede mną, nieco na lewo, był budynek, który pamiętałem z dzieciństwa. Błąkałem się po nim wtedy przez kilka nudnych i frustrujących godzin, kompletnie nie rozumiejąc, co w nim jest śmiesznego. Jeśli jednak miał mi teraz zapewnić schronienie, mogłem mu wybaczyć mylącą nazwę. Dlatego, raz jeszcze zerknąwszy na wciąż pusty wagonik kolejki, sturlałem się z karuzeli i pobiegłem do gabinetu śmiechu.

Fasada budynku była w fatalnym stanie i tylko kilka niewyraźnych plam zostało ze zdobiącego ją niegdyś malowidła, w którym ledwo rozpoznałem scenkę rodzajową przedstawiającą wesołych piratów dokonujących gwałtów i rabunków w małym miasteczku. Jego utrata była druzgocącym ciosem dla świata sztuki, ale w tej chwili miałem inne zmartwienia. Przed gabinetem śmiechu paliła się lampa, pobiegłem więc na tyły, trzymając się cieni. Oddalałem się od miejsca, w którym ostatnio widziałem Deborę, ale musiałem znaleźć nową kryjówkę. Ktokolwiek był w wagoniku, na pewno widział, jak się wylegiwałem na karuzeli, więc nie mogłem tam zostać.

Ostrożnie podszedłem do tylnych drzwi, które wisały bezwładnie na jednym zawiasie. Zachował się na nich kawałek tabliczki z wyblakłym czerwonym napisem „jście bez”. Stałem przy drzwiach z pistoletem gotowym do strzału. Tak naprawdę nie sądziłem, by ktokolwiek ukrywał się wewnątrz, pośród starych luster. To byłoby zbyt banalne, a chyba nawet kanibale mają trochę dumy? Te lustra

nie zwodziły nikogo, nawet kiedy były w dobrym stanie. A teraz, po tylu latach, na pewno odbijały nie więcej niż podeszwa mojego buta. Wolałem jednak nie ryzykować; przemknąłem więc obok drzwi na ugiętych nogach, z pistoletem wycelowanym we wnętrze gabinetu śmiechu. Nic tam się nie czaiło, nic nie drgnęło. Wszedłem w następną plamę cienia.

Przy przeciwnym rogu budynku przystanąłem i ostrożnie wyjrzałem zza węgła – wciąż nic. Czy to możliwe, że nikt mnie nie szuka? Przypomniałem sobie coś, co często mawiała moja przybrana matka, Doris: „Ucieka występny, choć go nikt nie goni”. Niechybnie tak było w moim przypadku. Wiedziałem jednak, że tamci są w lunaparku i że odwrót to jedyne rozsądne rozwiązanie. Z drugiej strony, byłem pewien, że moja siostra nie odejdzie bez Samantha Aldovar i Bobby’ego Acosty, a nie mogłem zostawić jej samej.

Słyszałem niezadowolone pomruki Pasażera i przeszył mnie zimny podmuch jego skrzydeł; chór głosów rozważli i zdrowego rozsądku kazał mi biec do wyjścia – a ja nie mogłem tego zrobić. Nie bez Debory.

Dlatego wziąłem oddech, ciekaw, ile razy jeszcze dane mi będzie to zrobić, i zakradłem się do kryjówki. Kiedyś była to karuzela dla małych dzieci, taka z zamykanymi samochodzikami, które kręcą się w kółko, napędzana wielkim kołem pośrodku. Ocalały tylko dwa autka, oba w kiepskim stanie. Schowałem się w cieniu niebieskiego i przykucnąłem. Banda rozdokazywanych piratów zniknęła, w pobliżu nie było widać ani słyszać nikogo zainteresowanego moimi podchodami. Tak mnie olewali, że równie dobrze mogłem maszerować przez lunapark na czele orkiestry dętej, żonglując żywymi pancernikami.

Ale że wcześniej czy później musieliśmy się spotkać, chciałem zobaczyć ich pierwszy. Ukląknąłem więc i wyjrzałem zza samochodzika.

Byłem na samym końcu placu z karuzelami dla małych dzieci i już widziałem sztuczną rzekę, po której niegdyś pływał statek piracki. Wciąż była w niej woda, ale nie miała najładniejszego koloru. Nawet z tej odległości dostrzegłem, że zaniedbywana przez lata, przybrała matowy zgniłzielony odcień. Od rzeki dzieliły mnie trzy słupy kolejki linowej. Ze wszystkich zwisały lampy, lecz tylko jedna działała. Była na prawo ode mnie, mniej więcej tam, gdzie ostatnio widziałem Deborę. Na wprost miałem kawałek odkrytego terenu, a jakieś trzydzieści

metrów dalej następną potencjalną kryjówkę: kępę palm na skarpie nad wodą. Kępa nie była duża - zmieściłoby się w niej nie więcej niż kilka małych oddziałów czyhających na mnie talibów - ale że innej kryjówki nie widziałem, wysunąłem się z samochodu i pochyłony wybiegłem na odkryty teren.

Wydawało się, że minęło kilka godzin, zanim przemierzyłem tę otwartą, nieocienioną przestrzeń i dopadłem do kępy. Zatrzymałem się przy pierwszej palmie. Teraz, przynajmniej trochę osłonięty, znów zacząłem się martwić, co też może się za nią ukrywać. Przywarłem plecami do pnia i wyjrzałem z niego. Między palmami rosły gęste krzaki, ale że wiele z nich miało ostre, kłujące gałęzie, na kryjówkę raczej się nie nadawały. Nie chciałem się narażać na utratę sporych płatów skóry, więc wolno odsunąłem się od pnia i rozejrzałem w poszukiwaniu lepszego schronienia.

Wtedy w górze rzeki, na lewo ode mnie, usłyszałem charakterystyczną kanonadę z atrap dział. Spojrzałem w tamtą stronę. Wśród łopotu porwanego materiału i skrzypienia potrzaskanych drzewc z zakrętu wyłonił się statek piracki.

Był to już tylko rozpadający się wrak - kawałki drewna dyndały u kadłuba, poszarpane żagle trzepotały żałośnie, na maszcie łopotała niecała połowa wyblakłej bandery z trupią czaszką i skrzyżowanymi puszczelami - ale dumnie parł naprzód, tak jak pamiętałem. Z trzech wymierzonych we mnie dział padła następna salwa; zrozumiałem aluzję i dałem nura w gąszcz krzewów między palmami.

Jeszcze przed chwilą chciałem się trzymać od nich z dala, a teraz wyglądały jak cenne schronienie. Wczołgałem się w najgęstsze zarośla i niemal od razu zaplątałem w jakieś zielsko i pokaleczyłem cierniami. Próbując cofnąć się od rośliny, która mnie zaatakowała, wpadłem na małą palmę sabalową. Kiedy wreszcie wydostałem się na wolność, krwawiłem z kilku głębokich skaleczeń na ramionach, a moja koszula była w strzępach. Jednak z narzekania nigdy nie ma żadnego pożytku, a byłem pewien, że nikt nie pomyślał, by wziąć plastry, więc czczołem się dalej.

Brnąłem przez zarośla centymetr po centymetrze, zostawiając na mięsożernych krzewach jeszcze kilka cennych kawałków mojego ciała, aż w końcu dotarłem na skraj małego zagajnika. Przycupnąłem za wachlarzem liści palmowych i ostrożnie wyjrzałem na rzekę. Woda

zakotłowała się, jakby wprawiona w wir przez wielką dłoń schowaną pod powierzchnią, po czym popłynęła wolnym, nieprzerwanym strumieniem, jakby była prawdziwą rzeką, nie okrągłą sadzawką.

Moim oczom ukazała się duma Krainy Piratów, postrach mórz i oceanów: straszny korab „Zemsta”. Zatrzymał się przy butwiejącym pomoście, wrzynającym się w rzekę na prawo ode mnie. Woda znów się zakotłowała, a statek zakolebał, ale został na swoim miejscu w przystani. Nigdzie nie było śladu jego nikczemnej załogi, lecz na pokładzie znajdował się co najmniej jeden pasażer.

Samantha Aldovar, przywiązana do grotmasztu.

Samantha w niczym nie przypominała pasażerów, których widziałem na pokładzie „Zemsty” w latach mojej młodości. Nie miała waty cukrowej ani pamiątkowego kapelusza pirackiego i stała ze zwieszoną głową, może nieprzytomna lub nawet martwa, utrzymywana w tej pozycji tylko przez krępujące ją liny. Z kryjówki na skarpie miałem niezły widok na większą część pokładu. Obok Samanthy stał duży czarny grill z pokrywą, spod której wypływała cienka smużka dymu, a przy nim były wielki gar i stolik. Na stoliku leżało kilka niewyraźnych, ale znajomo wyglądających przedmiotów, które połyskiwały ostro w świetle.

Przez chwilę nie ruszało się nic oprócz strzępu pirackiej bandery na maszcie. Pokład był pusty, nie licząc Samanthy. Jednak ktoś musiał tam z nią być, bo choć na rufie znajdowało się wielkie koło sterowe, wiedziałem, że prawdziwe stery są w kajucie. Pod pokładem był też barek z małym bufetem. Ktoś musiał tam być i sterować łajbą. Ale kto? Sam Bobby Acosta czy też wystarczająco wielu jego koleżków kanibali, żeby utrudnić życie bohaterom pozytywnym, do których, o dziwo, tego wieczoru zaliczałem się ja?

Bandera trzepotała. Przeleciał odrzutowiec z opuszczonym podwoziem, podchodzący do lądowania na lotnisku w Fort Lauderdale. Statek zakołysał się lekko. Wtedy głowa Samanthy opadła na bok, działa plunęły następną anemiczną salwą, a drzwi kajuty rozwarły się na oścież. Na pokład wyszedł Bobby Acosta z głową obwiązaną szalikiem i zupełnie niepirackim glockiem w wysoko podniesionej ręce. „Łu-huu!”, wrzasnął, strzelił dwa razy w powietrze i za nim ukazała się gromadka wesołych imprezowiczów płci obojga, mniej więcej w jego wieku. Wszyscy byli przebrani za piratów i ruszyli prosto do wielkiego gara obok Samanthy. Zaczęli napełniać w nim kubki i żłopać zawartość.

Kiedy zajęli się beztroskimi igraszkami, w moim sercu, o dziwo, zatliła się iskierka nadziei. Wprawdzie ich było pięciu, a nas tylko troje, ale co to dla nas takie chuchra, zwłaszcza że prawie na pewno pili

ów odurzający poncz, za którym tak przepadali. Jeszcze trochę i będą naćpani, ogłupiali i zupełnie niegroźni. Dokądkolwiek poszła reszta towarzystwa, z tymi tutaj nie będzie kłopotu. Mogliśmy we trójkę wyjść z ukrycia i ich zgarnąć. Debora dostałaby to, po co przyszła, moglibyśmy wykraść się z lunaparku i wezwać pomoc, a Dexter mógłby wrócić do odkrywania normalnego życia.

Ledwie o tym pomyślałem, drzwi kajuty otworzyły się znowu i na pokład wyszła Alana Acosta.

Za nią szedł ochroniarz z klubu Fang, ten z kucykiem, i trzech groźnie wyglądających faceci ze strzelbami. Świat znów stał się mroczny i niebezpieczny.

Wiedziałem, że Alana jest drapieżką, bo tak szepnął mi Mroczny Pasażer, kiedy staliśmy obok jej ferrari. A teraz, gdy widziałem ją tutaj, wyraźnie dominującą nad otoczeniem, zrozumiałem, że mój brat Brian miał rację: na czele kowenu stała kobieta – Alana Acosta. To zaś była nie tylko zastawiona przez nią pułapka, ale także zaproszenie na kolację, więc jeśli nie wpadnę na jakiś sprytny pomysł, zostanę jednym z dań.

Alana podeszła do relingu, wyjrzała na lunapark i utkwiała wzrok w punkcie mniej więcej między moją kryjówką a miejscem, gdzie, jak mi się zdawało, powinna być Debora.

- Potłuczone gary! - zawołała, odwróciła się i kiwnęła głową na swoich przybocznych, którzy posłusznie przystawili strzelby do skroni Samantha. - Bo pożałujecie! - krzyknęła radośnie.

Najwyraźniej jej dziwaczny tekst o garach był dziecięcym zaklęciem obwieszczającym koniec zabawy i mającym skłonić jej uczestników, by wrócili do bazy. Musiała naprawdę uważać nas za dzieci, i to wyjątkowo durne, jeśli sądziła, że potulnie opuścimy nasze ciężko zdobyte kryjówki i powędrujemy prosto w jej szpony. Tylko kompletny głup byłby coś tak głupiego.

Gdy kucnąłem, przygotowując się na, jak przypuszczałem, długą zabawę w kotka i myszkę, po prawej stronie usłyszałem okrzyk i, ku mojemu wielkiemu przerażeniu, z zarośli wyłoniła się Debora. Najwyraźniej miała taką obsesję na punkcie ocalenia Samantha, że nie poświęciła nawet dwóch sekund na to, by pomyśleć

o konsekwencjach swojego czynu. Po prostu wyskoczyła z kryjówki i pobiegła w stronę pomostu, żeby się poddać. Z hardą miną stanęła pode mną, wyjęła pistolet z za pasa i upuściła go na ziemię.

Alanie wyraźnie spodobał się ten widok. Podeszła bliżej, żeby spojrzeć na Deb ze stosowną wyższością, odwróciła się i powiedziała coś do ochroniarza z klubu, a ten wysunął za burtę rozlatujący się trap, który opadł z łupnięciem na przystań.

- Chodź do nas, złotko - zwróciła się Alana do Debory. - Po trapie.

Debora stała nieruchomo i patrzyła na nią.

- Nie rób dziewczynie krzywdy - powiedziała.

Uśmiech Alany stał się jeszcze szerszy.

- Kiedy ona chce, żebyśmy zrobili jej krzywdę, nie rozumiesz? - odparła.

Debora pokręciła głową.

- Nie róbcie jej krzywdy - powtórzyła.

- Porozmawiajmy o tym, dobrze? - zaproponowała Alana. - Wejdz na pokład.

Debora podniosła na nią wzrok i nie zobaczyła nic prócz uszczęśliwionego gada. Spuściła głowę i powłócząc nogami, weszła na trap. Dwaj uzbrojeni w strzelby pachołkowie chwycili ją i wykręciwszy jej ręce za plecy, skrępowali je taśmą samoprzylepną. Złośliwy głosik w tyle mojej głowy napomknął, że ma, na co zasłużyła, bo przecież niedawno tylko patrzyła, jak to samo robili mnie. Zaraz jednak zakrzyczyły go bardziej życzliwe myśli i zacząłem się zastanawiać, jak uwolnić siostrę.

Alana, rzecz jasna, nie zamierzała do tego dopuścić. Spojrzała na lunapark, po czym podniosła dłonie do ust i krzyknęła:

- Jestem pewna, że gdzieś tam czai się twój uroczy towarzysz! - Spojrzała na Deborę, która stała ze spuszczoną głową i milczała. - Widzieliśmy go na karuzeli, skarbie. Gdzie się nicpoń podział? - spytała, a że Debora ani drgnęła, poczekała chwilę z uśmiechem spodziewanej przyjemności i zawołała głośno: - Nie bądź nieśmiały! Bez ciebie nie możemy zacząć!

Zostałem na miejscu, znieruchomiały pośród cierni.

Alana odwróciła się, wyciągnęła rękę i jeden ze sługusów podał jej strzelbę. Przez chwilę rozdzierał mnie lęk i to było jeszcze gorsze

od cierni. Jeśli Alana zagrozi, że zastrzeli Deb... Ale przecież zabije ją tak czy owak, dlaczego więc miałem też dać się zabić? Nie mogłem jednak pozwolić, żeby zrobiła krzywdę mojej siostrze...

Bezwiednie uniosłem pistolet. To była bardzo porządna broń, wyjątkowo precyzyjna, więc z tej odległości miałem jakieś dwadzieścia procent szans na to, że trafię Alanę. Równie prawdopodobne było jednak, że postrzelę Deb albo Samanthę... Kiedy tak hamletyzowałem, pistolet powędrował jeszcze wyżej, sam z siebie.

Coś takiego nie mogłoby się stać w sprawiedliwym świecie, no ale nasz taki nie jest, więc ten nieznaczny ruch musiał mignąć w świetle jednej z nielicznych wciąż sprawnych latarni i Alana dostrzegła błysk. Zarepetowała strzelbę na tyle szybko, by nie pozostawić wątpliwości co do tego, czy potrafi się nią posługiwać, podniosła na wysokość ramienia, wymierzyła prawie idealnie we mnie i strzeliła.

Miałem tylko sekundę na to, żeby zareagować, i ledwo zdążyłem wskoczyć za najbliższą palmę. Mimo to poczułem podmuch przelatujących kulek śrutu, które skosiły zarośla w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą się ukrywałem.

- Już lepiej! - powiedziała Alana i gruchnął następny strzał. Kawał osłaniającego mnie pnia zniknął. - A kuku!

Przed chwilą wahałem się, czy zostawić Deborę na pastwę losu, czy też samemu wsadzić głowę w pętlę. Nagle decyzja stała się dużo łatwiejsza. Jeśli Alana zamierza tak stać i kosić drzewo za drzewem, moja przyszłość nie wyglądała różowo, a ponieważ w tym momencie śrut był największym zagrożeniem, uznałem, iż najrozsądniej będzie się poddać i liczyć na to, że mój wybitny intelekt wybawi mnie z opresji. Poza tym gdzieś tam wciąż był Chutsky z karabinem szturmowym i dwaj amatorzy ze strzelbami nie mogli się z nim równać.

Krótko mówiąc, nie miałem wielkiego wyboru. Dlatego wstałem i nie wychodząc zza drzewa, zawołałem:

- Nie strzelaj!

- Miałabym zepsuć smak mięsa?! - krzyknęła Alana. - Wykluczone. Ale pokaż no swoją uśmiechniętą buzię, z rękami w górze. - Machnęła strzelbą na wypadek, gdybym okazał się mało pojętny.

Jak już wspominałem, wolność to ułuda. Ilekroć nam się wydaje, że mamy wybór, oznacza to tylko, że jeszcze nie zobaczyliśmy strzelby wymierzonej w nasz pępek.

Odłożyłem pistolet, podniosłem ręce na tyle wysoko, na ile pozwalała mi godność, i wyszedłem zza palmy.

- Ślicznie! - krzyknęła Alana. - A teraz chodź nad rzeczkę, opodal krzaczka, prosiaczku.

W porównaniu z całą resztą być nazwanym „prosiaczkiem” to przecież nic wielkiego - ot, drobne upokorzenie dorzucone do serii poważnych klęsk - więc może moje nowo wykształcone półludzkie uczucia spowodowały, że dotknęło mnie to bardziej, niżby wypadało. No bo bądźmy poważni: prosiak? Ja, Dexter? Zgrabny, sprawny fizycznie i zahartowany w ogniu życia na ostrą jak brzytwa stal? Byłem oburzony i przesłałem Chutsky'emu telepatyczną wiadomość, by postrzelił Alanę tak, żeby przed śmiercią trochę pocierpiała.

Jednocześnie powoli schodziłem na brzeg rzeki z podniesionymi rękami.

U podnóża skarpy stanąłem i spojrzałem na Alanę i jej strzelbę. Machnęła nią zachęcająco.

- No chodźże wreszcie - powiedziała. - Na trap, stary draniu.

Nie było sensu kłócić się ze strzelbą, nie z tak bliska. Wszedłem na trap. W głowie wirowały mi szalone pomysły: dać nura pod łódź, uciekając Alanie spod lufy, a potem... co? Wstrzymywać oddech przez kilka godzin? Popłynąć w dół rzeki i wezwać pomoc? Wysłać myślą następne wiadomości i liczyć na pomoc gangu uzbrojonych telepatów? W gruncie rzeczy nie pozostawało mi nic innego, jak tylko wejść po trapie na pokład „Zemsty”. Tak też uczyniłem. Aluminiowy trap był stary i rozchwiany, musiałem się więc trzymać wystrzępionej liny bezpieczeństwa rozciągniętej wzdłuż lewego boku. Raz poślizgnąłem się i kurczowo chwyciłem linę, kiedy niepewne podłoże rozkołysało się gwałtownie. Jednak po upływie o wiele zbyt krótkiego czasu byłem już na pokładzie i patrzyłem na trzy wymierzone we mnie strzelby i w jeszcze ciemniejsze i bardziej martwe od wylotów luf puste niebieskie oczy Alany Acosty. Stała zdecydowanie za blisko, kiedy jej pomagierzy krępowali mi ręce za plecami taśmą samoprzylepną, i patrzyła na mnie z niepokojącą czułością.

- Będzie świetna zabawa - oznajmiła. - Już nie mogę się doczekać. - Odwróciła się i spojrzała w stronę bramy lunaparku. - Gdzie on jest?

- Przyjdzie - zapewnił Bobby. - Mam jego pieniądze.

- Oby - mruknęła Alana i spojrzała na mnie. - Nie lubię, kiedy każe mi się czekać.

- Mnie to nie przeszkadza - mruknąłem.

- Naprawdę chciałabym już zacząć - stwierdziła Alana. - Trochę nas dziś czas goni.

- Nie rób dziewczynie krzywdy - powtórzyła Debora, tym razem przez zęby.

Alana spojrzała na nią, co dla mnie było korzystne, ale miałem przeczucie, że dla mojej siostry okaże się bardzo nieprzyjemne.

- Troszczymy się o tę małą świnkę, co? Jak kwoka o pisklę - mówiła Alana, podchodząc do Debory. - Skąd to się bierze, pani sierżant?

- To tylko młoda dziewczyna - powiedziała Deb. - Właściwie jeszcze dziecko.

Alana uśmiechnęła się; to był szeroki uśmiech ukazujący setki idealnych białych zębów.

- Ale wie, czego chce - odparła. - A że chce tego samego co my... co w tym złego?

- Nie może tego chcieć - syknęła Debora.

- Mimo to chce - zapewniła Alana. - Niektórzy tak mają. Chcą być zjedzeni... tak bardzo, jak ja chcę zjeść ich. - Jej uśmiech był bardzo szeroki i tym razem prawie szczery. - Aż chce się uwierzyć, że istnieje dobry Bóg, prawda?

- To tylko popieprzona nastolatka - upierała się Debora. - Wyrośnie z tego... Ma kochającą rodzinę i całe życie przed sobą.

- I dlatego, targana wyrzutami sumienia i poruszona pięknem tego wszystkiego, powinnam puścić ją wolno - zamruczała Alana. - Rodzina, kościół, szczeniaczki, kwiatki... jakże uroczy musi być pani świat, pani sierżant. Niestety, dla reszty z nas jest on nieco mroczniejszy. - Spojrzała na Samanthę. - Oczywiście bywają też miłe chwile.

- Proszę - błagała Debora; tak zdesperowanej i bezsilnej jeszcze jej nie widziałem. - Puść ją.

- Nie zamierzam - ucięła Alana. - Prawdę mówiąc, z tych emocji trochę zgłodniałam. - Wzięła ze stołu bardzo ostry nóż.

- Nie! - wykrzyknęła Debora z furią. - Do diabła, nie!

- Przykro mi, ale tak - powiedziała Alana spokojnie.

Dwaj ochroniarze przytrzymali Deb. Alana przez chwilę obserwowała ich szamotaninę z wyraźną przyjemnością, po czym, nie spuszczać oczu z mojej siostry, podeszła do Samantha i niezdecydowanym ruchem uniosła nóż.

- Nigdy nie potrafiłam zarzynać, jak należy - powiedziała. Bobby i jego czereda stali wokół i drżeli z ledwo powstrzymanego podniecenia jak dzieci, które zakradają się do spiżarni. - Tylko dlatego toleruję niepunktualność tego bezczelnego drania - ciągnęła Alana. - On jest w tym doskonały. Obudź się, świnko. - Uderzyła Samantha w twarz; dziewczyna ociężale podniosła głowę i otworzyła oczy.

- Już czas? - wymamrotała.

- Tylko coś przegryzę - odparła Alana, a Samantha się uśmiechnęła. Jej senny błogostan wskazywał, że znów naszpikowali ją narkotykami, ale tym razem nie była to ecstazy.

- Super. - Alana spojrzała na nią, a potem na nas.

- No, dawaj - ponaglił ją Bobby.

Uśmiechnęła się do niego, wyrzuciła rękę do przodu, chwyciła ramię Samantha tak szybko, że zobaczyłem tylko niewyraźny błysk ostrza, i zanim zdążyłem mrugnąć, odkroiła spory kawałek tricepsu dziewczyny.

Samantha wydała dźwięk będący czymś pomiędzy jękiem a stęknieniem, wyrażający nie przyjemność i nie ból, tylko coś pośrodku - jakby udręczone spełnienie. Przeszły mnie ciarki, natomiast Debora eksplodowała szaloną furią i jeden z pilnujących jej goryli zwałił się na pokład. Drugi upuścił strzelbę i trzymał moją siostrę dotąd, aż nadszedł potężny ochroniarz z kucykiem i znokautował Deb ciosem gigantycznej dłoni. Osunęła się bezwładnie jak szmaciana lalka i znieruchomiła.

- Zabierzcie zaciną panią sierżant na dół - poleciła Alana. - I dobrze ją zwiążcie.

Dwaj sługusi chwycili Deborę i podnieśli. Nie podobało mi się, jak zwisała między nimi, więc bez namysłu zrobiłem krok w jej stronę. Wtedy jednak ochroniarz z kucykiem podniósł upuszczoną strzelbę

i wbił mi lufę w pierś, więc chcąc nie chcąc, mogłem tylko bezradnie patrzeć, jak wynoszą moją siostrę do kajuty.

Ochroniarz szturchnął mnie strzelbą na znak, żebym odwrócił się twarzą do Alany. Gdy to zrobiłem, właśnie podnosiła pokrywę grilla i kładła na ruszcie plasterki mięsa Samantha. Zaskwierczał i uniosła się z niego smużka dymu.

- Och - powiedziała Samantha stłumionym głosem. - Och. Och. - Zakołysała się, naprężając więzy.

- Za dwie minuty przewróć na drugą stronę - poleciała Alana Bobby'emu i wróciła do mnie. - No dobra, prosiaczku. - Wyciągnęła rękę i uszczypnęła mnie w policzek; nie jak kochająca babunia, raczej jak doświadczona klientka sprawdzająca jakość kotleta. Próbowałem się uchylić, ale kiedy potężny facet wbija ci strzelbę w plecy, nie jest to takie łatwe, jak mogłoby się wydawać.

- Czemu tak mnie nazywasz? - spytałem. Zabrzmiało to raczej żałościwie, ale w tym momencie naprawdę nie miałem mocnej pozycji, jeśli nie liczyć wyższości moralnej.

Moje pytanie chyba rozbawiło Alanę. Tym razem wyciągnęła obie ręce i złapałszy mnie za policzki, czule pokiwała moją głowę na boki.

- Bo jesteś moim prosiaczkiem! - odparła. - I schrupię cię, całutkiego, skarbuniu! - W jej oczach pojawił się całkowicie autentyczny błysk i Pasażer zatrzepotał skrzydłami z niepokojem.

Chciałbym móc powiedzieć, że bywałem już w gorszych tarapatach i zawsze wychodziłem z tego cało. Prawda jednak była taka, że nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek czuł się tak równie bezsilny. Znów byłem skrupowany taśmą i kompletnie bezradny, ze strzelbą przystawioną do pleców i jeszcze groźniejszym drapieżką przede mną. Co się tyczy moich towarzyszek, Debora była w najlepszym razie nieprzytomna, a Samantha dosłownie ubywało w oczach. Ale miałem jeszcze jednego asa w rękawie: wiedziałem, że gdzieś tam jest Chutsky, uzbrojony i niebezpieczny, i dopóki będzie żywy, nie pozwoli, by jakakolwiek krzywda spotkała Deb, a tym samym mnie. Jeśli tylko zdołam zagadywać Alanę dość długo, Chutsky przyjdzie i nas uratuje.

- Masz Samanthę - powiedziałem z całym rozsądkiem, na jaki mogłem się zdobyć. - Starczy jej dla wszystkich.

- Tak, ale ona chce, żebyśmy ją zjedli - odparła Alana - a mięso zawsze smakuje lepiej, kiedy zwierzyzna stawia opór. - Zerknęła na Samanthę, która znów mruknęła: „Och”. Teraz miała oczy szeroko otwarte, oszalałe z uczucia, którego nie potrafiłem nazwać, i utkwione w grillu.

Alana uśmiechnęła się i poklepała mnie po policzku.

- Jesteś nam to winien, kochany. Za to, że uciekłeś i narobiłeś tyle kłopotów. A poza tym potrzebujemy prosiaczka. - Spojrzała na mnie ze zmarszczonym czołem. - Jesteś trochę żyłasty. Wypadałoby cię na kilka dni zamarynować. Ale cóż, nie ma czasu, a ja uwielbiam kotlety z męczyzny.

Przyznam, że była to dziwna pora i miejsce na ciekawość, ale przecież tak czy owak miałem grać na zwłokę.

- Jak to nie ma czasu? - spytałem.

Spojrzała na mnie beznamiętnie i nie wiedzieć czemu, ten zupełny brak emocji niepokoił bardziej od jej sztucznego uśmiechu.

- To ostatnia impreza - wyjaśniła. - Potem, niestety, muszę znów uciekać. Tak jak musiałam uciec z Anglii, kiedy władze uznały, że znika zbyt wielu nielegalnych imigrantów. Teraz to samo stało się tutaj. - Westchnęła głęboko. - A już zaczęli mi smakować.

Samantha stęknęła, więc spojrzałem w jej stronę, by zobaczyć, co się dzieje. Bobby stał przed nią i powoli przesuwiał ostrze noża po jej częściowo odsłoniętej piersi, jakby wycinał swoje inicjały w korze drzewa. Trzymał twarz tuż przy jej twarzy i miał na ustach uśmiech, od którego zwiędłyby róże.

Alana westchnęła i pobłażliwie pokręciła głową.

- Nie baw się jedzeniem, Bobby - powiedziała. - Miałeś pilnować mięsa. Przewróć je na drugą stronę, mój drogi.

Bobby niechętnie odłożył nóż, wyciągnął w stronę grilla widelec z długą rączką i obrócił mięso. Samantha znów jęknęła.

- Podstaw coś pod tę ranę. - Alana wskazała ruchem głowy powiększającą się kałużę krwi, która ściekała z ramienia Samanthy na pokład. - Zaraz będzie tu jak w rzeźni.

- Nie jestem zasranym Kopciuszkiem - odparł Bobby. - A ty przestań odgrywać złą macochę.

- Dobrze, ale postaraj się trochę mniej brudzić.

Widać było, że ci dwoje lubią się tak bardzo, jak tylko dwa potwory mogą się lubić. Bobby wzruszył ramionami, wziął garnek z półki pod grillem i podstawił go pod ramię Samantha.

- Ja naprawdę wyprowadziłam Bobby'ego na właściwą drogę - powiedziała Alana z nutą czegoś na kształt dumy w głosie. - Wcześniej zupełnie sobie nie radził i jego ojciec wydał fortunę na to, żeby po nim sprzątać. Joe po prostu tego nie rozumiał, biedaczysko. Chciał dać Bobby'emu wszystko... ale nie dał mu jedynej rzeczy, o której chłopak naprawdę marzył. - Spojrzała na mnie, obnażając lśniące białą zęby. - Tego - powiedziała, wskazując gestem Samantha, noże i krew na pokładzie. - Kiedy tylko skosztował świni, nauczył się ostrożności. Ten nędzny klubik Fang to właśnie jego pomysł. Idealny sposób na to, żeby werbować członków kowenu, oddzielić kanibali od wampirów. A pomoc kuchenna zapewniała stałe dostawy mięsa.

Zmarszczyła brwi i milczała przez chwilę.

- Powinniśmy byli pozostać przy jedzeniu imigrantów - podjęła - ale tak bardzo polubiłam Bobby'ego, a on tak ładnie prosił. Obie dziewczyny też, nawiasem mówiąc. - Pokręciła głową. - Głupio zrobiłam. Wiem. - Odwróciła się do mnie, znów promiennie uśmiechnięta. - Ale przynajmniej tym razem mam dużo więcej pieniędzy na to, żeby zacząć od nowa, no i liznęłam trochę hiszpańskiego, a to na pewno się przyda. Co teraz? Kostaryka? Urugwaj? Jakies miejsce, gdzie na wszystkie pytania można odpowiedzieć dolarami.

Zaświergolił jej telefon komórkowy i wyjęła go z kieszeni.

- Ależ się rozgadałam - stwierdziła, zerkając na ekranik. - No, nareszcie. - Odwróciła się, rzuciła kilka słów do telefonu, chwilę słuchała, powiedziała coś jeszcze i schowała komórkę. - Cesar, Antoine - przywołała dwóch sługusów ze strzelbami. - Już jest. Ale... - Nachyliła się ku nim i powiedziała coś, czego nie dosłyszałem. O cokolwiek chodziło, Cesar uśmiechnął się i skinął głową, a Alana spojrzała na wesołą gromadkę przy grillu. - Bobby! - zawołała. - Idź z Cesarem, przyda się jeszcze jedna para rąk.

Bobby uśmiechnął się złośliwie i uniósł dłoń Samantha. Przyłożył do niej nóż i spojrzał pytająco na Alanę. Samantha jęknęła.

- Nie błażnij, kochanie - skarciła Bobby'ego Alana. - No już, idź pomóc Cesarowi.

Bobby puścił rękę Samantha, która stęknęła i powtórzyła kilka razy: „Och”. Cesar i Antoine zeszli z Bobbym i jego kolegami po trapie na brzeg i po chwili cała grupa zniknęła w głębi lunaparku.

Alana odprowadziła ich wzrokiem.

- Niebawem się tobą zajmimy - powiedziała, odwróciła się ode mnie i podeszła do Samantha. - Jak się miewa moja mała świnka?

- Proszę - wydusiła Samantha słabo. - Och, proszę...

- O co prosisz? - spytała Alana. - Żebym puściła cię wolno?

- Nie - jęknęła Samantha. - Och, nie.

- Czyli nie chcesz, żebym cię uwolniła. W takim razie co mam zrobić, moja droga? Bo mnie nic nie przychodzi do głowy. - Sięgnęła po jeden z noży. - Może to pomoże ci mówić głośniej, świnko. - Wypowiadając te słowa, wbijała czubek ostrza w brzuch Samantha, niezbyt głęboko, ale rytmicznie, co wydawało się jeszcze straszniejsze.

Samantha krzyknęła i próbowała się uchylić, co, rzecz jasna, nie mogło jej się udać, bo była przywiązana do masztu.

- Nie masz mi zupełnie nic do powiedzenia, skarbie? Naprawdę? - odezwała się Alana, kiedy Samantha wreszcie zwiśla bezwładnie, z okropną czerwoną krwią lejącą się ze zbyt wielu ran. - Dobrze więc, damy ci trochę czasu do namysłu. - Odłożyła nóż i podniosła pokrywę grilla. - A niech to, przypaliło się. - Zerknęła w bok, a gdy upewniła się, że Samantha patrzy, wzięła widelec z długim uchwytem i wyrzuciła kawałek mięsa za burtę.

Samantha wydała słaby jęk rozpaczony i zwiśla na więzach. Alana popatrzyła na nią z zadowoleniem, po czym spojrzała na mnie z tym swoim wężowym uśmiechem.

- Ty będziesz następny, przyjacielu - powiedziała i podeszła do relingu.

Prawdę mówiąc, ulżyło mi, kiedy sobie poszła, bo nie miałem ochoty oglądać jej popisów. Pomijając fakt, że nieszczęśliwie lubię patrzeć, jak inni ludzie zadają ból i cierpienia niewinnym, doskonale wiedziałem, że przynajmniej po części robiła to ze względu na mnie. Nie chciałem być następny, no i nie chciałem być daniem głównym - co nieuchronnie mnie czekało, jeśli wkrótce nie zjawi się Chutsky. Byłem pewien, że czai

się gdzieś w ciemności, krąży wokół, by zaatakować od najmniej oczekiwanej strony, szuka sposobu, by zwiększyć swoje szanse, przeprowadza jakiś dziwny i śmiertelnie groźny manewr znany tylko zahartowanemu w bojach wojownikom i w końcu wyskoczy, waląc ze wszystkich łuf. Mimo to dobrze byłoby, gdyby się z tym pospieszył.

Alana ciągle patrzyła w stronę bramy. Wydawała się trochę rozkojarzona, co mi bardzo odpowiadało, mogłem bowiem pomyśleć o moim źle przeżytym życiu. Strasznie smutne, że skończy się już teraz, tak szybko, zanim zdążyłem zrobić coś naprawdę ważnego, na przykład zabrać Lily Anne na lekcje baletu. Jak poradzi sobie w życiu, jeśli nie wskażę jej właściwej drogi? Kto nauczy ją jeździć na rowerze; kto będzie jej czytał bajki?

Samantha znów jęknęła i spojrzałem na nią. Kręciła się w więzach wolnymi, spazmatycznymi ruchami, jakby wyczerpywał jej się akumulator. Ojciec czytał jej bajki, przypomniałem sobie. I pomyślałem, że może powinienem tego oszczędzić Lily Anne – Samancie słuchanie bajek nie wyszło na dobre. Inna sprawa, że zanosilo się na to, że tak czy owak już nigdy nic nikomu nie przeczytam. Pomyślałem o Deborze. Miałem nadzieję, że nic jej się nie stało. Mimo ostatnich dziwnych humorów była twarda – ale mocno oberwała w głowę i kiedy wlekli ją na dół, wydawała się nieprzytomna.

Wtedy usłyszałem, że Alana powiedziała: „No”, i odwróciłem się, żeby zobaczyć, o co chodzi.

W plamę światła ze sprawnej latarni wchodziła grupa postaci. Kolejna gromadka imprezowiczów w strojach piratów; zapewne dopiero przyszli i dołączyli do Bobby'ego. Krążyli w kółko jak stado rozochoconych mew, wymachując pistoletami, maczetami i nożami. W utworzonym przez nich kręgu szło pięć osób. Był tam Cesar, a także Antoine i Bobby, którzy wlekli między sobą jakiegoś mężczyznę. Zwisiał bezwładnie z ich rąk, prawdopodobnie nieprzytomny. Za nimi kroczył człowiek w czarnej pelerynie z kapturem zasłaniającym twarz.

Kiedy rozbawione towarzystwo biegało w kółko, wznosząc radosne okrzyki, głowa nieprzytomnego mężczyzny opadła do tyłu i światło padło na jego twarz.

To był Chutsky.

Według Einsteina nasza idea czasu to tak naprawdę nic innego jak tylko dogodna fikcja. Nigdy nie pretendowałem do miana geniusza, który rozumie takie rzeczy, ale pierwszy raz w życiu zaczynało do mnie docierać, o co mogło mu chodzić. A to dlatego, że gdy zobaczyłem twarz Chutsky'ego, wszystko zamarło. Czas przestał istnieć. To było tak, jakbym był uwięziony w chwili, która trwała całą wieczność, albo w martwej naturze. Przy relingu pirackiego statku stała Alana, z twarzą zastygłą w wyrazie drapieżnego rozbawienia. Za nią, w głębi lunaparku, tkwiło pięć nieruchomych sylwetek w kręgu światła: Chutsky z głową bezwładnie opadającą na plecy, dwaj ochroniarze, Bobby i tajemniczy człowiek w czarnej szacie ze strzelbą Cesara w ręku. Otaczający ich piraci znieruchomieli w na poły komicznych, na poły groźnych pozach. Nie słyszałem żadnego dźwięku. Cały świat skurczył się do tego jednego kadru ukazującego kres wszelkiej nadziei.

I wtedy gdzieś niedaleko, w okolicy toru przeszkód, rozbrzmiał straszny, przyprawiający o migrenę rytm muzyki z klubu Fang; ktoś krzyknął i czas znów zaczął płynąć. Alana zaczęła się odwracać od relingu, z początku powoli, potem w zwykłym tempie, i znów usłyszałem jęk Samanthy, łopot pirackiej bandery na maszcie i niezwykle donośne łomotanie mojego serca.

- Spodziewałeś się kogoś? - spytała mnie uprzejmie Alana, kiedy wszystko wróciło do jakże przerażającej normy. - Obawiam się, że nie będzie z niego wielkiego pożytku.

Ta myśl już przyszła mi do głowy, a z nią kilka innych, ale żadna nie przyniosła nic prócz na poły historycznego komentarza na temat rosnącej bezradności, która zalewała lochy Zamku Dextera. Wciąż czułem wiszący w powietrzu zapach pieczonego mięsa i bez wysiłku mogłem sobie wyobrazić, że wkrótce na tym samym grillu będzie skwierczał cenny, niezastąpiony Dexter, plasterek po plasterku. W dobrej opowieści skonstruowanej wedle tradycyjnych hollywoodzkich reguł w tej chwili wpadłbym na fantastycznie przebiegły pomysł

i jakimś cudem zerwałbym pęta, złapał strzelbę i strzelając na prawo i lewo, wyrwał się na wolność.

Najwyraźniej jednak w takiej opowieści nie uczestniczyłem, bo w głowie miałem tylko żalosne i nieodparte przekonanie, że wkrótce zostanę zabity i zjedzony. Nie widziałem żadnego wyjścia i nie mogłem uciszyć jałowego biadolenia w moim mózgu na dość długo, by pomyśleć o czymkolwiek oprócz tego jednego, najważniejszego faktu: to koniec. Wszystko przepadło, kurtyna w dół – Dexter zapada się w mrok. Moja cudowna osoba zginie na wieki wieków, amen. Zostanie tylko stosik ogryzionych kości i odrzuconych flaków. Gdzieś tam jedna czy dwie osoby będą mgliście pamiętały człowieka, za którego się podawałem – nawet nie prawdziwego mnie, co wydawało się głęboko tragiczne – lecz szybko o moim istnieniu zapomną. Życie potoczy się dalej bez niezrównanego Dextera i chociaż to było niesprawiedliwe, nie dało się tego uniknąć. Koniec, kropka. *Finito*.

Powiniennem w tym momencie umrzeć z czystej zgryzoty i żalu nad sobą, ale gdyby te uczucia były śmiertelne, nikt nie dożyłby czternastego roku życia. Żyłem więc dalej i patrzyłem, jak wnoszą Chutsky'ego po rozchybotanym trapie i rzucają na pokład. Ubrana na czarno postać ze strzelbą Cesara podeszła do grilla, by mieć oko na mnie i Chutsky'ego, którego Bobby i Cesar zawlekli do Alany. Padł na twarz u jej stóp, dygocząc na całym ciele. Z jego pleców sterczały dwie strzałki, co wyjaśniało, skąd to drżenie. Jakoś zdołali zająć go od tyłu, potraktować paralizatorem i ogłuszyć, kiedy leżał bezradnie i dygotał. No to profesjonalną akcją ratowniczą mamy z głowy.

- Prawdziwe byczyisko z niego – stwierdziła Alana, trącając Chutsky'ego palcem u nogi. Zerknęła na mnie. – Twój przyjaciel?

- Zdefiniuj słowo „przyjaciel” – odparłem. Bądź co bądź, naprawdę na niego liczyłem i podobno miał być dobry w te klocki.

- No tak – mruknęła, patrząc na Chutsky'ego. – Cóż, nam się na nic nie przyda. Same chrząstki i blizny.

- Słyszałem, że ma bardzo delikatne wnętrze – podsunąłem z nadzieją. – To znaczy, w porównaniu z moim.

- Ochhhh... – stęknął Chutsky. – Ożesz cholera...

- Mocną ma szczękę, skubany – zauważył Cesar i pokiwał głową z uznaniem. – Tak mu przyłożyłem, że powinien jeszcze być

nieprzytomny.

- Gdzie ona? - spytał Chutsky, dygocząc. - Nic jej nie jest?

- Serio, walnąłem naprawdę mocno. Kiedyś trenowałem boks -
oznajmił Cesar.

- Jest tutaj - zapewniłem Chutsky'ego. - Nieprzytomna.

Chutsky z ogromnym i wyraźnie bardzo bolesnym wysiłkiem
przewrócił się na bok, żeby na mnie spojrzeć. Jego oczy były
przekrwione i pełne udręki.

- Nawaliliśmy, stary - powiedział. - Nawaliliśmy jak cholera.
Uznałem, że coś tak oczywistego nie wymaga komentarza, więc się
nie odezwałem, a Chutsky wrócił do swojej pierwotnej, rozedrganej
pozycji.

- Kurwa - wykrztusił.

- Znieście go na dół, do sierżant Morgan - poleciała Alana i Cesar
z Bobbym znów chwycili Chutsky'ego, dźwignęli go na nogi i powlekli
do kajuty. - Reszta niech skoczy na tor przeszkód sprawdzić, czy ogień
nie zgasł. Bawcie się dobrze - rzuciła do piratów stłoczonych na trapie
i skinęła głową na Antoine'a. - Weźcie poncz.

Ktoś krzyknął radośnie i dwóch ludzi złapało wielki gar za uchwyty.
Postać w czarnej szacie ominęła ich ostrożnie, wciąż trzymając mnie
na muszce, i piraci zbiegli po trapie do lunaparku. Gdy zniknęli
w mroku, Alana zwróciła swoje lodowate spojrzenie na mnie.

- No cóż - powiedziała i choć wiedziałem, że nie jest zdolna
do uczuć, kiedy tak na mnie patrzyła, z pokrytej łuskami istoty
wewnątrz niej wyraźnie biło mroczne rozbawienie. - Teraz pora
na mojego prosiaczka. - Skinęła na ochroniarza, który cofnął się
pod reling, wciąż we mnie mierząc. Alana zrobiła krok naprzód.

Była wiosenna noc w Miami i temperatura sięgała dwudziestu kilku
stopni, a mimo to, kiedy Alana Acosta podeszła do mnie, poczułem
podmuch lodowatego wiatru. Przeszył mnie na wylot, zerwał się
w najmroczniejszych zakamarkach najgłębszych otchłani mojego
jestestwa i wtedy Pasażer podniósł się na swoje liczne nogi i krzyknął
z bezsilną furią, ja zaś poczułem, jak moje kości rozsypują się w pył,
żyły obracają w popiół, a cały świat skurczył się do radosnego
szaleństwa w oczach Alany.

- Wiesz coś o kotach, kochany? - spytała, sama prawie mrucząc. Wydawało się, że to pytanie retoryczne; tak czy owak, nagle zaschło mi w ustach i nie miałem chęci odpowiadać. - Lubią bawić się jedzeniem, słyszałeś o tym? - Poklepała mnie czule po policzku, by po chwili dać mi w twarz, bardzo mocno, cały czas z tą samą miną. - Kiedyś przyglądałam im się całymi godzinami. Widziałeś, jak znęcają się nad myszami? Wiesz, dlaczego to robią, skarbie? - Przesunęła długim jaskrawoczerwonym paznokciem po mojej piersi na ramię, gdzie znalazła jedno ze skaleczeń od cierni. Obejrzała je ze zmarszczonym czołem. - Nie jest to czyste okrucieństwo, a szkoda. Choć na pewno jakiś element okrucieństwa zawiera. - Wsunęła paznokieć pod rozciętą skórę. - Ale chodzi przede wszystkim o to, że pod wpływem tortur w myszce wyzwała się adrenalina.

Wbiła paznokieć w otwartą ranę na moim ramieniu i aż podskoczyłem z bólu, a po mojej ręce popłynęła krew.

- Albo, jak w tym przypadku, w prosiaczkę - powiedziała Alana, kiwając głową w zamyśleniu. - Adrenalina rozlewa się po całym organizmie małego, kulącego się ze strachu zwierzątka. I wiesz co, kochany? Adrenalina to doskonały naturalny środek zmiękczający mięso! - W rytm swoich słów wbijała paznokieć coraz głębiej, kręcąc palcem, by powiększyć ranę. To bardzo bolało, ale widok był jeszcze gorszy i nie mogłem oderwać oczu od straszliwej czerwieni drogocennej krwi Dextera, która z każdym kolejnym dźgnięciem wylewała się coraz obfitszym strumieniem. - Dlatego najpierw bawimy się jedzeniem, a ono dzięki temu potem lepiej smakuje! Doskonała, odprężająca rozrywka, która przynosi korzyści przy stole. Natura jest cudowna, nie sądzisz?

Bardzo długo trzymała długi ostry paznokieć wbity głęboko w moje ramię i patrzyła na mnie z tym okropnym, zastygłym uśmiechem. Kilku imprezowiczów śmiało się szaleńczo gdzieś w oddali, a Samantha znów jęknęła, teraz już dużo ciszej. Spojrzałem na nią. Straciła tyle krwi, że ta przelewała się przez krawędzie garnka, który Bobby podstawił pod jej ramię, i ściekała na pokład. Kiedy to zobaczyłem, trochę mnie zemdliło i wyobraziłem sobie, jak moja krew łączy się z jej krwią i cały pokład zalewa ohydna lepka breja. Zakręciło mi się w głowie, poczułem, że oddalam się od bólu w czerwony mrok, i...

...następne, jeszcze głębiej sięgające ukłucie przywróciło mi poczucie rzeczywistości i oto znów byłem na pokładzie tego przekłętego pirackiego statku z bardzo prawdziwą kanibalką próbującą paznokciem przebić mi rękę na wylot. Byłem pewien, że lada moment przetnie tętnicę, a wtedy wszędzie będzie pełno mojej krwi. Miałem nadzieję, że przynajmniej zachłapie Alanie buty - marna zemsta, ale nic innego mi nie zostało.

Jej uścisk stał się mocniejszy, paznokieć wszedł jeszcze głębiej i przez chwilę ból był tak straszny, że już miałem zacząć wyc, ale wtedy drzwi kajuty otworzyły się na oścież i Bobby z Cesarem wrócili na pokład.

- Zakochane gołąbki, normalnie - prychnął Bobby. - On powtarza: „Debbie, och, Debbie”, ona na to nic, bo jest nieprzytomna, a ten dalej swoje: „O Boże, o Boże, Debbie, Debbie”.

- Boki zrywać - skomentowała Alana. - Ale dobrze go zwiążaliście? Cesar skinął głową.

- Nigdzie nie pójdzie - zapewnił.

- Znakomicie - powiedziała Alana. - Możecie iść na imprezę. - Spojrzała na mnie przymrużonymi oczami. - Ja tu zostanę i jeszcze trochę się zrelaksuję.

Jestem pewien, że Bobby udzielił w swoim mniemaniu dowcipnej odpowiedzi i że on i Cesar zeszli po rozchwierutanim trapie do lunaparku, by dołączyć do reszty towarzystwa, ale tak naprawdę nic z tego do mnie nie docierało; mój świat skurczył się do przerażających obrazów, które tworzyły się w powietrzu między mną a Alaną. Stała i wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że zacząłem się bać, że mocą swojego spojrzenia pokaleczy mi twarz.

Niestety, uznała, że samym wzrokiem mnie nie zmiękczy. Powoli odwróciła się i podeszła do stolika, na którym czekał na nią rząd łśniących noży. Zakapturzony człowiek stał obok, ani na chwilę nie opuszczając wymierzonej we mnie strzelby. Alana spojrzała na noże i w zamyśleniu położyła palec na brodzie.

- Taki wybór - westchnęła. - Szczerze żałuję, że nie ma czasu zrobić tego, jak należy. Naprawdę cię poznać. - Pokręciła głową ze smutkiem. - Dla tego prześlicznego policjanta, którego mi podesłaliście, w ogóle

nie miałam czasu. Ledwo zdążyłam go skosztować, a już musiałam go uspić. Pośpiech, pośpiech, pośpiech. Psuje całą zabawę, nie sądzisz?

Czyli to ona zabiła Deke'a. I nie mogłam nie usłyszeć w jej słowach echa własnych rozważań towarzyszących igraszkom, co w takiej chwili wydawało się nie fair.

- Ale myślę - ciągnęła - że ty i ja mimo wszystko się zaprzyjaźnimy. - Sięgnęła po wielki i bardzo ostry nóż, normalnie zapewne służący do krojenia chleba, a teraz mający jej zapewnić wysokiej jakości rozrywkę, odwróciła się do mnie, lekko go uniosła, zrobiła krok w moją stronę i znieruchomiała.

Wpatrywała się we mnie takim wzrokiem, jakby myślała o tym, co zamierza ze mną zrobić. Może mam zbyt bujną wyobraźnię, a może odgadłem jej zamiary na podstawie własnych skromnych doświadczeń, ale czułem na sobie każdy ruch, każde cięcie, które planowała na mnie wypróbować, i pot zaczął przesiąkać przez moją koszulę i ściekać mi z czoła, a serce tłukło się o żebra, jakby chciało przebić się przez kości i uciec. I tak staliśmy, trzy metry od siebie, połączeni w telepatycznym pas de deux z klasycznego baletu krwi. Alana bardzo długo rozkoszowała się tą chwilą, dotąd, aż poczułem, że wyschły mi gruczoły potowe, a opuchnięty język przywarł do podniebienia. Wreszcie powiedziała: „No dobrze”, cichym, gardłowym głosem i zrobiła kolejny krok naprzód.

Myślę, że cała ta newage'owska filozofia, według której wszystko koniec końców wraca do równowagi, coś w sobie ma. Nie dlatego, że oto poznawałem na własnej skórze cierpienia, które zadawałem innym, bo to tak naprawdę nie miało tu nic do rzeczy. Chodzi mi o to, że wcześniej tego wieczoru byłem w sytuacji, gdy czas stanął w miejscu, a teraz dla odmiany wszystko weszło na wyższe obroty i wiele rzeczy wydarzyło się naraz, niczym w jakimś rwanym, przyspieszonym tańcu.

Najpierw rozległ się ogłuszający huk i potężny ochroniarz z kucykiem eksplodował; jego tors dosłownie rozerwał się na przerażające czerwone strzępy, głowa wyleciała za reling z wyrazem otępiełego oburzenia na twarzy i zniknął jak wycięty z kadru przez wszechmogącego montażystę.

Niemal w tym samym momencie Alana obróciła się na pięcie ze wzniesionym nożem i szeroko otwartymi ustami i skoczyła na mężczyznę w czarnej szacie, który zarepetował i odstrzelił jej rękę trzymającą nóż. Zarepetował znowu, po czym niewiarygodnie szybko odwrócił się i zastrzelił ostatniego strażnika, który właśnie podnosił broń. Alana osunęła się na ziemię u stóp Samantha, strażnik wpadł na reling i wyleciał za burtę, i na pokładzie korabiu „Zemsta” nagle zaległa cisza.

Wtedy teatralna, złowieszcza postać w czerni zarepetowała po raz trzeci i skierowała dymiącą lufę w moją stronę. Na chwilę wszystko znowu zamarło; patrzyłem na tę ciemną maskę i jeszcze ciemniejszy wylot lufy wymierzonej prosto w moją pierś - i zastanawiałem się, czy wkurzyłem Kogoś Tam w Górze. No bo co takiego zrobiłem, że trzeba mnie było skazać na udział w tej niekończącej się uczcie śmierci? Bądźmy poważni: ile razy jeden względnie niewinny człowiek może stawać oko w oko ze śmiercią w ciągu jednej nocy? Czy nie ma sprawiedliwości na tym świecie? Pomijając tę, w której ja się specjalizuję, rzecz jasna.

Nie było temu końca - bito mnie, policzkowano, szturchano, torturowano, straszono nożami, grożono, że zostanę zjedzony, zadźgany i zastrzelony - i miałem tego dosyć. Już wystarczy. Nie mogłem się nawet przejąć tym ostatecznym poniżeniem. Wyczerpały mi się zasoby adrenaliny; moje mięso już bardziej zmiękczone nie będzie i wręcz mi ulży, kiedy to wszystko się skończy. Cierpliwość każdego ma swój kres i Dexter właśnie go osiągnął.

Dlatego wyprężyłem pierś i stałem nieruchomo, przepelniony szlachetną gotowością do tego, by dzielnie, po męsku stawić czoła przeznaczeniu - ale życie znów zagrało mi na nosie.

- No cóż - powiedziała zakapturzona postać miękkim głosem - wygląda na to, że znów muszę ratować ci skórę.

Kiedy podniósł strzelbę, pomyślałem, że znam ten głos. Znałem go i nie wiedziałem, czy wiwatować, płakać czy wymiotować. Zanim zdążyłem zrobić którąkolwiek z tych rzeczy, odwrócił się i strzelił do Alany, która powoli, w mękach czołgała się ku niemu, zostawiając za sobą szeroką smugę krwi. Wystrzelony z bliska nabój poderwał ją do góry i prawie przeciął na pół, po czym obie części żałośnie gruchnęły na pokład.

- Wredna suka - warknął, opuścił strzelbę, ściągnął kaptur i zdjął maskę. - No ale bardzo porządnie płaciła, a robota była w sam raz dla mnie... Świetnie władam nożem.

Miałem rację. Znałem ten głos.

- I wydawałoby się, że dawno powinieneś był się domyślić - odezwał się mój brat Brian. - Tyle ci dałem wskazówek; ten czarny żeton w worku i tak dalej.

- Brian - wykrztusiłem i choć chyba nigdy w życiu nie powiedziałem nic głupszego, dodałem: - Jesteś tu.

- Oczywiście - rzekł z tym swoim okropnym sztucznym uśmiechem, który teraz jakoś aż tak mnie nie drażnił. - Od czego jest rodzina?

Pomyślałem o ostatnich kilku dniach - najpierw Debora wyciągnęła mnie z przyczepy w Everglades, teraz to - i pokręciłem głową.

- Wychodzi na to, że rodzina jest od tego, żeby ratować cię z rąk kanibali - podsumowałem.

- No cóż - odparł Brian. - Do usług.

I ten jeden raz jego sztuczny uśmiech wydawał się całkowicie szczerzy.

Jak wie każdy miłośnik banałów, nie ma tego złego, co by w taki czy inny sposób na dobre nie wyszło. W tym przypadku małą zaletą przebywania w niewoli u kanibali okazało się to, że w zasięgu ręki było pod dostatkiem ładnych, ostrych noży, więc Brian bardzo szybko uwolnił mnie z więzów. Odklejanie taśmy nie bolało tak jak poprzednio, bo zostało mało włosów do wyrwania, lecz przyjemne nie było i poświęciłem chwilę na to, żeby rozetrzeć nadgarstki. Najwyraźniej trwało to o tę jedną chwilę za długo.

- Może pomasowałeś się później, braciszku? - powiedział Brian. - Naprawdę nie możemy zwlekać. - Kiwnął głową w stronę trapu.

- Muszę pójść po Deborę - odparłem.

Westchnął teatralnie.

- Co ty widzisz w tej dziewczynie? - spytał.

- Jest moją siostrą.

Brian pokiwał głową.

- Niby racja - przyznał. - Ale pospieszmy się, co? Pełno tu tych ludzi i lepiej, żebyśmy się na nich nie nadziali.

W drodze do kajuty musieliśmy przejść obok grotmasztu i, mimo ponagleń Briana, zatrzymałem się przy Samancie, uważając, by nie wdepnąć w kałużę krwi, która rozlewała się na prawo od niej. Stałem po lewej stronie skrępowanej dziewczyny i uważnie jej się przyjrzałem. Była niesamowicie blada, nie chwiała się ani nie jęczała i przez chwilę myślałem, że już nie żyje. Położyłem dłoń na jej szyi, szukając pulsu; był bardzo słaby, ale kiedy jej dotknąłem, zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. Były rozbiegane i nieprzytomne; chyba mnie nie poznała. Przymknęła powieki i powiedziała coś, czego nie dosłyszałem. Nachyliłem się ku niej.

- Co mówisz? - spytałem.

- Byłam... dobra?... - szepnęła ochryple.

Zajęło mi to chwilę, ale w końcu zrozumiałem, co miała na myśli.

Ciągle słyszymy, że ważne jest, by mówić prawdę, jednak z mojego doświadczenia wynika, że aby kogoś naprawdę uszczęśliwić, trzeba powiedzieć mu to, co chce usłyszeć, nawet jeśli kłamstwo później odbije ci się czkawką. W przypadku Samantha miało nie być żadnego „później”, a skoro tak, nie mogłem chować do niej urazy i być na tyle podły, by powiedzieć jej prawdę.

Dlatego nachyliłem się do jej ucha i powiedziałem to, co chciała usłyszeć.

- Byłaś smakowita - szepnąłem.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

- Naprawdę nie mamy czasu na sentymentalne scenki - powiedział Brian. - Nie, jeśli chcesz ocalić tę twoją przeklętą siostrę.

- Jasne - odparłem. - Przepraszam.

Zostawiłem Samantha bez większego ociągania i po drodze przystanąłem tylko po to, żeby ze stolika obok grilla wziąć jeden ze ślicznych noży Alany.

Znaleźliśmy Deborę za kontuarem dawno nieużywanego bufetu w głównej kajucie starego pirackiego statku. Ona i Chutsky byli przywiązani do dwóch dużych rur, które biegły od śladu po wyrwanym zlewie na pokład. Ręce i nogi mieli skrępowane taśmą. Chutsky, trzeba mu to oddać, prawie uwolnił jedną dłoń - swoją jedyną co prawda, ale i tak zasługiwał na uznanie.

- Dexter! - wykrzyknął. - Chryste, ale się cieszę, że cię widzę. Debbie jeszcze oddycha; musimy ją stąd zabrać. - Dopiero teraz zobaczył przyczajonego za mną Briana i zmarszczył brwi. - Hej... to ten typ z paralizatorem.

- Wszystko w porządku - wymamrotałem bez przekonania. - On... hm... tak naprawdę...

- To był wypadek - wtrącił pospiesznie Brian, jakby bał się, że go przedstawię. Ponownie włożył kaptur, żeby zasłonić twarz. - W każdym razie uratowałem was, więc może chodźmy, zanim zjawi się ktoś jeszcze, co?

Chutsky wzruszył ramionami.

- Jasne, masz nóż?

- Oczywiście - odparłem.

Kiedy nachyliłem się nad nim, pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

- Nie, do cholery, najpierw Debora.

Wydawało mi się, że człowiek z tylko jedną dłonią i jedną stopą, który ma skrępowane ręce i nogi i w dodatku jest przywiązany do rury, nie powinien wydawać rozkazów zrzędlwym tonem, ale dałem temu spokój i ukląłem obok Debory. Przeciąłem taśmę okalającą nadgarstki i podniosłem jej rękę. Puls był mocny i regularny. Miałem nadzieję, że jest tylko nieprzytomna; w końcu była zdrowa jak ryba i wyjątkowo twarda. Jeśli tylko pech ją ominie, nic jej nie będzie, ale naprawdę chciałem, żeby się ocknęła i powiedziała mi to osobiście.

- No, stary, przestań się opierdalać - ponaglił mnie Chutsky tym samym marudnym tonem, więc przeciąłem sznur, którym Debora była przywiązana do rury, i taśmę krępującą jej nogi w kostkach.

- Naprawdę trzeba się pospieszyć - ponaglił nas Brian i spytał: - Musimy go zabierać?

- Bardzo, kurwa, śmieszne - burknął Chutsky, ale ja wiedziałem, że mój brat mówi serio.

- Niestety tak - odparłem. - Debora by się obraziła, gdybyśmy go zostawili.

- No to, na litość boską, uwolnij go i chodźmy - rzucił Brian, podszedł do drzwi kajuty i wyrżał, że strzelbą gotową do strzału.

Oswobodziłem Chutsky'ego, który dźwignął się na nogi - a dokładnie na jedną nogę, bo druga była protezą, tak jak jedna z dłoni - i przez chwilę patrzył na Deborę. Brian odchrząknął niecierpliwie.

- No dobrze - powiedział Chutsky. - Poniosę ją. Pomóż mi, Dex.

Podnieśliśmy Deborę i przewiesiliśmy przez ramię Chutsky'ego. Ciężar wyraźnie mu nie przeszkadzał; tylko poprawił ją sobie na ramieniu tak, żeby obojgu było wygodniej, i ruszył do drzwi, jakby szedł na wędrowną z małym plecakiem.

Na pokładzie przystanął obok Samantha. Brian syknął ze zniecierpliwieniem.

- To ta dziewczyna, którą Debbie tak bardzo chciała uratować? - spytał Chutsky.

Zerknąłem najpierw na mojego brata, który niemal podskakiwał na jednej nodze, tak rwał się do ucieczki, a potem na moją siostrę, przewieszoną przez ramię Chutsky'ego.

- Tak, to ona - odparłem z westchnieniem.

Chutsky ostrożnie przeniósł ciężar Debory na bok i wyciągnął zdrową rękę do Samantha. Przez kilka sekund trzymał palce na jej szyi. Wreszcie pokręcił głową.

- Za późno - stwierdził. - Nie żyje. Debbie będzie zrozpaczona.

- Strasznie mi przykro - powiedział Brian. - Możemy już iść?

Chutsky spojrzął na niego i wzruszył ramionami, przez co Debora zaczęła się zsuwać. W porę ją złapał - na szczęście nie stalowym hakiem - mruknął: „Tak, jasne, chodźmy”, i pomknęliśmy do trapu.

Niełatwo było zejść po chwiejącym się trapie, zwłaszcza że Chutsky zdrową ręką przytrzymywał Deborę, więc linę zabezpieczającą musiał chwycić hakiem. Jednak jakoś nam się udało i ledwie stanęliśmy na stałym lądzie, szybko ruszyliśmy w stronę bramy.

Zastanawiałem się, czy powinno być mi przykro z powodu Samantha. Nie mogłem jej w żaden sposób ocalić - nawet ratowanie własnej skóry nie wyszło mi najlepiej, a to przecież priorytet - ale jakoś źle mi było z tym, że zostawiłem jej ciało. Może dlatego, że naoglądałem się tyle krwi, a to zawsze burzy mój spokój. A może chodziło o to, że sam zazwyczaj tak schludnie pozbywam się resztek. Na pewno nie sądziłem, że jej śmierć była tragiczna czy niepotrzebna - wręcz przeciwnie. Prawdę mówiąc, trochę mi ulżyło, że mam ją z głowy i że nie musiałem brać odpowiedzialności za to na siebie. To znaczyło, że jestem czysty; nie będę musiał wyłopać piwa, które sam sobie nawarzyłem, i moje życie mogło wrócić na swoje dobrze naoliwione i wygodne tory bez żadnego zagrożenia niepotrzebnymi postępowaniami sądowymi. Tak, ogólnie rzecz biorąc, doskonale się stało, że marzenie Samantha, przynajmniej w większej części, się spełniło. Jedyne, co mnie dręczyło, to fakt, że na myśl o tym miałem ochotę wesoło gwizdać, co wydawało się niestosowne.

I wtedy zrozumiałem - miałem wyrzuty sumienia! Ja, Dexter Na Wskroś Obumarły, Król Nieczuły! Oddawałem się tej łamiącej ducha, marnującej czas, największej z ludzkich zachcianek - poczuciu winy! A wszystko dlatego, że skrycie cieszyłem się na myśl o tym, iż przedwczesny zgon młodej kobiety leżał w moim samolubnym interesie.

Czy wreszcie wykształciłem w sobie duszę?

Czy Pinokio przeistoczył się w prawdziwego chłopca?

To było niedorzeczne, niewyobrażalne - a mimo to tak właśnie myślałem. Czy narodziny Lily Anne, moja przemiana w Dex-Tatusia i wszystkie inne niespodziewane wydarzenia ostatnich tygodni ostatecznie zabiły Mrocznego Tancerza, którym zawsze byłem? Czy pomogło w tym tych kilka godzin otępiającego przerażenia, spędzonych pod jaszczurczym spojrzeniem zielonych oczu Alany? Czy stałem się nową istotą, gotową rozkwitnąć i zmienić się w szczęśliwego, czującego człowieka, który potrafi śmiać się i płakać bez udawania i oglądać seriale telewizyjne, nie zastanawiając się skrycie, jak aktorzy wyglądaliby przymocowani taśmą samoprzylepną do stołu? Czy to możliwe? Czy byłem nowo narodzonym Dexterem, gotowym zająć swoje miejsce w świecie prawdziwych ludzi?

Snułem te pasjonujące rozważania i, jak to zwykle bywa, kiedy człowiek zapatrzy się we własny pępek, o mało nie przyplącałem ich życiem. Gdy dotarliśmy do toru gokartowego, przejęty podziwem dla samego siebie wysforowałem się nieco przed pozostałych, zapominając w idiotycznym samouwiełbieniu o bożym świecie. Wszedłem za szopę na skraju toru i niemal rozdeptałem dwóch rozbawionych piratów, którzy klęczeli na ziemi i usiłowali uruchomić trzydziestoletni gokart. Spojrzeli na mnie i tępo zamrugali oczami. Obok nich stały dwa duże kubki z ponczem.

- O - zauważył jeden z nich - mięso ucieka.

Sięgnął pod jaskrawoczerwoną piracką szarfę, ale nigdy się nie dowiemy, czy chciał wyjąć broń, czy gumę do żucia, bo, szczęśliwie dla mnie, Brian w samą porę wyłonił się zza szopy i go zastrzelił. Tuż za nim pojawił się Chutsky i kopnął drugiego pirata w gardło tak mocno, że ten zwałił się na plecy, krztusząc się i chwytając za krtań.

- Cóż - skomentował Brian, patrząc na Chutsky'ego z czymś na kształt sympatii - widzę, że nie jesteś tylko ładną buzią.

- Taa, jestem super - mruknął Chutsky. - Pożytku ze mnie co niemiara. - Wydawał się trochę zdołowany jak na kogoś, kto uciekł bez szwanku z orgii kanibali, ale może gdy człowieka potraktują paralizatorem, zostawia to ślad na jego psychice.

- Dexter, proszę cię - powiedział Brian. - Patrz, gdzie stawiasz nogi.

Dotarliśmy do głównej bramy już bez żadnych incydentów - i bardzo dobrze, bo szczęście wcześniej czy później musiało się od nas odwrócić

i gdybyśmy natknęli się na hordeę piratów, a przynajmniej ich trzeźwy pododdział, nie byłoby lekko. Nie miałem pojęcia, ile nabojów zostało w pożyczonej strzelbie Briana, ale podejrzewałem, że nie za dużo. Oczywiście noga Chutsky'ego mogła jeszcze wymierzyć całkiem sporo kopniaków, ale nie mogliśmy liczyć, że następni przeciwnicy, na których się natkniemy, też okażą się na tyle mili, by zaatakować nas na klęczkach. Ogólnie rzecz biorąc, bardzo się ucieszyłem, kiedy przeszliśmy przez bramę i stanęliśmy obok samochodu Deb.

- Otwórz drzwi - burknął Chutsky tonem nieznoszącym sprzeciwu i posłusznie sięgnąłem do klamki. - Tylne, Dexter - warknął.

Nawet nie próbowałem wytykać mu złych manier; był za stary i zbyt gderliwy, żeby się czegokolwiek nauczyć, a poza tym stres wywołany niepowodzeniem, jakiego doznał tego wieczoru, musiał się niekorzystnie odbić na jego i tak szczątkowym savoir-vivre. Zamiast tego po prostu podszedłem do tylnych drzwi i pociągnąłem za klamkę. Naturalnie były zamknięte.

- Ożeż kurwa - zaklął Chutsky i zauważyłem, że Brian uniósł brwi.

- Ale się wyraża - skomentował mój brat.

- Potrzebne są kluczyki - rzuciłem.

- Tylna kieszeń - powiedział Chutsky. Zawahałem się na chwilę, co było głupie. Bądź co bądź, zdawałem sobie sprawę, że od kilku lat mieszkał z moją siostrą. Mimo to byłem zaskoczony tym, że znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, gdzie trzyma kluczyki do swojego samochodu. Przyszło mi do głowy, że wiedział o niej także różne inne rzeczy, których ja nie dowiem się nigdy, rozmaite drobiazgi z jej życia codziennego, i z jakiegoś powodu ta myśl sprawiła, że na moment zastygłem w bezruchu, co, rzecz jasna, w tych okolicznościach nie przysporzyło mi popularności.

- Stary, na litość boską, ruszże dupsko - syknął Chutsky.

- Dexter, proszę cię - dodał Brian. - Musimy uciekać.

Najwyraźniej miałem dziś robić za chłopca do bicia, w którym tylko marnuje się protoplazma. Nie było jednak czasu na wyrażanie obiekcji. Poza tym trudno polemizować z czymś, co do czego nawet ci dwaj byli zgodni. Podszedłem do Debory przewieszanej przez ramię Chutsky'ego i wyjąłem kluczyki z tylnej kieszeni jej spodni. Otworzyłem

tylne drzwi samochodu na oścież i przytrzymałem, a Chutsky położył moją siostrę na tylnym siedzeniu.

Zbadał ją, z czym, jako jednoręki, miał niejakie kłopoty.

- Latarka - rzucił przez ramię, więc wziąłem z przedniego siedzenia maglite'a Deb i świeciłem mu, kiedy unosił kciukiem jej powieki i patrzył, jak oczy reagują na światło.

- Ehm - chrząknął Brian i obejrzałem się na niego. - Jeśli nie macie nic przeciwko, to ja chciałbym już zniknąć. - Uśmiechnął się swoim zwykłym sztucznym uśmiechem i wskazał ruchem głowy na północ. - Mój samochód jest pół kilometra stąd, przy pasażu handlowym - poinformował. - Wyrzucę pistolet i ten, pożałuj Boże, habit. Zobaczymy się później... może jutro na kolacji?

- Oczywiście - odparłem i wierzcie lub nie, ale musiałem zwalczyć pokusę, żeby go wyściskać. - Dziękuję, Brian - powiedziałem zamiast tego. - Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma sprawy - skwitował. Znów się uśmiechnął, po czym odwrócił się i odszedł w noc.

- Nic jej nie będzie, stary - powiedział Chutsky, który wciąż kuczał przy otwartych tylnych drzwiach samochodu. Trzymał Deb za rękę i wyglądał na wykończonego. - Wyjdzie z tego.

- Jesteś pewien? - spytałem.

Skinął głową.

- Tak. Zawieź ją na pogotowie, niech ją zbadają, ale nic jej nie jest, choć to nie moja zasługa i... - Odwrócił wzrok i milczał tak długo, że zacząłem czuć się niezręcznie; przecież uzgodniliśmy, że musimy się stąd wydostać. Czy to odpowiednie pora i miejsce na chwilę zadumy?

- Nie wybierasz się z nami do szpitala? - zagadnąłem, bardziej po to, by mieć to już za sobą, niż dlatego, że życzyłem sobie jego towarzystwa.

Nie odpowiadał. Patrzył tylko w dal, w głąb lunaparku, skąd wciąż dobiegały pojedyncze odgłosy harców i ogłupiający łomot muzyki niesionej łagodnym nocnym wiatrem.

- Chutsky - odezwałem się, czując, że narasta we mnie prawdziwy niepokój.

- Nawaliłem - stwierdził wreszcie i ku mojemu bezbrzeżnemu przerażeniu po jego policzku stoczyła się łza. - Nawaliłem jak cholera.

Zawiodłem ją, kiedy mnie najbardziej potrzebowała. Mogli ją zabić, a ja nie potrafiłem ich powstrzymać i... - Wziął głęboki, chrapliwy oddech. Wciąż na mnie nie patrzył. - Oszukiwałem sam siebie, Dex. Jestem dla niej za stary i nie przydam się na nic ani jej, ani nikomu innemu. Nie z tym... - Podniósł hak, walnął w niego czołem i został w tej pozycji. Spojrzał w dół na protezę stopy. - Ona chce rodziny, a to głupie, żeby ktoś taki jak ja zakładał rodzinę. Jestem starym, popapranym kaleką i nie mogę jej chronić ani nawet... Nie potrzebuje kogoś takiego jak ja. Jestem tylko bezużytecznym starym oferumą...

Z lunaparku dobiegł piskliwy kobiecy śmiech, który przywrócił Chutsky'emu poczucie rzeczywistości. Poderwał głowę, odetchnął głęboko, już jakby spokojniej, i spojrzał na twarz Debory. Pocałował ją w rękę i wstał.

- Zawieź ją na pogotowie, Dexter - powtórzył. - I powiedz jej, że ją kocham. - I z tymi słowami ruszył do swojego samochodu.

- Hej! - zawołałem za nim. - Nie chcesz?...

Najwyraźniej nie chciał, bo wszedł do wozu i odjechał.

Nie czekałem, aż tylne światła jego auta znikną pośród nocy. Przypiąłem Deb do siedzenia pasem bezpieczeństwa i wsiadłem. Przejechałem jakieś trzy kilometry - dość, by poczuć się bezpiecznie - i zatrzymałem się na poboczu. Sięgnąłem po moją komórkę, ale się rozmyśliłem i zamiast tego wziąłem telefon Chutsky'ego z fotela, na który rzuciła go Deb. Jego komórka na pewno miała zabezpieczenia przeciwko takim drobiazgom, jak identyfikacja rozmówcy. Wybrałem numer.

- Centrum Powiadamiania Ratunkowego - zgłosił się dyspozytor.

- Lepiej przyślijta ludzi do tej no, jak jej tam, Krainy Piratów, i to migiem - powiedziałem z moim najlepszym wieśniackim akcentem.

- Co się stało? - spytał dyspozytor.

- Panie, ja weteran jestem - odparłem. - Dwa razy żem w Iraku służył i wiem, jak to brzmi, kiedy strzelają, no i tera właśnie strzelają w Krainie Piratów.

- Mam rozumieć, że słyszał pan strzały?

- Nie tylko słyszałem. Poszłem zobaczyć, co się dzieje, patrzę, a tam wszędzie trupy. Dziesięć, dwadzieścia, a jakieś ludzie tańczą wokół jak na jakiej zabawie.

- Widział pan dziesięć ciał? Jest pan pewien?

- A potem ktoś ugryzł jednego trupa, zaczął go jeść, to wziąłem i uciekłem. Makabra, panie, normalnie makabra, jakiej w życiu nie widziałem, a byłem w Bagdadzie.

- Mówi pan... że jedli zwłoki?

- Przyślijta antyterrorystów, migiem - powiedziałem, rozłączyłem się i wrzuciłem bieg. Może nie zgarną wszystkich w lunaparku, ale wystarczająco wielu, by uzyskać pojęcie o tym, co tam się działo. A to wystarczy, żeby załatwić Bobby'ego Acostę, w taki czy inny sposób. Miałem nadzieję, że to choć trochę ukoi żal Debory po Samancie.

Wjechałem na autostradę I-95 i ruszyłem do Szpitala imienia Jacksona. Było kilka bliższych, ale kiedy jesteś policjantem z Miami, instynkt automatycznie prowadzi cię do Szpitala imienia Jacksona, który ma jeden z najlepszych oddziałów urazowych w kraju. Niby Chutsky zapewnił mnie, że wizyta u lekarza to tylko dmuchanie na zimne, uznałem jednak, że lepiej zdać się na ekspertów.

Przez pierwsze dziesięć minut jechałem w zupełnej ciszy. Dopiero przed zjazdem na Dolphin Expressway usłyszałem syreny, a wkrótce z przeciwka nadjechała kolumna radiowozów na sygnale, na tyle długa, by odeprzeć poważną inwazję. Za nimi ciągnął równie długi orszak wozów satelitarnych lokalnych programów informacyjnych - wszystkie kierowały się na północ, zapewne do Krainy Piratów. Ledwie hałas przycichł, usłyszałem ruch na tylnym siedzeniu, a po kilku sekundach głos Debory.

- Kurwa - powiedziała i akurat w jej przypadku nie było to zaskakujące pierwsze słowo. - Ożeż kurwa.

- Nic ci nie będzie - zapewniłem i wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć siostrę w lusterku wstecznym. Leżała z dłońmi splecionymi na brzuchu i przerażeniem wypisanym na twarzy. - Jedziemy do Jacksona, ale tylko tak na wszelki wypadek. Bez obaw, nic ci się nie stało.

- Co z Samanthą Aldovar? - spytała.

- No cóż - odparłem - nie żyje. - Znów zerknąłem w lusterko; Deb zamknęła oczy i potarła się po brzuchu.

- Gdzie Chutsky? - zadała kolejne pytanie.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odpowiedziałem. - To znaczy, wszystko z nim w porządku, nic mu się nie stało. Kazał powiedzieć,

że cię kocha, i odjechał, ale... - Duża ciężarówka wcisnęła się przede mnie, więc musiałem odbić w bok i przyhamować. Kiedy znów spojrzałem w lusterko, oczy Deb wciąż były zamknięte.

- Odszedł - powiedziała. - Myśli, że mnie zawiódł, więc uniósł się honorem i mnie zostawił. Akurat wtedy, kiedy go najbardziej potrzebuję.

Myśl, że ktoś miałby potrzebować Chutsky'ego, i to „najbardziej”, wydawała się, delikatnie mówiąc, mało wiarygodna, ale przyjąłem to do wiadomości.

- Wszystko będzie dobrze, siostrzyczko - powiedziałem, szukając słów, które dodałyby jej otuchy. - Zbadają cię w Jacksonie, ale na pewno nic ci nie jest. Jutro wrócisz do pracy i wszystko będzie w porządku, i...

- Jestem w ciąży - oznajmiła i na to nie znalazłem żadnej odpowiedzi.

Epilog

Chutsky naprawdę odszedł – co do tego Debora miała rację. Po kilku tygodniach stało się oczywiste, że nie wróci, a ona nijak nie mogła go znaleźć. Próbowала, rzecz jasna, z całą determinacją bardzo upartej kobiety, która była też bardzo dobrym gliną. Ale Chutsky zawodowo zajmował się tajnymi operacjami i pływał w głębszych wodach niż my wszyscy. Nie wiedzieliśmy nawet, czy Chutsky to jego prawdziwe nazwisko. Zresztą on sam, jako że przeżył całe życie jako szpieg, pewnie też tego nie wiedział. I zniknął tak skutecznie, jakby nigdy nie istniał.

Debora miała rację również co do tej drugiej sprawy. Wkrótce dla każdego stało się oczywiste, że wszystkie jej spodnie nagle zrobiły się za ciasne, a zazwyczaj nijakie bluzki zmieniły się w luźne tuniki w hawajskie wzory, jakich z własnej woli normalnie nie włożyłaby nawet do izby wytrzeźwień. Debora była w ciąży i postanowiła urodzić dziecko – z Chutskym czy bez niego.

Początkowo obawiałem się, że nowy status samotnej matki zaszkodzi jej pozycji zawodowej; gliniarze z reguły są bardzo konserwatywni. Najwyraźniej jednak nie byłem na bieżąco z Nowym Konserwatyzmem. W dzisiejszych czasach Wartości Rodzinne oznaczają tyle, że samotna kobieta może zająć w ciąży, pod warunkiem że ją donosi, więc prestiż Debory w pracy wręcz rósł razem z jej brzuchem.

Wydawałoby się, że kobieta detektyw w ciąży wzbudzi wystarczającą sympatię, by inni uwierzyli jej zapewnieniom, iż taki czy taki człowiek jest niegodziwcem, ale cóż, na wstępnej rozprawie Bobby'ego Acosty adwokaci rozdmuchali fakt, że Joe stracił żonę – tragicznie zmarłą macochę Bobby'ego, która go wychowała i tak wiele dla niego znaczyła – i dziwnym trafem zapomnieli wspomnieć, że zginęła, torturując i mordując kilka przypadkowych osób, w tym wspaniałego, droгоценego mnie. Sędzia wyznaczył kaucję w wysokości pół miliona dolarów – śmieszne pieniądze dla rodziny Acostów – i, zgodnie

z naszymi przewidywaniami, Bobby wybiegł z sali sądowej w podskokach i wpadł w ramiona kochającego ojca.

Debora zniosła to lepiej, niż mogłem przypuszczać. Powiedziała wprawdzie parę brzydkich słów, no ale nie byłaby sobą, gdyby tego nie zrobiła. Skwitowała decyzję sędziego krótkim „no i, kurwa, gnojek wychodzi”, po czym spojrzała na mnie.

- No tak - powiedziałem i na tym w zasadzie stanęło. Bobby był wolny do czasu procesu, który mógł się zacząć za wiele lat, biorąc pod uwagę, jakiego kalibru adwokatów wynajął jego ojciec. Kiedy wreszcie stanie przed ławą przysięgłych, wszyscy zapomną o uroczych nagłówkach typu „Karnawał kanibali” czy „Krwawa łaźnia w Krainie Piratów”, pieniądze Joego załatwią złagodzenie zarzutów i Bobby odpowie za polowanie poza sezonem, i dostanie dwadzieścia godzin prac społecznych. Gorzka pigułka, owszem, ale takie jest życie na służbie tej starej dziwki Sprawiedliwości w Miami.

I tak oto wszystko wróciło do zwykłego rytmu, teraz odmierzanego wzrostem talii Debory, wiaderkami brudnych pieluch Lily Anne, i piątkowymi kolacjami z wujkiem Brianem, które stały się główną atrakcją tygodnia. Piątkowy wieczór był idealny głównie dlatego, że Deb miała wtedy szkołę rodzenia, co zmniejszyło zagrożenie, że wpadnie bez zapowiedzi i narobi wstydu mojemu bratu - ostatecznie, z czysto formalnego punktu widzenia, kilka lat temu próbował ją zabić, a doskonale wiedziałem, że moja siostra nie jest z tych, którzy puszczają takie rzeczy w niepamięć. Brian postanowił zostać w mieście na dłużej; najwyraźniej dobrze się czuł w roli wujka i starszego brata. Poza tym Miami było jego domem i uważał, że w dobie kryzysu tu najłatwiej mu będzie o pracę odpowiadającą jego wyjątkowym kwalifikacjom, a na razie nie musiał się martwić o pieniądze. Bez względu na wszelkie jej inne wady, Alana potrafiła docenić prawdziwy talent.

Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu i narastającemu zaniepokojeniu przez to wszystko zaczął się przebijać jeszcze jeden rytm, słyszalny nawet przez powolne i miarowe rozkwitanie mojego nowego, ludzkiego ja. Stopniowo, z początku tak subtelnie, że nawet tego nie zauważyłem, zacząłem czuć, że coś delikatnie ciągnie mnie za kark - nie kark fizyczny, w ogóle nie żadną fizyczną część mojego ciała, tylko... coś trochę za mną i...

Odwracałem się zdziwiony, ale nic nie widziałem, więc składałem to na karb wyobraźni: ot, opóźniona reakcja nerwowa na wszystko, co przecierpiałem. Biedny, sponiewierany Dexter naprawdę dostał w kość. To całkowicie naturalne, że po tak silnym urazie fizycznym i psychicznym człowiek przez jakiś czas jest spięty, nawet przeczulony. Rzecz zrozumiała pod każdym względem, nie ma się czym przejmować ani o czym myśleć. Dlatego beztrwosko sobie żyłem w zwyczajnym ludzkim kieracie praca-dzieci-telewizja-sianie aż do następnej okazji, kiedy to się powtarzało, a wtedy znów przerywałem to, co robiłem, i oglądałem się na wołanie tajemniczego głosu.

Trwało to kilka miesięcy; życie było coraz nudniejsze, Deb coraz grubsza, aż rozrosła się na tyle, by wyznaczyć datę imprezy z okazji rychłych narodzin dziecka. Tego wieczoru, gdy dostałem zaproszenie i zacząłem się zastanawiać, jaki prezent byłby idealny z okazji Szczęśliwego Wydarzenia, znów poczułem, że przyciąga mnie ów bezgłosny dźwięk. Odwróciłem się i tym razem go zobaczyłem, obramowanego oknem za moimi plecami.

Księżyc.

Pełny, jasny, zalotny, piękny księżyc.

Wzywający, zniewalający, świecący i promieniejący, cudowny, jasny, wyszczekany księżyc, szepczący słodkie słówka jaszczurczym tonem pobrzmiwającym stalą i chytrością, wypowiadający dwie sylaby mojego imienia tym samym starym, miłującym mrok, ciemnookim głosem, tak dobrze znanym, tak miłym dla ucha i teraz dziwnie mnie radującym.

Witaj, stary przyjacielu.

Znów czuję, jak błoniaste skrzydła rozpościerają się z szelestem w mrocznym lochu, i słyszę radosny szept otrzepującego się z kurzu, długo zaniedbywanego Pasażera, nawołującego do szczęśliwego pojednania.

„Już czas”, mówi z lekkim dreszczem podniecenia na myśl o tym, że jeszcze ten jeden raz wszystko musi być jak zawsze. „Już czas, zdecydowanie”.

I ma rację.

Myślałem, że z tego wyrosłem, że grzechot ogona i świst pazurów Pasażera to już przeszłość, ale się myliłem. Silnie jak nigdy dotąd czuję,

jak ten wielki, tłusty, krwistoczerwony księżyc, który wisi w oknie z chytrym, drwiącym uśmiechem, przyciąga mnie i prowokuje, żebym zrobił to, co konieczne, i to już, teraz.

Teraz.

W małych, świeżo pomalowanych zakamarkach mojej nowej, ludzkiej duszy wiem, że nie mogę, nie śmiem, nie wolno mi – mam obowiązki rodzinne i jeden z nich trzymam w ręku: to zaproszenie na imprezę z okazji rychłych narodzin dziecka Debory. Wkrótce pojawi się wśród nas nowy Morgan, nowe życie, o które trzeba będzie się troszczyć – niełatwe zadanie w tym nikczemnym, niebezpiecznym świecie. A ten rozplywający się, skrzeczący księżycowy głos, coraz donośniejszy, szepcze chytrze, że to prawda, oczywiście, że tak. Świat to zło i niebezpieczeństwo, bez dwóch zdań; nikt temu nie zaprzeczy. Dlatego ten, kto czyni go lepszym i bezpieczniejszym, plasterek po plasterku, czyni dobro, zwłaszcza jeśli może to zrobić, nie zaniedbując rodzinnych obowiązków.

Ta myśl przychodzi i rozwija się z ostrą, nienaganną logiką. To prawda, całkowita prawda, prawda najprawdziwsza i zarazem jakże schludna, nadająca sens wszystkim oderwanym, niezbornym fragmentom, które trzeba ułożyć w całość. No bo są te obowiązki rodzinne, ale jest również ten piękny, zawodzący syreni zew, tłusty, wesoły, metaliczny głos, który wzywa zbyt silnie, żebym mógł się oprzeć.

Dlatego idziemy do mojej zakurzonej szafy w gabinecie i chowamy kilka drobiazgów do torby sportowej.

Potem przechodzimy do salonu, gdzie Rita i dzieci oglądają telewizję, a na kolanach Rity śpi Lily Anne...

Na chwilę zamieram w bezruchu, patrzę na jej buzię wtuloną w ciepło matki i przez kilka długich uderzeń serca ten obraz zagłusza wszelkie pieśni księżycy. Lily Anne...

W końcu jednak bierzemy oddech, wraz z powietrzem ponownie wdiera się we mnie głęboka melodia tej doskonałej nocy i przypominam sobie, że dziś robimy to dla niej. Dla Lily Anne, dla wszystkich Lily Anne, aby świat, w którym będą dorastały, był lepszy. I szalona radość powraca, a z nią chłodne opanowanie, więc pochylamy się, żeby pocałować moją żonę w policzek.

- Muszę na chwilę wyjść - mówimy, wiernie naśladowując ludzki głos Dextera. Na jego dźwięk Cody i Astor siadają prosto i wybałuszają oczy na torbę sportową, ale spojrzeniem zmuszamy ich do milczenia.

- Co? Och, ale już... No dobrze, jeśli... Mógłbyś po drodze kupić mleko? - mówi Rita.

- Oczywiście - odpowiadamy. - Na razie.

Kiedy Cody i Astor gapią się zdjęci podziwem na myśl o tym, co wkrótce się stanie, my wychodzimy i otula nas ciemny koc metalicznego księżycowego blasku, który przykrył noc nad Miami i trzyma ją w napiętej gotowości dla nas, na naszą Noc Potrzeby i Konieczności, na to, co zrobimy, co musimy zrobić. Wślizgujemy się w mile widzianą ciemność po idealny prezent dla Debory, cudowny dar dla wyjątkowej siostry, jedyne, na czym jej naprawdę zależy i co wyłącznie brat może jej dać.

Bobby'ego Acostę.

Podziękowania

Nie mógłbym napisać tej książki bez wielkodusznej pomocy wspaniałych ludzi, którzy zajmują się medycyną sądową. Zwłaszcza pragnę podziękować Samancie Steinberg, Sharon Plotkin i Lisie Black. Jeśli gdzieś popełniłem błąd, to dlatego, że nie skonsultowałem się z nimi.

Jestem też wdzięczny za nieustające wsparcie mojego amerykańskiego redaktora Jasona Kaufmana, którego mądre rady i cierpliwe słowa zachęty były niezbędne i bardzo mile widziane. A Dexter w ogóle by nie było bez mojego agenta Nicka Ellisona; dziękuję, święty Nicku.

Jak zawsze, przy życiu i w dobrym nastroju utrzymywali mnie Bear, Pookie i Tink, którzy dają mi poczucie, że to, co robię, jest czegoś warte.

o książce *Delicje z Dextera*

Powieść będąca inspiracją do powstania hitowego serialu Dexter!

Jak znaleźć czas i ochotę na makabryczne przejażdżki z Mrocznym Pasażerem, gdy ma się na wychowaniu prześliczną córeczkę? Czy czarujący zabójca z Miami będzie teraz w stanie rozwiązać sprawę zaginięcia dwóch dziewczyn, które padły ofiarą ohydnych wampirów-kanibali?

Dexter Morgan pragnie kontynuować swoją misję zabijania ludzi, którzy na to zasłużyli, ale jego szczęśliwe, rodzinne życie znowu się komplikuje. Trudno przecież być seryjnym mordercą i nie wzbudzać przy tym podejrzeń policji, gdy zostało się ojcem uroczej istotki o imieniu Lily Anne... Przed wami piąta część mrocznej serii o przygodach Dextera, możecie ją uznać za oddzielną historię lub czytać bez zachowania kolejności cyklu.

Powieści o Dexterze posłużyły za kanwę scenariusza popularnego serialu z lat 2006-2013 w telewizji Showtime, zaś odtwórca roli głównego bohatera Michael C. Hall otrzymał za nią wiele nagród i nominacji.

Jeśli szukacie zabawnej, a jednocześnie drastycznej opowieści o bezwzględnym potworze, który umie przeistoczyć się w troskliwego tatusia, oto lektura właśnie dla was. Z tej książki dowiedziecie się jak Dexter nauczył się łączyć życie rodzinne ze swym krwawym hobby i co wyrosło z jego pasierbów, którym coraz trudniej poskromić swoje złe skłonności.